



Spis treści

Wprowadzenie	13
· Manufaktura w przepaści	15
· Ile ziemi potrzebuje człowiek?	22
· Melancholia i rebelia	32
· Ekonomie romantyczne	40
· Bibliografia	47
ANTOLOGIA	51
PIEKŁO NOWOCZESNOŚCI	53
Świat-fabryka, człowiek-maszyna	55
· Szatańskich młynów praca (<i>Wstęp do poematu „Milton”, fragment</i>), William Blake	57
· Sztuczny ptak śpiewał podług przepisanej miary (<i>Słowik, fragment</i>), Hans Christian Andersen	58
· Kto się im dostał w ręce, tego obrócili na walec, śrubę, młotek, przybijadło lub koło (<i>Z Kudowy, fragmenty</i>), Julia Woykowska	62
· Jeden kłęb dymu, okrętów, kamieni (<i>Don Juan. Pieśń dziesiąta, fragment</i>), George Byron	66
· Ramiona, szpony, zęby (<i>List do Delfiny Potockiej, fragment</i>), Zygmunt Krasiński	67
· Niewstrzymany wark i wir (<i>Krzyk dzieci, fragmenty</i>), Elizabeth Barrett Browning	69
· Twoje piekielne maszyny leżą w kawałkach (<i>Shirley, fragment</i>), Charlotte Brontë	71
· Ujarzmić kamieniem i żelazem (<i>Grzech pana Antoniego, fragment</i>), George Sand	73

Podział ziemi, podział czasu	75
· Podzielić wszystko na wieczne dziedziny ziemi (<i>Podział ziemi</i>), Friedrich Schiller	77
· Przekształcić wróżki w pożytecznych obywateli oświeconego państwa (<i>Zacheuszek Cynobrem zwany</i> , fragment), E. T. A. Hoffmann	79
· Wierność dozgonna naszym zegarom i naszym kapustom (<i>Diabeł na wieży</i> , fragment), Edgar Allan Poe	84
· Z Bożej ziemi zrobić szachownicę numerowaną (<i>Choroby wieku</i> , fragment), Józef Ignacy Kraszewski	91
· Czas, wielki fabrykant (<i>Ciężkie czasy</i> , fragment), Charles Dickens	95
· Ile kosztuje pragnienie (<i>Jaszczur</i> , fragmenty), Honoriusz Balzac	98
· Nie uwzględniając więzi uczuciowej (<i>I temu ostatniemu</i> , fragment), John Ruskin	105
Ekonomia zysku	109
· Przemysł zabudował każdy kawałek ziemi (<i>Położenie klasy robotniczej w Anglii</i> , fragmenty), Fryderyk Engels	111
· Gdy otchłań pożyteczna, można się z nią zgodzić (<i>Sarkazmy czarnego ducha</i>), Wiktor Hugo	115
· Pieniądz to nasza własna krew i ciało wyobcowane przez nas (<i>O istocie pieniądza</i> , fragmenty), Moses Hess	119
· Pieniądz jest powszechną zamianą i podmianą wszystkich rzeczy (<i>Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne</i> z 1844 r., fragment), Karol Marks	124
· Handel przyłożył stempel egoizmu (<i>Królowa Mab</i> , fragment), Percy Bysshe Shelley	130
· Zło handlowe jest powszechne (<i>Człowiek religijny –</i> <i>reformatorem</i> , fragment), Ralph Waldo Emerson	132
· Lecz grunt – ten towar mój czarny (<i>Statek niewolników</i>), Heinrich Heine	137

· Jakby handel i ekonomia były wszystkim, a człowieczeństwo niczym (<i>Północ i południe</i> , fragment), Elizabeth Gaskell	143
· Wymienić wiersze na rubelki (<i>Rozmowa księgarza z poetą</i>), Aleksander Puszkina	145
· Poezja bankierów (<i>List do Franciszka Morawskiego</i> , fragmenty), Zygmunt Krasiński	150
· Wszystko, co się poczyna z natchnienia myśli, musi tu być sprzedanym (<i>Ad leones</i> , fragment), Cyprian Norwid	154
· Mózg poetyczny, wyścielony cyframi jak gabinet finansisty (<i>Jak płacić długi, gdy jest się geniuszem?</i>), Charles Baudelaire	157
MIĘDZY MELANCHOLIĄ A REBELIĄ	161
Wolałbym nie	163
· Myślałem o pieniądzach zawsze jedynie ze wstrętem (<i>Życie Henryka Brulard</i> , fragment), Stendhal	165
· Oni z świata machin i śrub, pieniędzy i roastbeafów (<i>List do Delfiny Potockiej</i> , fragment), Zygmunt Krasiński	167
· Nie zważałem na to, która jest godzina (<i>Walden</i> , fragmenty), Henry D. Thoreau	169
· Wolałbym tego nie robić (<i>Kopista Bartleby</i> , fragment), Herman Melville	173
· Ja głodny, jeść nie będę... (<i>Czatterton</i> , fragmenty), Alfred de Vigny	176
Gdzie indziej	181
· W prastarych czasach musiała zaprawdę cała natura być bardziej ożywiona (<i>Henryk Ofterdingen</i> , fragment), Novalis	183
· Wolno było robić każdemu, co mu się podobało (<i>Złota książeczka, czyli historia rodu ludzkiego</i> , fragment), Piotr Ściegienny	186

- U ludów słowiańskich posiadać ziemię na własność 189
to grzech (*Literatura słowiańska*, fragmenty),
Adam Mickiewicz
- Znalaziono tu żywe ślady tak daleko idącego 194
komunizmu, jaki w Europie wydawał się zupełnie
niemożliwy (*Wstęp do ekonomii politycznej*, fragmenty),
Róża Luksemburg
- Nie mogę jednak powiedzieć, abym w wieku XIX 199
zauważył był znaczny postęp (*Wieści z nikąd*, fragmenty),
William Morris
- O tutejszych ludziach niewiele można powiedzieć 208
bez zachwyty (*Wczesna literatura północno-islandzka*,
fragmenty), William Morris
- Wrogowie jakiegokolwiek uległości (*Dziennik podróży 211*
do Tatrów, fragmenty), Seweryn Goszczyński

Romantyczne rewolucje 217

- Własność to kradzież (*Co to jest własność?*, fragmenty), 219
Pierre Joseph Proudhon
- Płody naturalne należą do wszystkich (*Aforyzmy 223*
o urzędzeniu społeczeństwa ludzkiego, fragment),
Piotr Ściegienny
- Ziemia jest posagiem całej rodziny ludzkiej (*Nadanie 227*
własności, fragmenty), Ludwik Królikowski
- Wszelka niewola skutkiem jest istnienia własności 235
(*Twórczość w życiu społeczności*, fragmenty),
Edward Dembowski
- Komunizm jako urzeczywistnienie Chrześcijaństwa 242
w jego pierwotnej czystości (*Czyńcie dobrze lub milczcie*,
fragment), Ludwik Królikowski
- Spadają więzy poddaństwa z bytów nieożywionych 244
i z żywych istot (*Listy o wychowaniu estetycznym*,
fragment), Friedrich Schiller

- Zdolność twórcza, aby sobie wyobrazić to, co możemy 248
(*Obrona poezji*, fragment), Percy Bysshe Shelley
- Praca jest u nas najczęściej sztuką 253
(*Wieści z nikąd*, fragmenty), William Morris
- Spalić wszystkie stare koszary czasów nędzy 260
w ogromnej pożodze radości (*Sztuka i lud*),
Élisée Reclus
- Przekształcenie zebrania mirskiego w podstawowy 267
element ustroju społecznego (*Naprzód! Nasz program*,
fragmenty), Piotr Ł. Ławrow
- Odświeżający duch mirskiego socjalizmu 272
(*Wiejska wspólnota gminna*, fragmenty),
Afanasij P. Szczapow
- Bez pewnej dozy komunizmu społeczeństwa 279
dzisiejsze bowiem nie potrafiłyby istnieć
(*Zdobycie chleba*, fragmenty), Piotr A. Kropotkin

Polityki nieumiarkowania 283

- Trwonić godziny, siły, bogactwo (*Cierpienia* 285
młodego Wertera, fragmenty), Johann Wolfgang Goethe
- Uczucie, które wymaga najwięcej czasu 288
(*O miłości*, fragment), Stendhal
- Drugich tylko rozkosz jest szczęściem na świecie 293
(*List do Adama Sołtana*), Zygmunt Krasiński
- Na com liczył? (*Do siebie*), 295
Michaił Lermontow
- Żeby nie być znękanym niewolnikami Czasu 296
(*Paryski Splin*, fragment), Charles Baudelaire
- Być niezdolnym do gromadzenia kapitałów 297
(*Gracz*, fragment), Fiodor Dostojewski

Nieobliczalność	301
· Wartość jest niczym innym jak ruchem ducha (<i>Literatura słowiańska</i> , fragment), Adam Mickiewicz	303
· Kto z nas umysł swój potnie w myśl praw geometrii? (<i>Preludium</i> , fragment), William Wordsworth	305
· Rozwiązanie mnogości przez jedność (<i>Genezis z Ducha</i> , fragmenty), Juliusz Słowacki	307
· Do Całości – jak można coś dodać?, Emily Dickinson	310
SPIS ILUSTRACJI	311
ILUSTRACJE	317

Wprowadzenie



Manufaktura w przepaści

Jedna z przechadzek, które Jan Jakub Rousseau opisuje w *Marzeniach samotnego wędrowca*, przybiera nieoczekiwany obrót. Oto filozof, z zamiłowania botanik, dociera w poszukiwaniu ziół do miejsca, którego położenie i „dziki wygląd” przyprawiają go o pychę wielkich podróżników odkrywających bezludną wyspę: „mówiłem sobie z dumą: «niewątpliwie jestem pierwszym śmiertelnikiem, który dotarł aż tutaj»; uważałem się niemal za drugiego Kolumba”¹. Z marzeń wyrывa go dziwny hałas:

usłyszałem nieopodal jakiś stukot, jak mi się wydawało, znany; słucham: ten sam dźwięk powtarza się wielokrotnie. Zaskoczony i zaciekawiony wstaję, przedzieram się przez gęstwą zarośli w stronę, skąd dolatywał odgłos, i w głębokiej dolinie, o dwadzieścia kroków od miejsca, dokąd sądziłem, że dotarłem pierwszy, spostrzegłem manufakturę pończoch.²

Marzenia samotnego wędrowca Rousseau pisał między rokiem 1776 a 1778. Manufaktury dziewiarskie nie były wówczas żadną nowością; pierwsze zaczęły powstawać pod koniec XVI wieku. Hałas, który słyszy Rousseau, zapewne niewiele się zresztą różnił od tego sprzed dwustu lat. Wydaje go najprawdopodobniej taka sama – skonstruowana na wzór krosna tkackiego – maszyna, wynalazek Williama Lee. Jeśli jej osiemnastowieczna wersja jest udoskonalona, to niewiele – norma produkcji we francuskich i angielskich manufakturach pończoch od 1667 do 1789 roku podniosła się średnio z dziesięciu par tygodniowo do dwunastu³.

¹ J.-J. Rousseau, *Marzenia samotnego wędrowca*, przeł. E. Rządowska, Wrocław 1983, s. 106.

² Tamże, s. 106–107.

³ I. Turnau, *Wpływ mody na budowę maszyn włókienniczych w XVII i XVIII wieku*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1981, nr 26, s. 604.

Opowieść Rousseau toczy się więc zdecydowanie w czasach przednowoczesnych. Jednak wzmianka o nieprzyjemnym doznaniu, jakie wywołuje miarowy stuk poruszających się części mechanizmu, stanowi w niej pomost do literatury nowoczesnej. W wydanej w 1831 roku powieści *Czerwone i czarne* Stendhal wymienia miasteczko leżące w regionie Franche-Comté, niecałe sto kilometrów od pasma gór, pośród których Rousseau natknął się na manufakturę pończoch: „Już wchodzącego do miasta ogłusza turkot hałaśliwej i straszliwej na pozór maszyny. Dwadzieścia ciężkich młotów spadając z hukiem, od którego drży ulica, podnosi się za pomocą koła obracanego wodą”⁴.

Trudno powiedzieć, na ile młyny wodne pracowały głośniejszy czy było to regułą. Nie o to jednak chodzi. W czasach Rousseau hałas powodowany przez maszyny nie jest jeszcze zjawiskiem powszechnie znanym, a narrator *Marzeń...* opisuje go jako co najwyżej przykry. U Stendhala pracę młyna słyszą już wszyscy mieszkańcy miasteczka oraz przyjezdni, a turkot maszyny odczuwają nie tylko jako przykry, ale również szkodliwy dla zdrowia. W literaturze XIX wieku hałas nabiera cech inwazji: osacza i atakuje ciało, często zostawiając w nim trwałe ślady. W angielskich powieściach przemysłowych, nad którymi chcemy się teraz na chwilę zatrzymać, łoskot maszyn nie ustaje właściwie nigdy. Bohaterce *Północy i Południa* Elizabeth Gaskell jeszcze wiele lat po odejściu z fabryki hałas przędzalni dzwoni w uszach, „aż chce [jej] się krzyczeć”⁵. Robotnik z *Ciężkich czasów* Dickensa, gdy maszyna na chwilę stanie, ma „wrażenie, iż pracowała ona i zatrzymała się teraz – w jego własnej głowie”⁶.

Gaskell i Dickens, przedstawiając życie i uprzemysłowionych regionach Anglii, piszą już zwykle o fabrykach napędzanych energią

4 Stendhal, *Czerwone i czarne*, w: tenże, *Dzieła wybrane*, przeł. T. Żeleński (Boy), t. 2, Warszawa 1982, s. 9.

5 E. Gaskell, *Północ i Południe*, przeł. K. Kwiatkowska, Warszawa 2014, s. 135.

6 Ch. Dickens, *Ciężkie czasy*, przeł. A. Nałęcz Korzeniowski, oprac. Z. Żabicki, Wrocław 1957, s. 122.

parową. Do nieznośnego hałasu dochodzi więc tu upiorne gorąco, z jakim muszą się zмагаć robotnicy. Ale nie tylko. Uboczne efekty uzyskiwania energii ze spalania węgla dają się we znaki wszystkim mieszkańcom miasta. Powietrze zaczyna wypełniać w nim czarny dym, zwany „nieparlamentarnym” po uchwaleniu w 1847 roku przez angielski parlament ustawy nakazującej fabrykom utylizację spalin. W powieściowych obrazach Manchesteru (który jako centralny ośrodek przemysłu bawełnianego zyskał w epoce wiktoriańskiej miano Cottonpolis) smog jest stałym elementem krajobrazu. W *Północy i południu* (gdzie Manchester ukrywa się pod przydomkiem Północnego Milton) miasto już z daleka odstrasza ciemnoszarymi kłębami dymu:

Kilka mil przed celem podróży zobaczyli wielką ołowianą chmurę wiszącą nad horyzontem po tej stronie, w którą właśnie zmierzali. Ta skłębiona poducha wydawała się jeszcze ciemniejsza, bo kontrastowała z bladym, szarobłękitnym kolorem nieba, typowym dla zimy, której nieubłagane zbliżanie się potwierdzały pierwsze poranne przymrozki. Im bliżej miasta, tym bardziej wyczuwalny był w powietrzu nie tylko zapach, ale także smak dymu.⁷

Dickensowskie opisy Coketown, dla których inspirację mógł stanowić również Manchester, nie trzymają się już tak mocno konwencji realistycznej. Kreśląc krajobraz przemysłowego miasta, pisarz nadaje mu rysy groteskowe:

Widziane z daleka, przy pięknej pogodzie, Coketown zdawało się spowite w skorupę własnych sadzy, nieprzeniknionej dla promieni słonecznych. Można się było domyślać tylko, że tam leży miasto; bo i skądżeby wzięła się taka brudna plama na świetlanej przestrzeni? Plama utworzona z dymu i sadzy, chwiejąca się to w tę, to w ową stronę, podnosząca się ciężko ku obłokom, pełną ponuro po ziemi – według powiewu tchnień wietrznych. Plama poczwarna i obrzydliwa, poszramowana światłem,

⁷ E. Gaskell, *Północ i Południe*, s. 78.

ukazującym tylko przepaści mroczne. Taką to plamą Coketown dawało znać o sobie z daleka, chociaż ani jednej jego cegły dojrzeć nie można było.⁸

Zarówno u Gaskell, jak i Dickensa hałas i smog fabrycznego miasta tworzą wymowne tło – centralnego dla fabuły – konfliktu między robotnikami a fabrykantami. *Ciężkie czasy, Północ i południe*, ale też inne powieści z tego nurtu, takie jak *Shirley* Charlotte Brontë czy *Sybil, Or, The Two Nations* Benjamina Disraeliego, konsekwentnie ujmują bowiem rewolucję przemysłową w mniejszym stopniu przez pryzmat nowych technologii, w większym – jako transformację społeczną. Stąd często zamiast powieściami przemysłowymi nazywa się je powieściami o problematyce społecznej (*social problem novel*) lub – w nawiązaniu do frazy użytej przez Thomasa Carlyle’a w eseju *Czartyzm* z 1839 roku – „powieściami o kondycji Anglii” (*the Condition of England novel*).

Tytułowa północ w powieści Gaskell odnosi się do uprzemysłowionych regionów kraju. Ukazując ją w perspektywie przybyszów z rolniczego południa, Gaskell wydobywa kontrast pomiędzy zatłoczoną ulicą, wypełnioną hałasem maszyn i fabrycznym dymem, a tchnącymi spokojem wrzosowiskami. Dostosowując się do tempa wielkiego miasta, jego mieszkańcy stają się niewrażliwi na krzywdy innych, chcąc przetrwać w warunkach wolnorynkowej rywalizacji, stają się egoistyczni, niezdolni do współczucia, bezwzględni. Gaskell opisuje przemysłowe miasto jako przestrzeń nieprzyjazną, świat, w którym toczy się bezustanna walka o przeżycie. Jeśli robotnica przędzalni umiera, bo jej płuca zniszczył połykany podczas pracy w fabryce puch, to u przyjezdnej z południa kobiety z klas wyższych śmiertelną chorobę wywoła smog.

W *Ciężkich czasach* Dickens – zupełnie inaczej niż w swoich pozostałych powieściach – unika tego rodzaju melodramatycznych rozwiązań. Do opisów przemysłowego miasta włącza zazwyczaj

⁸ Ch. Dickens, *Ciężkie czasy*, s.160.

deformującą soczewkę. I – w konsekwencji – kreuje je jako przestrzeń piekielną:

Całe miasto zdawało się zwarzone w oleju. Wszędzie zapach duszący przepalanej tłustości: parowe maszyny błyszczały olejem; odzież „Rąk” całkowicie zaolejona była; olej sączył się i kapał z każdego piętra fabryki. Atmosfera tych czarnoksięskich pałaców przypominała powiewy samumu, a mieszkańcy, wycieńczeni gorącem, ponuro pracowali w pustyni. Ale temperatura nie miała wpływu na owe melancholiczne słońce: ani one więcej szalały, ani bywały przytomniejsze. Ciężkie ich głowy podnosiły się lub chyliły w jednej zawsze mierze w gorąco i w zimno, w posuchę i w czas wilgotny, w pogodę i słotę. Miarowy ruch ich cieni na murach zastępował miastu cienistość szeleszczących lasów, a brak brzęczenia letnich owadów wynagradzało sobie Coketown przez cały okrągły rok, od świtu poniedziałkowego do nocy sobotniej, hukem kół i wałów maszyn. (il. 38–42)⁹

Czy to właśnie ów wzrost temperatury zadecydował o karierze, jaką zrobiło w XIX wieku porównanie fabryki do piekła? Przyjrzyjmy się historii społecznej.

Dokonujący się na przełomie wieków ogromny wzrost produkcji przędzy bawełnianej nie był – wbrew pozorom – związany z maszyną parową wynalezioną przez Jamesa Watta cztery lata przed założeniem nowoczesnej przędzalni Arkwrighta (w 1776 roku). Mimo że Arkwright eksperymentował w niektórych zakładach z napędem parowym, wysokie koszty węgla oraz trudności z jego transportem doprowadziły do zarzucenia tych prób. Niemal cała produkcja przędzarska kolejnych trzech dekad będzie się opierać albo na pracy mięśni (ludzi i koni), albo, znacznie częściej, na odnawialnych źródłach energii, przede wszystkim zaś na wodzie. Przewaga energii wodnej nad parową, jak pokazuje Andreas Malm, utrzymywała się aż do lat dwudziestych XIX wieku, dopiero w kolejnych dekadach trend zaczął się odwracać (choć jeszcze w latach

⁹ Ch. Dickens, *Ciężkie czasy*, s. 161.

siedemdziesiątych młyn wodny był tańszy od silnika i równie jak on wydajny)¹⁰.

Dlaczego, mimo że produkcja oparta na wodzie była tania i efektywna, ostatecznie zastąpiona została przez tę zasilaną węglem? Otóż, ciągnie swoją argumentację Malm, młyny wodne w przeciwieństwie do parowych nie mogły powstawać gdziekolwiek – uzależnione od rzek, budowane były głównie poza miastem. Oddalenie od większych ośrodków oznaczało dla właścicieli fabryk konieczność ustępstw w negocjacjach z pracownikami. Nie mając do dyspozycji rezerwowej armii pracy, gotowej w każdej chwili do zastąpienia krnąbrnych lub roszczeniowych pracowników, musieli oni zatroszczyć się o przyciągnięcie robotników (zazwyczaj atrakcyjnymi warunkami zatrudnienia) do nowo powstałego młyna. Maszyna parowa, uniezależniając produkcję od kaprysów natury i wyznaczając zmechanizowany rytm pracy, dawała dodatkowo – za sprawą nieograniczonego dostępu do taniej, masowej i posłusznej siły roboczej – możliwość lepszego zdyscyplinowania pracowników. Zwycięstwo maszyny parowej nad młynem, węgla nad wodą nie wynikało więc z przewag technologicznych (młyn wodny był w stanie zawiązką zaspokoić zapotrzebowania energetyczne rewolucji przemysłowej), ale z funkcji politycznej, jaką maszyna miała odegrać w formowaniu nowego, zdyscyplinowanego człowieka.

W tym świetle widać wyraźniej, że jeśli romantyzm stanowił reakcję na rewolucję przemysłową, była ona postrzegana nie w kategoriach osiągnięć techniki, lecz jako szereg zmian społecznych, historia nie tylko ucisku, ale również oporu. Warto w tym miejscu przypomnieć, że powstanie manufaktur dziewiarskich nie przyniosło decydującego przełomu w produkcji włókienniczej, a mechanizacja warsztatów tkackich dokonała się dopiero w latach czterdziestych XIX wieku. Aż do tego czasu tkactwo pozostawało daleko w tyle za rozwojem technologicznym – dostarczającego

¹⁰ A. Malm, *Fossil Capital: The Rise of Steam Power and the Roots of Global Warming*, London–New York 2016, s. 415.

tkaczom surowca – przemysłu przędzarskiego, który dzięki innowacjom wprowadzonym w 1780 roku przez Richarda Arkwrighta w ciągu zaledwie czterdziestu lat zwiększył produkcję bawełnianej przędzy dwudziestokrotnie. Efektem były ogromna nadprodukcja przędzy obrabianej przez rzesze tkaczy-chałupników. Mechanizację sektora tkackiego opóźnił nie tyle brak technologicznych rozwiązań (mechaniczne krosno wynalezione zostało na początku XIX wieku), co opór samych tkaczy, którzy podpalali niemal każdą nową zmechanizowaną fabrykę (il. 44, 45). Chałupnicy masowo przystępowali do niszczących maszyny luddystów, którzy przerozdzieli się w ruch na tyle potężny, że Imperium Brytyjskie do stłumienia ich powstania musiało użyć sił znacznie większych niż armia Wellingtona walcząca w tym samym czasie z wojskami Napoleona w Hiszpanii¹¹.

Samotny wędrowiec, zrazu oszołomiony widokiem manufaktury, po chwili kpi z własnej naiwności: „śmiałem się sam z siebie i ze swej dziecinnej próżności, a także z komicznej nauczki, jaką zostałem ukarany”¹². Nie wiadomo, czy w tym zdaniu kryje się postanowienie pozbycia się złudzeń, czy decyzja o poszukiwaniu dalszych bezludnych wysp. Na drugą możliwość wskazywałaby puenta tej anegdoty. Pyta siebie Rousseau: „Ale na zdrowy rozum, któż by się spodziewał znaleźć manufakturę w przepaści?”¹³. Zgrzyt wywołany bliskością manufaktury i przepaści oznacza, że mowa o świecie, w którym to połączenie nie jest jeszcze tak częste. Różnica między Rousseau a romantykami polega na tym, że o ile pierwszy, usłyszawszy nieprzyjemny łoskot maszyn, może wciąż wrócić do siebie, wędrowcy epoki przemysłowej nie mają już do kąd powracać. Tak jakby tylko skok w przepaść mógł uratować od piekielnego hałasu.

¹¹ E. Hobsbawm, *The Machine Breakers*, „Past & Present” 1952, nr 1, s. 58.

¹² J.-J. Rousseau, *Marzenia samotnego wędrowca*, s. 107.

¹³ Tamże, s. 107.

Ile ziemi potrzebuje człowiek?

Przejściu od produkcji ręcznej do maszynowej towarzyszą inne zmiany mające znaczenie fundamentalne dla narodzin nowoczesności oraz – jak zobaczymy – rozwoju romantyzmu. Tradycyjnie przyjmuje się, że przełom XVIII i XIX wieku to koniec epoki grodzienia, która w Europie rozpoczęła się pod koniec średniowiecza. Całe połacie ziemi, niebędące polami uprawnymi i traktowane niegdyś jako dobra wspólne, były stopniowo wyłączane ze wspólnego użytkowania. Łąki i lasy, jeziora i rzeki – wraz z całym bogatym inwentarzem fauny i flory – stały się własnością prywatną bogatej szlachty i rodzącej się burżuazji. Proces ten dokonywał się oczywiście kosztem chłopów, którym odtąd zakazywano zbierania chrustu i grzybów czy łowienia ryb¹⁴. Opiewane więc w dominującej wersji historii wyzwolenie z feudalnych więzów dla bardzo licznych przedstawicieli najuboższych warstw oznaczało przede wszystkim wywłaszczenie z zasobów, z których kiedyś mogli korzystać bez większych przeszkód. Grodzenie nie dotyczyło jednak

¹⁴ Najlepiej udokumentowane są dzieje walk o dobra wspólne toczonych na terenie wysp Brytyjskich (J. Birrell, *Common Rights in the Medieval Forest: Disputes and Conflicts in the Thirteenth Century*, „Past and Present” 1987, nr 117; J. M. Neeson, *Commoners: Common right, Enclosure and Social Change in England, 1700–1820*, Cambridge 1993). Zdaniem Petera Linebaugha właśnie w świetle batalii o dobra wspólne należy spojrzeć na słynną, wydaną przez Jana bez Ziemi w 1215 roku *Magna Charta Libertatum*, a dokładniej na dołączoną do niej tzw. Kartę lasu, która gwarantowała wolny dostęp do płodów pochodzących z ziem wcześniej należących wyłącznie do króla (P. Linebaugh, *The Magna Carta Manifesto: Liberties and Commons for All*, Berkeley–London 2009). Mimo że proces wywłaszczania z dóbr wspólnych jest najlepiej widoczny w Anglii między XV a XIX wiekiem, to jak wskazuje wielu badaczy, nie należy go ograniczać ani czasowo, ani przestrzennie. Grodzienie określa sposób działania kapitalizmu we wszystkich miejscach i epokach (M. De Angelis, *Marx and Primitive Accumulation: The Continuous Character of Capital's Enclosures*, „The Commoner” 2001, nr 2). Na temat historii wywłaszczenia w Polsce, por. pisma Bohdana Baranowskiego oraz pracę Niny Assorodobraj, *Początki klasy robotniczej: problem rąk roboczych w przemyśle polskim epoki stanisławowskiej*, Warszawa 1946.

wyłącznie relacji między chłopstwem a burżuazją. Dokonana w majestacie prawa grabież wspólnych gruntów wyznacza narodziny epoki, w której pośród różnych form własności zaczyna dominować prywatna. Jednocześnie to właśnie grodzenie zalicza się do najważniejszych procesów składających się na zjawisko akumulacji pierwotnej, tj. powstania dostatecznych kapitałów, które można było przeznaczyć nie na konsumpcję, lecz inwestycję. Od zakazu zbierania chrustu, który notabene stał się tematem jednego z pierwszych tekstów Karola Marksa, wiedzie prosta droga do narodzin nowego systemu gospodarczego, jakim jest kapitalizm. Grodzenia jednak (podobnie jak ich romantyczne krytyki) nie kończą się wraz z początkiem XIX wieku i narodzinami kapitalizmu, ale stale towarzyszą nowemu systemowi ekonomicznemu, wszędzie tam, gdzie chce on roztoczyć swoje panowanie (wywłaszczając chłopów i ludy kolonizowane z ich ziem, tradycji, języków, wierzeń religijnych).

Śródtytuł tej części wstępu zacerpniliśmy z opowiadania Lwa Tołstoja z 1886 roku o chłopie Pachomie, któremu marzy się więcej ziemi. Zaciąga dług, kupuje nowe grunty, ale na skutek konfliktów z sąsiadami, którym zdarza się na jego polach wypasać bydło, postanawia udać się do Samary, gdzie – jak słyszał – ziemia jest żywna i tańsza. Dotarłszy do osady Baszkirów, najpierw obdarowuje ich prezentami, gdy zaś ci – wzruszeni jego szczodrością – pytają, co chciałby otrzymać w zamian, mówi wprost, że najbardziej podobna mu się ich ziemia. Baszkierowie natychmiast deklarują, że mogą mu jej dać, ile zapragnie: „Tylko ręką wskaż, którą chciałbyś mieć, a będzie twoja”¹⁵. Wówczas Pachom radosną wymianę darów przekształca w negocjacje handlowe: „chciałbym wiedzieć, która ziemia moją będzie? Jakoś trzeba odmierzyć i jakoś zatwierdzić, bo to życie i śmierć w rękę Boga. Wy, ludzie dobrzy – dajecie, ale może się zdarzyć, że dzieci wasze odbiorą”¹⁶. Baszkierowie

¹⁵ L. Tołstoj, *Czy dużo człowiekowi trzeba ziemi?*, przeł. K. Truchanowski, w: *Opowiadania i nowele. Wybór*, red. R. Luźny, Wrocław 1985, s. 205.

¹⁶ Tamże, s. 206.

zgodzają się również i na sporządzenie aktu kupna. Cena wynosi „tysiąc rubli za dzień”, a więc „ile obejdiesz przez dzień, tyle twego; a cena za dzień tysiąc rubli”¹⁷. Łatwo domyślić się puenty tej opowieści: podczas odmierzania ziemi zachłanność gubi Pachoma, który umiera w drodze do wyznaczonego celu.

Opowiadanie Tołstoja ma strukturę bajki z morałem. Jest tu nawet i diabeł, który odpowiada za wszystkie nieszczęścia Pachoma, bo podsłuchawszy jego marzenia, postanawia z nich zadrwić. Jednak surowego osądu chciwości dokonuje się tu niekoniecznie ze stanowiska etyki chrześcijańskiej. „Grzechem” Pachoma byłoby przede wszystkim stawianie własnych interesów ponad dobro wspólnoty; pierwszą przewiną – odmowa dzielenia się ziemią z sąsiadami, którzy – ścigani i karani grzywnami za korzystanie z nie-swoich pól – zaczynają ich właściciela straszyć zemstą. Pachomowi robi się wówczas „przestronniej na kupionej ziemi, lecz ciaśniej w gromadzie”¹⁸. Zignorowanie tej przestrogi przypieczętowanie jego los. Zostaje jeszcze ciaśniej ułożony w ziemi – w mogile wynoszącej „całe trzy arszyny, tyle, ile mierzył Pachom od stóp do głowy”¹⁹. Odpowiedź na tytułowe pytanie okazuje się więc zaskakująco konkretna. Ale ta klamra, będąc typowym zabiegiem dla przypowieści o winie i karze, nakazuje zarazem przenieść uwagę z jednostkowych cnót i przywar na porządek społeczny. Do niego należałoby odnieść morał tej bajki, której właściwym tematem wydaje się własność. Gdyby tytułowe pytanie rozważyć nie tyle na poziomie fabuły, ile stojącej za nią filozofii, to brzmiałoby ono: co to znaczy posiadać ziemię?

Porzucenie baśniowej moralistyki na rzecz krytyki społecznej nie polega na ubraniu doraźnych problemów w fantastyczne kostiumy. Dla Tołstoja – przekonanego, że dopiero z miejsca, gdzie określone prawa i wierzenia nie obowiązują lub nie są tak oczywiste, można zobaczyć, na czym polega ich rzeczywiste

¹⁷ Tamże.

¹⁸ Tamże, s. 197.

¹⁹ Tamże, s. 213.

działanie – konwencja baśni staje się narzędziem poznawczym, umożliwia spojrzenie z zewnątrz. W opowiadaniu *Czy dużo człowiekowi trzeba ziemi?* obraz świata zdominowanego przez własność prywatną zyskuje na ostrości dzięki perspektywie Baszkirów, reprezentujących tu porządek przedkapitalistyczny. Opór, jaki wywołuje u Pachoma wyznawana przez nich idea własności opartej na używaniu, ilustruje najlepiej fundamentalne dla nowego systemu gospodarczego przekonanie o „naturalnej” przewadze prywatnych posiadłości nad dobrami wspólnymi; pokazuje również, jak przeczyste stało się zawłaszczanie tego, co wspólne, oraz dążenie do pomnożenia majątku, choćby kosztem innych. Różnica w podejściu do posiadania ziemi, jaka wyłania się między ambitnym rolnikiem z jednej strony i beztroskimi koczownikami z drugiej, nie daje się sprowadzić ani do „szoku kulturowego”, ani do trudności w przyswajaniu lokalnych obyczajów. Znamienne, że Pachom, dziwiąc się może trochę sposobowi, w jaki Baszkierowie proponują zmierzyć ziemię, nie nastaje, by w planowanej transakcji posługiwać się systemem mierniczym obowiązującym w jego rodzinnych stronach. Upewniwszy się tylko, że granice zostaną wyznaczone już podczas marszu za pomocą wykopanych i przykrytych darnią dołków i że grunt zmierzony w dniach będzie można określić również w wiorstach, i na wiorsty np. sprzedać – bez protestów zgadza się. Między systemami własności nie istnieje tego rodzaju przełożenie.

Opowiadanie Tołstoja, choć opublikowane dopiero w 1886 roku, wydaje się nam dobrym wprowadzeniem do romantycznych koncepcji ekonomicznych. Historia Pachoma pozwala zrozumieć, dlaczego romantyczny sposób krytyki kapitalizmu nie znika wraz z pierwszym pokoleniem romantyczek i romantyków. Tołstoja z pierwszymi romantykami łączy ta sama wrażliwość, która skutkuje podobnym ujęciem problemu własności w kontekście relacji między człowiekiem a naturą. Wymowny jest finał opowiadania. Trzy arszyiny, na których zostaje pochowany Pachom, to ziemia, której nie jest on już właścicielem. Umierając,

Pachom przestaje być podmiotem i prawa własności, i opowieści; jako rozkładające się ciało staje się momentem procesu, w którym siłą sprawczą są siły natury. U Tołstoja rzeczywistość społeczna (wraz z jej regułami i konfliktami) nie wyznacza horyzontu przypowieści o posiadaniu i ziemi. Ziemia, jako przedmiot rolniczych zabiegów, parcelowana, przydzielana i grabiona, istnieje jeszcze w innym wymiarze niż społeczny. Romantycy, pisząc o własności, skłaniają się do podobnej perspektywy. Tak opisuje „pracę” natury w powieści *Henryk Osterdingen* Novalis:

Natura nie chce być własnością jednostki ludzkiej. Zawładnięta przez jednego staje się złą trucizną. Pierzcha spokój, a nadpływa straszna żądza, niby wir chcąc wciągnąć wszystko w krąg jego posiadania. Za nią płyną korowodem troski i dzicz namiętności. Podmulają one powoli grunt pod stopami posiadacza i wnet ginie on w rozwartej przepaści, a bogactwa płyną znowu z rąk do rąk, zadowalając w ten sposób potrzebę należenia do wszystkich, zaspokajania po kolei potrzeb wszystkich ludzi.²⁰

Przyroda, podobnie jak ziemia, w której pochowany zostaje Pachom, nie daje się podporządkować wytworzonym przez człowieka kategoriom posiadania.

Adam Mickiewicz jeden z wykładów w Collège de France poświęca własności w ujęciu Słowian. Poeta z jednej strony łączy tę ideę z poglądami socjalistów utopijnych (takich jak Charles Fourier), z drugiej – wskazuje na ścisły jej związek ze słowiańskim ujęciem natury. Gdybyśmy chcieli do wykładu Mickiewicza odnieść wprowadzone dotychczas kategorie, moglibyśmy powiedzieć, że krytykę własności prywatnej przeprowadza on poprzez zestawienie jej z porządkiem, w którym zasadniczym stosunkiem nie jest posiadanie, ale używanie. Wraz ze zdominowaniem stosunków własności przez posiadanie natura zostaje zinstrumentalizowana i przekształcona w źródło zysku:

²⁰ Novalis, *Henryk Osterdingen*, przeł. F. Mirandola, Warszawa–Kraków 1914, s. 83–84.

Despotyczną władzę zaczyna człowiek zawsze wywierać najpierw na bliźnim, bo w codziennych stosunkach z bliźnim namiętności bądź też pycha podniecają go do okazywania bliźniemu swej przemocy. Niewolnictwo jest bardzo dawne na świecie; ale myśl nieograniczonej władzy nad zwierzętami, drzewami, nad ziemią, nad całą naturą, ta myśl, że człowiek jest jej środkiem, bogiem, nieograniczonym despotą, to myśl czasów nowych, to ostatni wyraz pychy filozoficznej, to, jak powiedzieliśmy, niebezpieczeństwo, które przynosi z sobą własność.²¹

W pracach Mickiewicza i Novalisa słyszymy echa właściwego romantykowi i romantyczkom przekonania, że natura nie stanowi zasobu, z którego można czerpać bez ograniczeń, lecz jest siecią związków czy powinowactw, człowiek zaś to jeden z elementów tej kosmicznej całości. Za wyraz romantycznej filozofii przyrody uznać można także *Frankensteina* Mary Shelley. Dzieło przedstawia zapis posuniętej do granic możliwości oświeceniowej fantazji o całkowitym podporządkowaniu natury, którego celem jest nie tylko wydarcie przyrodzie wszystkich jej tajemnic, ale przede wszystkim odebranie naturze władzy, jaką ma nad sferami rodzenia i umierania: „Zdawało mi się – opisał swoje naukowe opętanie dr Frankenstein – że granice między życiem i śmiercią są tylko urojone, że wprawdzie je przełamie, a potem zaleje ciemny świat strumieniem światła. Nowe gatunki będą mnie błogosławić jak swego stwórcę, swą przyczynę”²². Stworzony w ten sposób nowy maszynowy człowiek miał zyskać nieśmiertelność, ale także wyzwolić się spod matriarcalnej władzy kobiet, kontrolujących ludzką rozrodczość (il. 5, 7).

Romantyzm nie sprowadza się jednak do antyoświecenia, jak mogłaby sugerować wymowa *Frankensteina*. Pragnienie poznania natury nie jest złem. Dobrze to widać w przywoływanej powieści Novalisa. Poeta przedstawia tam społeczność górników,

21 A. Mickiewicz, *Literatura słowiańska. Kurs trzeci (wykład XIX z 16 maja 1843 i XX z 23 maja 1843)*, w: tenże, *Dzieła*, t. 10, Warszawa 1998, s. 244.

22 M. W. Shelley, *Frankenstein czyli Współczesny Prometeusz*, przeł. M. Płaza, Czerwonak 2013, s. 57.

którzy budzą podziw swoją znajomością podziemnych korytarzy, a zarazem wzbraniają się przed tym, by znalezione skarby zamienić w towar. Mityczny górnik Novalisa byłby uosobieniem „pracy, która – mówiąc słowami Waltera Benjamina – nie wyzyskuje natury, lecz potrafi wydobyć z niej twory potencjalnie drzemiące w jej łonie”²³. Złem jest poznanie podporządkowane ekonomicznej korzyści.

Instrumentalizację wiedzy zgodną z zasadami nowego systemu społecznego widzimy także na pochodzącym z 1782 roku obrazie Josepha Wrighta of Derby *Przędzalnie bawełny Arkwrighta nocą* (il. 1). Na płótnie widzimy wznoszące się pośród gęstego lasu fabryczne budynki. Dzieło zazwyczaj odczytywano jako wyraz industrializacji sięgającej nawet najbardziej dzikich obszary angielskiej wsi, ale na przedstawieniu – zauważy Jonathan Crary – to nie kolonizowanie przestrzeni przez fabryki jest najbardziej niepokojące. Im dłużej spoglądamy na obraz, tym wyraźniej uzmysławiamy sobie, że źródłem niepokoju nie są same przędzalnie w środku lasu, lecz roztaczająca się nad nim łuna światła, bijąca nie od księżyca, ale od sztucznego oświetlenia fabryki. Jest to „zapowiedź zracjonalizowanej abstrakcyjnej relacji między czasem a pracą, oderwanej od cyklicznej temporalności regulowanej biegiem księżyca i słońca. Nowością w przędzalniach Arkwrighta [jest] [...] idea, że działalność produkcyjna może się nie kończyć”²⁴. Latarnie gazowe, które miały umożliwić wyzwolenie od natury, z jednej strony przynosiły zniewolenie tejże (wyzyskanej na rzecz wąsko rozumianej ekonomicznej korzyści), z drugiej podporządkowały człowieka nowemu reżimowi pracy.

Wróćmy do Tołstoja. Pachom wie, że zanim zatwierdzi swoją przyszłą własność, musi ją odmierzyć. Dominacja własności prywatnej, chce powiedzieć Tołstoj, nie byłaby możliwa, gdyby procesom grodzienia nie towarzyszyły narodziny systemów miernicznych.

²³ W. Benjamin, *O pojęciu historii*, przeł. A. Lipszyc, w: tenże, *Konstelacje. Wybór tekstów*, przeł. A. Lipszyc, A. Wołkowicz, Kraków 2012, s. 318.

²⁴ J. Crary, *24/7: późny kapitalizm i koniec snu*, przeł. D. Żukowski, Kraków 2015, s. 103.

Przejście od zmiennej jednostki, jaką jest dzień (zależnej od pory roku, możliwości wędrowca), do zaproponowanej przez Pachoma miary powierzchni obrazuje charakterystyczną dla narodzin kapitalizmu likwidację feudalnej dowolności obowiązujących miar i praw. Narodziny nowoczesnych systemów mierniczych służyły również utrzymaniu w ryzach klasy pracującej. To pomiar staje się narzędziem dyscyplinowania nowego człowieka.

Tymczasem źródłem miar (powierzchni, wagi, objętości) w przednowoczesnej Europie było cielesne, konkretne doświadczenia świata. Stąd nazwy takie jak: łokieć, stopa czy łan lub mórg (bądź morga, od niem. *morgen* – rano), a więc obszar ziemi, jaki jeden człowiek w ciągu jednego dnia może zorać. „Obiektywna” wielkość morga mogła się różnić w zależności od jakości gleby, ukształtowania terenu czy warunków atmosferycznych. Mórg – jako miara najczęściej definiowana przez samych chłopów – był także narzędziem walki z pańskim lub kościelnym feudałem²⁵. Chłopi, płacąc daniny od jednego morga, często zasiewają obszar dużo większy, w efekcie powstaje „mały mórg”, a więc obszar kontrolowany i opodatkowany przez feudała, oraz „duży mórg”, a więc ziemia faktycznie uprawiana, na którą składa się mały mórg oraz tereny, które go otaczają i z których chłop (ku nieświadomości pana) czerpał zysk już tylko dla siebie. Pan w obronie swojego interesu musiał korzystać z usług geometrów lub ekonomów, jednak działało się to bardzo rzadko, ponieważ „pomiar ziemi uważano powszechnie za niemoralny”²⁶ i występujący przeciwko „pierwotnej”, „starodawnej” tradycji, w której raz na zawsze ustalono wielkość łanu lub morga.

Nowoczesny system miar, w którym jednostki długości nie wyznaczała już część ciała (jak stopa lub łokieć) albo społeczna praktyka (jak dzień pracy w polu), ale abstrakcyjna wielkość równa ułankowi południka przecinającego Paryż, został ustanowiony

²⁵ W. Kula, *Miary i ludzie*, Warszawa 1970, s. 73–75.

²⁶ Tamże, s. 75.

10 grudnia 1799 roku we Francji. Przez kolejnych sto lat był systematycznie wprowadzany w pozostałych państwach kontynentalnej Europy²⁷. W efekcie powstał system miar obiektywnych, a więc takich, które nie podlegały już dłużej społecznym negocjacom (jak mały/duży mórg) oraz dawały się w prosty sposób integrować z globalnym rynkiem. Nic dziwnego, że wdrażanie systemu metrycznego zazwyczaj budziło chłopski opór²⁸. System tradycyjny, choć narażał chłopą na oszustwa ze strony fałszujących miary młynarzy, ekonomów lub geometrów, stanowił jednakże przedmiot negocjacji lub walki klasowej, której stawką było zwiększanie lub zmniejszanie chłopskiej autonomii. Wraz z nastaniem systemu metrycznego chłopskie gospodarstwo, choć wyzwolone spod arbitralnej władzy feudała, zostało wystawione na niepodlegające już żadnym negocjacom siły globalizującego się kapitalizmu.

Nową epokę uruchamia więc nie wolny handel i ludzka przedsiębiorczość, lecz przemoc, która w miejsce dawnych hierarchii i miar ustanawia nowe; przemoc maskowana w pismach klasyków ekonomii politycznej takich jak Adam Smith czy David Ricardo, przedstawiających narodziny nowego systemu gospodarczego jako jedyny racjonalny i zgodny z ludzką naturą kierunek organizacji świata społecznego.

Już rozumiemy, dlaczego romantyków mogła pociągać przepaść. Na jej krawędzi przestawały obowiązywać wszelkie miary. Pozwalała, mówiąc za Mickiewiczem, „cisnąć myśl w niezmierność” pogrążyć się w marzeniu o świecie, w którym ziemia nie jest poszatkowana na prywatne parcele, bo jak głosiło formułowane w czasach poety „wierzenie ludowe: dopóki nikt ziemi nie mierzył i nie liczył – urodzaje były lepsze”²⁹. Przepaść oznaczała zatem nie tyle możliwość dosłownego samounicestwienia, co szansę wymknięcia się nowoczesności. Jak pisze Marta Piwińska:

²⁷ Tamże, s. 207.

²⁸ Tamże, s. 183.

²⁹ Tamże, s. 26.

Przepaść staje się znakiem zmieszanych treści filozoficznych i psychologicznych; z przeżycia relacjonowanego w dzienniku intymnym przenosi się do poezji; zamiast żmudnej, często rozwlekłej narracji, pasjonującej dlatego, że jest jak gdyby po raz pierwszy formułowana w języku, mamy ekspresję. Jedno słowo, wykrzyknik. To wystarczy, żeby wzbudzić w wyobraźni echa większe niż wszystko, co poprzednio w tę wyobraźnię włożono: Alpy i codzienność, nudę i tęsknotę do „gdzie indziej” czy „inaczej”.³⁰

Zobaczymy, że poszukiwania owego „gdzie indziej” lub „inaczej” staną się w literaturze romantycznej ekwiwalentem poszukiwania ekonomii innych niż kapitalistyczna. Do tego jednak powrócimy w ostatniej części wprowadzenia.

³⁰ M. Piwińska, *Złe wychowanie*, Gdańsk 2005, s. 90.

Melancholia i rebelia

Na widok manufaktury pończoch Rousseau wraca tam, skąd przyszedł. Tymczasem romantycy i romantyczki nie mają dokąd wrócić. Stanąwszy między fabryką a przepaścią, mogą albo podpalić fabrykę, albo rzucić się w otchłań. Ta alternatywa wyznacza skalę postaw wobec nowej rzeczywistości. Tłumaczy zarazem, dlaczego romantyzm przybierał tak różne formy: monarchistyczne i republikańskie, arystokratyczne i demokratyczne, nacjonalistyczne i kosmopolityczne, konserwatywne i rewolucyjne, indywidualistyczne i kolektywne, reakcyjne i utopijne. W polskiej literaturze skrajność tę może najlepiej ilustruje zestawienie Adama Mickiewicza i Zygmunta Krasińskiego.

Pamiętamy ocenę rewolucji francuskiej sformułowaną przez Krasińskiego w *Nie-boskiej komedii*. Za jej motor poeta uznał żądze dóbr materialnych, a jej efekt sprowadził do prostego odwrócenia hierarchii: klasy niższe przejmują przywileje, które do tej pory należały do arystokracji, i tak jak niegdyś arystokracja zaczynała stosować przemoc wobec pokonanych. To jednak, co Krasiński nazywa niskimi żądzami, w języku Mickiewicza urasta do rangi namiętności jako jedynej siły zdolnej dokonać zmiany społecznej:

A żeby zwalić rutynistów – pisze poeta w swojej apologii rozruchów społecznych – Rewolucja Francuska rozbudziła namiętności; przeciw ciemnościom rzuciła owych ludzi, których słusznie porównać można do lwów i tygrysów, ludzi o krwiożerczych instynktach; a żeby bowiem złamać ludzi opierających się na tym co najniższe, na ostrożności i bojaźni, nie masz lepszego środka jak ich przerazić. Dla zwyciężenia niecej ostrożności potrzeba namiętności.³¹

³¹ A. Mickiewicz, *Wykład 111 z 9 stycznia 1844*, w: tenże, *Dzieła, wydanie rocznicowe*, t. 11, oprac. Z. Trojanowiczowa, Warszawa 1998, s. 31.

Pasja, z którą Mickiewicz broni rewolucji francuskiej, nie ma charakteru estetycznego (ruch przeciwko temu, co stałe, namiętność kontra biurokratyczna reguła), ale sięga dalej, wyznaczając etyczne stanowisko poety. Stawką nie jest wyłącznie ożywienie świata zastętego w starych formach, ale sprawiedliwość wymagająca rewolucyjnej przemocy:

Przyznajesz Pan [...] że istnieją tylko niewolnicy i ciemiężcy, ofiary i kaci, a chcesz uszczęśliwić ludzkość przez wprowadzenie harmonii między dobrem a złem? [...] Chcesz Pan, aby ukoronowani wyzyskiwacze lub kapitaliści ustąpili przed logiką twoich dowodzeń, skoro głusi byli na poświęcenie i ofiary całych pokoleń?³²

Maria Janion i Maria Żmigrodzka powyższy cytat podsumowują następująco: „Mickiewicz wiedział, że nie można pokonać zła, nie wydając mu wojny, że «w rewolucji trzeba być rewolucjonistą, a kto nim nie jest, upada»”³³. Tymczasem dla Krasińskiego rewolucja, powstanie ludowe, chłopski bunt to każdorazowo: „przedsięwzięcie oparte na tak jednostronnej zachciance, antynaturanej antyduchowej, rodnej tylko z nikczemnych pasyjeczek, nie serca, ale kiszek ludzkich”³⁴.

Tak odmiennie podsumowując wybuch rewolucji francuskiej, Mickiewicz i Krasiński mają pokrewne zdania, jeśli chodzi o ocenę jej skutków. Zwycięstwo burżuazji, które nie przyniosło emancypacji warstw najniższych, postrzegają zgodnie jako triumf moralności opartej na „ciułactwie” i egoistycznej walce o interes własny, widząc we współczesnej rzeczywistości („tych wszystkich pasztetach, rynsztokach, złocidlach, meblach, blichtrach, karton-pierry’ach”³⁵,

32 A. Mickiewicz, *Posiedzenie zgromadzenia narodowego, Trybuna Ludów, 15 kwietnia 1848*, w: tenże, *Dzieła, wydanie rocznicowe*, t. 12, oprac. Z. Trojanowiczowa, Warszawa 1997, s. 120.

33 M. Janion, M. Żmigrodzka, *Romantyzm i historia*, Gdańsk 2001, s. 191.

34 Z. Krasiński, *List z 14 stycznia 1849*, w: tenże, *Listy do Augusta Cieszkowskiego, Edwarda Jaroszyńskiego, Bronisława Trentowskiego*, t. 1, oprac. Z. Sudolski, Warszawa 1988, s. 433.

35 Carton-pierre – papa dachowa.

teatrach, sklepach, giełdach”) bezwzględną dyktaturę pieniądza. Oczywiście w krytyce nowoczesności Krasiński skłonny jest akcentować inne kwestie niż Mickiewicz. Przeprowadza ją w tonacji apokaliptycznej, przekonany jest o tym, że wraz ze zmierzchem świata rycerskiego nastąpił upadek kultury, podkreśla on znaczenie wartości „starego świata”, takich jak religia, duma, honor. Zarazem jednak dużym uproszczeniem byłoby powiedzieć, że – jako arystokrata – Krasiński dokonuje apologii porządku feudalnego. W kapitalizmie widzi on przede wszystkim zamaskowaną formę dawnej przemocy:

szczególna to rasa tych episjerów – czytamy w ostrej krytyce burżuazji – zażarta na szlachtę, a starająca się przybrać pozory szlachty, niecierpiąca ludu i przez lud niecierpiana tak jak niegdyś szlachta; lud uciskająca daleko zreźniej niż szlachta, bo nie otwarcie, ale skrycie, fabrykami i cenami, niemająca w sobie żadnego pierwiastku wielkości idealnej.³⁶

Z podobnych pozycji krytykuje kapitalistyczną rzeczywistość Mickiewicz, łącząc triumf kupieckiej mentalności z uciskiem warstw najniższych i giełdę określając jako „przenajświętszy przybytek egoizmu”, w którym „codziennie składa się [...] w ofierze krew ludów, dyskontując nią zwyczaj!”³⁷. Jednak o ile Krasiński nie jest w stanie we współczesności dostrzec niczego, co stanowiłoby przeciwwagę dla „cywilizacji episjerów”, o tyle Mickiewicz chyba nigdy nie ulega tak pesymistycznej wizji swojej epoki, do końca życia angażując się w działania polityczne w nadziei, że przyniosą one społeczną zmianę. Zapisem jego reformatorskiego zapału są nie tylko artykuły publikowane w założonej przez poetę „Trybunie Ludów”, ale również wykłady w Collège de France – tam historia literatury słowiańskiej staje się platformą do krytyki wszechwładzy pieniądza, imperialnych rządów, Kościoła katolickiego oraz służy propagowaniu zasad społecznej sprawiedliwości.

³⁶ Tamże, *List z 9 stycznia 1833*, s. 180.

³⁷ A. Mickiewicz, *Orleanizm, Trybuna Ludów 4 maja 1848*, w: tenże, *Dzieła*, wydanie rocznicowe, t. 12, s. 172.

Mickiewiczowska apologia namiętności (którą tak dobrze uzmysławia legendarne zdanie wypowiedziane przez poetę do papieża „Wiedz, że duch Boży jest dzisiaj w bluzach paryskiego ludu!”) i melancholijne widzenie Krasińskiego (poety ruin, wedle określenia Słowackiego) wyznacza oś, na której rozpięta jest definicja romantyzmu ukuta przez Michaela Löwy’ego i Roberta Sayre’a w książce *Révolte et mélancolie: le romantisme à contre-courant de la modernité* z 1991 roku.

Löwy i Sayre, ponawiając nieraz już stawiane pytanie: „czym jest romantyzm?”, postanawiają, zamiast sporządzać inwentarz cech występujących w wybranych utworach, jak to robiono dotychczas, dokonać całościowej analizy zjawiska w wielości jego form i przy uwzględnieniu społecznego kontekstu. Definicje wywodzące się z charakterystyki romantycznych tekstów nie potrafiły bowiem ani wskazać wspólnego mianownika poszczególnych właściwości, ani wyjaśnić zasadniczych – wymienionych już przez nas – sprzeczności określających romantyzm. Empiryczna metoda nie pozwalała ponadto na dostrzeżenie w romantyzmie zarówno prądu literackiego, jak i dyskursu politycznego. Połączenia tych dwóch wymiarów próbują wprawdzie dokonać krytycy marksistowscy, tacy jak György Lukács. Ich krytyka jednak, poszukując „wspólnej podstawy ruchu romantycznego w jego opozycji do ówczesnego świata burżuazyjnego”³⁸, owocuje bardzo wąską definicją romantyzmu, która wydobywa zeń jedynie to, co reakcyjne, konserwatywne i obskuranckie.

Löwy i Sayre w miejsce powierzchownego modelu empirycznego proponują perspektywę, która umieszcza romantyzm w szerszym kontekście. Punktem odniesienia staje się dla nich nie burżuazyjna mentalność, nie kultura mieszczańska, ale nowoczesność, tj. cywilizacja, która wyłania się wraz narodzinami przemysłowego kapitalizmu. Na jej cechy składają się, wedle rozpoznań

³⁸ M. Löwy, R. Sayre, *Révolte et mélancolie. Le romantisme à contre-courant de la modernité*, Paris 1992, s. 20.

Maxa Webera, odczarowanie świata, dominacja instrumentalnej racjonalności i duch biurokratycznej kalkulacji. Löwy i Sayre dokonują więc zasadniczego przesunięcia. To nie od poprzedniej epoki chcą się odciąć romantycy i romantyczki, lecz od teraźniejszości. Nie od Oświecenia, którego wartości (równość, braterstwo, wolność) podziela większość z nich, lecz od sposobu, w jaki realizowane są jego cele. Oświecenie, próbując realizować emancypację przez rosnące podporządkowanie życia kapitalizmowi, przeradza się w przemysłową nowoczesność, która nie tylko powstrzymuje wyzwolenie (ludzi, zwierząt, natury), ale zdaje się od niego jeszcze bardziej oddalać.

„Stosunku romantyków do dziedzictwa rewolucji (...) nie można traktować ani jako prostej kontynuacji, ani tym bardziej negacji, choć i w tak uproszczony sposób interpretowano niekiedy Marksowską formułę, że romantyzm był «reakcja na Wielką Rewolucję Francuską», piszą Janion i Żmigrodzka³⁹. Romantycy występują zarówno jako zawiedzeni sympatycy nowoczesnych rewolucji – zwłaszcza francuskiej – jak jej konserwatywni krytycy. Ten złożony charakter romantycznej postawy wobec rewolucyjnej przeszłości dobrze wyraża w swojej powieści Alfred de Musset: „Cała choroba obecnego wieku pochodzi z dwóch przyczyn: lud, który przebył rok [17]93 i 1814, nosi w sercu dwie rany. Wszystko co było, już nie jest; wszystko co będzie, jeszcze nie jest. Nie szukajcie gdzie indziej tajemnicy naszych bólów”⁴⁰.

Dlatego zdaniem Balzaka romantyzm to „szkoła rozczarowania” (*école du désenchantement*)⁴¹ – rozczarowania obietnicami skła-

³⁹ M. Janion, M. Żmigrodzka, *Romantyzm i historia*, s. 140–141.

⁴⁰ A. de Musset, *Spowiedź dziecięcia wieku*, przeł. T. Boy-Żeleński, Warszawa 1920, s. 22.

⁴¹ G. Lukács, *Teoria powieści: esej historyczno-filozoficzny o wielkich formach epiki*, przeł. J. Goślicki, Warszawa 1968, s. 104–125. Romantyczne rozczarowanie można ująć szeroko (jak Lukács lub Löwy i Sayre) jako postawę charakteryzującą cały romantyzm i będącą konsekwencją krytycznej oceny osiągnięć epoki, lub jak Paul Bénichou (*Romantismes français 11: Les mages romantiques; L'école du désenchantement*, Paris 2004), wąsko charakteryzując w ten sposób pokolenie romantyków (Nerval, Musset, Gautier, w Polsce Słowacki), które przychodzi po wielkich romantykach pierwszej generacji (Hugo, Vigny,

danymi świata przez osiemnastowieczne Oświecenie. W propozycji Löwy'ego i Sayre'a pobrzmiewa więc echo jednej z najstarszych definicji romantyzmu, którą można znaleźć w słowniku braci Grimm. Zgodnie z nią *romantisch* „określa «przynależność do świata poezji [...] przeciwnego prozaicznej rzeczywistości»”⁴². Romantyzm to niezgoda na świat-fabrykę, upodobanie do przepaści, poszukiwanie życia, które toczyłoby się „gdzie indziej”.

Krytyka nowoczesności, składająca się na romantyczny światopogląd, dokonywana była w imieniu wartości i ideałów „wyjętych z przedkapitałistycznego, przednowoczesnego świata”⁴³. I to odróżnia romantyzm od krytyki uprawianej w imię postępu, której towarzyszyło przekonanie, że kierunek, jaki obrała nowoczesność, jest zasadniczo słuszny, ale że nie posunęła się ona jeszcze wystarczająco daleko. Przeszłość, do której sięgali romantycy, mogła być „mniej lub bardziej odległa, rzeczywista lub wyobrażona czy mityczna, częściej wyidealizowana niż realna”; to jednak zawsze epoka, „w której nie istnieje cały szereg charakterystycznych dla nowoczesności alienacji”⁴⁴. Nostalgii za światem przednowoczesnym towarzyszyło poszukiwanie tego, co utracone, próba odtworzenia, przywrócenia do życia idealnego stanu przeszłego, nawet jeśli nie chodziło o dokładne jego powtórzenie.

Nostalgia nie była tu wyłącznie konserwatywnym gestem, prostą reakcją na rozpad starego świata, ale miała cechy rewolucyjne, będąc takim rodzajem melancholii, w której odzyskiwanie przeszłości nie służy legitymizowaniu panujących stosunków, ale inspirowanej tym, co minione walce o zmianę rzeczywistości. Ujęta w tej perspektywie historia to nauka krytyczna, rozbijająca homogeniczny obraz dziejów i próbująca odzyskać z przeszłości zatarte utopijne projekty, marzenia, emocje, alternatywne sposoby życia

w Polsce Mickiewicz), i wyraża zwątpienie wobec wczesnoromantycznej wiary w sprawczość sztuki.

42 M. Löwy, R. Sayre, *Révolution et mélancolie*, s. 33.

43 Tamże, s. 30.

44 Tamże, s. 37.

społecznego i ekonomicznego. Zgodnie z uwagą Benjamina skutki działania tej odmienionej historiografii miały być „analogiczne do techniki rozszczepienia atomu – wyzwalać ogromne energie historii uwięzione w «było sobie pewnego razu» tradycyjnej historiografii”⁴⁵. Wyłaniający się z takiego podejścia obraz dziejów, mimo że wypełniony historiami ofiar i katastrof, wcale się do nich nie ograniczał. Jak to ujął Enzo Traverso:

Ponad tą fatalistyczną melancholią bierności i cynizmu [Benjamin] stawił melancholię odmienną, mającą charakter epistemologicznej wskazówki, będącą historycznym i alegorycznym wglądem w społeczeństwo i historię, próbującą uchwycić pochodzenie smutku, ale także dającą narzędzie do tego, by gromadzić czekające na odkupienie przedmioty oraz obrazy przeszłości.⁴⁶

Przyczyną tak rozumianej politycznej melancholii jest tyleż strata (bezpośredniości, dzieciństwa, raj), co brak, tęsknota za tym, co ostatecznie się nie wydarzyło, ponieważ zostało zawczasu stłumione. Zdaniem Traverso to raczej brak niż, zazwyczaj konserwatywna, utrata może być nośnikiem rzeczywistej społecznej zmiany.

Szczególnie wyraźnie widać je w twórczości Williama Morrisa, autora, który zgodnie z tytułem monografii E. P. Thompsona miał przebyć drogę od romantyzmu do rewolucji⁴⁷. Morris zaczynał jako

⁴⁵ W. Benjamin, *Pasaże*, pod red. R. Tiedemanna, przeł. I. Kania, posł. Z. Bauman, Kraków 2006, N 3,4.

⁴⁶ E. Traverso, *Left-Wing Melancholia: Marxism, History, and Memory*, New York 2017, s. 48. Podobne ujęcie romantycznej melancholii proponuje Marek Bieńczyk: „interesuje mnie melancholia twórcza, działająca, silna, a więc zwłaszcza to, co doprowadzając do głębokiego kryzysu egzystencjalnego i, co za tym idzie, ideowego, rozбивa proste przeciwstawienie rozpacz – nadzieja, pustka – pełnia, pragnienie – niespełnienie; więc melancholia, by tak rzecz czynna, czy nawet drapieżna, rozszerzająca – choćby negatywnie – rozpoznanie istnienia, nie zamykając się w kamiennej rozpacz.” (M. Bieńczyk, *Oczy Durera. O melancholii romantycznej*, Warszawa 2002, s. 17).

⁴⁷ E. P. Thompson, *William Morris: Romantic to Revolutionary*, Oakland, CA 2011.

prerafaelita, autor nostalgicznego poematu *The Earthly Paradise* próbującego zatrzymać zanikający obraz angielskiej wsi. Jednak Komuna Paryska oraz liczne wyprawy na nieopanowaną przez kapitalizm Islandię czynią z poety socjalistę. Oba doświadczenia ukształtowały wizję socjalizmu bliższą anarchistycznym ideom Piotra Kropotkina czy Elisée Reclusa niż głównej linii ówczesnego marksizmu. Jej punktem odniesienia nie były fabryka, Manchester, postęp technologiczny (a zatem obietnica wyzwolenia od pracy, którą w społeczeństwie przyszłości miały wykonywać wyłącznie maszyny) – zamiast tego przywołane zostają wspólnoty niepoddanych jeszcze modernizacji Islandczyków oraz rzesze robotnic, drobnych rzemieślników, włóczęgów i artystów tworzących Komunę Paryską, właśnie w opozycji do rozwijającej swoje kolonialne panowanie „nowoczesnej” Francji⁴⁸.

⁴⁸ Por. K. Ross, *Communal Luxury: The Political Imaginary of the Paris Commune*, London–New York 2016, s. 67–89.

Ekonomie romantyczne

„Romantyczna ekonomia” to określenie nader rzadkie. Ale nie całkiem niespotykane. Pojawia się na przykład w odniesieniu do koncepcji J.-C.-L. Simonde’a de Sismondiego (1773–1842) czy Adama Müllera (1779–1829). Termin dotychczas służył przede wszystkim do opisu ekonomii regresywnej, sprzeciwiającej się zmianom, jakie do życia społecznego i gospodarczego wprowadza kapitalizm⁴⁹. U Sismondiego ów romantyzm wyraża się między innymi w fascynacji średniowieczem, kreowanym na Złoty Wiek i przeciwstawianym epoce przemysłowej: „W odróżnieniu od klasycznej koncepcji, analiza rzeczywistości gospodarczej Sismondiego miała podstawy moralne: «Zawsze będę walczył z systemem industrializacji, który obniżył poziom życia ludzkiego». Sismondi odrzucił dążenie do bogactwa jako cel sam w sobie (nazwał je „chrematyzmem”) i sprowadzenie ludzi do stanu maszyn”⁵⁰. Stąd pojawiająca się u autora *De la richesse commerciale* (1803) krytyka ideologii *laissez-faire*, wsparcie dla silnego państwa, praw pracowników oraz idei zasiłku dla bezrobotnych i chorych.

⁴⁹ Formuła „ekonomia romantyczna” prawdopodobnie po raz pierwszy pojawia się w rozprawie Włodzimierza Lenina, w której definiowana jest jako apologia „drobnej produkcji, występującej z protestem przeciwko obrońcom i ideologom wielkiej przedsiębiorczości” (W. Lenin, *Przyczynek do charakterystyki romantyzmu ekonomicznego [Sismondi i nasi rodzimi sismondiści]*, Warszawa 1984, s. 119). Zgodnie z tytułem broszury celem polemiki Lenina był nie tylko Sismondi, ale przede wszystkim rosyjscy ekonomiści romantyczni, a więc narodnicy. Ta jednostronna krytyka spotkała się kilkanaście lat później z odpowiednią Róży Luksemburg. Choć Luksemburg porzuca ekonomiczny romantyzm na rzecz marksizmu, to – w przeciwieństwie do Lenina – przypisuje mu zasadniczo pozytywną rolę: „W przeciwieństwie do wąskich horyzontów [ekonomii klasycznej], niezdolnej pojąć innej formacji społecznej niż gospodarka burżuazyjna, Sismondi reprezentuje rozległe historyczne spojrzenie” (R. Luksemburg, *Akumulacja kapitału. Przyczynek do ekonomicznego wyjaśnienia imperializmu*, przeł. J. Maliniak, Warszawa 1963, s. 272 [tłum. poprawione]).

⁵⁰ M. Löwy, R. Sayre, *Révolution et mélancolie*, s. 109.

Z kolei Müller (*Die Elemente des Staatskunst*, 1809), zamiast ujmować ekonomię w kategoriach produkcji i wymiany, proponuje myśleć o niej w terminach ziemi oraz potrzeb wspólnoty i narodu⁵¹. To nie prywatny interes, jego zdaniem, napędza gospodarkę, ale poczucie narodowego dobrobytu i historyczna duma. Źródłem bogactwa nie jest więc, jak ma to miejsce w ujęciu klasycznym, wyłącznie praca, ziemia i kapitał, lecz kapitał duchowy, będący najbardziej podstawowym warunkiem wszelkiego dobrobytu.

Proponowane przez nas rozumienie romantycznej ekonomii jest jednak znacznie szersze. Nie ogranicza się do koncepcji ekonomicznych w sensie ścisłym, odnosząc się raczej do pewnej wizji świata, którą można znaleźć w tekstach bardzo zróżnicowanych gatunkowo i która – najogólniej mówiąc – wyrasta z niezgody na dyktaturę „konkurencyjnego handlu”. Tak rozumiana ekonomia romantyczna nie tylko podaje w wątpliwość przekonanie, że główną pobudką ludzkiego działania jest pragnienie własności, ale również gwałtownie oponuje przeciwko postrzeganiu relacji społecznych wyłącznie przez pryzmat rywalizacji i odrzuca pogląd, że społeczne nierówności stanowią zjawisko nieuniknione i konieczne.

Do opisanja ekonomii romantycznej lepiej użyć liczby mnogiej, ponieważ jej zasad nigdy nie tworzono w jeden określony sposób. Raz mogła być to krytyka kapitalizmu mieszcząca się ciągle jeszcze w granicach nauki, innym razem – całkowicie porzucająca dyscyplinarne podziały apologia życia uwolnionego od pieniądza i kapitalistycznego systemu miar. Za jej przejaw można też uznać ironiczne uwagi na temat głównego dzieła Adama Smitha, porozsiewane w utworach poetyckich, jak te sformułowane przez ojca tytułowego bohatera poematu dygresyjnego Aleksandra Puszkina:

51 R. Gray, *Economic Romanticism: Monetary Nationalism in Johann Gottlieb Fichte And Adam Müller i Hypersign, Hypermoney, Hypermarket: Adam Müller's Theory of Money and Romantic Semiotics*, w: tenże, *Money Matters: Economics and the German Cultural Imagination, 1770–1850*, Seattle 2008.

Nie wiedział, gdzie jest jamb, gdzie trochej.
 Sarkał i nudził się nad tomem
 Homera albo Teokryta,
 Lecz za to znał Adama Smitha
 I był głębokim e k o n o m e m
 Rozprowiał o tym, jak się kraje
 Bogacą, z czego żyją, jak
 Produkt natury państwu daje
 Korzyści, choć mu złota brak.
 A ojciec nie mógł tej mądrości
 Ogarnąć i zastawił włości.⁵²

Smitha czyta również bohater *Preludium* Williama Wordswortha:

Poddawszy próbie życia i wyników
 Księgi statystów nowych, stąd dostrzegłszy
 Zupełną pustość tego, czemu miano
Bogactw Narodów dajem.⁵³

Z dogmatów klasycznej ekonomii politycznej szczególnie opór budziło u romantyków i romantyczek twierdzenie, które do historii myśli ekonomicznej miało przejść pod nazwą „niewidzialnej ręki rynku”. Autor tej koncepcji, Adam Smith, przekonywał, że postęp i powszechny dobrobyt to efekt ludzkiego egoizmu, troski o pomnażanie kapitału i zwiększanie prywatnej własności:

Każdy człowiek czyni stale wysiłki, by znaleźć najbardziej korzystne zastosowanie dla kapitału, jakim może rozporządzać. Ma oczywiście na widoku własną korzyść, a nie korzyść społeczeństwa. Ale poszukiwanie własnej korzyści wiedzie go w sposób naturalny, a nawet nieuchronny do tego, by wybrać takie zastosowanie, jakie jest najkorzystniejsze dla społeczeństwa.⁵⁴

⁵² A. Puszkina, *Eugeniusz Oniegin*, przeł. A. Ważyk, Warszawa 1956, s. 10.

⁵³ W. Wordsworth, *Preludium*, w: *Angielscy „Poeci jezior”*, przeł. S. Kryński, Wrocław 1963, s. 241.

⁵⁴ A. Smith, *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów. 1*, przeł. O. Einfeld, S. Wolff, Z. Sadowski, Warszawa 1954, s. 42–43.

Dlaczego z powszechnej walki i konkurencji wyniknąć ma dobro wspólne? Smith próbuje unieważnić to pytanie. Postęp i wzrost gospodarczy, twierdzi ekonomista, jest faktem wszędzie tam, gdzie państwo nie blokuje wolnego handlu, gdzie pozwala swobodnie rozwijać się owej naturalnej konkurencji między jednostkami. Mimo że Smith przedstawiał swoją filozofię jako trzeźwy opis relacji międzyludzkich, w praktyce była ona utopijnym modelem bardzo dalekim od rzeczywistych stosunków gospodarczych jakiegokolwiek kraju z połowy XVIII wieku. W *Badaniach...* pominięte zostaje to, co właściwie umożliwia stosunki handlowe, a więc: „życzliwość oraz wrogość w stosunkach gospodarczych: zarówno etos wzajemnej pomocy, będący koniecznym fundamentem wolnego rynku (a więc takiego, którego nie tworzy i nie chroni państwo) jak i przemoc oraz mściwość, mające faktyczny udział w postawianiu rynków konkurencyjnych, napędzanych interesem, które [Smith] wykorzystał jako swój model”⁵⁵. Romantycy i romantyczki nie tylko odślaniali naiwność przewidywań Smitha, ale wyrachowanym pracom rynku próbowali przeciwstawić apologię namiętności.

Löwy i Sayre, pisząc o politycznym wymiarze romantycznej uczuciowości, odwołują się do słów Webera: „To bezgraniczne dawanie samego siebie – w swoim sprzeciwie wobec wszelkiej funkcjonalności, racjonalności i uniwersalności – jest tak radykalne, jak to tylko możliwe”⁵⁶. Stawką filozofii miłości zawartej między innymi w *Cierpieniach młodego Wertera* Goethego nie jest jednostkowy eskapizm, lecz kształt nowej ekonomii, wyzwolonej z kryzy protestanckiej moralności i wprowadzającej w porządek stosunków społecznych nadmiar, nie tylko sprzeczny z logiką ekonomii kapitalistycznej, ale tworzący nowy typ relacji. Ich zasadą nie byłaby już konkurencja, zysk i wymiana pieniężna, ale ekonomia trwonienia, logika daru, która wymaga, by dawać zawsze więcej niż się otrzymuje.

⁵⁵ D. Graeber, *Dług. Pierwsze pięć tysięcy lat*, przeł. B. Kuźniarz, Warszawa 2018, s. 495–496.

⁵⁶ M. Löwy, R. Sayre, *Révolte et mélancolie*, s. 38–39.

Fałszywość utożsamienia bogactwa z pieniądzem widoczna jest w języku: mówimy przecież o „bogactwie” kolorów lub dźwięków, o „ubogacającej” lekturze czy rozmowie, o życiu „bogatym” w doświadczenia, podróże, przyjaźnie⁵⁷. O tych dwóch znaczeniach „bogactwa” napisze Wiliam Morris:

Chciałbym powrócić do słów, od których rozpocząłem moje rozważania: „sztuka”, „Bogactwo” (*wealth*) i „bogactwo” (*riches*). Wyobrażam sobie, że wielu ludzi chciałoby mi powiedzieć: sytuujesz się w opozycji do systemu, który tworzy Bogactwo tego świata. Tymczasem jest to rzecz, której dokładnie zaprzeczam, oskarżając konkurencyjny handel o niszczenie Bogactwa. Twierdę, że Bogactwo, czyli materialne środki do życia, życia przyzwoitego, powstaje pomimo tego systemu, a nie z jego powodu. Prawdziwe Bogactwo dzieli się na dwa rodzaje: pierwszy to jedzenie, odzienie, schronienie i tym podobne; drugi to sprawy nauki i sztuki; to znaczy rzeczy dobre i potrzebne dla ciała oraz rzeczy dobre i potrzebne dla umysłu. Konkurencyjny handel (...) pierwsze z tych dwóch rodzajów prawdziwych Bogactw w znacznym stopniu marnuje, drugie zaś w ogromnej mierze niszczy.⁵⁸

Uwolnienie bogactwa nieograniczonego do towarów i pieniędzy stanie się zasadniczym postulatem kolejnych romantycznych manifestów od Schillera i Novalisa przez Rimbauda po Elisée Recusa i Williama Morrisa. W centrum tego wspólnego bogactwa stać miały przede wszystkim dobra niematerialne: poezja, sztuka, teatr, nauka, świecka edukacja. Dlatego tak ważne dla romantyków było wyprowadzenie sztuki z Salonów opanowanych przez zamknięte na świat elity. Bogactwo – na przykładzie twórczości artystycznej lub naukowej widać to szczególnie wyraźnie – zawłaszczane czy ograniczone do wąskiej grupy przestaje przedstawiać jakąkolwiek wartość, staje się wyłącznie znakiem statusu, służąc nie rozwojowi,

⁵⁷ Por. J. Holloway, *Przeczytajmy Kapitał – pierwsze zdanie. Albo Kapitał zaczyna się od bogactwa, a nie towaru*, „Praktyka Teoretyczna” 2017, nr 25, s. 24.

⁵⁸ W. Morris, *Art, Wealth, and Riches*, w: *The Collected Works of William Morris*, t. 23, Cambridge 2012, s. 157.

lecz legitymizowaniu zastanych hierarchii: „cała ta wielobarwna sztuka – napisze Reclus – gromadząca swoje nieprzyzwoite wytwory w pomieszczeniach używanych jej przez państwo, może być tylko sztuką fałszywą i kłamliwą, ponieważ nie jest dziełem ludzi wolnych”⁵⁹.

Niewykluczone, że ekonomie romantyczne mogłyby stanowić przykład – opisaną w XX wieku przez Georges’a Bataille’a – ekonomii ogólnej. Jakie są jej zasady? Dokładnie odwrotne od reguł tak zwanej ekonomii klasycznej, lub mówiąc językiem filozofii Bataille’a: ograniczonej, szczegółowej. Wedle odziedziczonego po etyce protestanckiej – a dziś dominującego – modelu myślenia najbardziej pożądanym działaniem ekonomicznym jest oszczędzanie, w którym każda zgromadzona nadwyżka podlega dalszej inwestycji. Ekonomia ta jest ograniczona, ponieważ widzi bogactwo w bardzo wąskiej, antropocentrycznej i moralizującej perspektywie. Tymczasem modelem dla ekonomii ogólnej (a więc opisującej reguły działania całego świata) nie jest etyka protestancka i związany z nią kult pracy, winy i poświęcenia, lecz działanie słońca: „[jego] promieniowanie – czytamy w *Części przeklętej* – wyróżnia się swym jednostronnym charakterem: ztraca się bez umiaru, nie otrzymując niczego w zamian”⁶⁰. Energii, w tym szerokim, solarnym znaczeniu, jest więc zdecydowany nadmiar: „świat jest aż chory od bogactw”⁶¹.

Oszczędzanie jest jałowe z dwóch powodów. Po pierwsze z szerszego punktu widzenia nie ma ono większego sensu, ponieważ życiodajnej energii jest zawsze więcej, niż jesteśmy w stanie skonsumować. Po drugie, nawet jeśli uda się coś zaoszczędzić, akumulacja stanowi jedynie moment odwleknięcia jeszcze gwałtowniejszej zraty. Dominacja ekonomii szczegółowej okazuje się pozorna, a jej sukces zawsze tymczasowy, ponieważ dokonujące się w niej akumulowanie bogactwa nie zatrzymuje powszechnego

⁵⁹ E. Reclus, *Sztuka i lud*, przeł. M. Pospiszyl, zob. w tym tomie, s. 260.

⁶⁰ G. Bataille, *Część przeklęta*, przeł. K. Jarosz, Warszawa 2002, s. 8.

⁶¹ Tamże, s. 14.

ruchu zatrąty, a jedynie odsuwa jej wybuch, którego siła będzie tym większa, im dłuższy był czas zwłoki. Dlatego konsekwencją kapitalistycznej akumulacji musi być w jakiejś perspektywie wojna lub rewolucja, w której roztrwonione zostanie całe zgromadzone wcześniej bogactwo. Stabilność systemu wymaga więc wyjścia poza zasadę akumulacji, wymaga stałego trwonienia, wydatkowania energii na rzeczy bezużyteczne: sztukę, poezję, luksus, piramidy, gry, widowiska, oderwaną od prokreacji seksualność⁶².

Modelem działania zgodnego z zasadami powszechnej ekonomii nie może być protestanckie oszczędzanie i praca, ale potłacz, wymiana darów, wokół której organizowane było życie religijne, społeczne i ekonomiczne wielu przednowoczesnych społeczeństw: „zatrąta – napisze Bataille – nie zajmowała w ich myślach miejsca mniej ważnego niż w naszych praca. Tyleż samo troski poświęcali składaniu ofiar, co my pracy”⁶³. System ten wywraca reguły mieszczanńskiej racjonalności, ponieważ przedmiotem konkurencji nie czyni materialnego zysku, ale obdarowanie konkurenta darem tak wielkim, by ten nie był w stanie go odwzajemnić. Potłacz nie był mechanicznym odwróceniem zasad wolnego rynku, zastąpieniem korzyści przez poświęcenie, zysku przez stratę. Uruchamiał inną ekonomię, w której stawką nie była akumulacja, a prestiż, ranga wynikająca ze zdolności do roztrwonienia całego bogactwa. Dopiero dzięki zdolności do marnotrawstwa, twierdzi Bataille, człowiek wyzwała się spod panowania rzeczy: „autentyczny zbytek wymaga doskonałej pogardy bogactw, posępnej obojętności tego, kto odmawia pracy i czyni ze swego życia z jednej strony nieskończenie zrujnowaną wspaniałość, z drugiej zaś milczącą obelgę wymierzoną w pracowicie tworzone kłamstwo bogatych”⁶⁴.

62 G. Bataille, *Pojęcie wydatkowania*, przeł. K. Matuszewski, „Nowa Krytyka” 6/1995, s. 197–199.

63 G. Bataille, *Część przeklęta*, s. 54.

64 Tamże, s. 86.

Bibliografia

- Balkaya Mehmet A., *The Industrial Novels: Charlotte Brontë's Shirley, Charles Dickens' Hard Times and Elizabeth Gaskell's North and South*, Cambridge 2015.
- Bate Jonathan, *Romantic Ecology: Wordsworth and the Environmental Tradition*, Hoboken 2013.
- Berman Marshall, „Wszystko, co stałe, rozpywa się w powietrzu”. Rzecz o doświadczeniu nowoczesności, przeł. Marcin Szuster, Kraków 2015.
- Bieńczyk Marek, *Oczy Dürera. O melancholii romantycznej*, Warszawa 2002.
- Briefs Goetz A., *The Economic Philosophy of Romanticism*, „Journal of the History of Ideas” 1941, nr 2 (3).
- Corcoran Paul E., *Before Marx: Socialism and Communism in France, 1830–1848*, London 2014.
- Devin Singh, *Divine Currency: the Theological Power of Money in the West*, Redwood City 2018.
- Działożyński Bartosz, *Cywilizacja. Szkice z dziejów pojęcia w XVIII i XIX wieku*, Warszawa 2018.
- Frader Laura L., *The Industrial Revolution: A History in Documents*, Oxford 2006.
- Gallagher Catherine, *The Body Economic: Life, Death, and Sensation in Political Economy and the Victorian Novel*, Princeton 2008.
- Gallagher Catherine, *The Industrial Reformation of English Fiction: Social Discourse and Narrative Form, 1832–1867*, Chicago 1988.
- Graeber David, *On Social Currencies and Human Economies: Some Notes on the Violence of Equivalence*, „Social Anthropology” 2012, nr 20 (4).
- Graeber David, *Possibilities: Essays on Hierarchy, Rebellion, and Desire*, Edinburgh 2007.
- Graeber David, *Toward an Anthropological: The False Coin of Your Dreams*, New York 2001.
- Graeber David, *Utopia regulaminów. O technologii, tępcie i ukrytych rozkoszach biurokracji*, przeł. Marek Jedliński, Warszawa 2016.

- Gray Richard T., *Money Matters: Economics and the German Cultural Imagination, 1770–1850*, Seattle 2008.
- Hardt Michael, Saree Makdissi (entretien avec...), *Romantisme et multitudes. Politique du langage*, „Multitudes” 2014, nr 1 (55).
- Hautcœur Pierre-Cyrille, *Les transformations du crédit en France au XIXe siècle*, „Romantisme” 2011, nr 1 (151).
- Henderson Willie, *Economics as Literature*, London 1995.
- Hörisch Jochen, *Orzeł czy reszka. Poezja pieniądza*, przeł. Jadwiga Kita-Huber, Steffen Huber, Kraków 2010.
- Jackson William A., *Economics, Culture and Social Theory*, Cheltenham 2010.
- Jameson Frederic, *Zakochany biznesmen*, przeł. Ryszard Koziołek, „Teksty Drugie” 2010, nr 1–2.
- Jedlicki Jerzy, *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują: studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku*, Warszawa 2002.
- Key Mark, *William Wordsworth's Golden Age Theories During the Industrial Revolution in England, 1750–1850*, Houndmills 2001.
- Kołodziejczyk Ryszard, *Burżuazja polska w XIX i XX wieku: szkice historyczne*, Warszawa 1979.
- Kołodziejczyk Ryszard, *Bohaterowie nieromantyczni. O pionierach kapitalizmu w Królestwie Polskim*, Warszawa 1961.
- Laskowski Piotr, *Szkice z dziejów anarchizmu*, Warszawa 2007.
- Löwy Michael, Robert Sayre, *Révolte et mélancolie. Le romantisme à contre-courant de la modernité*, Paris 1992.
- MacLure Jennifer, *Diagnosing Capitalism: Vital Economics and the Structure of Sympathy in Gaskell's Industrial Novels*, „Nineteenth-Century Contexts” 2016, nr 5 (38).
- McNally David, *Against the Market: Political Economy, Market Socialism and the Marxist Critique*, London 1993.
- Moretti Franco, *The Bourgeois. Between History and Literature*, London 2013.
- Momro Jakub, *Granice i marginesy nowoczesności. Wokół teorii badań nad romantyzmem*, w: *Romantyzm i nowoczesność*, red. Michał Kuziak, Kraków 2009.
- Osteen Mark, Martha Woodmansee (ed.), *The New Economic Criticism: Studies at the Interface of Literature and Economics*, Florence 2005.

- Skodlarski Janusz, *Proces akumulacji pierwotnej na ziemiach polskich*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Oeconomica” 1988, nr 82.
- Walicki Andrzej, *W kręgu konserwatywnej utopii. Struktury i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa*, Warszawa 2002.
- Vandewalle G., *Romanticism and Neo-Romanticism in Political Economy*, „History of Political Economy” 1986, nr 1 (18).
- Vatin François, *Romantisme économique et philosophie de la misère en France dans les années 1820–1840*, „Romantisme” 2006, nr 3 (133).
- Williams Raymond, *The Country and the City*, London 2016.
- Williams Raymond, *Culture and Society, 1780–1950*, London 2017.



ANTOLOGIA



PIEKŁO NOWOCZESNOŚCI



Świat-fabryka, człowiek-maszyna



**Szatańskich młynów praca (Wstęp
do poematu „Milton”, fragment)**

William Blake

Czy kiedykolwiek Jego stopy
Przez zieleń naszych pastwisk szły?
Baranek Boży czy nawiedził
Tę ziemię za pradawnych dni?

Czy Jego oczu blask się przedarł
Przez tę na wzgórzach naszych mgłę?
Gdzież Jeruzalem jest? Tu wiecznie
Szatańskich młynów praca wre.

Przynieś mi strzały mej tęsknoty,
Przynieś mi włócznie, przynieś łuk!
Przegonię chmury! Rydwan złoty,
Płonąc, łomocze w twardy bruk.

Z tej walki duchów nie ucieknę,
Miecz nie wypadnie z moich rąk,
Aż Jeruzalem zbudujemy
Pośród zielonych Anglii łąk.

William Blake, *Wstęp do poematu „Milton”*, w: tenże, *Poezje wybrane*,
wybrał, przełożył i wstępem opatrzył Zygmunt Kubiak, Warszawa:
Państwowy Instytut Wydawniczy, 1972 [1804], s. 96.

**Sztuczny ptak śpiewał podług przepisanej
miary (Słowik, fragment)**

Hans Christian Andersen

W głównej sali porcelanowej przygotowano wspaniałe przyjęcie; ściany, sufit i podłoga błyszcząły od światła, w korytarzach ustawiono najpiękniejsze kwiaty, a dzwoneczki na nich dzwoniły tak głośno, że trudno było rozmawiać swobodnie.

Na środku sali, przed tronem cesarskim, umieszczono złoty pręcik dla słowika. Dwór cały był zebrany, mandaryni w galowych strojach, damy w toaletach balowych, nawet małej pomywaczce, która znalazła słowika, pozwolono patrzeć przez szparę, gdyż mianowaną została obecnie nadworną kucharką jego cesarskiej mości.

Wszystkie spojrzenia były zwrócone na ptaszka w szarych piórkach, siedzącego na złotym pręciku; sam monarcha skinął mu głową łaskawie.

Wtem słowik zaczął śpiewać. Śpiewał tak cudownie, że łzy błysnęły w oczach chińskiego cesarza i spłynęły mu z wolna po policzkach. Widząc to, słowik śpiewał jeszcze piękniej, głos jego przenikał serca i napełniał je weselem. Rozpromieniło się oblicze władcy i w uniesieniu radości obdarował śpiewaka własnym swym złotym pantoflem, który ptaszek odtąd mógł nosić na szyi.

Ale słowik podziękował za dar tak wspaniały.

– Jestem wynagrodzony dostatecznie – mówił – widziałem łzy w twych oczach, o monarcho: to najwyższa nagroda dla śpiewaka. Łzy twoje mają cenę i wartość niezwykłą. Sam Bóg widzi, że hojnie zostałem wynagrodzony.

I znowu zaczął śpiewać, jeszcze rzewniej, jeszcze piękniej.

Cały dwór był w zachwycie. Damy w balowych strojach nabierały w usta wody i głośno przelewały ją w gardziółkach, co miało naśladować głos słowika; mandaryni i dworzanie kiwali głowami; nawet służba wyrażała zupełne zadowolenie, a to znaczy bardzo wiele, bo jej dogodzić – jak wiadomo – trudniej, niż najwyższym dygnitarzom.

Słowem, powodzenie śpiewaka było nieporównane.

Miał odtąd zostać na cesarskim dworze i zamieszkać w pałacu, w klatce złoconej, z której wolno mu było wylatywać na przechadzkę dwa razy dziennie i raz każdej nocy. Do posługi dano mu dwunastu lokai, a każdy do nóżki ptaka przywiązywał jedwabny sznurek, aby mu lepiej było latać.

W całym mieście nie rozmawiano o niczym, tylko o cudownym ptaku, i jeśli dwie osoby spotkały się na ulicy, to zamiast powitania, jedna z nich natychmiast wymawiała „sło” – druga kończyła „wik”. Dwunastu kupców imieniem słowika nazwało dzieci swoje, choć z tych „Słowików” żaden nie miał w gardle struny słowiczej.

Dnia pewnego cesarz otrzymał pakiecik z napisem: „Słowik”.

– Pewno nowe dzieło o naszym śpiewaku – rzekł zadowolony.

Lecz w pakiecie nie było książki, tylko słowik sztuczny, zrobiony bardzo dziwnie i misternie, a cały osypany brylantami, rubinami i szafirami.

Gdy nakręcono tę maszynkę, sztuczny słowik zaśpiewał zaraz pieśń długą i uczoną. Przy tym bardzo wspaniale poruszył ogonem, który się mienił blaskiem kosztownych kamieni. Na szyi miał jedwabną wstążeczkę z napisem: „Czymże jest słowik Dalajlamy w porównaniu ze słowikiem cesarza chińskiego!”

– Cudowny! Wspaniały! – wołali dworacy i ten, kto doręczył pakiet cesarzowi, otrzymał zaraz tytuł „Nadwornego Obersłowicznika jego cesarskiej mości”.

– A teraz niechaj razem zaśpiewają – rozkazał cesarz – będzie wspaniały duet.

Nakręcono sztucznego ptaka i miały śpiewać razem, lecz duet się nie udał, gdyż słowik sztuczny śpiewał podług przepisanej miary, a leśny śpiewak z serca i natchnienia.

– Ten nic nie winien – zdecydował kapelmistrz nadworny, wskazując sztucznego ptaka – doskonale trzyma się taktu, jak gdyby się wykształcał w mojej szkole.

Nakręcono go więc do śpiewania solo i miał powodzenie nie mniejsze od słowika prawdziwego, a kosztownym, błyszczącym strojem bardziej zachwycał wszystkich.

Jedną i tę samą sztukę śpiewał trzydzieści trzy razy i nie zmęczył się wcale. Wszyscy słuchali go z wielkim zajęciem, lecz nie umieli jeszcze melodii na pamięć, gdyż była bardzo trudna. Chcieli nakręcić go raz trzydziesty czwarty, ale cesarz zażądał, aby teraz zaśpiewał słowik żywy.

...Lecz gdzież się podział?...

Niespostrzeżony wyfrunął przez okno i uciekł do swojego lasu zielonego.

– A to co? – pytał cesarz z niezadowoleniem.

– A to co? – powtórzyli natychmiast dworacy i zaczęli szemrać z głośnym oburzeniem, wyrzucając niewdzięczność słowikowi.

– Na szczęście lepszy ptak nam został – zdecydowali wreszcie.

Kazano go nakręcić po raz trzydziesty czwarty i wysłuchano znowu z poważnym skupieniem doskonałej i trudnej pieśni, której nikt jeszcze nie mógł się nauczyć.

Kapelmistrz nie miał dość słów na pochwałę misternego śpiewaka, który, jego zdaniem, wart był nieskończenie więcej od słowika prawdziwego, nie tylko z powodu pięknej i kosztownej powierzchowności, lecz głównie ze względu na znakomity wewnętrzny mechanizm.

– Raczcie panowie tylko sami ocenić tę różnicę – mówił – ze słowikiem prawdziwym nigdy nie wiadomo, co zaśpiewa? jak zaśpiewa? Jest się na jego łasce. A w sztucznym wszystko stałe, jasno określone i wiadome. Można go otworzyć, obejrzeć walce i sztyfciki, zrozumieć, skąd się głos bierze i jakim sposobem.

I wszyscy byli tego zdania, a Nadworny Obersłowicznik otrzymał pozwolenie pokazania ptaka ludowi w najbliższe święto.

Wszyscy słuchali go z wielkim zachwytem i podnosili w górę palec wskazujący, wołając: – O! – potem się rozchodzili, kiwając głowami.

Tylko biedni rybacy, którzy słyszeli nieraz śpiew słowika, inaczej myśleli sobie.

– Ładnie śpiewa – mówili – ale czegoś mu brakuje. A czego? Sami nie wiemy.

Hans Christian Andersen, *Słowik*, w: tenże, *Baśnie*, przeł. Cecylia Niewiadomska, Kraków: Wyd. Gebethner i Wolff, 1931 [1843], s. 297–301.

**Kto się im dostał w ręce, tego obrócili na walec, śrubę,
młotek, przybijadło lub koło (Z *Kudowy*, fragmenty)¹**

Julia Woykowska

Tom wszystko widział i słyszał we śnie, i jeszcze więcej widziałem i słyszałem.

Koła warsztatów poczęły się obracać i warczeć, walce i śruby poczęły się kręcić, młoty, przybijadła poczęły stukać, wszystko się obracało, toczyło naokoło, a jam patrzył z daleka i słuchał. I widziałem, i słyszałem, jako się warsztat obracał ku, lub przeciw warsztatowi, jeden, żeby się z drugim zespolić, jeden, żeby drugi zniszczyć, czasem się cztery obróciły na jeden, czasem jeden na dwa i tak dalej. I widziałem, że nieraz takie się zespoliły warsztaty, których gęby wykrzywiały się do siebie fałszem, obłudą, zdradą, a wtedy słyszałem, jak po cichu koła gadały do siebie: „Na kłamstwie stoi świat stary, a bez niego i nowego nie *zrobisz*. Prawda bo niepraktyczna! Kłammy więc na wyścigi”.

„Tu do nas chodźcie! tu do nas chodźcie! U nas doskonałość najwyższa! Rozum najlepszy! Szczęście największe! Tu do nas! My *zrobim* świat najdoskonalszy!”, tak tysiącami języków pomieszanych odzywały się gromady.

A na głosy te coraz nowi przychodnie szli do warsztatów, a wtedy przywódcy cechowali ich na czole liczbami, a potem obracali to na koła, to na śruby, to na walce. Ach! jakoż mi było żal niektórych, oni byli tak cudni jeszcze mimo fałszów, co im się pokładły na obliczach [...]. Atoli cudność ich oblicza nie poruszała bynajmniej przywódców warsztatów. Kto się im dostał w ręce, tego

¹ Julia Molińska-Woykowska (1816–1851) – polska poetka, publicystka, działaczka. W latach 1838–1845 wydawała demokratyczny „Tygodnik Literacki”, w którym atakowano konserwatywne mieszczaństwo, kler, szlachtę i zaborców. Jej twórczość literacka obejmuje przede wszystkim utwory przeznaczone dla dzieci i młodzieży. Ukończona kilka miesięcy przed śmiercią powieść *Z Kudowy* zajmuje w dorobku pisarki osobne miejsce. Realizm początkowych partii o charakterze autobiograficznym, będących relacją z pobytu w uzdrowisku, ustępuje miejsca poetyce onirycznej i fragmentom nasyconym mistycyzmem.

nacechowali bez miłosierdzia, bez miłosierdzia obrócili na walec, śrubę, młotek, przybijadło lub koło.

I były niektóre koła, śruby i walce, co nosiły na sobie cechę pierwotnego pochodzenia anielskiego, ach! jakoż mnie serce bolało, że one śrubami, kołami, walcami. Chciałem do nich przemówić, lecz darmo! Warsztaty obracały się tak szybko, stukwały tak głośno! a tak spieszyły, tak spieszyły, a z każdego wychodził głos:

„*My zrobim świat doskonały*”.

„*Zrobim!*”

I widziałem, że warsztaty *robiły a robiły!*

Podszedłem bliżej do jednego z nich i ujrzałem mnóstwo wyrobów ślicznych, poukładanych na kupę.

„To cegły na budowlę świata nowego, który zaćmi wszystkie inne”, rzekł do mnie z grzecznym ukłonem diabeł, gdyby na straży stojący.

„*Fora z nim! fora!*”, tysiącami głosów począł wołać warsztat. „*Chciałby się może pochwalić, jakby swoim, a to nasze własne dzieło, dzieło własnego rozumu*”.

Diabeł zamilkł i skurczył się, ale się jakoś uśmiechał tak dziwnie! tak dziwnie!

„*Czemu on się tak kurczy, a uśmiecha?*”

„*Że mu się fortel nie udał?*”, ozwał się głos z warsztatu. „*Chciał udać za swoje dzieło, nasze – głupi diabeł!*”

„*Głupi diabeł! głupi diabeł!*”, wtórzyło głosów tysiące. A diabeł milczał i jeno się uśmiechał.

Poszedłem do innych warsztatów i wszędzie prawie widziałem to samo i słyszałem to samo.

Tom wszystko widział i słyszał we śnie, i jeszcze więcej widziałem i słyszałem.

Coraz to nowi przychodnie szli do warsztatów, coraz nowe tworzyły się warsztaty i coraz nowe pojawiały się z nich wyroby, a głosów coraz więcej rozlegało się pomieszanych. A przywódcy przychodniów bezprzestannie cechowali obozy swoje i obozy przeciwników, i niewiasty, i dzieci nawet liczyli, *robiłi a robiłi*

warsztatami, a każdy warsztat swoje najwyżej cenił a chwalił wyroby. Robiernia miasta wielkiego, w której wszystko obliczają wedle miary i wagi, w której kupczą duszami ludzkimi i ciałami, ukazała mi się tu w większym rozmiarze. I tu wszystko było rachunkiem, warszatem, z których coraz to nowy wychodził wyrób, cegła na budowlę świata nowego, na pognębiecie przeciwnika. I swój i cudzy był tu – jeno liczbą.

„Jakież bo widzisz ten zdatny”, mówiły śruby, śrubeczki, walce i koła warsztatu, widząc przechodnia.

Jaki mocny! zdałby się na przybijadło! Jaki pieniądze! zdałby się na zakupno² postawu³! A jaki głupi! zdałby się na wszystko, cobyśmy mieć z niego chcieli.”

I namówili go sobie słodkimi, obłudnymi słowy.

A postaw i przybijadło mówiły do siebie: „ach! jakież głupie te śruby, te koła, te walce, ale cóż robić? potrzebne jakoś koniecznie. Trzeba je cierpieć i znosić się z nimi! Cóż robić? Bez nich byłoby nam krucho!”

„Tego żeby złapać, tamtego! wołały śruby, śrubki, śrubeczki! Prawda, że bezrozumny jak pień, ale ma świetne imię i piękną suknię. Ustroi nam warsztat.”

Tak się wszyscy nawzajem oceniali, ważyli, mierzyli, wedle pożytku, jak towary.

W lesie rozbójnicy wyzuwają podróżnych ze szat i pieniędzy, i to się zwie gwałtem. Tu się ludzie nawzajem wyzuwali z ciała i duszy, a to się zwało rozumem, polityką, zdatnością, praktycznością, znajomością świata i ludzi!

I nie wstydzili się tego, owszem, chełpili z przymiotów.

W tej robierni, ach! okropnie tam było! Stukot, hałas, krzyk, wrzawa, a pełno warsztatów żywych, a pełno martwych wyrobów. A wszystko stało na kłamstwie! na obłudzie!

Ach! okropnie tam było w tej robierni.

² Zakupno (daw.) – zakup.

³ Postaw – staropolska jednostka miary tkaniny.

Tak hałaśliwie, a tak martwo; tak głośno, a nigdzie serca, nigdzie duszy.

[...]

„A ty! nie przystaniesz bo do nas?”, zapytał teraz głos z jednego warsztatu, do mnie mowę obracając.

„Ja?”, ze zgrozą zawołałem.

„Tyś taki zdatny! taki szlachetny!”, ozwał się do mnie przewodnik warsztatu. „Gdybyś nam to oddał na wagę, byłaby wielka korzyść dla świata naszego przyszłego. A tak chodząc samopas, cóż zrobisz? Szkoda twoich przymiotów i zalet!”

„Szkoda twoich przymiotów i zalet”, rzekła do mnie przez sen, postać moja odbita w okularach. „Tyś taki zdatny, taki szlachetny!”

I uśmiechnęła się do mnie.

A jam zapomniał wszystkiego, com widział i słyszał, i uśmiechnąłem się też do niej.

„Ach! jaki by był z ciebie pożytek dla świata, gdybyś przystał do nas”, wołały walce, śruby i koła warsztatów. „Tyś taki zdatny! taki szlachetny! Szkoda, że się tak marnujesz. Nie znasz się na sobie, na swoich zdatnościach. Bodajbyś się poznał i przystał do nas.”

„Nie znasz się na swoich zdatnościach”, mówiła do mnie postać moja odbita w okularach.

I uśmiechnęła się znowu do mnie.

A jam zapomniał wszystkiego com widział i słyszał, i uśmiechnąłem się też do niej.

Koła warsztatów obracały się i warczały, walce i śruby kręciły się, młoty i przybijadła stukały, a i koła, i walce, i śruby, i młoty, i przybijadła zapraszały mnie do siebie, wychwalając bezprzerwanie moją zdatność i kładąc na wagę jej korzyści. Znienacka koło jedno pochwyciło mnie za surdut.

Julia Woykowska, *Z Kudowy*, Poznań: Nakładem autorki, 1850, s. 136–154.

**Jeden kłęb dymu, okrętów, kamieni (*Don
Juan. Pieśń dziesiąta, fragment*)**

George Byron

LXXXI

Słońce zachodzi, gęsty dym się kładnie,
Jak z wypalonych na poły wulkanów,
Nad tą przestrzenią dziwną, którą snadnie
Można by nazwać „salonem szatanów”.
Juana trwożny szacunek napadnie,
Choć to nie jego dom – owa Brytanów
Ziemia, mać synów, którzy wyrzeczali
Połowę świata, pół przehandlowali.

LXXXII

Jeden kłęb dymu, okrętów, kamieni,
Cegieł, daleko, jak oko poniesie;
Gdzieniegdzie żagiel białością się mieni
I zaraz ginie w masztów gęstym lesie;
Wieże, rozsiane na wielkiej przestrzeni,
Raz po raz, jakby z ciekawości, w mgłę się
Zjawiają; kopała czarna jak na głowie
Błazeńska czapka – to się Londyn zowie.

George Byron, *Don Juan. Pieśń dziesiąta*, przeł. Edward Porębowicz,
w: tenże, *Wybór dzieł*, t. 3, wybór, przedmowa, redakcja i przypisy
Juliusz Żuławski, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1986
[1823], s. 412.

Ramiona, szpony, zęby (*List do Delfiny Potockiej, fragment*)

Zygmunt Krasiński

Wracając, wstąpiłem na „Lombarda”, który tu stoi od trzech miesięcy, bo się sprawa toczy o niego. Nigdy takiego wielkiego *steam-boat*¹ nie widział. Osobliwie machina pyszna. Oprowadzał mnie majtek, co pali w nim. Wystaw sobie ogromne piece, które co chwila rozmykać i zamykać trzeba, przed nimi kraty, kędy węgle rzucają, a przed nimi machina, z obu stron jak ulica złożona z kół, filarów, słupów stalowych, ogromnych. Co chwila środkiem tej ulicy muszą przechodzić majtki, co palą, a nie ma i dwu kroków szerokości, a ulica ta z obu stron przechodzącego rusza się, kręci, wiruje, podnosi i zniża – te filary, koła, słupy podnoszą się i zniżają, i piszczą, krzyczą, warczą. Gorąco ciągle do 50 stopni, żelazo pieców do czerwoności się rozgrzewa, noc przy tym i statek kołyszany jest z fali na falę, w burzy zatacza się jak pijany Tytan. Gdyby o włos zatoczył się przechodzący majtek, zaczepiony kołem lub filarem, poszedłby w głąb maszyny, między jej ramiona, szpony, zęby, i na miazgę by się obrócił. Powiedz, czy dla tych biednych ludzi to nie **piekło** na ziemi. Melancholijną miał twarz ten, co mnie po tym piekle oprowadzał; „przyzwyczajeni jesteśmy” – mówił do mnie z smutnym uśmiechem. Nic w życiu ponurszego i okropniejszego nie widziałem. Teraz pomyśl o wszystkich kazamatach, lochach, więzieniach, fabrykach świata, o wszystkich mękach rządowych i kupieckich – pomyśl, czy to przed miłością Boga ostać się może. Czy ta przemiara złego nie jest sama już znakiem, że to złe musi minąć i przetworzyć się. Nie, niewolnik rzymski nie gorzej się miał od majtka, co za dni naszych, zmuszony przez nędzę, żyje wśród takich pieców parowych. Przemysł kupiecki wymyślił tortury równe średniowiecznym – to strach. Jedna rzecz widziana i dotknięta więcej naucza niż książek dziesięć. „Lombarda” głębie wykazały

¹ Steam-boat – statek parowy.

mi dowodnie, co to jest **Industria** dni naszych. Musi, musi się wykryć w naturze siła, która ulży ludziom i przeprowadzi ich z piekła, choćby do czyśćca tylko, nim umrzem oboje!

Zygmunt Krasiński, *List do Delfiny Potockiej z 6 kwietnia 1843* (fragment), w: tenże, *Listy Do Delfiny Potockiej*, opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, t. 1, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1975 [1843], s. 731–732.

Niewstrzymany wark i wir (*Krzyk dzieci, fragmenty*)

Elizabeth Barrett Browning

Dzieci płaczą – czy słyszycie, bracia moi? –,
Choć dalekie troski dnie...
Łono matki, co ich tuli, nie ukoi,
Nie przytłumi łez tych, nie.
Młode jagnię skacze po murawie,
Młode ptactwo ćwierka wśród swych gniazd,
Młoda sarna z cieniami w zabawie,
Młode kwiaty lśnią się na kształt gwiazd,
Tylko dzieci młode, bracia moi,
Płaczą gorzko w owy czas,
Gdy swoboda swą radością innych poi,
Poi wszystkich innych nas...

[...]

„Ach!” – biadają dzieci – „my zmęczeni,
Ni poskakać ani bieć!
Gdy zatęsknim kiedy do zieleni,
Toby tylko do snu lec.
Ni się schylić – trzęsą się nam nogi,
Iść pragnący, padamy na twarz;
Najczernerwieńsze w śnieg by zmienił głogi
Ten spod powiek gorzki potok nasz.
Po kopalniach, jak noc, ciemnych zgoła,
Ciężkie wozy musim pchać,
Lub żelazne po warsztatach koła
Wciąż obraca nasza brać.

Koła warczą, wir ich niewstrzymany
Wiatrem bije w oczy nam;
Wraz z kołami snąć wirują ściany,
Snąć wirują skrzydła bram;

W ciągłym wirze nasze serca, nasze głowy
Razem z niebem, które w oknach lśni,
Razem z much tych czarnym rojem u posowy¹ –
Wark i wir ten wieczne snać trwa dni.
Snać po wieczne dni te koła warczą
Pośród naszych modłów, skarg:
Już nam chyba zmysły nie wystarczą,
Niech się skończy raz ten wark!”

Niech się skończy choć na chwilę, niech te dzieci
Innych tu doznają tchnień;
Dzisiaj, w czas ich młodej wiosny, niech zaświeci
Przyjaźniejszy dla nich dzień!
Niech uczują, że nad ruch metalu
Inny jeszcze stworzył Pan Bóg świat;
Niech, o koła! nie mają wciąż żalu,
Że im przy was ginie rozkosz lat!...
Ale koła warczą wciąż bez końca,
Żrąc im z kości wszystką moc;
Dusze, które Stwórca powołał do słońca,
Przędą, przędą w ślepej noc...

Elizabeth Barrett Browning, *Krzyk dzieci (urywek)*, w: Jan Kasprowicz, *Poeci Angielscy. Wybór Poezji*, Lwów: Księgarnia H. Altenberga, 1907 [1843], s. 373–374.

¹ Posowa (daw.) – powała, strop, sufit.

Twoje piekielne maszyny leżą w kawałkach (*Shirley*, fragment)

Charlotte Brontë

Noc była ciemna i spokojna, choć woda w strumieniu płynęła wartko. W tej zupełnej ciszy odgłos rwącego potoku zdawał się ogłuszający, lecz mimo to ucho Moore'a zdołało uchwycić jeszcze inny dźwięk – odległy, urywany i nieprzyjemny, mianowicie dźwięk ciężkich, toczących się z chrzęstem po kamienistej drodze kół.

Wróciwszy do kantoru, fabrykant zapalił latarnię, przemaszerował z nią fabryczny dziedziniec i zabrał się do otwierania bram. Dochodzący z oddali chlupot potężnych kopyt koni pociągowych idących po błotnistej drodze zapowiadał powrót wielkich wozów dostawczych.

– Hej, Joe Scott! Czy wszystko dobrze? – zawołał fabrykant.

Widać Joe Scott nie był jeszcze dostatecznie blisko, by dosłyszeć pytanie, albowiem odpowiedź nie padła.

– Czy wszystko dobrze, pytam? – Moore zawołał ponownie i w tej samej chwili wielki pysk idącego na czele konia niemal dotknął jego nosa.

Z najbliższego wozu ktoś zeskoczył na drogę i jakiś głos zawołał:

– Ano tak, czarcie – wszystko dobrze! Bośmy je pogruchotali!

I po okolicy poniósł się odgłos uciekających stóp. Wozy znie ruchomy i nie było w nich teraz żywej duszy.

– Joe Scott! – zawołał Moore, lecz nikt nie odpowiedział. – Murgatroyd! Pighills! Sykes! – odzewu wciąż nie było. Fabrykant uniósł latarnię i obejrzał pojazdy. Okazały się zupełnie puste – brakowało i ludzi, i maszyn.

Gdzie się podziały urządzenia, na których zakup Moore zaryzykował resztę swego kapitału i od których pracy zależało powodzenie wszystkich jego inwestycji? Słowa „bośmy je pogruchotali” cały czas dźwięczały uszach właściciela fabryki. Blask trzymanej przezeń latarni wydobywał z ciemności jego twarz i usta rozciągnięte

w charakterystycznym uśmiechu – uśmiechu człowieka zdecydowanego na wszystko, który znalazłszy się w chwili krytycznej, stoi przed sprawdzianem swej siły, i którego duch może już tylko zwyciężyć lub się złamać.

Postawiwszy latarnię na drodze, Moore założył ręce na pierśsiach i stał tak, zamyślony, z wzrokiem utkwionym w ziemi, nie wiedząc jeszcze, co zdecyduje się zrobić.

Jeden z koni poruszył się niecierpliwie i fabrykant podnosząc oczy, dostrzegł, że do uprzęży zwierzęcia doczepiono coś białego. W świetle latarni rzecz okazała się kawałkiem złożonego papieru – liścikiem. Na zewnątrz nie było adresu, wewnątrz zaś widniał nadtytuł:

„Do diabła z fabryki Hollow”.

Pominę tu resztę tej dość szczególnej ortografii i zawartość listu przedstawię w zrozumiałej angielszczyźnie. Otóż brzmiała ona tak: „Twoje piekielne maszyny leżą w kawałkach na Wrzosowiskach Stilbro, a twoi pomagierzy są związani w rowie przy drodze. Niech to będzie dla ciebie przestrogą od tych, którzy po tym uczynku wrócą do domu do swych głodnych żon i dzieci. Jeśli nie zmienisz swego postępowania, jeśli spróbujesz sprowadzić nowe maszyny, usłyszysz od nas ponownie. Strzeż się!”.

Charlotte Brontë, *Shirley*, cz. 1, przeł. Ewa Horodyska, Warszawa: Prószyński i Spółka, 2016 [1849], s. 37–38.

**Ujarzmić kamieniem i żelazem (*Grzech pana
Antoniego, fragment*), George Sand**

Przyroda przebyła zbyt silny i zbyt gwałtowny wstrząs, by nie pozostały po nim ślady jakichś niezwykłych zaburzeń atmosferycznych. W ciepłym powietrzu wisiały opary jak w listopadzie, mimo pełni lata. Nie były to wszakże chłodne i przezroczyste mgły jesienne, raczej duszący dym wydobywający się z ziemi. Wzdłuż alei, którą przechadzał się wielkimi krokami przemysłowiec, ciągnęły się z jednej strony krzaki róż i innych wspaniałych kwiatów. Z drugiej strony natomiast piętrzyły się szczątki desek naniesionych i zrzuconych w bezładne stopy oraz wielkie głązy, które woda tu przytoczyła; od granicy zaś, na której zatrzymała się powódź, aż do koryta rzeki kilka morgów ogrodu, pokrytych czarnym mułem poprzecinanym pasami czerwonego piasku, przypominało jakiś amerykański las spustoszony i na pół podmyty przez wylew Ohio albo Missouri. Młode drzewa, chaotycznie wywrócone, leżały szcziopione pniami i gałęzmi w kałużach stojącej wody, która nie mogła odpłynąć, uwięziona wśród przypadkowo usypanych grobli. Piękne rośliny, zwiędłe i zbrukane, na próżno usiłowały się dźwignąć i leżały w błocie, gdzieś tam zaś bujna wegetacja, rada z dostatku wilgoci, pokrywała na pół złamane gałązki wspaniałymi i jakby tryumfalnymi kwiatami. Rozkoszny ich aromat brał chwilami górę nad słonawym zapachem błotnistych wód, a kiedy lekki wietrzyk unosił mgłę, wówczas przelatywały owe dziwne fale, na przemian pachnące i smrodliwe. Cała chmara żab, rzekłbyś spadłych z deszczem, skrzeczała przeraźliwie wśród sitowia; hałas zaś fabryki, której nie dało się jeszcze zatrzymać i której koła wysilały się na próżno, przyprawiał zniecierpliwionego pana Cardonnet o gorączkę. A słowik tymczasem śpiewał w ocalałych zaroślach i witał pełnię księżycy z beztróską kochanką lub artysty. Było to jakieś pomieszanie szczęścia i niedoli, piękna i brzydoty, jak gdyby potężna przyroda kpiła sobie ze strat stanowiących ruinę dla człowieka, łatwych zaś

do zniesienia dla niej, gdyż wystarczył jeden dzień pełen słońca i jedna noc pełna chłodnej rosy, by powetować szkody. Cardonnet na próżno usiłował skupić myśl na swoich rodzinnych sprawach, nieustannie mąciła ją troska o sprawy materialne.

„Przekłeta rzeko! – myślał, utkwivszy mimo woli wzrok w strumieniu, który dumnie i drwiąco toczył swe wody u jego stóp – kiedy zaniechasz tej bezcelowej walki? Potrafię cię w końcu poskromić i ujarzmić. Jeszcze trochę kamienia, jeszcze trochę żelaza, a popłyniesz uwieczona w granicach wyznaczonych moją ręką. Och, wiem, jak opanować twą nedorzeczną siłę, przewidzieć twoje kaprysy, pogłębić twą niemoc i złamać twój gniew. Geniusz człowieka musi zwyciężyć ślepy bunt przyrody. Dwudziestu robotników więcej, a poczujesz wędzido! Pieniądzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy! Potrzeba niewielkiej góry tego kruszcu, by powstrzymać całe góry wody. Wszystko jest rzeczą czasu i pomyślnej chwili. Wytwory mojej produkcji trzeba wysyłać z fabryki w oznaczonym dniu, by pokryć poniesione koszty. Miesiąc zastoju lub opuszczenia rąk, a wszystko przepadnie. Kredyt to przepaść, którą drażyć należy bez wahania, gdyż na dnie jej leży skarb zysku. Drażmy więc jeszcze, drażmy stale! Głupcem i tchórzem jest ten, kto staje w pół drogi i pozwala, by jego wkłady i projekty pochłonęła próżnia. Nie, nie, zdradziecka rzeko, nie zniechęcaj mnie strachy kobiet, kłamliwe przepowiednie zawistnych, nie zniechęćcie mnie i nie zmusicie, bym wyrzekł się swego dzieła, kiedy już tyle dla niego poświęciłem, kiedy tyle potu ludzkiego spłynęło na próżno, kiedy mózg mój zdobył się na tyle wysiłków, a rozum dokonał tylu cudów! Albo ta woda porwie mego trupa unurzanego w błocie, albo będzie niosła posłusznie na grzbiecie skarby mego przemysłu”.

George Sand, *Grzech pana Antoniego*, przeł. Jadwiga Dmochowska, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956 [1845], s.147–148.

Podział ziemi, podział czasu



**Podzielić wszystko na wieczne
dziedziny ziemi (*Podział ziemi*)**

Friedrich Schiller

Weźcie świat sobie, rzekł z niebios wyżyny
Jowisz do ludzi, weźcie ziemię całą;
Podzielcie wszystko na wieczne dziedziny,
Byle w braterskiej zgodzie się to stało.

Więc dalej! rusza się wszystko, co żywe,
Śpieszy się każdy i młody, i stary:
Rolnik zagarnia urodzajną niwę;
Strzelec – gęstwiny i zarosłe jary.

Kupiec zapełnia olbrzymie spichlerze;
Opat wziął wzgórzy najpiękniejsze wina;
Król wszystkie drogi w opiekę swą bierze,
Mówiąc podróżnym: moją dziesięcina.

Już po podziale przybył wieszcz z daleka,
Szuka dlań części myśli jego znękana;
Lecz próżno wokół wieszcz wzrokiem powleka:
Wszystko od dawna miało swego pana.

„Więc mnie jednego twa łaska ominie,
Cóżem zawinił, o biada mi, biada!
O najwierniejszym zapomniałeś synie!”
Tak szerząc skargi, przed tron bożka pada.

– „Jeśliś się bawił w marzenia krainie,
Odpowie Jowisz, to sam winuj siebie;
Gdzieżeś przebywał w podziału godzinie?” –
Poeta odrzekł: „ja byłem u ciebie;

Uchem wsłuchałem się w tve boskie tony,
Okiem blask twego oblicza owładał;
Przebacz duchowi, że światłem olśniony
Zapomniał ziemi i ziemskość postradał.”

A Jowisz na to: – „Cóż robić? daremno!
Świat już rozdany: pod żadnym pozorem
Do mnie nie wróci. Chcesz, żyj w niebie ze mną,
Bo ono zawsze dla ciebie otworem.”

Friedrich Schiller, *Podział ziemi*, przeł. Stanisław Budziński, w: tenże, *Z obcego parnasu*, Warszawa: Księgarnia A. W. Gruszeckiego, 1886 [1795], s. 15.¹

¹ Nowszego przekładu dokonał Henryk Gałęcki. Zob. Friedrich Schiller, *Podział świata*, przeł. Henryk Gałęcki, w: tenże, *Dzieła wybrane*, t. 1, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1955, s. 62–63.

Przekształcić wróżki w pożytecznych obywateli oświeconego państwa (*Zacheuszek Cynobrem zwany*, fragment)

E. T. A. Hoffmann

Otoczony wysokimi górami kraik ten, ze swymi zielonymi, wonnymi lasami, ukwieconymi łąkami, szemrzącymi strumieniami i wesoło pluskającymi źródłami – zwłaszcza że miast nie było w nim wcale, tylko miłe wioski i tu i ówdzie samotnie stojące pałace – podobny był do wspaniałego, cudownego ogrodu, gdzie mieszkańcy, wolni od wszelkich trosk życiowych, przechadzali się jedynie jakby dla przyjemności. Każdy wiedział, że książę Demetriusz rządzi krajem; nikt jednak nie zauważał rządów i wszyscy bardzo byli z tego zadowoleni. Osoby, które lubiły całkowitą swobodę swych poczynań, piękne okolice i łagodny klimat, nie mogły obrać sobie lepszego miejsca na pobyt niż to księstwo, dlatego też między innymi różne dobre wróżki, z rodzaju tych, którym na życzliwości i wolności przede wszystkim, jak wiadomo, zależy, tam właśnie osiadły. Im chyba przypisać należało, że prawie w każdej wsi, zwłaszcza zaś w lasach, działały się nader często różne cuda, a każdy człowiek, zachwytem z racji tych cudów i radością przejęty, absolutnie w cuda wierzył i, sam nawet o tym nie wiedząc, właśnie z tej przyczyny był dobrym i wesołym obywatelem tej krainy. Dobre wróżki, które urządziły się tu wedle swego widzimisię niby w krainie dzinnów, chętnie zapewniłyby przezacnemu Demetriuszowi życie wieczne. Lecz niestety nie było to w ich mocy. Demetriusz zmarł, a po nim objął rządy młody Pafnucjusz. Pafnucjusz już za życia swego pana ojca gnębił się skrycie tym, że – jego zdaniem – zarówno lud, jak i państwo były straszliwie zaniedbane i opuszczone. Postanowił więc rządzić i zamianował natychmiast pierwszym ministrem kraju swego kamerdynera Andrzeja, który pewnego razu, gdy Pafnucjusz zapomniał był swej sakiewki w gospodzie za górami, pożyczył mu sześć dukatów i w ten sposób z wielkiej wyratował biedy.

– Ja chcę rządzić, mój drogi! – krzyknął doń Pafnucjusz.

Andrzej wyczytał w spojrzeniu swego pana, co się z nim dzieje, padł mu do nóg i oznajmił uroczyście:

– Sire!¹ Wielka chwila nadeszła! Dzięki tobie, panie, promienne królestwo wynurza się z mroków chaosu! Sire! Oto tu błaga cię najwierniejszy twój wasal, a przemawiają przezeń tysiące głosów nieszczęsnego i biednego narodu! Sire! Wprowadź u nas oświecenie!

Pafnucjusz poczuł się niesłychanie wstrząśnięty wzniosłą ideą swego ministra. Podniósł go, gwałtownie przytulił do piersi i łkając, zawołał:

– Ministrze, mój Andrzeju! jestem ci winien sześć dukatów... i więcej... szczęście... królestwo moje... o wierny i roztropny sługo!

Pafnucjusz chciał natychmiast zarządzić wydrukowanie wielkimi literami edyktu i rozlepienie go po wszystkich rogach, że od tej chwili wprowadza się oświecenie i że każdy powinien się z tym liczyć.

– Najlepszy panie! – wykrzyknął jednak Andrzej – najmiłościwszy panie! Tak nie można!

– A jakże można, mój drogi? – zapytał Pafnucjusz, chwytając swego ministra za dziurkę od guzika i wciągając go do gabinetu, którego drzwi zamknął na klucz.

– Widzisz – jął przemawiać Andrzej, gdy siadł na małym taboreciku naprzeciw swego pana – widzisz, najmiłościwszy panie, wrażenie, jakie sprawi twój edykt o rządach oświeconych, mogłoby zostać zakłócone w brzydki sposób, jeśliśmy nie połączyli go pewnym zarządzeniem, które wyda się, być może, trudne, lecz które nakazuje mądrość. Zanim przystąpimy do wprowadzania oświecenia, czyli zanim zaczniemy wycinać lasy, regulować rzeki, uprawiać kartofle, ulepszać wiejskie szkółki, sadzić akacje i topole, nakazywać śpiewanie przez całą młodzież pieśni porannej i wieczornej na dwa głosy, zanim zbudujemy szosy i zarządzymy szczepienie

¹ Sire – w dawnej Francji forma zwracania się do pana feudalnego, od xvi wieku – wyłącznie do króla.

ospy, trzeba przepędzić z państwa ludzi o niebezpiecznych poglądach, którzy rozsądek za nic sobie mają i którzy nakłaniają lud do przesądów. Czytałeś, o najlepszy z władców, *Bajki z tysiąca i jednej nocy!* Wiem bowiem, że jego łaskawość, najjaśniejszy nieboszczyk ojczulek twój, któremu niechaj niebo da wieczne odpoczywanie w spokojnym grobie, lubił tego rodzaju nieszczęsne książki i dawał ci je do rąk jeszcze w tych czasach, gdy jeździłeś na drewnianym koniku, a jadałeś pozłacane pierniczki. A więc! Z tej to zapewne całkiem wariackiej książki znasz chyba, najjaśniejszy panie, tak zwane wróżki, nie wiesz pewnie jednak, że sporo takich właśnie podejrzanych osób osiadło tu, w twym własnym pięknym kraju, tuż obok twego pałacu, wyczyniając przeróżne bezceństwa.

– Jak to? Co mówisz? Andrzej! Mój ministrze! Wróżki! Tu, w moim kraju?! – wykrzyknął książę, blednąc i opadając na fotel.

– Spokoju, najmiłościwszy panie! – mówił dalej premier. – Spokój zaś zdołamy zachować, jeśli mądrze ruszymy do walki z tymi wrogami oświecenia. Tak! Nazywam ich wrogami oświecenia, ich to bowiem wina wyłącznie, ich, co nadużyli dobroci nieboszczyka ojczulka twego, że piękny nasz kraj pogrążony jest jeszcze w absolutnej ciemności. Praktykują bowiem niebezpieczne cudowności i nie wzdragają się pod nazwą poezji szerzyć tajemną truciznę, która czyni ludzi zupełnie niezdolnymi do służby oświeceniowi. A ponadto mają jeszcze takie nieznośne, sprzeczne z policyjnymi przepisami przyzwyczajenia, że choćby już z tego względu nie powinno się ich cierpieć w żadnym kulturalnym państwie. Na przykład: pozwalają sobie, zuchwalcy, gdy tylko im przyjdzie ochota, spacerkiem przez powietrze latać, zaprzęgając gołębie, łabędzie, a nawet uskrzydłone konie. Pytam też, najjaśniejszy panie, czy ma jakikolwiek sens opracowywanie i zaprowadzanie rozsądnej taryfy akcyzowej, kiedy istnieją w kraju ludzie, którzy potrafią wrzucać do kominów różnym lekkomyślnym obywatelom nieopodatkowane towary, gdy tylko zechcą? Dlatego też, najjaśniejszy, gdy tylko ogłoszone zostanie oświecenie – precz z wróżkami! Pałace ich zostaną otoczone policją, odbierze im się ich niebezpieczny majątek i jako włóczęgi

odstawi się je do ich ojczyzny, którą, jak zapewne wiesz już z *Tysiędca i jednej nocy*, najjaśniejszy panie, jest krainka zwana Dżinnistan.

– Czy poczta do tego kraju kursuje, Andrzeju? – zapytał książę.

– Na razie jeszcze nie – odparł minister – lecz po zaprowadzeniu oświecenia uda się może z pożytkiem wprowadzić codzienny dyliżans w tamtym kierunku.

– Ale, Andrzeju – mówił dalej książę – czy takie postępowanie nasze wobec wróżek nie zostanie poczytane za bezwzględne? Czyż rozpyszczony naród nie zacznie szemrać?

– I na to – odparł minister – i na to znalazłem już radę. Nie wszystkie wróżki, o najjaśniejszy panie, odesłamy do Dżinnistanu, kilka z nich zatrzymamy w kraju, lecz nie tylko odbierzemy im wszelkie środki, którymi mogłyby zaszkodzić oświeceniu, lecz ponadto zastosujemy inne skuteczne sposoby, aby przekształcić je w pożytecznych obywateli oświeconego państwa. Jeśli nie zgodzą się na solidne małżeństwo, to pod surową kontrolą będą mogły uprawiać jakiś pożyteczny zawód, na przykład robić na drutach skarpetki dla żołnierzy, gdy wybuchnie wojna, lub coś w tym rodzaju. Zważ, najjaśniejszy panie, że ludzie bardzo szybko przestaną wierzyć we wróżki, z chwilą gdy zaczną one przebywać pomiędzy nimi, a to będzie właśnie najlepsze. W ten sposób wszelkie szemranie zamilknie samo przez się. A co się tyczy pozostałych utensyliów wróżek, to przejdą one do książęcego skarbcza, gołębie i łabędzie odda się do kuchni książęcej na pyszne pieczone, z uskrzydłonymi końmi natomiast podejmie się również próby ucywilizowania ich i przekształcenia w użyteczne zwierzęta, obciąższy im skrzydła, odda się je do książęcych stajen na zwykły obrok, jako że stajnie wprowadzimy chyba wraz z oświeceniem.

Pafnucjusz był niesłychanie zadowolony ze wszystkich propozycji swego ministra i już nazajutrz postanowienia te wprowadzono w życie.

Na wszystkich rogach ukazał się edykt o wprowadzonym oświeceniu, a jednocześnie policja włamała się do pałaców wróżek, skonfiskowała całe ich mienie, a je same uprowadziła jako więźniów.

Bóg jeden wie, jak się to stało, że wróżka Rosabelverde, jedyna ze wszystkich, na kilka godzin przed wybuchem owego oświecenia już się o nim zwiędziła i wykorzystała ów czas, by wypuścić na wolność swe łabędzie oraz usunąć czarodziejskie krzewy różane i inne magiczne kosztowności. Wiedziała bowiem również, iż wybrano ją, by pozostała w kraju, na co, aczkolwiek z wielką niechęcią, przystała.

Ani Pafnucjusz, ani Andrzej nie mogli zresztą pojąć, dlaczego wróżki, które odtransportowano do Dżinnistanu, przejawiały tak niezmierną radość, zapewniając ponadto raz po raz, że na wszystkich pozostawionych dobrach nic a nic im nie zależy.

– A może – rzekł z oburzeniem Pafnucjusz – a może ten Dżinnistan jest państwem znacznie piękniejszym od mego, a one po prostu wyśmiewają mnie, razem z moim edyktem i moim oświeceniem, które teraz dopiero w pełni powinno rozkwitnąć?

Nadwornemu geografowi i nadwornemu historykowi poleciono złożyć szczegółowe sprawozdania o owym kraju.

Obaj stwierdzili zgodnie, iż Dżinnistan jest ubogą, nędzną krainą, pozbawioną kultury, oświecenia, uczoności, akacji i szczepionki przeciw ospie, a właściwie w ogóle nie istnieje. A już gorsza rzecz niż brak egzystencji nie może się chyba przydarzyć ani żadnemu człowiekowi, ani całej jakiejś krainie.

Pafnucjusz poczuł się uspokojony.

Ernst Theodor Amadeus Hoffmann, *Zacheuszek Cynobrem zwany*, w: tenże, *Opowieści*, przeł. Maria Kurecka, wyboru dokonał Władysław Kopaliński, Warszawa: Czytelnik, 1962 [1819], s. 21–27.

**Wierność dozgonna naszym zegarom i naszym
kapustom (*Diabeł na wieży*, fragment)**

Edgar Allan Poe

Wokół obrębu doliny (która jest zgoła jednostajna i na całej przestrzeni zasnutą brukiem płaskich dachówek) dłuży się nieprzerwanym szeregiem sześćdziesiąt tycich domostw. Te zadem wspierają się na wzgórzach i wszystkie, ma się rozumieć, poglądają ku ośrodkowi doliny, który to ośrodek przypada nieomylnie na odległość sześćdziesięciu jardów od przodkowych drzwi każdej siedziby. Każdą siedzibę poprzedza tyci ogród z przydatkiem alei okolnej, zegara słonecznego i dwudziestu czterech głów kapusty. Budowle zasię są tak wzorowo tożsame, iż jednej od drugiej odróżnić nie można. Z powodu nadmiernej zamierzchłości architektura posiada styl z lekka zdziwaczały, lecz właśnie z tego powodu zyskuje na tem znamiennejszej malowniczości. Rzeczzone domostwa zbudowano z tycich cegieł, mocno w ogniu hartowanych, czerwonych z czarnymi okrajcami¹ tak, iż mury upodobniły się do wielce przestronnej szachownicy. Poddasza wysunęły się na czoło domów, a gzymsy u pobrzeży dachów i nade drzwiami frontowymi przerosły swym rozmiarem resztę budowli. Wąskim i wklęsłym oknom przydano tycie szybki w krzepkich ramach. Dach jest pokryty mnóstwem krokwi z rurkowanymi nadwyżkami. Kadłub domów odznacza się posępnym wszędy zabarwieniem, wielkim nakładem pracy, lecz małą rozmaitością rysunku, ponieważ od czasów niepamiętnych mistrze rzeźbienia w drzewie miasta Vondervotteimittissu² potra-

¹ Okrajec (daw.) – okrawek.

² Vondervotteimittiss na samym początku opowiadania narrator przedstawia jako holderski gród, powszechnie uznawany za „najpowabniejszy zakątek świata”. Do nazwy powróci jeszcze, próbując ustalić jej etymologię, z miernym zresztą skutkiem: „Vondervotteimittiss, – Vonder lege Donder, – Votteimittis, Quasi und Bleitzitz, – Bleitzitz, obsoletum pro Blitzen” („Wśród natłoku zdań, dotyczących tej drażliwej okoliczności, po części kąśliwych, po części nader uczonych, po części zasię nie dość – żadne atoli, według moich postrzeżeń, nie może ująć za wystarczające”). W kontekście całego opowiadania jednak rozszyfrowanie tego dziwnego słowa nie powinno nastarczać

fili jeno dwom podolać wycioskom, a mianowicie – zegarowemu, tudzież kapuścianemu. Urabiali je za to na podziw i na schwał doskonale i swą rozrzną twórczość stosowali wszędzie, gdziekolwiek dłuto wściubić mogli.

Domostwa, tak zewnętrznie, jak wewnętrznie, są wzajem sobie podobne, i umeblowanie wzorowano na jednym pierwotypie. Podłoga wykładana kwadratowymi taflami, krzesła i stoły z czarnego drzewa posiadają nogi pokrętne, smukłe i zwężające się ku dołowi. Szerokie tudzież wysokie kominki nie tylko obarczono rzeźbionym ornamentem zegara i kapusty na przedzie gzymsów, lecz na domiar przydano im do dźwigania na środku policy³ prawdziwy zegar, czarownie wydzwaniający swe tik-tak, oraz dwie donice, z których każda zawiera jedną głowę kapusty, tkwiącą u brzegu, jak czatownik lub dozorca. Pomiędzy każdą głową kapusty a zegarem znajduje się ponadto mały dziwolązek z porcelany chińskiej z obrzmiałym kałdunem i z dostatnią w pośrodku dziurą, odsłaniającą tarczę zegara. Wnętrza kominków są pakowne i głębokie – z drapieźnie i pokrętne plecionymi wilkami. Trwa tam niezmiennie pokazny ogień, zaś ponad nim – przesadnie wielki, kapustą i wieprzowiną upchany gar, nad którym czuwa nieustannie wytrawna gospoia. Jest to otyła, wiekowa i tycia jejmość o błękitnych ślepiach i czerwonych policzkach, w czepcu niepomiernym, podobnym do głowy cukru, a wdzięczącym się purpurowymi i żółtymi wstęgami. Suknię ma z pomarańczowego samodziała, wielce obfitą od tyłu i wielce krótką w innych kierunkach, gdyż nie dosięga do połowy łydki. Łydki, jako też i kostki, są nieco za tęgie, lecz obleczone w piękną parę zielonych pończoch. Jej czerwonoskóre trzewiki wiąże kokarda z żółtych wstążek, rozpowiniętych i pogmatwanych

większych trudności: zlepek „Vondervotteimittiss” to tyle co – w rodzimym języku Poego – „wonder-what-time-it-is”, a więc „ciekawe, która godzina”, przymus ciągłego kontrolowania czasu, który mieszkańców miasteczka upodabnia do nakręcanych zabawek. Opowiadanie uchodzi za satyrę na Nowy Jork pod rządami Martina Van Burena, z pochodzenia Holendra.

³ Polica (daw.) – półka.

w kształt kapusty. W lewym ręku jejmość dzierży ciężki, a tyci zegarek holenderski, zaś w prawym miętosi olbrzymią warzączew⁴, przeznaczoną dla kapusty i wieprzowiny. U jej boku trwa tłusty kot łaciaty, dźwigający na ogonie klejnotowy zegarek-samograj z poślacanej miedzi, który mu chłopcy do owego miejsca uwiązali do zabawy. Co do samych chłopców – są właśnie wszyscy trzej w ogrodzie i czuwają nad maciorą; każdy ma dwie stopy wysokości. Noszą kapelusze trójgraniaste, kamizele purpurowe, do ud niemal podupadłe, – portki ze skóry danielowej, pończochy czerwone o wyglądzie sukiennym, ciężkie buty z ogromnymi, srebrnymi sprzączkami, i wydłużone kubraki z przestronnymi guzami z perłowej macicy. Każdy ponadto trzyma faję w gębie i tyci brzuchaty zegarek w prawej ręce. Kłęb dymu – rzut oka na zegarek, rzut oka na zegarek – kłęb dymu – tak spędzają czas. Maciora – tłuszczochą i próżniaczką – poświęca się już to zbieraniu pokłosa z liści niczyich, które głowom kapusty odpadły, już to wierzgliwym dąsom na złożony zegarek, zarówno przytwierdzony przez tychże łobuzów do ogona jejmości, a to w celu podniesienia jej wyglądu do wyżyn owego piękna, których już kot dostąpił.

Jakbyś wymierzył, – na wprost wejścia, w fotelu z wysokim oparciem, z pogłębieniem skórzanem, i z nogami pokrętnymi a smukłymi, jak nogi wspomnianych stołów, ugruntował się stary właściciel samego domostwa. Jest to wiekowy, tyci jegomość, nadzwyczaj odęty, posiadacz sporych, okrągłych ślepi i przestronnego a podwójnego podbródka. Zachowanie się jego podobne jest do zachowania się młodych chłopców – do słów tych nie mam chyba potrzeby nic dodawać. Cała różnica polega na tem, że ma faję sporszą nieco od nich i może z niej dobywać większych zasobów dymu. Tak samo zresztą jak oni, posiada zegarek, lecz nosi go w kieszeni. Po prawdzie mówiąc, miał coś nie coś pilniejszego do roboty, niż zaglądnienie do zegarka – zaś co to było – pragnę właśnie wyjaśnić. Siedzi oto, założywszy prawą nogę na lewe kolano, z wyrazem

⁴ Warzączew (daw.) – duża, drewniana łyżka kuchenna.

powagi w twarzy i nieustannie jedno co najmniej ze swych ślepi trzyma w stanowczym utkwieniu na pewnym niezmiernie uwagi godnym przedmiocie, który się znajduje w pośrodku równiny.

Przedmiot ów ma swój pobyt na dzwonnicy Ratuszowej. Wszyscy członkowie rady są to ludzie wielce mali, wielce okrągli, wielce otłuszczeni, wielce inteligentni, z oczyma okazałymi na kształt salaterek i z przestronnymi a podwójnymi podbródkami, mają zaś szaty o wiele dłuższe i sprzączki u trzewików o wiele sutsze, aniżeli zwykli obywatele Vondervotteimittissu. Od czasu, gdy w owym grodzie zamieszkał, odbyli kilka posiedzeń nadzwyczajnych i uchwalili te trzy doniosłe wnioski:

I

Zbrodnią jest odmiana starego błogostana.

II

Poza granicami Vondervotteimittissu nie ma nic godnego przy-swojenia.

III

Poprzysięgamy wierność dozgonną naszym zegarom i naszym kapustom.

Ponad izbą posiedzeń tkwi dzwonnica, zaś na owej dzwonnicy czy też na wieży tkwi i tkwiła od czasów niepamiętnych chluba i cud wszego miasta – olbrzymi zegar miejski Vondervotteimit-tissu. Ten ci jest przedmiot, ku któremu zwrócone są oczy starych jegomościów, utwierdzonych w fotelach ze skórzanym siedzeniem. Wielki zegar ma tarcz siedem – po jednej na każdej z siedmiu ścian dzwonnicy, tak, iż ze wszystkich dzielnic można go oglądać do syta. Obszerne i białe są tarcze, ciężkie i czarne – wskazówki. Wieży owej przydany jest człek, którego jedyną czynnością jest dbałość o wieżę, wszakże ta czynność należy do najdoskonalszych synekur, ile że zegar Vondervotteimittissu, jak pamięć ludzka sięga, nigdy nie wzywał pomocy. Aż po dni bieżące – samo przypuszczenie podobnego przypadku uważanoby za herezję. Od epok najbardziej

zamierchłych, wzmiankowanych w archiwach, wielki dzwon sprawnie wydzwaniał godziny. I rzeczywiście – udzielała się ta sprawność zarówno i innym zegarom, i zegarkom grodu. Nigdy w żadnym zakątku świata czas nie był tak dokładnie i z takim taktem odmierzany. Gdy wielki dzwon rozważył, iż nastąpiła chwila, aby orzec: *Południe*, – wszyscy posłuszni poddani, jednocześnie rozwarłszy swe gardziele, wtórzili mu zgodnym echem. Słowem, dostojni mieszczanie tracili głowy z miłości dla swej kapusty, lecz przedmiotem ich dumy były – zegary.

Ktokolwiek pozyskał synekurę – bywa też pozyskiwany dla mniej lub więcej znamiennych zaszczytów. Ponieważ jegomość z wieży Vondervotteimittissu posiada najdoskonalszą synekurę, tedy najdoskonalej jest czczony przez wszystkich śmiertelnych. Jest on naczelnym burgu⁵ dygnitarzem i nawet wieprze we własnej osobie przyglądają mu się z uczuciem pokłonnym. Tren jego szaty jest o *wiele* dłuższy, jego faja, sprzączki u jego trzewików, jego oczy oraz brzuch przewyższają o *wiele* rozmiary pomienionych przedmiotów jakiegokolwiek innego starego jegomości z miasta, – co się zaś tyczy podbródka – ten przestał być tylko podwójnym, – jest ci – potrójny.

Podaję opis Vondervotteimittissu w stanie szczęśliwości, – niestety! co za szkoda nieodżałowana, że obraz tak czarowny dnia pewnego został skazany na doznanie zmiany okrutnej!

Od dawien dawna rozpowszechnione wśród najmędrszych obywateli przysłowie brzmi: *nic poza kresem wzgórz dobrego nie ma już*, – i – zaiste – trzeba przyznać, że w słowach tych tkwi coś proroczego.

Pozawczoraj⁶, gdy pięciu minut właśnie brakowało do południa, na samej tysinie górskiego wierzchołka, od strony wschodu zjawił się przedmiot dziwnego pozoru⁷. Nie dziw, że taki wypadek powszechną ściągnął uwagę i każdy leciwy a tyci jegomość, siedząc w fotelu ze skórzanym obiciem i słupiejąc od przerażenia,

⁵ Burg (daw.) – miasto, miasteczko.

⁶ Pozawczoraj (daw.) – przedwczoraj.

⁷ Pozór (daw.) – powierzchowność, wygląd.

jedno z dwojga oczu skierował ku zjawisku, drugiemu zaś z tychże dwojga dochował nieustannego tkwienia na zegarze dzwonnicy.

Było trzy minuty do dwunastej, gdy postrzeżono, iż osobliwy a wspomniany przedmiot był zgoła tycim młodzieńcem, cudacznie upostaciowanym. Schodził ze wzgórza z tak błyskawiczną szybkością, że wkrótce każdy obywatel mógł się w nim łącno⁸ rozejrzeć. Nigdy Vondervotteimittiss nie miał sposobności oglądania tak wytwornej i tak tyciuteńkiej osoby. Miał-ci liczko czarne, jak tabaka, – nos długi i zakrzywiony, – ślepie, jako ziarnka grochu, – gębę olbrzymią i olśniewający szereg zębów, które się zdawał ukazywać zazdrośnie w śmiechu od ucha do ucha. Dorzucając do tego baki i wąsy, wy-czerpiemy, zda się, wszystko, co postać ona godnego miała uwagi.

Głowę miał obnażoną, a czuprynę starannie zaplecioną w loki. Na ubiór jego składały się: czarna, obcisła, w jaskółczy ogon ku dołowi rozwinięta szata, zaopatrzona w długi, z jednej kieszeni zwisający róg białej chustki do nosa, – pludry⁹ z czarnego kaźmirku¹⁰, – czarne pończochy, – i zwiewne trzewiki, podobne do półbutów, z olbrzymimi kokardami z czarnych, satynowych wstążek zamiast sznurowadeł. Pod jedną pachą dźwigał obszerny szapoklak¹¹, zaś pod drugą – pięciokrotnie niemal większą od siebie skrzypkę¹². W lewej jego dłoni tkwiła złota tabakierka, z której czerpał nieustanne niuchy z nieporównaną godnością, podczas gdy schodził ze wzgórza za pomocą koźlich skoków i zakreślał nogami wszelkie rodzaje fantastycznych zygzaków. Boże Miłosierny! Takiego tylko widoku nie dostało oczom sławetnych mieszczan Vondervotteimittissu! Bądźmy dokładni: pomimo śmiechu – miał nicpoń zuchwałę i złowieszcze rysy w swej twarzy, i podczas gdy prosto do miasta zdążał galopkiem, sama już stożkowatość jego obuwia wystarczała dla obudzenia tysiąca podejrzeń. I niejednen

⁸ Łacno (przestarz.) – łatwo, bez trudu.

⁹ Pludry – bufiaste spodnie, sięgające przed kolana.

¹⁰ Kaźmir (daw.) – kaszmir.

¹¹ Szapoklak – składany cylinder.

¹² Skrzypka (gw.) – skrzypce.

obywatel, który nań onego dnia poglądał, dałby to lub owo za jedno zerknięcie w głąb chustki z białego batystu, która tak nieznośnie zwisała z kieszeni jego szaty o jaskółczym trenie. Lecz przede wszystkim słuszne wywołała oburzenie ta okoliczność, że ów nikczemny chłystek, wzorzyście wywodząc nogami już to fandanga¹³, już to piruety, – nie zachowywał w tańcu żadnych *prawideł* i nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co znaczy – jak to mówią – maszerować wedle taktu.

Tymczasem nie zdążyła jeszcze pocziwa ludność grodzka rozewrzeć oczu na oścież, gdy nagle punkt o pół minuty do dwunastej – ów urwipoleć – czy dacie wiarę moim słowom? – rzucił się rozpędnie w sam środek sławetnego zgromadzenia, czyniąc tu jedno *chassé*¹⁴, owdzie – jedno *balancé*¹⁵, – po czym, wykonawszy jeden piruet i jeden zwrot *zefirowy*¹⁶, gołębim lotem pofrunął ku wieżycy Ratusza, kędy gwardian zegarowy z fają w gębie osłupiał w poczuciu własnej godności i własnego przerażenia. Atoli tyci nicpoń w te pędy dzielił go pięścią w nos, potrząsnął owym nosem, pociągnął za ów nos, przyrzucił na bakier głowie gwardianina olbrzymi szapoklak, wtłoczył mu go aż po oczy i aż po gębę, – potem wzniesioną ku górze ogromniastą skrzypką jął go tłuc tak długotrwanie i tak jędrnie, że – zważywszy na odętość gwardiana i na wielkość oraz próżnię skrzypki – można było przysiąc, iż cały regiment tęgich bębnow grał pobudkę diabelską na dzwonnej wieży Vondervotteimittissu.

Edgar Allan Poe, *Diabeł na wieży*, w: tenże, *Opowieści nadzwyczajne*, t.1, przeł. i napisał słowo wstępne Bolesław Leśmian, Warszawa: S. Orgelbranda Synowie, 1913 [1839], 124–136.

¹³ Fandango – hiszpański taniec ludowy.

¹⁴ Chassé (od franc. chasser – gonić, ścigać) – krok taneczny, polegający na podskoku, w którym jedna noga łączy się z drugą.

¹⁵ Balancé (franc.) – w balecie ruch przestępowania z nogi na nogę z ugięciem kolan i podnoszeniem się na pół palce.

¹⁶ Zefirowy – lekkie, zwiewny.

Z Bożej ziemi zrobić szachownicę numerowaną
(Choroby wieku, fragment)

Józef Ignacy Kraszewski

Na widok Demborowa, którego białe budowle ukazały się trzeciego dnia podróży, Piotruś i Iwaś westchnęli ciężko, a w powozie Anna i Michał wzajem badając swych wrażeń, nieśmiało, ukradkiem spojrzeli na siebie.

– Otóż i Demborów zdaje mi się, odezwała się Anna – a jak tu wszędzie porządnie – jak znać człowieka, co w najmniejsze rzeczy wgląda, patrz no Michale, jak to całkiem inne od kraju, któryśmy przebyli, jak to zupełnie coś nowego.

– Widzę Anulku, widzę – i nie pierwszy raz mnie to uderza, odparł Michał – ale zawsze mi tu czegoś zimno, patrz co za posępne i smutne twarze wieśniaków, jak nawet strój ich się zmienił, jak coś z cudzoziemska już wyglądają. I ten świat to nie nasz świat... ja, jak kochany nasz rotmistrz, nie jestem wcale człowiekiem praktycznym, zimno mi się tu robi. Patrz na tym słupie napis... co to być może, czy przestroga, czy nauka?

– Nie, po prostu, kawałek rejestru... uśmiechnęła się Anna...

Zagajenie czwarte

oddział ósmy.

Poddział trzeci

Uroczysko samodoły. N. 15.

– Okropna rzecz, z Bożej ziemi zrobić taką szachownicę numerowaną. Jużby się choć bez tego obeszli! zawołał Michał.

– Ty bo jesteś duszą artystą, odparła siostra – a tu właśnie żywiołu twego piękna, różnaitości, swobody nie ma wcale... symetria, ład i porządek pod linią, nie potrafią go zastąpić. Dla ciebie malowniczość jest pierwszym sympatii warunkiem, a tu jej się trudno spodziewać... nie jest to świat po staremu, ale materiał agromomiczny przemysłowy. Inna być musi fizjognomia kraju czysto

tylko gospodarskiego i fabrycznego, trzeba się w nim wyrzec fantazji, poezji i pokarmu dla potrzeb dusznych.

– Sam wuj Dembor, jak wiesz, dodał Michał, brzydzi się jak kwakier wszystkim lekkim i nieużytecznym, właśnie jak my tą niewolą i symetrią. Nie pojmuje całkiem, by sztuka, fantazja, poezja prawnie w człowieku istniały, ma je za chorobliwe symptomata i artystów trutniami nazywa, ubolewając zawsze, że w kraju tak ubogim jak nasz tyle się namnożyło darmozjadów. Dla niego najwyższa piękność wynika z linii prostych, z regularności, z ładu, z porządku, a ideałem angielska machina żelazna, połyskująca, wyostrzona, idąca jak zegarek.

Może tu być pięknie wedle serca potrzebującego swobody Bożej w stworzeniu, rozwoju wszystkiego, różnaitości, kontrastu?... Nie, musi być brzydko i smutno, gdzie jedynym zaprzątaniem zarobek... zarobek i zarobek! Dziwują się nieraz, że w Ameryce nie ma sztuki, ale żaden podobno kraj, dążnością czysto materialną, przemysłową, kupiecką zarażony, sztuki nie urodzi i potrzeby jej uczuć nie może. We Francji, od czasu jak się poczęła na wzór angielski wyrabiać, postrzegają zupełne ostygnięcie dla dzieł sztuki i literatury... ale na bursie¹ życie!!! Power² musiał jechać do Włoch, żeby tam pojąć i stworzyć swą niewolnicę grecką – na ziemi Washingtona powstają koleje, rosną maszyny, wyrabia się kauczuk, tworzą gospodarstwa i plantacje, budują miasta... ale nie ma i nie będzie poety i artyści... I my, poszedłszy w tym kierunku, do tych samych dojsć musimy rezultatów, a obejrzawszy się za siebie, gdy wielka reforma utylitarna dokonana już będzie, z pogardą ruszmy ramionami na przeszłość naszą! Wiele to heroiczných dzieciństw niezrozumiałymi się nam staną!

Anna spoglądała na brata niespokojnie, jakby z umysłu chciała go od tych wrażeń odwieść i na inną zwrócić drogę.

¹ Bursa (daw.) – giełda.

² Właśc. Powers. Hiram Powers (1805–1873) – amerykański rzeźbiarz. Sławę przyniosła mu wyrzeźbiona w marmurze *Grecka niewolnica*. Jej pierwszą, glinianą wersję artysta stworzył we Florencji.

– Ty mówisz, że to brzydkie, dodała, wyglądając oknem – ot, ja tego nie powiem – ale że smutne czegoś, to może prawda... ocknąwszy się nagle w tym kątku, rzekłbyś, żeś się gdzieś na cudzej ziemi, w Niemczech obudził, takie to nie nasze...

– Bo dla nich jeden świat, jeden człowiek, jeden naród, jedna ziemia, i nie ma poszanowania indywidualności ani narodowości, gdzie jest wyłączna cześć grosza. Nie chodzi o to, byś był tym lub owym, ale żebyś pracował, zbierał i stał się kółkiem posłusznym wielkiej maszynie ludzkości, której połowa, jak powiada stryj rotmistrz, będzie robić chustki bawełniane, a druga nimi nosy ucierać. Spójrz no, Anno... drzewa poobcinane, żeby w nich nie świergotały wróble, powytrzebiane łoży³, poprostowane drogi, poszachowane Nielitościwie pola, dymiące fabryk kominy... nie! nie jesteśmy u siebie... nie nasz to ubogi, cichy, ale tak poetyczny kraik... szwaby nam go przerobili, ani poznać! I gdzież tu w tej atmosferze zmieści się myśl o przeszłości!

– Mnie tu ciasno, duszno! mówił Michał dalej – jakbym prze-czuwał, że do życia pełnego braknie jakiegoś nieodbitego elementu, że fabrykując porządek zrobiono niewolę moralną, że przykuto człowieka do ziemi, a dając mu chleba dostatkami zapomniano o żywiołach dla ducha, serca, fantazji, dla lepszej części człowieka. Taki kraj i takie życie muszą w końcu porobić z nas Niemców... Zdaje mi się, nie wiem, ale przeczuwam, że prawdziwy postęp ludzkości, inną mić będzie podstawę i odmienną fizjognomię, że kosztem ducha, uczucia i wewnętrznej potrzeby piękna, różności, swobody, nie będzie musiał karmić człowieka i porządkować świata. Tłumaczył mi wuj Dembor swoje teorie przyszłości i mrowię (!) przechodziło po mnie na samą myśl, że w tym jego niemieckim świecie żyć by przyszło. Naówczas nikt by nic od nikogo nie potrzebował, uczucie nie przydałoby się na nic, bo na wszystkie wypadki stowarzyszenie i asekuracja musiałyby wystarczyć – szłoby wszystko jak w zegarku, przywykliby wszyscy do dobrego bytu... do

³ Łoza – długa gałązka, zwłaszcza wierzbowa.

niezlamanej formuły... i ziemia stałaby się domem pracy... klasztorem bez religii i wiary... rodzajem falansteru czy fabryki. Nie! to coś okropnego! ten ich świat naszym być nie może... czegoś więcej potrzeba człowiekowi nad strawę bydłęcia i grosz żydowski.

– Ja tam tego nie rozumiem – westchnęła Anna, ale może być, że się mylimy oboje... przywykli będąc do starego nieładu, zgnuszeni, popsuci...! cały świat idzie ku temu i mylić się nie może.

– A! moja Anno! cały świat nieraz był w błędzie i ślepotcie, nie pierwsza to dla niego omyłka. Ludzie porządku, chłodni, praktyczni, rozumni, dali cykutę Sokratesowi i ukrzyżowali Zbawiciela!... A! nie bawmy długo w Demborowie!

Józef Ignacy Kraszewski, *Choroby Wieku: Studium Pathologiczne*, t. 1, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt, Warszawa: M. Glücksberg, 1874 [1857], s. 84–87.

Czas, wielki fabrykant (*Ciężkie czasy*, fragment)

Charles Dickens

Czas szedł w Coketown zupełnie jak jego maszynie. Tyle wyrobiło się surowego materiału, tyle wypalono węgla, tyle sił zużyto i tyle przysporzyło się pieniędzy. Lecz czas, mniej nieubłagany od żelaza, stali i miedzi, prowadził za sobą różne pory roku nawet do tej jaskini dymu i cegieł i sprawiał jedyne zmiany, jakich Coketown doświadczało w smutnej swej jednostajności.

- Ludwika stała się prawie dorosłą panną - rzekł Gradgrind. Czas, ze swoją niezliczoną liczbą koni mechanicznych, nie przestawał pracować, nie zważając na niczyje uwagi, i nagle dodał młodemu Tomaszowi stopę wzrostu, nim ojciec zdążył to sobie zanotować.

- Tomasz jest już prawie skończonym człowiekiem - rzekł pan Gradgrind.

Czas obracał Tomasza w swej maszynie, gdy ojciec jego zastanawiał się nad ową sprawą - i oto już Tomasz stanął we fraku i z mocno nakrochmalonymi kołnierzykami.

- Rzeczywiście - rzekł pan Gradgrind. - Czas wielki, aby Tomasz zaczął pracować przy panu Bounderby.

Czas wszakże nie opuszczał młodego Tomasza, przyprowadził go do biura pana Bounderby, zrobił go mieszkańcem domu Bounderby, zmusił do kupienia pierwszej brzytwy i ciągle ćwiczył go w obrachunkach z niepodzielną liczbą: ja.

Ten sam czas, wielki fabrykant, zawsze z nieskończoną ilością różnorodnej roboty na każdym stopniu rozwoju, przepuścił i Cesię przez swe warsztaty i uczynił z niej piękny prawdziwie wyrób.

- Mniemam, Cecyljo Jupe - rzekł pan Gradgrind - że dalsze twoje uczęszczanie do szkoły będzie bezpożyteczne.

- I ja tak sądzę - rzekła Cesia, dygając.

- Nie chcę ukrywać przed tobą - rzekł Gradgrind, marszcząc trochę czoło - że zawiodłem się co do skutku twojej nauki w szkole, zawiodłem się bardzo. Wcale nie pozyskałaś pod kierunkiem

państwa M'Choakumchild tego zapasu ścisłych wiadomości, na które liczyłem. Jesteś niesłychanie uboga w fakty. Nie rozumiesz ścisłego znaczenia cyfr. Pozostałaś bardzo daleko za innymi, a jeszcze ci daleko, abyś była w mierze.

– Bardzo mi boleśnie, panie – odrzekła Cesia. – Sama czuję prawdę słów pańskich. Jednak pracowałam i starałam się bez ustanku.

– Tak, tak – rzekł pan Gradgrind. – Tak, wierzę ci. Starłaś się, wiem. Baczyłem na ciebie i nie mogę cię obwiniać w tym względzie.

– Dziękuję panu. Nieraz myślałam – tu Cesia bardzo oniesmiała – że może zanadto wiele starałam się uczyć, i gdybym była poprosiła, żeby mi wolno było mniej trochę się uczyć, może by...

– Nie, Cecylio, nie – rzekł pan Gradgrind, kiwając głową z najgłębszym i najszczytniejszym wyrazem praktyczności. – Nie. Kurs, który przechodziłaś, był kursem systematycznym.

Systemat – to dość powiedzieć. Domyślałam się tylko, że okoliczności twego przeszłego życia nie sprzyjały rozwojowi twych zdolności umysłowych i że rozpoczęliśmy za późno... Bo, jak już powiedziałem – zawiodłem się wielce...

– Pragnęłabym była wywdziękzyć się lepiej panu za jego dobroć dla biednej, opuszczonej dziewczyny, która nie miała żadnego prawa do łaski pana ani do jego opieki.

– Tylko nie płacz – rzekł pan Gradgrind – tylko nie płacz. Ja się nie żalę na ciebie. Jesteś przywiązana, staranna, dobra dziewczyna i... i... to zupełnie dosyć.

– Dziękuję panu bardzo – rzekła Cesia z wdzięcznym ukłonem.

– Jesteś pożyteczną dla pani Gradgrind – rzekł pan Gradgrind – i wedle ogólnie przyjętego zwyczaju jesteś dogodną dla całej rodziny, jak mi mówiła panna Ludwika i jak rzeczywiście sam zauważyłem. Spodziewam się więc, że takie stosunki zapewnią ci szczęście.

– Ja bym nic nie życzyła sobie, panie, tylko aby...

– Rozumiem, rozumiem – rzekł pan Gradgrind – chcesz jeszcze napomknąć o twym ojcu.

Słyszałem od panny Ludwiki, że dotychczas zachowujesz ową buteleczkę z olejami. Dobrze. Gdyby twe starania o nabycie nauk ścisłych lepszym były uwieńczone skutkiem, byłabyś daleko rozsądniejszą w tym względzie. Więcej ci nic nie powiem.

Rzeczywiście Gradgrind polubił Cesię i to tak bardzo, iż nie mógł nią pogardzać – a do pogardy doprowadziłoby go najpewniej nędzne zdanie, jakie miał o jej rachunkowych zdolnościach.

Czuł, a trapiła go ta myśl, że w Cesi jest coś, czego żadnym sposobem w arytmetycznej formie przedstawić niepodobna. Zapewne, jej zdolność do jasnych określeń można by było niskimi cyframi zapisać, jej znajomość arytmetyki choćby zerem oznaczyć, ale wcale nie był pewny, czy potrafiłby rozmieścić tę dziewczeczkę w kategoriach sprawozdania parlamentarnego.

Charles Dickens, *Ciężkie czasy*, przeł. Apollo Nałęcz Korzeniowski, oprac. Zbigniew Żabicki, Wrocław: Ossolineum, 1957 [1854], s. 141–143.

Ile kosztuje pragnienie (*Jaszczur, fragmenty*)

Honoriusz Balzac

Tajemnicze słowa były rozmieszczone w następujący sposób:

Co znaczyło:

JEŚLI MNIE POSIĄDZIESZ, POSIĄDZIESZ WSZYSTKO,
ALE TWOJE ŻYCIE BĘDZIE NALEŻAŁO DO MNIE.
BÓG TAK CHCIAŁ, PRAGNIJ, A TWOJE
PRAGNIENIA BĘDĄ SPEŁNIONE, ALE
MIARKUJ SWE PRAGNIENIA WEDLE
SWEGO ŻYCIA, ONO JEST TU.
ZA KAŻDYM PRAGNIENIEM
SKURCZĘ SIĘ JAK TWE
DNI. CHCESZ MNIE?
BIERZ. BÓG CIĘ
WYSŁUCHA,
NIECH SIĘ
STANIE!

– A! Ty czytasz biegle sanskryt – rzekł starzec. – Czyś może
bywał w Persji albo w Bengalu?

– Nie, panie – odparł młodzieniec, macając z ciekawością tę
symboliczną skórę, sztywną niby kawał blachy.

Stary kupiec postawił lampę z powrotem na kolumnie, rzu-
cając młodemu człowiekowi nabrzmiałe zimną ironią spojrzenie,
które zdawało się mówić: „Nie myśli już o śmierci”.

– Czy to żart? Czy tajemnica? – spytał młody nieznajomy.

Starzec potrząsnął głową i rzekł poważnie:

– Nie umiem ci odpowiedzieć. Ofiarowałem straszliwą wła-
dzę, którą daje ten talizman, ludziom obdarzonym większą po-
dobno energią niż twoja; ale, mimo iż drwiąc sobie z wątpliwego
wpływu, jakie miał wyrzucić na ich przyszłe losy, żaden nie chciał
się ważyć na zawarcie umowy tak złowrogo podsuwanej przez

nieznaną potęgę. Ja myślę w tym jak oni, wątpilem, wzdragałem się i...

– Nie spróbował pan nawet? – przerwał młody człowiek.

– Spróbować! – odparł starzec. – Czy gdybyś się znalazł na kolumnie na placu Vendôme, spróbowałbyś się rzucić w powietrze? Czy można zatrzymać bieg życia? Czy człowiek zdołał kiedy prze połować śmierć? Zanim wszedłeś do tego gabinetu, postanowiłeś odebrać sobie życie; i ot, naraz zaprzęta cię jakiś sekret i odrywa cię od śmierci. Dziecko! Czy każdy twój dzień nie nastęrczy ci bardziej zajmujących zagadek? Posłuchaj mnie. Widziałem rozwiązy dwór regenta. Jak ty byłem wówczas w nędzy, zebrałem chleba; mimo to dożyłem stu dwu lat i zostałem milionerem; nieszczęście dało mi majątek, niewiedza oświeciła mnie. Odsłonię ci w kilku słowach wielką tajemnicę ludzkiego życia. Człowiek zużywa się przez dwa instyktownie spełniane akty, które wyczerpują źródła jego istnienia. Dwa słowa wyrażają wszelką formę, którą oblekają owe dwie przyczyny śmierci: CHCIEĆ i MÓC. Między tymi dwoma kresami ludzkiej czynności istnieje inna forma, którą obierają mędracy, i jej to zawdzięczam moje szczęście i moją długowieczność. *Chcieć* spala nas, a *móc* niszczy; ale *WIEDZIEĆ* zostawia nasz wątpły ustrój w stanie trwałego spokoju. Toteż pragnienie czyli chcenie umarło we mnie zabite przez myśl; ruch czyli moc rozpłynęła się w naturalnej czynności moich organów. Krótko mówiąc, pomieściłem moje życie nie w sercu, które się kruszy, nie w zmysłach, które się ścierają, ale w mózgu, który się nie zużywa i który przeżywa wszystko. Żadne nadmierne wzruszenie nie uraziło mej duszy ani mego ciała. A jednak widziałem cały świat. Stopy moje zdeptały najwyższe góry Azji i Ameryki, nauczyłem się wszystkich ludzkich języków i żyłem pod wszelakim rządem. Pożyczałem pieniądze Chińczykowi, biorąc w zastaw ciało ojca; spałem pod namiotem Araba na wiarę jego słowa; podpisywałem kontrakty we wszystkich stolicach Europy i zostawiałem bez obawy moje złoto w wigwamie dzikiego; krótko mówiąc, osiągnąłem wszystko, ponieważ umiałem wszystkim gardzić. Moją jedyną ambicją było

widzieć. Widzieć, czy nie znaczy wiedzieć?... Och! wiedzieć, młodzińcze, czy nie znaczy używać mocą intuicji? Czyż nie znaczy odkryć samą istotę faktu i posiadać jej treść? Co zostaje z posiadania materialnego? Myśl. Osądź tedy, jak pięknym musi być życie człowieka, który mając moc wyciśnięcia w swej myśli wszystkich realności, przenosi w swoją duszę źródła szczęścia, dobywa z nich tysiąc idealnych rozkoszy oczyszczonych z ziemskiego kału. Myśl jest kluczem wszystkich skarbów, dostarcza rozkoszy skąpca, nie dając jego trosk. Toteż unosiłem się ponad światem, gdzie moje przyjemności były zawsze rozkoszami intelektu. Moją rozpustą było oglądanie mórz, ludów, lasów i gór! Wszystko widziałem, ale spokojnie, bez zmęczenia; nigdy niczego nie pragnąłem, wszystkiego oczekiwałem. Przechadzałem się we wszechświecie niby w parku, który do mnie należał. To, co ludzie nazywają troską, miłością, ambicją, klęską i smutkiem, to są dla mnie idee, które zmieniam w marzenia; zamiast je czuć, ja je wyrażam, tłumaczę; zamiast dać im pożyć moje życie, ja je dramatyzuję, rozwijam; bawię się nimi niby powieściami, które bym czytał mocą wewnętrznej wizji. Nie znużywszy nigdy moich narządów, cieszę się jeszcze krzepkim zdrowiem. Ponieważ dusza moja odziedziczyła całą siłę, której nie nadużywałem, ta głowa jest jeszcze lepiej umebLOWANA niż moje magazyny. Tu – rzekł, uderzając się w czoło – są prawdziwe miliony. Spędzam rozkoszne dni, obracając inteligentne spojrzenia w przeszłość; wskrzeszam całe kraje, krajobrazy, widoki oceanu, wspaniałe postacie historyczne! Mam urojony se-raj, gdzie posiadam wszystkie kobiety, które do mnie nie należały. Oglądam często wasze wojny, wasze rewolucje i sądzę je. Och! jak można przekładać gorączkowe i przelotne zachwyty wzbudzone kawałkiem jasnej lub ciemnej skóry, widokiem mniej lub więcej krągłych kształtów; jak można prze[d]kładać wszystkie klęski swojej omamionej woli nad szczytną zdolność wywoływania w sobie wszechświata, nad olbrzymią rozkosz poruszania się bez skrępowania więzami czasu ani zaporami przestrzeni, nad rozkosz ogarniania w sobie wszystkiego, widzenia wszystkiego, nachylania się

nad krańcami świata, aby zgłębiać inne sfery, aby słuchać Boga? Oto – rzekł grzmiącym głosem, ukazując jaszczur – zjednoczone *Móc i Chcieć*. Tu są wasze pojęcia społeczne; wasze nadmierne pragnienia, wasze wybryki, wasze rozkosze, które zabijają, wasze bóle, które dają nadto żyć; ból bowiem jest może tylko gwałtownym szczęściem. Kto mógłby oznaczyć punkt, w którym rozkosz staje się cierpieniem, i ten, w którym cierpienie jest jeszcze rozkoszą? Czy najwyższe blaski idealnego świata nie pieszczą oczu, podczas gdy najbardziej lube mroki świata fizycznego rażą go zawsze? Czy słowo rozum pochodzi od rozumieć? I co jest szaleństwo, jeśli nie nadmiar chcenia lub możliwości?

– A więc dobrze, chcę żyć bez miary! – rzekł nieznajomy, chwytając jaszczur.

– Młodzieńcze, strzeż się! – wykrzyknął starzec z nieopisaną żywością.

[...]

– Powiadam ci, skóra!

– Tak.

– Ty mi nie wierzysz. Znam cię, mój chłopcze, ty łziesz jak świeżo upieczony król.

– Jakże chcesz, abym wierzył w twoje pijackie brednie?

– Idę z tobą o zakład, mogę ci tego dowieść. Weźmy miarę.

– On nigdy nie uśnie – wykrzyknął Emil, widząc, że Rafael szpera po całej jadalni.

Dzięki owej jasności wzroku, której objawy klóć [się] niekiedy u pijanych z zamroczeniem pijaństwa, Valentin wynalazł z małą zręcznością przybór do pisania i serwetkę, powtarzając wciąż:

– Weźmy miarę! Weźmy miarę.

– Dobrze więc, dobrze – odparł Emil – weźmy miarę.

Dwaj przyjaciele rozciągnęli serwetkę i przyłożyli do niej jaszczur. Emil, pewniejszy w rękach od Rafaela, obrysował atramentem kontur talizmanu, podczas gdy przyjaciel mówił:

– Pragnąłem dwustu tysięcy franków renty, nieprawdaż? Otóż kiedy je będę miał, ujrzysz, jak się cały ten mój jaszczur skurczy.

– Tak... A teraz śpij. Chcesz, abym cię ułożył [na] tej kanapie? No, dobrze tak?

– Tak, moje niemowlę prasy. Będziesz mnie bawił, będziesz mi wypędział muchy z nosa. Przyjaciół nieszczęśliwego ma prawo być przyjacielem potentata. Dam ci też... cy... gar... ha... wań...

– No, no, traw swoje złoto, milionerze.

– A ty traw swoje artykuły. Dobranoc. Powiedzże dobranoc Nabuchodonozorowi!... Miłość! Pić! Francja... chwała i bogac... bogac...

Niebawem dwaj przyjaciele zjednoczyli swoje chrapanie z muzyką rozlegającą się w salonach. Zbyteczny koncert. Świece gasły kolejno wśród trzaskania kryształowych świeczników. Noc spowiła krepą tę długą orgię, w której opowiadanie Rafaela było niby orgią słów, zdań bez myśli oraz myśli, którym często zbrakło wyrazu.

Nazajutrz około południa piękna Akwilina wstała, ziewając, zmęczona, z policzkami pocętkowanymi odciskiem taboretu, na którym spoczywała jej głowa. Eufrazja, zbudzona ruchem swej towarzyszki, zerwała się nagle z chrapliwym krzykiem; ładna jej twarz, tak biała i świeża poprzedniego wieczora, była żółta i blada jak twarz dziewczyny idącej do szpitala. Stopniowo biesiadnicy zaczęli się ruszać, wydając żalosne pomruki, ręce i nogi mieli zdrętwiałe, wszystkie rodzaje zmęczenia czyhały na ich przebudzenie.

[...]

Podano wspaniałe śniadanie, biesiadnicy runęli do jadalni. Tam, jeżeli wszystko nosiło niezatarte ślady wczorajszej orgii, przynajmniej był tam ślad życia i myśli, jak w ostatnich konwulsjach umierającego. Niby w zapustnym pochodzie maski zmęczone tańcem, opiłe pijaństwem, grzebały saturnalie¹, siląc się wmówić wyczerpanie rozkoszy, aby nie przyznać się do własnego wyczerpania. W chwili, gdy ta mężna zgraja obsiadła stół kapitalisty, Cardot, który poprzedniego dnia znikł roztropnie po obiedzie, aby dokończyć orgii w łóżku małżeńskim, ukazał swą usługną fizjognomię okraszoną słodkim uśmieszkiem. Rzekłbyś, iż odgaduje jakiś

¹ Grzebały saturnalie – niszczyły zabawę.

spadek, że go wyobraźnią smakuje, dzieli, opisuje, inwentaryzuje, spadek pełen spodziewanych aktów, brzemienno w honoraria, równie soczysty jak piękny zraz polędwicy, w który amfitrion zatapiał w tej chwili nóż.

– Ha ha! Będziemy jedli śniadanie rejentalnie – wykrzyknął de Cursy.

– Przybywa pan na czas, aby opisać i zaprotokółować wszystkie te kawałki – rzekł bankier, ukazując biesiadę.

– Nie ma tu materiału na testament, ale na kon[t]rakkiki ślubne, może! – rzekł uczony, który pierwszy raz od roku wspólnie dopełnił aktu małżeństwa.

– Och, och!

– Ha, ha!

– Chwileczkę – odparł Cardot, ogłuszony chórem tanich konceptów – przychodzę tu w poważnej sprawie. Przynoszę sześć milionów jednemu z panów. – (Głęboka cisza.) – Proszę pana – rzekł do Rafaela, który w tej chwili wycierał sobie bez ceremonii oczy serwetką, wszak pańska matka była z domu O’Flaharty?

– Tak – odparł Rafael w pół machinalnie – *Barbara-Maria*.

– Czy ma pan tutaj – ciągnął Cardot – metrykę swoją oraz pani de Valentin?

– Przypuszczam.

– A więc, proszę pana, jest pan jedynym i wyłącznym spadkobiercą majora O’Flaharty, zmarłego w sierpniu roku 1828 w Kalkucie.

– Śliczna **kalkutacja!** – wykrzyknął dowcipniś.

– Ponieważ major przeznaczył testamentem rozmaite sumy na rzecz instytucji publicznych, rząd francuski upomniał się o spadek u Kompanii Indyjskiej – ciągnął rejent. – W tej chwili sukcesja jest dojrzała do podjęcia. Od dwóch tygodni szukałem daremnie proge-nitury z panny Barbary Marii O’Flaharty, kiedy wczoraj przy stole...

W tej chwili Rafael nagle wstał, czyniąc gwałtowny gest człowieka, który otrzymał ranę. Rozległ się niby milczący krzyk; pierwszym uczuciem biesiadników była głucha zawiść, wszystkie oczy

zwróciły się ku niemu jak płomienie. Potem szmer, podobny do szmeru wzburzonej sali w teatrze, hałas jak gdyby zamieszki ulicznej wzmógł się, urósł, każdy przywitał jakimś wykrzyknikiem tę olbrzymią fortunę przyniesioną przez rejenta. Otrzeźwiony zupełnie tym szybkim posłuszeństwem losu, Rafael rozłożył szybkim ruchem na stole serwetkę, którą niedawno zmierzył skórę jaszczuru. Głuchy na wszystko, położył na niej swój talizman i zadrzał mimo woli, widząc małą przestrzeń pomiędzy zarysem wykreślonym na płótnie a brzegiem skóry.

– No i co, co jemu? – wykrzyknął Taillefer. – Tanio doszedł do fortuny.

– *Podtrzymaj go, kanclerzu!* – rzekł Bixiou do Emila – radość go zabije.

Straszliwa bladeść oblekła wszystkie mięśnie zniszczonej twarzy spadkobiercy; rysy jego ściągnęły się, twarz stała się niby trupia maska, oczy zmartwiały. Widział ŚMIERĆ. Ten świetny bankier otoczony zwiędłymi kurtyzanami, twarzami pełnymi przesyty, ta agonia rozkoszy była żywym obrazem jego życia. Rafael spojrzął trzykrotnie na talizman mieszczący się swobodnie w nieubłaganych liniach wykreślonych na serwetce: próbował wątpić, ale jasne przecucie podcinało jego niewiarę. Świat należał doń, mógł wszystko i nie chciał już niczego. Jak podróżny w pustyni miał nieco wody dla ugaszenia pragnienia i mierzył życie na ilość łyków. Widział, ile dni miało go kosztować każde pragnienie. Wierzył już w jaszczur, słuchał swego oddechu, czuł się już chory, pytał siebie: „Czy ja nie mam suchot? Czy matka moja nie umarła na płuca?”

Honoriusz Balzac, *Jaszczur*, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), Julian Rogoziński, oprac. Ewa Bieńkowska, Wrocław-Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1999 [1831], s. 41–44, 181–188.

Nie uwzględniając więzi uczuciowej
(I temu ostatniemu, fragment)

John Ruskin

Przyjacielu! nie czynię ci krzywdy;
czy nie o denara umówiłeś się ze mną?
Weź, co twoje, i odejdz. Chcę też i temu
ostatniemu dać tak samo, jak tobie.
(Mat. xx, 13-14.)

Jeżeli to uznacie za słuszne, dajcie
mi zapłatę, a jeżeli nie – zostawcie ją sobie.
I odważyli mi 30 srebrników.
(Zach. x1, 12.)

1. Spośród złudzeń, jakie w różnych czasach opanowywały umysły szerokich rzesz rodzaju ludzkiego, najosobliwszym – a zapewne najmniej przynoszącym zaszczytu – jest współczesna *soi disant*¹ nauka ekonomii politycznej, opierająca się na koncepcji, że pożyteczne reguły społecznego działania można ustalać, nie uwzględniając roli społecznej więzi uczuciowej².

¹ *Soi-disant* (fr.) – tak zwana.

² *Unto this Last, four essays on the first principles of political economy* to jedna z najbardziej znanych i znaczących książek Ruskina. Tytuł „I temu ostatniemu” jest cytatem z Ewangelii według świętego Mateusza – przypomina przypowieść o robotnikach w winnicy, symbolizuje więc ewangeliczne tło społecznego radykalizmu autora.

W roku 1859 Ruskin podjął studia nad ekonomią polityczną. Zgodnie z panującą wówczas modą na robinsonady próbował wyobrazić sobie losy pasażerów statku zabląkanego u brzegów wyspy bezludnej i wyprowadzić z tej sytuacji wnioski o charakterze ogólnospołecznym. Latem roku 1860 przygotował *Unto this Last* w postaci artykułów. Ukazywały się one na łamach „Cornhill Magazine” (którym kierował Makepeace Thackeray) w okresie od sierpnia do listopada i niemal równocześnie były publikowane w Nowym Jorku w „Harper’s New Monthly Magazine”.

Edycja książkowa *Unto this Last* ukazała się w roku 1862; zawierała następujące artykuły: I. *The Roots of Honour* (To, co godne szacunku [...]), II. *The Veins of Wealth, Qui judieatis terram*, IV. *Ad valorem*. Książka spotkała się natychmiast z ostrą krytyką, stała się przedmiotem ataków ze strony czynników konserwatywnych, zaniepokojonych

Oczywiście – podobnie jak w przypadku alchemii, astrologii, zabobonów i innych tego rodzaju wierzeń ludowych – u podłoża ekonomii politycznej istnieje pewna idea, pozornie nadająca się do przyjęcia. „Społeczne więzi uczuciowe – powiada ekonomista – są przypadkowymi i zakłócającymi elementami ludzkiej natury; natomiast skąpstwo i dążenie do posuwania się naprzód są elementami stałymi. Wyliminujemy cechy niestałe i – uznając ludzkie stworzenie za zachłanny mechanizm – zbadajmy, z pomocą jakich praw rządzących pracą, kupnem i sprzedażą osiągać można maksymalny wynik w dziedzinie gromadzenia bogactwa. Gdy prawa zostaną raz ustalone, sprawą każdej jednostki będzie później wprowadzenie takiej dozy zakłócającego elementu uczuciowego, jakiej sama zapragnie, oraz decydowanie we własnym zakresie o wyniku w przypuszczalnych nowych warunkach”.

2. Byłoby to w pełni logiczną i skuteczną metodą analizy, gdyby charakter czynników przypadkowych, które mają być wprowadzone później, był taki sam, jak czynników badanych pierwotnie. Zakładając, że na ciało w ruchu oddziałują siły stałe i niestałe, zwykle najłatwiej jest zbadać jego drogę przez wytyczenie jej, najpierw w warunkach stałych i późniejsze dopiero uwzględnienie przyczyn odchyień. Jednakowoż w rozpatrywanym tu problemie społecznym elementy zakłócające nie mają tego samego charakteru, co elementy stałe: z chwilą gdy zostają dodatkowo uwzględnione, zmieniają samą istotę stworzenia będącego przedmiotem badania; działają nie matematycznie, lecz chemicznie, stwarzając warunki, które czynią

demaskatorskim charakterem wypowiedzi Ruskina i stanowczą obroną ludzi biednych, wyzyskiwanych przez bogaczy. Sam Ruskin cenił to swoje dzieło, uważając je za najlepsze z dotąd przez siebie napisanych: „Sądzę, że są to najlepsze, tzn. najbardziej prawdziwe, najszlachetniejsze i najbardziej pozytywne rzeczy, jakie kiedykolwiek napisałem” – zanotował w przedmowie.

Przekładu dokonano na podstawie edycji: *Unto this Last, by John Ruskin*, London, George Allen and Unwin Ltd, Ruskin House, 40 Museum Street, W. Ci. z roku 1923, s. 1–37. Książka została uprzejmie wypożyczona przez profesora Bogdana Suchodolskiego. Tłumaczyła Maria Treter-Horowitzowa (przyp. I. Wojnar).

całą naszą poprzednią wiedzę bezużyteczną. Przeprowadzaliśmy uczone eksperymenty z czystym azotem i doszliśmy do przekonania, że jest to gaz bardzo nieszkodliwy; i oto tym, z czym w istocie mamy do czynienia, okazuje się jego chlorek, ten zaś – z chwilą gdy podziałamy nań, kierując się ustalonymi przez nas zasadami – sprawia, że wraz z całą naszą aparaturą wylatujemy w powietrze.

3. Zważcie, że ani nie zwalczam, ani nie podaję w wątpliwość wniosków nauki ścisłej, jeśli oparte zostały na przyjętych z góry założeniach. Po prostu nie interesują mnie one, podobnie jak nie interesowałyby mnie wnioski z zakresu nauki gimnastyki, oparte na przyjęciu założenia, że ludzie nie mają szkieletu. Opierając się na takim założeniu, można by dowodzić, iż byłoby rzeczą korzystną zwinąć uczniów w kulki, rozpłaszczyć ich na kształt placków lub rozciągnąć na kształt lin i że w razie osiągnięcia takich wyników, ponownemu wprowadzeniu szkieletu musiałyby towarzyszyć różne niedogodności dla ich organizmu. Samo rozumowanie mogłoby być wspaniałe, wnioski prawidłowe, tyle że nauka byłaby pozbawiona możliwości praktycznego zastosowania. Współczesna ekonomia polityczna opiera się na dokładnie takiej samej podstawie. Zakładając – nie, że istota ludzka pozbawiona jest szkieletu, ale że cała jest samym tylko szkieletem, opiera swą „ukostniającą” teorię postępu na takim właśnie negowaniu istnienia duszy; a po ukazaniu maksimum tego, co można zrobić z kości, oraz po zbudowaniu szeregu interesujących figur geometrycznych z czaszek i piszczeli skutecznie wykazuje niedogodność ponownego pojawienia się duszy w tych korpuskularnych strukturach. Nie zaprzeczam prawdziwości tej teorii, po prostu neguję możliwość jej praktycznego zastosowania w obecnej fazie rozwoju świata.

John Ruskin, *I temu ostatniemu*, przeł. Maria Treter-Horowitzowa, w: tenże, *Sztuka, Społeczeństwo, Wychowanie: Wybór Pism*, wstępem i komentarzem opatrzyła Irena Wojnar, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1977 [1862], s. 259–261.



Ekonomia zysku



**Przemysł zabudował każdy kawałek ziemi (*Położenie
klasy robotniczej w Anglii, fragmenty*)**

Fryderyk Engels

Gdy kto powalęsał się kilka dni po głównych ulicach, przepychał się z trudem przez tłum ludzki, przez niekończące się szeregi wozów i wózków, gdy zwiedził „gorsze dzielnice” tej stolicy świata, dopiero wtedy spostrzeża, że ci londyńczycy musieli poświęcić najlepszą część swego człowieczeństwa, aby dokonać tych wszystkich cudów cywilizacji, od których roi się ich miasto, że ogromne drzemiące w nich siły nie zostały uruchomione, lecz stłumione w tym celu, by tylko Nieliczne mogły się bardziej rozwinąć i przez połączenie z siłami innych – spotęgować. Już tłum uliczny ma w sobie coś odpychającego, coś, przeciw czemu buntuje się natura ludzka. Czyż te setki tysięcy ludzi z różnych klas i stanów, którzy tłoczą się obok siebie, czyż nie są oni wszyscy ludźmi, mającymi te same właściwości i uzdolnienia oraz jednakie zainteresowanie w zdobyciu szczęścia? I czyż nie powinni oni w końcu wszyscy zabiegać o swoje szczęście tymi samymi sposobami i środkami? A jednak pędzą oni obok siebie, jakby nie mieli ze sobą nic wspólnego, jakby nic ze sobą nie mieli do czynienia, a wiąże ich jedynie ta milcząca umowa, która nakazuje każdemu trzymać się prawej strony chodnika tak, by obie mijające się fale tłumu nie zatrzymywały się wzajemnie. A jednak nikomu nie przychodzi na myśl poświęcić drugiemu choćby jedno spojrzenie. Brutalna obojętność, nieczułe zamknięcie się każdej jednostki w kręgu swoich prywatnych interesów występuje tym bardziej odrażająco i dotkliwie, im więcej tych jednostek tłoczy się na małej przestrzeni. A chociaż wiemy, że to izolowanie się jednostki, to ciasne sobkostwo stanowi wszędzie podstawową zasadę naszego dzisiejszego społeczeństwa, to jednak nigdzie nie występuje ono tak bezwstydnie jawnie, tak pewne siebie, jak wśród tego tłumu wielkiego miasta. Rozbicie ludzkości na monady, z których każda ma odrębną zasadę życiową i odrębny cel, ten świat atomów, dochodzi tu do ostatecznych granic.

Toteż wojna społeczna, wojna wszystkich przeciw wszystkim, tu wypowiedziana jest otwarcie. Podobnie jak przyjaciel Stirner¹, ludzie uważają się wzajemnie jedynie za przedmioty użytkowe; każdy wyzyskuje drugiego. W rezultacie silniejszy depta słabszego, a nieliczni silni, to znaczy kapitaliści, zagarniają wszystko dla siebie, podczas gdy licznym słabym, biednym, pozostaje zaledwie samo życie.

A to, co jest charakterystyczne dla Londynu, jest też charakterystyczne dla Manchesteru, Birmingham i Leeds, jest charakterystyczne dla wszystkich wielkich miast. Wszędzie barbarzyńska obojętność, twardy egoizm z jednej, a bezprzykładna nędza z drugiej strony. Wszędzie wojna społeczna; dom każdej jednostki jest fortecą w stanie oblężenia, jeden łupi drugiego pod ochroną prawa – a wszystko to tak bezwstydnie, tak otwarcie, że ogarnia nas przerażenie przed występującymi tu w tak obnażonej postaci konsekwencjami naszego ustroju społecznego, i niczemu bardziej się nie dziwimy, jak temu, że przy tej szaleńczej praktyce jeszcze cokolwiek trzyma się kupy.

Ponieważ w tej wojnie społecznej bronią, za pomocą której prowadzi się walkę, jest kapitał, bezpośrednio lub pośrednio posiadanie środków spożycia i środków produkcji, zatem jest rzeczą jasną, że wszystkie ujemne skutki takiego stanu rzeczy spadają na biednego. Nikt się o niego nie troszczy; wepchnięty w ten skotłowany wir, musi się przebijać, jak umie. Jeżeli jest na tyle szczęśliwy, że otrzyma pracę, tzn. jeżeli burżuazja wyświadczy mu tę łaskę, że zechce się bogacić jego kosztem – to oczekuje go wynagrodzenie, które wystarcza zaledwie na to, by nie wyzionąć ducha. Jeżeli nie otrzyma pracy, może kraść, o ile nie boi się policji, lub umierać z głodu, a policja będzie już wtedy dbała o to, by umarł z głodu po cichu, nie zakłócając spokoju burżuazji. W czasie mojego pobytu w Anglii przynajmniej 20 do 30 ludzi zmarło po prostu z głodu, wśród oburzających okoliczności, a przy oględzinach zwłok rzadko

¹ Max Stirner (1806–1856) – niemiecki filozof, anarchoindywidualista.

kiedy znaleźli się sędziowie przysięgli, którzy mieli odwagę wyrazić to stwierdzić. Zeznania świadków mogły być jak najbardziej jasne i niedwuznaczne – burżuazja, z której rekrutowali się sędziowie, znajdowała zawsze furtkę, aby ominąć straszny werdykt: „zmarł z głodu”. Burżuazji *nie wolno* w tych wypadkach mówić prawdy, wydałaby przecież wyrok na siebie samą. Ale i pośrednio z głodu zginęło wielu – znacznie więcej niż bezpośrednio; stały bowiem brak dostatecznej ilości środków żywności wywoływał śmiertelne choroby i w ten sposób porywał swe ofiary; osłabiał je tak, że pewne wypadki, które w innych okolicznościach miałyby całkiem niewinny przebieg, sprowadzały nieuchronnie ciężkie choroby i śmierć. Angielscy robotnicy nazywają to mordem społecznym i oskarżają całe społeczeństwo o to, że nieustannie dopuszcza się tego przestępstwa. Czyż nie mają racji?

Wprawdzie z głodu giną tylko jednostki – ale jakąż gwarancję ma robotnik, że jutro nie przyjdzie kolej na niego? Kto mu zabezpieczy jego rodzinę? Kto mu zaręczy, że jeśli jutro z jakiegokolwiek powodu lub bez powodu chlebodawca zwolni go z pracy, on wraz z rodziną da sobie radę dopóty, dopóki nie znajdzie innego, który „da mu chleb”? Kto zaręczy robotnikowi, że chęć do pracy wystarczy, by tę pracę otrzymać, że uczciwość, pilność, oszczędność i wszystkie te liczne cnoty, które zaleca mu mądra burżuazja, są dla niego rzeczywiście drogą do szczęścia? Nikt. On wie, że dzisiaj coś posiada, ale czy jutro też będzie co miał, to już nie zależy od niego; wie, że byle powiew, byle kaprys chlebodawcy, każda zła koniunktura handlowa może z powrotem wtrącić go w ten dziki wir, z którego się chwilowo wydostał, a w którym trudno, często zaś w ogóle niepodobna utrzymać się na powierzchni. Wie, że jeśli dziś może żyć, to jest rzeczą bardzo niepewną, czy będzie mógł żyć również jutro. [...]

Takie jest Stare Miasto Manchesteru – a gdy przeglądam raz jeszcze swój opis, muszę wyznać, że nie jest on bynajmniej przesadzony, że przeciwnie, jest wciąż jeszcze zbyt mało jaskrawy, by unaozcnić, jak brudne, niechlujne i nienadające się do mieszkania

są tu domy, unaocznic urągające wszelkim względom czystości, wentylacji i zdrowotności budownictwo tego okręgu, liczącego co najmniej dwadzieścia do trzydziestu tysięcy mieszkańców. I taka dzielnica istnieje w centrum drugiego co do wielkości miasta Anglii, pierwszego miasta fabrycznego na świecie! Jeśli kto chce zobaczyć, jak mało miejsca wystarczy człowiekowi do poruszania się, jak mało powietrza – i to jakiego powietrza! – starczy mu w ostateczności do oddychania, jak mała dawka cywilizacji potrzebna mu jest w życiu – ten powinien przyjść tutaj. Jest to wprawdzie *Stare Miasto* – i na to powołują się tu ludzie, gdy im się mówi o potwornym stanie tego piekła na ziemi – ale cóż z tego? Wszystko, co tu tak gwałtownie wzbudza w nas wstręt i oburzenie, jest nowszego pochodzenia, należy do *epoki przemysłowej*. Te kilkaset domów należących do starego Manchesteru dawno zostały opuszczone przez swych pierwotnych mieszkańców; wyłącznie przemysł ponapychał w nie tłumy robotników, którzy znajdują w nich obecnie schronienie; to właśnie przemysł zabudował każdy kawałek ziemi między tymi starymi domami, by móc jako tako osiedlić te masy, które sobie sprowadził z okolic rolniczych i z Irlandii; to przemysł pozwala właścicielom tych bud dobrych dla bydła wynajmować je za wysokim czynszem ludziom na mieszkania, wyzyskiwać ubóstwo robotników, podkopywać zdrowie tysięcy jedynie po to, żeby *oni* mogli się bogacić; to przemysł sprawił, że ledwo uwolniony z poddaństwa robotnik mógł być znowu użyty po prostu jako materiał, jako *rzecz*, że musiał się dać zamknąć w mieszkaniu, które dla innych było zbyt liche, a któremu on za swe drogie pieniądze ma prawo pozwolić rozpaść się do reszty. Sprawił to tylko przemysł, który nie mógłby istnieć bez tych robotników, bez ich ubóstwa i niewoli.

Fryderyk Engels, *Położenie klasy robotniczej w Anglii*, przeł. Aleksander Długosz, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła*, t. 2, Warszawa: Książka i Wiedza, 1952 [1845], s. 299–302, 333–334.

**Gdy otchłań pożyteczna, można się z nią
zgodzić (*Sarkazmy czarnego ducha*)**

Wiktor Hugo

Dla was liczy się tylko wzgląd ekonomiczny.
Piekło jest siłą, o wieku użyteczności!
Porusza się i kłębi – co z tego dla ludzkości?
Każdy ruch musi się produktem jakimś spłacić,
Nic w naturze nie ginie, wartoż potępieńców tracić?
Potępienie tak samo jak i wniebowzięcie
Musi mleć, fabrykować, gotować zawzięcie.
Wy o wszystko pytacie: Do czego to służy?
Cudów nie trza, z narzędzi pożytek zaś duży.
U was Tyzyfona¹ dziergałaby pończochy.
W grocie ciemnej, gdzie mgła odwieczne tłumi szluchy,
Gdzie noce w nocy wstają jak ogromne bory,
Iblis² olbrzymi, ze strzaskanym czołem, chory,
Splatałby łapcie lub słomkowe kapelusze,
A wy wołalibyście jeszcze: Pracuj, nuże!
Spożytkowalibyście zgrzytanie zębami,
A do zjaw z płonącymi ócz oczodołami,
Do larw umęczonych już przez wieczność całą,
Spoczywających pod ponurych chmur powałą:
Zarób na siebie, wstawaj, hej no, ruszaj się że!
Piekło was gniewa, bo się tam nieróbstwo lęże!
Procent, tyle od sta, profit to rzecz święta,
Ulokowany grosz, najkorzystniejsza renta,
To tu się liczy. Gdyby człowieka Bóg pytał,
Na nieb frontonie napisałby pewnie: Kapitał.
I stworzenie by było jedną wielką kuchnią!
A wam w to graj, by czyściec wreszcie pracą buchnął.

¹ Tyzyfona – w mitologii greckiej jedna z Erynii, mścicielek wymierzających karę.

² Iblis – w wierzeniach muzułmańskich: zły duch, szatan.

Gdy otchłań pożyteczna, można się z nią zgodzić,
Niech tam cierpią duszyczki, ale to się godzi,
By katusz jednych, drugich wzmagała dobrobyt:
Niech nie płoną daremnie łachmany ubogie.
To, człowieku, kupieckie twe rozumowanie:
Gehenna niechaj piecem firmamentów stanie!
Wy księgi rachunkowe za Biblię trzymacie,
Co dla was potępieniec? Opał, co tanio go macie.
Aparaturę podłączylibyście grzewczą
Do największej boleści świata, taką rzeczą
Użylibyście piekła do ogrzewania miast!
Myśl przednia, pomysł wielki, braćże go natychmiast!
Męczarnie potępieńców, choć słuszne, to nadto
Znajdą zastosowanie, przybliżą wam lato!
Zło nieskończone pod dobrem nieskończonym żarzy
Jak głównia, co ma warzyć wodę w wielkim garze,
Otchłań żaru pod gwiezdą na kształt wielkiej świcy,
By zakiełkować mogło ziarenko pszenicy!
Astarot³ mieszejący ognistymi widły
Śniegi, w których śmierć biała zastawiła sidły,
Wygarnie z odwiecznego nieszczęścia zaświatów
Maj uśmiechnięty z naręczami świeżych kwiatów!
Tartarus⁴ uzbrojony w przewody i rury
Wypychać będzie z dolnych pokładów do góry
Nadmiar cierpień, żalości, owoce ludzkich win,
By zmienić je w kaloryczne cukry waszych win.
Wyklute jajko, pędy, brzoskwinia dojrzała,
Mleko, miód, radość, ule pszczele, róża biała,
Wszystko to świadczyć będzie o pożytkach piekła.
Czasem tylko, gdy groza za bardzo dopiekała,
Dziki, płowy Lucyfer łeb wychyli z Etny,

³ Astarot – w tradycji okultystycznej księżę zachodniego piekła.

⁴ Tartar (łac. Tartarus) – w mitologii greckiej najniższa część podziemnej krainy, w której przebywały dusze skazanych na wieczne cierpienie.

Niby jaki kominiarz ubrudzony szpetnie.
Piekło ciężkich robót dożywociem? Ohyda!
Aż oficjalny anioł, grający Rotszylda⁵,
Obejrzawszy odkryte czeluście zatraty,
Jąłby obliczać zyski możliwe i straty
Tych manufaktur w krypcie niebieskiego dworu,
I wreszcie, z przyzwoleniem boskiego nadzoru,
To nieszczęście drążące Abrahama łono
Puszczono by w ajencję lub wydzierżawiono.
Głupcy!
Wiedźcie więc jedno, merkantylne bydło:
Szatan to nie Zabłocki, a piekło nie mydło!
Skrucha jest przywalona fatalności głazem.
O ludzie! W milczeniu wielkim Kara karze.
Czy ma duszę? Gdzieżby. Może instynkt? Chyba tak.
W pustce krążąca ślepo od góry do dna,
Nie wie, czy sama żarnem jest, czy nim obraca.
Kłątwa, gdy raz rzucona, już czas jej nie skraca,
Nic nie można z niej odjąć dla innego celu.
Kara korzeniem, świat lasem? Nie. Czeluść
Ogromna, nieobjęta w niewiedzy się chowa,
Cierpi męczarnie, jeszcze i jeszcze, i znowu.
Wieczna pokuta złudą już nie może mamić.
Piekło jest poza czasem, poza żywiołami
Nie widzi nic, nie jest widziane. To zagroda,
Za nią światło i niebo, rzeczy, ruch, przyroda.
To pustka, studnia wielka, w której niebył mieszka,
Głusza, gdzie nie uświadczysz i śladu człowieka.

⁵ Rothschildowie – rodzina żydowskich magnatów finansowych. Dom bankowy założony w 1766 roku przez Mayera Amschela Rothschilda w rodzinnym Frankfurcie nad Menem uczestniczył w operacjach finansowych całej Europy. Majątek rodziny powiększyli jego synowie, zakładając banki w kolejnych miastach, m.in. Neapolu, Paryżu, Londynie. Bogactwo umożliwiło Rothschildom wejście w kręgi arystokracji oraz zyskanie wpływu na politykę europejską.

Tajemny jeno żar bezpłomienisty karmi
Tę piwnicę bez okien, bez drzwi, bez latarni.
Wszystko ma niewyraźny, niepewny kształt śmierci
I krzyk Jezusa uszu by tu nie przewiercił!
Takie, ludzie, jest piekło. Co robi? Smuci się.
Niewzruszenie, kamiennie coś tam myśli mu się.
Jeśli jest coś poza nim, piekło o tym nie wie.
Może na dworze świtać, róż łać się po niebie,
Słońce wschodzić, duch śpiewać, może bocian klektać,
Głucha jest głębia i otchłań jest ślepa.
To, co było żywymi, zaciera się, maże
W nocy bez granic, w żalu strasznym żarze.
Męka patrzy tu zewsząd wejrzeniem agonii.
Żadnego ruchu. Nic. Przerażający koniec.
Nie widać ni punkcika. Nie słyszać hałasu.
Czerwienie polatują nad tą czernią czasu
I nikną. Zgroza w tych żałobnych miejscach gości
I, niby ślepiec, bada omackiem ciemności.
Piekło pełza, w milczeniu cierpi, jego trwoga
I tragedia najgłębsza stąd, że nie zna Boga.

Wiktor Hugo, *Sarkazmy czarnego ducha*, przeł. Jerzy Lisowski, w: *Antologia poezji francuskiej*, wyb. Jerzy Lisowski, t. 3, Warszawa: Czytelnik, 2006 [1861], s. 183–189.

Pieniądz to nasza własna krew i ciało wyobcowane przez nas (*O istocie pieniądza, fragmenty*)¹

Moses Hess

Pieniądz jest wartością człowieka wyrażoną w liczbach, jest stemplem naszej niewoli, niezatartym piętnem naszego poddaństwa. – Ludzie, którzy mogą siebie kupić i sprzedać, są po prostu niewolnikami. Pieniądz to zakrzepły, krwawy pot nędzarzy, którzy swą niezbywalną własność, swą działalność życiową sami niosą na rynek, aby w zamian otrzymywać jej *caput mortuum*², wymienić na tak zwany kapitał i jak ludożerca żywić się własnym padłem. A tymi nędzarami jesteśmy my wszyscy! Choćbyśmy

1 Moses Hess (1812–1872) – myśliciel żydowski, prekursor ruchu socjalistycznego w Europie. Romantyzm Hessa wyrażał się w języku religijnym. Kapitalizm czy szerzej nowoczesność stanowi w tej perspektywie kolejny etap odchodzenia od „starego przymierza”, które wiązało ludzi z Bogiem i oparte było na wspólnocie dóbr. Hess odpowiedzialnością za to zerwanie obarczy przede wszystkim chrześcijaństwo, wraz z którym uruchomiony został proces odchodzenia od harmonii między człowiekiem i Bogiem, kulminujący w czasach współczesnych. Zadaniem (zarazem religijnym i politycznym), które stawia się tutaj ludzkości, jest odbudowanie pierwotnej harmonii przez nadanie życiu społecznemu moralnego ładu opartego na ideach socjalistycznych. Zgodnie z historiozoficzną wizją zawartą w *Świętej historii ludzkości* (1837), narastające w XIX wieku nierówności muszą doprowadzić albo do rewolucji społecznej, albo do ugody między klasami, w każdym wypadku jednak przyczyniając się do zniesienia prawa własności i dziedziczenia oraz ustanowienia porządku opartego na wspólnocie dóbr, emancypacji kobiet, likwidacji Kościoła, państwowym wychowaniu uwalniającym dzieci od despotycznej władzy rodziców. Filozofia Hessa różniła się więc od powstających w tym samym czasie dzieł socjalistycznych tym, że umieszczała projekt socjalistyczny w historii. Socjalizm nie był po prostu systemem społecznym lepszym od kapitalizmu (jak to ma miejsce w pracach Fouriera czy Proudhona), ale miał stanowić wynik historycznego rozwoju. Przedstawiany przez nas fragment pochodzi z 1845 roku z pierwszego numeru wydawanego przez Hessa kwartalnika „Rheinische Jahrbücher zur gesellschaftlichen Reform”, którego w praktyce ukazały się jedynie dwa numery, ponieważ pismo zostało zamknięte przez rząd heski w 1846 roku. W tekście widać wyraźny wpływ, jaki na Hessa wywiera prowadzona wówczas intensywna współpraca z Engelsem i Marksem (uderza zwłaszcza podobieństwo do fragmentu o pieniądzu z *Rękopisów ekonomiczno-filozoficznych* Marksa), która jednak nie prowadzi go do porzucenia religijno-socjalistycznego światopoglądu.

2 Caput mortum (łac.) – dosł. martwa głowa, tu: pozostałość, resztką, odpad.

teoretycznie wyemancypowali się zupełnie od owego opacznego światopoglądu, dopóki nie wydobędziemy się również praktycznie z owego opacznego świata, musimy, jak powiada przysłowie, kraść jak i wrony. Tak, musimy nieustannie sprzedawać naszą istotę, nasze życie, naszą swobodną działalność życiową, żeby przedłużyć naszą nędzną egzystencję. Okupujemy nieustannie naszą indywidualną egzystencję utratą naszej wolności. – I, ma się rozumieć, nie tylko my, proletariusze, lecz także my, kapitaliści, jesteśmy owymi nędzarami, którzy wysysają własną krew, którzy sami siebie zjadają. My wszyscy nie możemy swobodnie zatrudniać się w życiu, nie możemy tworzyć ani działać dla siebie wzajem – my wszyscy możemy jedynie konsumować własne życie, możemy tylko pożerać się wzajemnie, o ile nie chcemy zginąć z głodu. Pieniądz bowiem, który konsumujemy i dla którego uzyskania pracujemy, to nasza własna krew i ciało wyobcowane przez nas, które musimy uzyskać, zdobyć i skonsumować. Wszyscy jesteśmy – i nie wolno tego przed sobą ukrywać – ludożercami, drapieżnikami, krwiopijcami. – I będziemy nimi tak długo, dopóki każdy z nas na siebie tylko pracować musi, a nie wszyscy jeden dla drugiego.

[...]

Pieniądz jest według zasad ekonomii politycznej powszechnym środkiem wymiany, a więc medium życia, zasobami człowieka, rzeczywistą siłą produkcyjną, rzeczywistym skarbem ludzkości. Gdyby ów wyobcowany skarb istotnie odpowiadał jego wewnętrznej wartości, każdy człowiek byłby akurat tyle wart, ile posiada pieniędzy w gotówce czy walorach pieniężnych – i tak jak konsekwentna teologia ocenia człowieka jedynie według miary jego ortodoksyjności, tak samo konsekwentna ekonomia powinna go oceniać jedynie według wagi jego trzosa. W istocie jednak ekonomia, podobnie jak i teologia, bynajmniej nie troszczy się o człowieka. Ekonomia polityczna jest nauką o zdobywaniu dóbr ziemskich, tak jak nauką o zdobywaniu dóbr w niebiesiech jest teologia. Ludzie jednak nie są dobrami! Nie posiadają dla „uczonych” ekonomistów i teologów w ogóle żadnej wartości. Tam natomiast, gdzie obie te święte nauki

znajdują zastosowanie, czyli w praktyce naszego współczesnego świata kramarskiego, człowieka rzeczywiście ocenia się jedynie według jego kabzy – podobnie jak w praktyce chrześcijańskiego średniowiecza, która tu i ówdzie jeszcze kwitnie, ocenia się go według jego wyznania wiary.

Pieniądz jest produktem wzajemnie wyobcowanych ludzi, jest wyobcowanym człowiekiem. Pieniądz to nie „szlachetny kruszec” – mamy obecnie więcej papierowych pieniędzy, wartościowych papierów państwowych i bankowych niż metalowego pieniądza – pieniądzem jest to, co uchodzi za ludzką siłą produkcyjną, za rzeczywistą działalność życiową ludzkiej istoty. Kapitał zatem, według definicji ekonomii politycznej, jest nagromadzoną pracą, jej zapasem – a ponieważ produkcja wynika z wymiany produktów, więc pieniądz jest wartością wymienną. To, czego nie można wymienić, czego nie można sprzedać, nie posiada żadnej wartości. Ludzi nie można już sprzedawać, nie są zatem warci ani grosza – nabierają jednak wartości, o ile sami siebie sprzedają, czyli urzeczowiają. Ekonomiści twierdzą nawet, że wartość człowieka wzrasta w miarę, jak nie można go już sprzedawać, i wobec tego, aby móc wyżyć, zmuszony zostaje do sprzedawania samego siebie, i wyciągają stąd wnioski, że człowiek „wolny” jest więcej „wart” od niewolnika. Całkiem słusznie. Głód bowiem jest potężniejszym bodźcem do pracy niż bat właściciela niewolników, a chciwość jest silniejszą podniętą dla prywatnego posiadacza do wyężdżenia wszystkich sił niż łaskawy uśmiech zadowolonego pana. – Ekonomiści zapominają tylko o tym, że „wartość” owej „wolności” zmniejsza się w tym samym stopniu, w jakim się ona upowszechnia. Im więcej „wolnych” ludzi cisnąć się zacznie do niewolniczej pracy, tj. im więcej ich będzie na sprzedaż, tym tańsi będą lub są już. Nieznośna konkurencja psuje cenę „wolnego” człowieka – i doprawdy na bazie egoistycznych zysków prywatnych nie ma innego sposobu na podniesienie „wartości” człowieka niż przywrócenie niewolnictwa.

Niewolnictwo starożytne jest naturalną formą kontaktu pomiędzy ludźmi, opartego na rozboju; jest ono również najbardziej

ludzką formą. – Naturalną jest bowiem i ludzką rzeczą, że człowieka pozwala się sprzedawać tylko niedobrowolnie. Nienaturalne natomiast i nieludzkie jest sprzedawanie siebie dobrowolnie. Do tego szczytu podłości, do tak nienaturalnej i nieludzkiej postawy doprowadzić mógł jedynie współczesny, kramarski świat za pośrednictwem chrześcijaństwa, które jest *par principe*³ potwornością. Człowiek musiał nauczyć się wprawdzie pogardy dla ludzkiego życia, aby mógł się go dobrowolnie wyrzec. Trzeba się było wprawdzie oduczyć uważania prawdziwego życia i prawdziwej wolności za nieocenione dobro, aby oferować ją na sprzedaż. Ludzkość musiała najpierw przejść przez szkołę poddaństwa, aby uznać samą zasadę niewolnictwa. Współcześni nasi kramarze są godnymi potomkami średniowiecznych, pańszczyźnianych chłopów, podobnie jak ci z kolei, ci chrześcijańscy niewolnicy, są godnymi potomkami niewolników pogańskich. I tak jak romantyczna pańszczyzna była spotęgowaniem starożytnego niewolnictwa, tak samo współczesny świat kramarski jest spotęgowaniem romantycznej pańszczyzny. Starożytni nie posunęli jeszcze wyobcowania życia ludzkiego aż do chrześcijańskiego samowyobcowania, nie wnieśli jeszcze rozpadu ludzkiej społeczności do świadomości, nie podnieśli go do godności zasady. Starożytni byli naiwni: z całą prostotą przyjmowali wszystko, co stanowiło o istocie świata, na którym żyli (i na którym obecnie my jeszcze również żyjemy) – czyli wyobcowanie ludzi. Tak jak religia dostała w dziedzictwie po starożytności ofiarę z człowieka, której się domaga, tak samo i polityka dostała swoje, przy czym nie starano się jeszcze uzasadnić owego barbarzyństwa „naukowo”, ani też upiększyć go obłudnie przed drzemiącym, nieczystym sumieniem. – Z chwilą, gdy sumienie się obudziło, powstało chrześcijaństwo. Chrześcijaństwo – to sofistyka przebudzonego, nieczystego sumienia zdeprawowanej ludzkości, to próba uwolnienia się od wyrzutów tego nieczystego sumienia. Chrześcijanin jednak nie uwalnia się od wyrzutów sumienia w ten sposób,

³ Par principe (fr.) – zasadniczo.

że uwalnia wynędzniałą ludzkość od nędzy, lecz w ten sposób, że wmawia sobie, jakoby owa nędza ludzka nie była niczym opacznym, przeciwnie, była czymś słusznym, jakoby prawdziwe życie słusznie było życiem zewnętrznym, jakoby wyobcowanie życia było w ogóle normalnym stanem świata. – Chrześcijanin rozróżnia człowieka „wewnętrznego” od „zewnętrznego”, czyli rzeczywistość od nierzeczywistości. „Duch” człowieka, czyli reszta, która pozostaje po odjęciu wszystkiego, co „cielesne” – a to, co pozostaje, jest niewidzialne, ponieważ w ogóle niczym nie jest – „duch” człowieka jest więc jego świętym i niezbywalnym życiem; „ciało” ludzkie natomiast jest życiem nieświętym, złym, godnym potępienia, zewnętrznym, a zatem zbywalnym. Człowiek nieprawdziwy nie może sprzedać się jako niewolnik; natomiast człowiek prawdziwy jest z góry już godzien potępienia i dlatego nie tylko może, ale i powinien żyć w nędzy: albowiem ubogich jest królestwo niebieskie. – Bezpośrednim skutkiem tej nauki było faktyczne pozostawienie niewolnictwa, a nawet uznanie go za usprawiedliwione, tyle tylko, że nie sprzedawano już ludzi, lecz jedynie ciała – postęp wielki, jednakże postęp – głębiej w bagno. Skoro zaś w ten sposób uznano samą zasadę sprzedajności, otwarta już została droga naszym kramarzom do uniwersalnego poddaństwa, do powszechnego, wzajemnego i dobrowolnego kupczenia samym sobą.

Moses Hess, *O istocie pieniądza*, w: tenże, *Pisma filozoficzne 1841–1850*, przeł. Maria Kurecka i Witold Wirpsza, wyboru dokonali, wstępem i przypisami opatrzyli August Cornu i Wolfgang Mönke, pod red. Jana Garewicza, Warszawa: Książka i Wiedza, 1963 [1845], s. 405–410.

Pieniądz jest powszechną zamianą i podmianą wszystkich rzeczy (*Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, fragment)¹

Karol Marks

Pieniądz posiada właściwość nabywania wszystkiego, właściwość przyswajania sobie wszystkich przedmiotów, jest więc *przedmiotem* par excellence. Uniwersalność jego właściwości stanowi wszechmoc jego istoty; uchodzi on zatem za istotę wszechmocną. Pieniądz występuje w roli *raffura* między potrzebą i przedmiotem, między życiem i środkiem do życia człowieka. Ale *to*, co jest pośrednikiem między mną i *moim* życiem, jest też *dla mnie* pośrednikiem między mną a istnieniem innego człowieka. To jest dla mnie *innym* człowiekiem.

Do diaska! mówisz: ręce i nogi, i głowa,
i wszystkie części ciała są moje, li moje –
więc ci i rozum, i myśl każe zdrowa
funkcje tych członków też uznać za swoje!
Gdy kupię ogrów sześć – czyż ich nogi?
moje! – to ja ubijam kopytami drogi!

Goethe, *Faust* (Mefisto)²

Szekspir w *Tymonie Ateńczyku*:

Cóż to jest? Żłoto? Żółte i świejące,
Kosztowne złoto? Modłym me zanosił
Nie o to, bogi...
Toć odrobina tego zmienić zdolna
Czarne na białe, szpetne na urodne,

¹ *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, zwane czasami *Rękopisami paryskimi*, Marks sporządził podczas emigracji we Francji. Odkryte dopiero w 1920 roku, zostały opublikowane w latach trzydziestych w Związku Radzieckim i wywarły bardzo duży wpływ na dwudziestowieczną filozofię. Zapiski te stanowią wyraz intensywnych studiów Marksa nad pracami Smitha i Hegla; jest to zarazem pierwszy tekst, w którym autor konsekwentnie łączy analizę ekonomiczną z filozoficzną krytyką.

² Johann Wolfgang Goethe, *Faust*, przeł. Emil Zegadłowicz, Warszawa 1953, cz. I, str. 119.

A złe na dobre, podłe na szlachetne,
Starość na młodość, tchórza na rycerza.
Na co to, bogi? To zdolne odciągnąć
Kapłanów waszych od waszych ołtarzy,
Wyrwać poduszkę spod głów zdrowych ludzi.
Złoty niewolnik ten wiąże i zrywa
Ludzkie przysięgi, przeklętych poświęca,
Każe ubóstwiać wstrętną trędowatość,
Złodziejom daje godność i pokłony,
Na senatorskiej ławie ich osadza.
Zwiędłą już wdowę w nowe stadło wiedzie;
Tej, którą nawet szpital trędowatych
Od drzwi by swoich odepchnął ze wstrętem,
Wdzięk i woń daje wiosennego ranka.
Przekłęty prochu, świata wszetecznicu,
Ziarno niezgody między narodami...

A niżej:

O, królobójco słodki, drogi sprawco
Rozvodu między synem a rodzicem!
Czystego łoża jasny hańbicielu!
Waleczny Marsie, tyś zawsze jest młody,
Świeży, kochany! Twój rumieniec topi
Śnieg poświęcony na łonie Diany!
Widomy Boże, wszystkie przeciwieństwa
Ty w jednym możesz połączyć uścisku!
W każdym języku każdą wygrasz sprawę!
O, ty, probierczy serc ludzkich kamieniu!
Przypuść, że podniósł bunt człek, twój niewolnik,
Twoją potęgą zniszcz ród jego cały,
By mogły bestie tym światem zawładnąć!³

³ Wiliam Szekspir, *Tymon Ateńczyk*, w: tenże, *Dziela*, t. 5, przeł. Leon Ulrich, Warszawa 1958, s. 580, 594, 611.

Szekspir świetnie przedstawia istotę *pieniądza*. By go zrozumieć, zacznijmy najpierw od interpretacji ustępu z Goethego.

To, co mam dzięki *pieniądzowi*, to, za co mogę zapłacić, tzn. to, co mogę kupić pieniądze – to wszystko to *ja*, sam posiadacz pieniądza. Siła moja jest tak wielka, jak wielka jest siła pieniądza. Cechy pieniądza są moimi – jego właściciela – cechami i siłami istoty. Nie osobowość moja określa więc, czym *jestem* i na co mnie *stać*. *Jestem* brzydki, ale mogę sobie kupić *najpiękniejszą* kobietę. A więc nie jestem *brzydki*, bo działanie *brzydoty*, jej siłę odstraszającą zniweczył pieniądz. Sam jestem *chromy*, ale pieniądz dostarczy mi 24 nóg; a więc nie jestem chromy. Jestem człowiekiem złym, nieuczciwym, niesumiennym, ograniczonym, ale pieniądz doznaje czci, a więc czczony jest i jego posiadacz. Pieniądz jest najwyższym dobrem, a więc i jego posiadacz jest dobry; ponadto dzięki pieniądzowi nie potrzebuję sobie zadawać trudu być nieuczciwym, z góry mają mnie więc za uczciwego. *Nie* jestem *mądry*, ale pieniądz jest *prawdziwą mądrością* wszystkiego, więc jakże jego posiadacz miałby nie być mądry? Ponadto może on sobie kupić mądrych ludzi, a czyż ten, kto włada mądrymi ludźmi, nie jest mądrzejszy od mądrych ludzi? Czyż ja, który dzięki pieniądzowi mogę mieć *wszystko*, do czego wdycha dusza ludzka, nie posiadam wszystkich ludzkich możliwości? Czyż więc moje pieniądze nie zamieniają wszystkich moich niemożności w ich przeciwieństwo?

Jeśli *pieniądz* jest więzią, która wiąże mnie z życiem *ludzkim*, ze społeczeństwem, z przyrodą i ludźmi, to czyż nie jest on więzią wszystkich *więzi*? Czyż nie potrafi rozwiązywać i zawiązywać wszelkich *więzi*? Czyż nie jest zatem również powszechnym *środkiem separacji*? Jest on prawdziwą *monetą zdawkową*⁴, jak i prawdziwym *środkiem wiążącym*, [powszechną] *chemiczną* siłą społeczeństwa.

Szekspir podkreśla *zwłaszcza* dwie cechy pieniądza:

⁴ W oryginale gra słów: *scheiden* – rozłączać, separować; *Scheidemünze* – moneta zdawkowa, a więc moneta o wartości wyższej niż wartość metalu, z którego została wykonana.

1. Jest on widzialnym bóstwem, przeistacza wszystkie cechy ludzkie i przyrodnicze w ich przeciwieństwo, podmienia i wywraca na opak wszystkie rzeczy; łączy przeciwieństwa.

2. Jest on wszechcenną świata, powszechnym rajfurem ludzi i narodów.

Wywracanie na opak i podmienianie wszystkich właściwości ludzkich i przyrodniczych, łączenie przeciwieństw; ta *boska* moc pieniądza tkwi w jego *istocie* jako w wyobcowanej, alienującej i alienującej się *istocie gatunkowej* ludzi. Jest on wyalienowaną *mocą ludzkości*.

Czego nie jestem w stanie zrobić jako *człowiek*, czego nie są w stanie zrobić wszystkie siły mojej indywidualnej istoty, to jestem w stanie zrobić przy pomocy *pieniądza*. Zatem pieniądź czyni każdą z tych sił mej istoty czymś, czym sama w sobie nie jest, tj. jej *przeciwieństwem*.

Kiedy mam chęć na jakąś potrawę albo chcę skorzystać z dylżansu, ponieważ jestem za słaby, by odbyć drogę pieszo, pieniądź dostarcza mi potrawy i dylżansu, tzn. przeobraża moje życzenia ze stanu wyobrażenia, przenosi je z bytu myślowego, w wyobraźni, w pragnieniu – w byt *zmysłowy*, *rzeczywisty*, z wyobraźni w życie, z bytu wyobrażonego w byt rzeczywisty. Jako ten pośrednik pieniądź jest siłą *prawdziwie twórczą*.

Popyt występuje oczywiście i u tego, kto nie ma pieniędzy, ale jego popyt jest jedynie czymś, co istnieje w wyobraźni, nie ma wpływu na mnie, na osobę trzecią, na innych, nie istnieje, a więc pozostaje nawet dla mnie czymś *nierzeczywistym*, *bezprzedmiotowym*. Różnica między popytem efektywnym, opartym na pieniądzu, a nieefektywnym, opartym na mojej potrzebie, mojej namiętności, moim życzeniu itd., jest różnicą między *bytem* a *myśleniem*, między wyobrażeniem *istniejącym* jedynie we mnie a wyobrażeniem *istniejącym* dla mnie jako *rzeczywisty przedmiot* poza mną.

Kiedy nie mam pieniędzy na podróżowanie, nie mam *potrzeby*, tzn. nie mam rzeczywistej i urzeczywistniającej się potrzeby podróżowania. Kiedy mam *powołanie* do studiów, ale brak mi pieniędzy,

nie mam powołania do studiów, tzn. nie mam powołania *efektywnego, prawdziwego*. Natomiast kiedy w rzeczywistości *nie* mam powołania do studiów, ale mam takie życzenie i pieniądze, to mam *efektywne* powołanie do studiów. *Pieniądz* – jako powszechna *możność* i powszechny *środek* zewnętrzny, nie pochodzący od człowieka jako człowieka i niewywodzący się ze społeczeństwa ludzkiego jako społeczeństwa, *zdolny* uczynić *wyobrażenia rzeczywistości*, a *rzeczywistość* *pustym wyobrażeniem* – z jednej strony przekształca *rzeczywiste ludzkie i przyrodnicze siły istoty* w czysto abstrakcyjne wyobrażenia, a więc w *ułomności*, dręczące urojenia, z drugiej zaś przeobraża *rzeczywiste ułomności i urojenia*, faktycznie bezwładne, istniejące tylko w wyobraźni jednostki siły istoty ludzkiej – w jej *rzeczywiste siły i zdolności*. A więc to samo świadczy już, że jest on powszechnym wywróceniem na opak *indywidualności*, które przekształca w ich przeciwieństwo i którym nadaje cechy sprzeczne z ich rzeczywistymi cechami.

Jako ta siła *wywracająca wszystko na opak* występuje pieniądz z kolei i wobec jednostki, i wobec więzi społecznych itd., pretendujących do roli *istoty*. Przekształca on wierność w niewierność, miłość w nienawiść, nienawiść w miłość, cnotę w występki, występki w cnotę, sługę w pana, pana w sługę, głupotę w rozsądek, rozsądek w głupotę.

Ponieważ pieniądz jako istniejące i potwierdzające się w rzeczywistości pojęcie wartości zamienia i podmienia wszystkie rzeczy, jest on powszechną *zamianą* i *podmianą* wszystkich rzeczy, a więc światem na opak, zamienianiem i podmienianiem wszystkich ludzkich i przyrodniczych cech.

Kto może kupić dzielność, jest dzielny, nawet gdy jest tchórzem. Ponieważ pieniądz wymienia się nie na określoną właściwość, na określoną rzecz, na określone siły istoty ludzkiej, lecz na cały przedmiotowy świat ludzki i przyrodniczy, to, z punktu widzenia jego posiadacza, wymienia on każdą właściwość na każdą inną – również przeciwną jej właściwość i przeciwny przedmiot; brata niemożliwości, łączy w uścisku przeciwieństwa.

Przy założeniu, że człowiek jest człowiekiem i jego stosunek do świata jest ludzki, miłość możesz wymieniać tylko na miłość, zaufanie tylko na zaufanie itd. Jeśli chcesz rozkoszować się sztuką, musisz być człowiekiem wykształconym w dziedzinie sztuki; jeśli chcesz wywierać wpływ na innych ludzi, musisz być człowiekiem, który rzeczywiście inspiruje i wiedzie naprzód innych ludzi. Każdy twój stosunek do człowieka – i do przyrody – musi być *określonym*, odpowiadającym przedmiotowi twej woli *przejawem* twego *rzeczywistego indywidualnego życia*. Jeśli kochasz, nie wzbudzając wzajemnej miłości, tzn. jeśli twoja miłość jako miłość nie wytwarza wzajemnej miłości, jeśli poprzez swój *przejaw życia* człowieka kochającego nie czynisz siebie *człowiekiem kochanym*, miłość twoja jest bezsilna, jest nieszczęściem.

Karol Marks, *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, w: Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dziela*, t. 1, Warszawa: Książka i Wiedza, 1960 [1844], s. 609–614.

Handel przyłożył stempel egoizmu (*Królowa Mab*, fragment)

Percy Bysshe Shelley

Handel przyłożył stempel egoizmu,
Znak swojej mocy, niewołącej wszystko,
Na lśniącą rudę i nazwał ją złotem.
Przed tym obrazem klęka prostak możny
I próżny bogacz, i nędzny pyszałek,
Tłum chłopów, szlachty, kapłanów i królów,
Ślepym szacunkiem otaczając siłę,
Która ich ściera na proch upodlenia.
Złoto w świątyni ich serc najemniczych
Jest żywym bogiem...
...Wszystko na sprzedaż! Nawet światłość Niebios.
Nawet tak hojny dar miłości ziemskiej,
Najnikczemniejsze, najmniejsze drobiazgi,
które się kryją w otchłannych głębinach,
Przedmioty życia, nawet życie samo
I dozwolony prawem, nędzny okruc
Wolności nawet, i braterstwo ludzi,
Te obowiązki, które miłość w sercach
Ma nakazywać spełniać bez namysłu
– Wszystko się kupi, sprzeda na jarmarku,
Gdzie sam Egoizm bez maski ustala
Ceny i kładzie na nich swoją pieczęć.
Miłość na sprzedaż! – ten balsam trosk wszelkich
W mękę śmiertelną może się zamienić!
Starość w objęciach drży piękności zimnej,
Pełnej odrazy...
...Lecz Śmierć swą poczuł już siwy Egoizm
I chwiejnie teraz stacza się do grobu.
Już dzień jaśniejszy nad ludzkością świta,
Kiedy wymiana wszelkich darów ziemi

Stanie się handlem słów i dzieł dobroci
Kiedy bogactwo, nędza i głód sławy,
I strach przed hańbą, chorobą, cierpieniem,
Koszmarem wojny, ogniem tortur w piekle –
Życie będą tylko we wspomnieniach Czasu,
Który wstecz patrząc, jak patrzy pokutnik
W rozpustną młodość – zadrży grozą zdjęty.

Percy Bysshe Shelley, *Królowa Mab*, przeł. Zofia Kierszys, za: Moses Hess, *Pisma filozoficzne 1841–1850*, przeł. Maria Kurecka i Witold Wirpsza, wyboru dokonali, wstępem i przypisami opatrzyli August Cornu i Wolfgang Mönke, pod red. Jana Garewicza, Warszawa: Książka i Wiedza, 1963 [1813], s. 393–394.

Zło handlowe jest powszechne (*Człowiek religijny – reformator, fragment*)¹

Ralph Waldo Emerson

Nie dziwny się zaciętości, z jaką ludzie nowi prowadzą śledztwo przeciwko nadużyciom starego społeczeństwa. Postawmy się w położeniu człowieka nowego; wyrażając się jaśniej, postawmy się na miejscu młodzieńca, który wchodzi w życie społeczne prosty, cnotliwy i dumny. Od pierwszych jego kroków społeczeństwo nakłada nań obowiązki, aby sobie zapewnił środki utrzymania. Musi żyć, a zatem musi zarabiać. Otóż na każdej drodze, na każdej ścieżce wiodącej do majątku napotyka on nieprzewyżnione nadużycie.

Próbuje handlu. Czy istnieje teraz handel bez oszukaństwa? Od oszukaństwa krok tylko do kradzieży, a kradzież to jeszcze nie jest kres zawodu handlarskiego. A przecież stan kupiecki jest właściwie do pogodzenia z charakterem uczciwego człowieka. Spekulacje handlowe pobudzają aktywność, ćwiczą umysł. To nie potrzeby ani konieczności handlu, ale występki handlujących uczyniły z giełdy i ze sklepu otchłania nieprawości.

Jakżeż młodzieniec odważyłby się w nie zapuścić? Jak z nich może wyjść, nie zostawiając tam cnotliwości? Do tego trzeba by energii, której jeszcze nie zdobył, i doświadczenia, które będzie mógł zdobyć tylko za cenę swej cnotliwości i z uszczerbkiem dla swego ducha.

¹ Ten tekst Emersona Adam Mickiewicz przetłumaczył na francuski – a właściwie go sparafrazował – i opublikował w „La Tribune du Peuple”. Z kolei parafrazę Mickiewicza na polski przełożył Leon Płoszewski. Tłumaczenie to po raz pierwszy ukazało się w Wydaniu Narodowym *Dzieł* Mickiewicza (1949–1955). Ingerencje, jakich Mickiewicz dokonał w tekście Emersona, podsumowuje (w przypisie do cytowanego wydania) Zofia Trojanowiczowa: „Pełny tytuł [odczytu Emersona] brzmi *Man the Reformer*. Już dokonana przez Mickiewicza zmiana tytułu sygnalizuje, że nie będzie to przekład dokładny; również w tekście do wyrazu «reformator» Mickiewicz dodaje określenie «religijny». Poeta rozwija wywody Emersona, przez liczne aluzje do stosunków francuskich aktualizuje ich sens do czytelników «Le Tribune du Peuple». Nadaje odczytowi większą dynamikę polityczną, wprowadza pojęcia: rewolucja, socjalizm, których u Emersona nie ma, złośliwościami i ironią godzi w konserwatywne czynniki francuskie, które zwalczała na łamach «Trybuny»”.

Duch i cnotliwość, trzeba się z nimi rozstać na zawsze, przekraczając próg świątyni Mamona², a to dopiero wstępne ofiary! Trzeba później poświęcić wszystkie złote marzenia dzieciństwa, wszystkie szlachetne namiętności wieku młodzieńczego, wszystkie nasze skarby wewnętrzne aż do modlitwy, której nas matka nauczyła w kolebce.

Oto młody człowiek, już wtajemniczony w księgę czarownika, po części dwulicowy, biegły w szacherce i zapisany w niewolę rutyny. Biada mu, jeśli w duszy zachował choćby iskierkę ognia świętego, choćby zarodek niezawisłości w duchu! Biada mu, nie dojdzie do niczego, to człowiek stracony, zbankrutuje! Cóż wtedy pozostanie uczynić temu wygnańcowi z giełdy, temu wypędkowi ze sklepu? Jedyne, co mu pozostaje, to stać się znowu po prostu rolnikiem, spróbować zdobyć sobie z rydłem w rękę środki do życia jako osadnik, zaczynający uprawę nowego świata. Oto więc musi stać się nowym człowiekiem.

Handel tak opanował całe społeczeństwo, że wszyscy jesteśmy mniej lub więcej współwinni – bez naszej wiedzy – w oszukaństwach, w fałszowaniu napojów, w handlowym złodziejstwie i przechowywaniu rzeczy skradzionych. Aby się o tym przekonać, przyjrzyjmy się wszystkim przeobrażeniom, przez jakie przechodzi towar od urodzenia się na glebie rodzinnej aż do ostatecznego wejścia w usta konsumenta.

Zaprawdę mówię wam, jemy oszukaństwo, pijemy fałszowanie napojów, w tytoniu palimy zbrodnię i odziewamy się krzywo-przysięstwem.

Weźmy na przykład towary otrzymywane przez nas z Indii Zachodnich, z wyspy Kuby (kraju przecież katolickiego), kraju urzędowo pobożnego, gdzie każdy kupiec z wyjątkiem konsula (arcykupca) musi podobno otrzymać zaświadczenie, że jest chrześcijaninem i katolikiem. Wiecie, w jaki sposób i od kogo otrzymuje się te towary? Przypominacie sobie, że gdzieś istnieje ludność

² Mamon – syryjski bóg bogactw.

robotników-niewolników, zwanych Murzynami, że są handlarze Murzynów, eksploatatorzy Murzynów? Jeśli tego nie wiecie, jeśliście zapomnieli o tym, przeczytajcie mowy wszystkich Schœlcherów³ naszej doby. Wasze sumienie ugnie się pod ciężarem olbrzymiego długu ludzkości, który świat chrześcijański zaciągnął wobec ludności czarnej, długu, którego procenty zaczynają się liczyć od dnia, kiedy pierwszy Murzyn został sprzedany plantatorowi, długu, za który wszyscy jesteście odpowiedzialni.

Dodajmy, że z czasem kapitał tego długu ludzkości wzrasta wskutek przebiegłości, jaką wprowadza się w metody eksploataowania niewolników. W chwili obecnej kupcy kubańscy kupują już tylko mężczyzn. Robotnicy rodzą się tam skazani na niewolnictwo, a w miarę jak dorastają, ich udręka wzmagą się przez nową karę, przez skazanie na bezżeństwo.

A to wszystko na to, aby nam dostarczyć cukru kolonialnego i cygar hawana!

Pomińmy te afrykańskie okropności handlu transatlantycznego. Pomówmy o handlu europejskim we właściwym słowa znaczeniu, o handlu dozwolonym, uprawnionym, w dobrym tonie i dobrze wychowanym. Zapewne, ten zacny handel musi być mało wrażliwy, bardzo chłodny, a dowodem jest to, że gdybym mówiąc o handlu, odważył się wypowiedzieć tutaj słowo **miłość** lub **heroizm**, wszystkich by to zgorszyło. Wyglądałoby to, jakbym wygłaszał bluźnierstwa. Jakżeż przetłumaczyć miłość, heroizm na systematyczny język handlu? Handel nie dopuszcza tych wyrazów, wzbrania się je zrozumieć, nie lubi słyszeć, że się je wymawia.

Handel ma swój własny systemat, własny język. Jest to systemat nieufnego zaufania, potajemnych czynności wykonywanych w pełnym świetle dnia, łagodnych zrad, głębokich sekretów, które zdradzają się afiszami. Język jego składa się z hieroglificznych gestów, z których każdy ma wartość milionów biletów (*bank-notes*),

³ Victor Schœlcher (1804–1893) – francuski abolicjonista. Przywołanie jego nazwiska jest jedną z ingerencji Mickiewicza.

każdemu towarzyszą najostrejsze a zarazem najpoważniejsze akcenty, jakie kiedykolwiek znano; mające wszechwładzę nad masami, wywołują one zwwyżkę i zniżkę na giełdzie.

Język ten ma półsłówka, które szeptane na ucho zmieniają przekonania mężów stanu, odporne na wymowę parlamentarną. Ma również trafne wyrażenia i dokładny styl, które absolutnie niczego nie mówią⁴.

W języku tym nie masz ani jednego słowa, które by można powiedzieć na ucho uczciwemu człowiekowi, przyjacielowi, ukochanej kobiecie.

Ci, co chcą nadal żyć i rozmawiać z uczciwymi ludźmi, z przyjaciółmi, z kobietami ukochanymi, muszą z konieczności odrzucić systemat i język handlu. Czy dlatego powinni potępiać kupca i fabrykanta z powodu grzeszności handlu i przemysłu? Nie. To nie jednostka zgrzeszyła ani zawód przez nią wykonywany, a nawet nie korporacja, do której należy; to grzech pierworodny każdego z nas, synów społeczeństwa kramarskiego; to grzech producenta, fabrykanta i konsumenta.

Weźcie każdego z nich osobno, bez ociągania się uzna grzech; będzie nawet na kolanach i z odkrytą głową prosił o rozgrzeszenie; ale nigdy nie uzna się winnym. Czyż to ja wynalazłem oszukaństwo? Czy oskarżycie mnie, że mam patent na fałszowanie napojów? Wszyscy to robią i nie ma sposobu nie robić tego, co robią wszyscy. Czymże ja jestem? Nieborakiem! Muszę jakoś żyć.

Istotnie, zło handlowe jest powszechne, społeczne; działa z całą siłą, którą czerpie ze społeczeństwa, i nikt spomiędzy kupców nie ośmieli się temu przeciwdziałać w imię dobra społeczeństwa, jako członek społeczeństwa, jako człowiek.

Ale czy kupiec jest człowiekiem? Czy jemu zależy na społeczeństwie? Musiał – powiedzieliśmy już – wyrzec się swej godności człowieczej; odłącza się od społeczeństwa, toczy z nim wojnę, w bliźnich swych widzi tylko konkurentów, a zatem wrogów. Toteż

⁴ Język ten ma półsłówka... – akapit dodany przez Mickiewicza.

nie dziwcie się, że jest tylu młodzieńców, którzy wybrawszy z zapalem stan kupiecki, rzucają go, nie wracają do niego i nigdy nie wrócą.

Ci prawi młodzieńcy mieli duszę! Dusza, choćby najmniejsza, jest już zbyt przestronna, aby mogła czuć się dobrze w sklepie lub w kantorze, który jest czymś jeszcze ciaśniejszym od sklepu.

Ralph Waldo Emerson, *Człowiek religijny*, przeł. Adam Mickiewicz, Leon Płoszewski, w: Adam Mickiewicz, *Dzieła*, wydanie rocznicowe, t. 13: *Pisma towianistyczne, przemówienia, szkice filozoficzne*, oprac. Zofia Trojanowiczowa, Warszawa: Czytelnik, 2001 [1841], s. 430–434.

Lecz grunt – ten towar mój czarny (*Statek niewolników*)

Heinrich Heine

I.

Zaszczytnie znany kapitan van Koek
W kajucie swej ślęczy do potu:
Oblicza ładunek, oblicza zysk
Przypuszczalnego obrotu.

„Dobra jest guma, dobry pieprz,
I złoty piasek nie marny;
Niezgorzej też płaci słoniowa kość...
Lecz grunt – ten towar mój czarny.

„Sześciuset Murzynów nabyłem za psie
Pieniądze u wód Senegalu,
A zdrowe to wszystko, i mięso i kość,
Istne odlewy z metalu.

„Niech tylko dowiozę trzysta sztuk
Do portu, do Rio-Janeiro,
Po sto mi dukatów zapłaci za łeb
Firma Gonzales Perreiro”.

Lecz chwila obecna przed panem van Koek
Stanęła i złoty mu ćmi sen,
Bo zjawił się lekarz, by raport mu zdać,
Pan doktor van der Smissen.

Persona to sztywna, czerwony ma nos,
Pełen brodawek i grudek –
„No, wodny felczerze – woła van Koek –
Jakże tam czarny nasz ludek?”

Pan doktor dziękował za pamięć i rzekł:
„O złym dziś melduję wypadku,
Bo nocy ubiegłej śmiertelność naraz
Znacznie się wzmogła na statku.

„Przeciętnie padało mi na dzień dwóch,
Lecz dzisiaj mam w sześciu w rozchodzie:
Trzech chłopów, trzy baby – w registrach mych wnet
Zanotowałem o szkodzie.

„Zbadany dokładnie był każdy trup,
Bo czasem się psubrat powali,
Udając zmarłego, ażeby go tak
Żywcem rzucono do fali.

„Kazałem umarłym okowy zdjąć –
Co ma się marnować obroża? –
A potem, o świcie, jak zwykle – chlust!
Kazałem ich rzucić do morza.

„Wywarły się zaraz na wierzch fal
Rekinów głodne szyki;
Pasyami lubią czarną karm
Te moje stołowniki.

„Od dawna śmigają za statkiem tuż,
Nic nas się ta zgraja nie lęka –
A wietrzy wybornie trupi swąd
Smakosza kłapiąca paszczęka.

„Uciecha mi patrzeć na ich bal,
Gdy z trupkiem puszczą się w tany:
Ten łapie za głowę, tamten za gnat,
Inny połyka łachmany.

„Gdy całość pochłoną, łaszą się, trą
O statek przymilne te dranie,
I gapią się na mnie, jakby chcąc
Dziękować mi za śniadanie”.

Westchnieniem przerwie mu van Koek
Łez bliski: „Doktorze, poradź,
Jakby polepszyć ludu byt,
Jak się z tą klęską uporać?”

Odrzeczce doktor: „Czarny lud
Umiera przez winę też własną:
Truje powietrze ich zła woń,
A w spodzie okrętu jest ciasno.

„Wielu też z melancholii mrze,
Bo muszą śmiertelnie się nudzić;
Przez trochę powietrza, muzykę, płas
Do zdrowia ich można pobudzić”.

Van Koek zawoła: „Świetna myśl!
Kochany wodny felczerze,
Mądryś, jak Arystoteles,
Przyznać ci muszę to szczerze.

„Prezydent towarzystwa w Delft
Kultury tulipanowej
Rozumny pan, lecz gdzie mu zaś
Do twego geniuszu połowy!

Muzyka! tak! niech będzie bal
Dla czarnych tu, na pokładzie!
A kogoby nie dość pociągał tan,
Łechtać go biczem po zadzie”.

II.

Z namiotu nieb tysiące gwiazd
Przez łyzy rześiste świecą,
Mądre i wielkie, patrzą w dół
Z czułością niby kobiecą.

Patrzą na dolną roztocz mórz,
Szeroko opromienioną
Purpurą plam wśród bladych zórz;
Rozkosznie grucha fal łono.

Na statku martwy żagiel śpi,
Kadłub już w dal nie pomyka,
Lecz pokład strojny w wianki z lamp
I brzmi taneczna muzyka.

Sternik na skrzypcach trzyma prym,
Majtek na bębnie takt rąbie,
Kucharz gustownie uprawia flet,
Doktór przygrywa na trąbie.

Setka Murzynów obojej płci
Poszła już w tan nakazany
I skaczą, i krążą, i wyją. Co krok
Do taktu brzęczą kajdany.

Podudnia po deskach ich taniec, jak grad,
A czarna raz wraz krasawica
Nagiego tancerza obejmie – i krzyk
I śmiech im zęby rozświeca.

Oprawca jest dzisiaj maître des plaisirs
Z biczem się kręci wśród gości,

Leniwych tancerzy pobudza do gier,
Zachęca do wesołości.

I dideldum-daj! i sznedere-deng!
Hałas przywabia na wały
Dziwo-potwory z głębi mórz,
Które bezmyślnie tam spały.

Wynurza się wolno, pijana snem
Rekinów cała chmara,
Patrzy na statek – co za dziw?
Odgadnąć mozolnie się stara.

Na zwykłe śniadanie jeszcze wczas,
Na smaczne mięso człowiecze –
Gromada rozdziera paszczęki w ziew,
A zęby w nich ostre, jak miecze.

I dideldum-daj! I sznedere-deng!
Taniec rozbrzmiewa szalony –
Rekinom przykrzy się czekać na żer,
Kąsają się same w ogony.

I sznedere-deng! I dideldum-daj!
Szaleństwo tańca wciąż rośnie –
Przy słupie masztowym kapitan van Koek
Tak modli się Bogu żałośnie:

„O Chryste, zbaw ten czarny lud,
Zgraję grzeszników obrzydłą!
Jeżeli grzeszyli, to przecie wiesz,
Że głupie to, jako bydło.

„Wszak za nas wszystkich niosłeś krzyż,
W swem miłosierdziu bez granic...
Bo, gdy nie dowiozę choć trzysta sztuk,
To cały interes mój na nic”.

Heinrich Heine, *Statek niewolników*, przeł. Józef Weysenhoff, w: Józef Weysenhoff, *Erotyki*, Warszawa: W. L. Anczyc i Spółka, 1911 [1854/1855], s. 127–133.

**Jakby handel i ekonomia były wszystkim, a człowieczeństwo
niczym (*Północ i południe*, fragment)**

Elizabeth Gaskell

Pan Hale miał znajomych pomiędzy robotnikami i był głęboko przygnębiony ich z powagą opowiadanymi historiami o cierpieniu i znoszonych niedolach. Nie dzieliliby się tymi opowieściami z kimś, kto z racji swojej sytuacji życiowej zrozumiałby ich bez słów, ale oto pojawił się człowiek z odległego hrabstwa, zupełnie zaskoczony działaniem systemu, w środek którego rzucił go los, i każdy z robotników chciał uczynić z niego sędziego i świadka swoich uzasadnionych roszczeń. Wtedy pan Hale przedkładał całą tę listę żalów i pretensji panu Thorntonowi, aby ten, ze swym doświadczeniem zarządzającego, zinterpretował je i wyjaśnił ich przyczyny. Przedsiębiorca zaś robił to z punktu widzenia ekonomii, wykazując, że odkąd istnieje handel, zawsze były okresy wzrostu i obniżenia koniunktury oraz że podczas jej spadku pewna część pracodawców i pracowników musi popaść w ruinę i zniknąć z szeregu tych szczęśliwych, odnoszących sukces. Mówił tak, jakby ta konsekwencja była na tyle logiczna i uzasadniona, że nikt, ani właściciele, ani robotnicy, nie powinien się skarżyć, jeśli taki mu przypadnie los. Fabrykant zostaje wtedy wykluczony z wyścigu, w którym nie może dalej brać udziału, z gorzkim poczuciem własnej niekompetencji i sprawionego zawodu, raniony w walce, stratowany przez swych niby-przyjaciół w ich pogoni za bogactwem, lekceważony tam, gdzie kiedyś był traktowany z honorami, pokornie błagający o zatrudnienie, gdy kiedyś to on z wielkopańskim gestem dawał innym posady. Oczywiście, mówiąc w ten sposób o losie przemysłowca, który już wkrótce, w wyniku przemian na rynku, mógł się stać jego losem, pan Thornton nie był skłonny okazywać więcej współczucia robotnikom, którzy słabli w szybkim i bezlitosnym postępie i musieli odejść, pokonani, gdyż nikt ich już nie potrzebował; czuli przy tym, że nawet w grobie nie zaznają spokoju od nieustającego płaczu swych bliskich, których pozostawili bezsilnych,

i zazdrościli ptakom, zdolnym nakarmić swe młode własną krwią. Całe jestestwo Margaret buntowało się przeciwko panu Thorntonowi, gdy tak rezonował, jakby handel i ekonomia były wszystkim, a człowieczeństwo niczym. Z trudem zdołała podziękować mu za szczególną uprzejmość, którą jej tego dnia okazał – bo delikatność pozwoliła mu wyczuć, że powinien złożyć jej swą ofertę na osobności – deklarując, że każdy przedmiot, który byłby przydatny w chorobie, a który dzięki jego majątkowi lub dalekowzroczności pani Thornton znajdował się w jego domu, jest do dyspozycji jej matki, gdyby pani Hale tego potrzebowała.

Obecność pana Thorntona po tym, jak się wypowiadał o strajku, po tym, jak ogłosił ów wyrok, którego ona nadal nie chciała uznać za nieodwołalny, sprawiała, że Margaret zaciskała zęby, patrząc na niego i słuchając go. Jakim prawem był jedyną osobą, poza Dixon i doktorem Donaldsonem, dopuszczoną do tego strasznego sekretu, który trzymała zamknięty w najczarniejszym i najtajniejszym zakamarku serca, nie mając śmiałości nawet się do niego zbliżyć, chyba że udało jej się przywołać nieziemską siłę, by znieść świadomość, że pewnego dnia, już wkrótce, zapłacze na głos po swojej matce i nie odpowie jej żaden głos z bezdennego mroku? A on wiedział. Widziała to w jego współczujących oczach, słyszała w poważnym, tkliwym głosie. Jak pogodzić te oczy i ten głos z zimną rozważą, z suchym, bezlitosnym sposobem wykładania zasad handlu i wprowadzaniem bez wahania tych zasad w życie, aż do osiągnięcia pełnych konsekwencji i korzyści? Ta niezgodność, ten rozdźwięk irytowały ją niewymownie, zwłaszcza po tym, co usłyszała od Bessy o wzbierającym żalu i rozgoryczeniu wśród ludzi.

Elizabeth Gaskell, *Północ i południe*, przeł. Katarzyna Kwiatkowska, Warszawa: „Świat Książki” 2011 [1855], s. 204–205.

Wymienić wiersze na rubelki (*Rozmowa księgarza z poetą*)¹

Aleksander Puszkina

KSIEGARZ

Wiersze – dla pana to zabawa.
Ledwie pan nieco przysiąść zdoła,
A już pośpiesza roznieść sława
Najprzyjemniejszą wieść dokoła:
Poemat, powiadają gotów,
Nowe igraszek myśli żniwo.
Rzeknij pan słówko, czekam oto:
Sam cenę wyznacz nań właściwą.
W mig na rubelki wymienimy
Wiersze kochanka muz i gracji
I przeistoczym pańskie rymy
W plik szeleszczących asygnacji.
Czemuż pan westchnął tak boleśnie?
No cóż?

POETA

Daleko byłem: we śnie
Goniłem tamtych dni wspomnienia
Kiedy, w nadziei skarb bogaty,
Piewca bez żadnych trosk, z natchnienia
Pisałem, nie zaś dla zapłaty.
I znów widziałem skalny załom
I ciemny strop osamotnienia,
Gdzie na biesiady urojenia,
Bywało, muzy przyzywałem.
Tam słodziej niegdyś głos mój dźwięczał,

¹ Puszkina uważa się za pierwszego Rosjanina, dla którego uprawianie literatury było sposobem zarabiania na życie. Stąd – powracająca w jego twórczości – problematyka urynkwienia literatury.

Tam widma całe w barwnych tęczach,
Uroczę nie do wysłowienia,
W godzinę nocnych natchnień ciemną
Latały, wiły się nade mną!...

[...]

Śmiałybym muzy słodki dar
Wystawiać na bezwstydną targ?
Byłem dla niego stróżem skrytym;
Tak samo przed obłudnym tłumem
Lubych pamiątek, otrzymanych
Z ręki kochanki, w niemej dumie
Strzeże przesądny jej kochanek.

KSIĘGARZ

A jednak zdradził pan marzenia;
Rozstając się, bez żalu prawie
Uścisnęliście sobie ręce.
W zamian pan zyskał sobie sławę,
Gdy stosy prozy i wierszyków
Butwieją z braku czytelników,
Próżno pod pyłem zapomnienia
Czekają na laurowe wieńce.

POETA

Szczęśliw, kto skarb tworzenia drogi
Sercu poety krył przed światem,
Nigdy od ludzi jak od mogli
Nie licząc za nic na zapłatę!
Szczęśliw, kto piewczą był w milczeniu
I cierniem sławy niewieńczony,
Przez marny motłoch opuszczony,
Odszedł ze świata bez imienia!
Złudniejsza od zwodniczych snów
Czym sława? szeptem czytelnika,

Szczuciem nieuka, czy też znów
Pochwałą z ust zwykłego łyka?

KSIĘGARZ

To nam i Byron w uszy kładł,
Żukowski przecie też był za tym,
A pojął i rozkupił świat
Ich słodko brzmiące poematy.
I wprost zazdrości wart się stał
Wasz los: poeta karczi, wieńczy;
Złoczyńców gromem wiecznych strzał
W dziesiątym pokoleniu dręczy;
Dla bohaterów jest łaskawy;
Z Korynną² na Cytery³ tron
Kochankę swą wynosi w tęczy.
Chwała dlań – uprzykrzony dzwon;
Lecz serce kobiet łaknie sławy:
Dla nich więc piszcie; uszom dam
Schlebia miód słów Anakreonów:
W młodości lata róże nam
Droższe od kurów Helikonu.

POETA

O samolubne marzeń sny,
Głupie młodzieńczych lat radości!
I jam wśród burzy tamtych dni
Pragnął olśniewać wzrok piękności.
Z uśmiechem, który miłość wieści,
Oczy prześliczne mnie czytały;
Usta czarowne mi szeptały
Najsłodsze słowa moich pieśni...

² Korynna – poetka grecka z v wieku p.n.e.

³ Cytera – grecka wyspa na Morzu Śródziemnym; Citherea – Cytorejka – to jeden z przydomków bogini Afrodyty, zrodzonej u brzegów tej właśnie wyspy.

Lecz dość! W ofercie im swobody
Marzyciel więcej już nie złoży,
Niechaj im teraz pieśni tworzy
Młodzik, pieszczony syn przyrody.
[...]

KSIEGARZ

A więc w miłości zawiedziony,
Mając ludzkiego dość hałasu,
Pan postanowił już zawczasu
Swej liry wyrzec się natchnionej.
Teraz, wzgardziwszy gwarnym światem,
Rzucając muzę, zmienną modę,
Co też wybiera pan?

POETA

Swobodę.

KSIEGARZ

Wspaniale. Moja rada zatem,
Znaj pożyteczną prawdę oto:
Nasz wiek – to handlarz, bez pieniędzy
Szukanie swobód w nim głupotą.
Cóż to jest sława? Łata lśniąca
U piewcy na łachmanie nędznym.
Nam jest potrzebne złoto, złoto:
Gromadźcie złoto aż do końca!
Z góry wiem, co mi pan odpowie;
No ale ja was znam, panowie:
Swe dzieło w wielkiej macie cenie,
Póki nad trudu paleniskiem
Wciąż jeszcze kipi, wre natchnienie;
Zastygnie – no i już po wszystkim,
Obojętnieje wam powoli.

Niechże pan wprost mi rzecz pozwoli:
Kupczyć natchnieniem to rzecz zdrożna,
Ale rękopis sprzedać można.

Aleksander Puszkin, *Rozmowa księgarza z poetą*, przeł. Stanisław Ryszard Dobrowolski, w: tenże, *Wybór wierszy*, oprac. Bohdan Galster, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1982 [1824], s. 144, 146–148, 150–151.

Poezja bankierów (*List do Franciszka Morawskiego, fragmenty*)

Zygmunt Krasiński

Myślę, że może będzie przyjemnie Panu Jenerałowi w dalekich stronach usłyszeć rozmaite wieści literackie, chociaż literatura terazniejsza mało ma w sobie powagi i wielkości; przypatrzyłem się jej z bliska, siedząc przez dwa lata w Genewie, która jest stekiem wszystkich wiadomości naukowych Europy.

Widziałem tam kilku znakomitych ludzi, przejeżdżających różnymi czasami, naprzód Chateaubrianda, który, przypiąwszy różę białą do czarnego fraka i w oną różę wlepiając oczy, przechadzał się dosyć smutny; pono wspominał sobie męczenników swoich. Czasem mówił starodawne komplementa kobietom i potrząsał głową, bo nie miał pieniędzy. Kto by dobrze zważał, poznałby w jego żywych oczach próżność bez miary. Na jego czole nie mogłem wyczytać nic chrześcijańskiego. Potem poznałem się z Wiktorem Hugo; natura wydoskonaliła w nim wszystkie zmysły tak, że wzrokiem sięga ogromnych odległości, słuchem wyrównywa dzikim Ameryki, a Marcinkowskiego (Jaxę)¹ przechodzi o wiele w żarłocztwie, w dumie zaś szatana. Powtarza zawsze: „Po Karolu W. Szekspir – po Napoleonie ja”, twierdzi, że doskonale pojął swój cel od dziesięciu lat przeszło i że ku niemu dąży matematycznie: gwiazdą wschodzącą jego nieśmiertelności ma być epopeja napoleońska, nad którą pracuje. O ile sądzić mogę, zda mi się, że chęć zysku jest najdzielniejszą jego pobudką, poezja ta cała jest poezją bankierów, pozbawiona czucia i harmonii, ni jedna jak u starożytnych, ni rozmaita w swojej prawdzie jak u Szekspira, ale potworna, osypana marzeniami gdyby pieprzem, utwór dnia jednego handlowego, cień nędzny i znikomy w dziejach sztuki, żadnej prawdy niemający za podporę, jedno tę, że przynosi pieniądze. Nie mówię ja tu o samej fantastyczności,

¹ Kajetan Jaks-Marcinkowski (około 1788–1832) – poeta, tłumacz, bywalec salonu Wincentego Krasińskiego (jego „pieczeniarz”, jak to określił Gustaw Olizar), stały obiekt kpin literatów, na które przystawał w zamian za regularny wikt.

której barwa cechuje wszystkie te płody, bo zda mi się, że fantastyczność jest prawdą, jak np. u Hoffmanna – i w rzeczy samej, są fantastyczne zdarzenia w życiu, kształty w naturze, uczucia w duszy, tony w muzyce. Wydać je doskonale, przeniknąć się całą ich prawdą, jest tak trudnym w poezji, jak w fizyce spostrzeżenia nad magnetyzmem i elektrycznością, ale zda mi się niezmiernie łatwą rzeczą napisać jakiegokolwiek bałamuctwo, ułożyć niejaką, że tak powiem, arytmetyczną kombinację z kilku zbrodni i przezwąć cudzołóstwo, morderstwa, oszukaństwa, pijaństwa, karty etc. etc. imieniem „fantastique”, bo któż, proszę, sprzeczać się z nim będzie, że to tak nie jest, kiedy fenomena fantastyczne niezmiernie są ulotne i niepojęte dla wielu. Tam, gdzie Byron, ostrzeżony szepotami geniuszu, swojego jedyne anioła stróża, stanął, zatrzymał się i już nie szedł dalej, tam właśnie początek ich drogi, a droga ta wiedzie w przepaść nie ich samych, bo oni wiedzą, że kłamią, że nie mają żadnego natchnienia, ale tych, którzy ich czytają i wierzą im – *servile imitatorum pecus*².

Pierwsze miejsce piastuje między nimi Balzac, niby to filozof, niby poeta. U niego prawie wszystkim jest mechanizm stylu, zależący na obwijaniu jednej myśli tysiącem wyrazów, na przeciąganiu scen, na sztucznym odwlekaniu, na wmawianiu w czytelnika, że coś niezmiernie ciekawego się zbliża. W tym zachodzi wielkie podobieństwo między nim a każdym grzechem, który ludzi, ciągnie do siebie obietnicami, a nigdy ich nie dotrzyma. Zresztą dążeniem Balzaca jest materializm; i tak np. w jednej z ostatnich powieści swoich pod tytułem *Louis Lambert* opisuje człowieka o mdłym ciełe, o cudnym licu, o potężnej duszy, rozwijającej się wewnątrz siebie bez żadnego zewnętrznego wpływu, kształcącej coraz bardziej wszystkie swoje władze, spostrzegającej najdrobniejsze szczegóły analityczne, a zarazem umiejącej się podnieść do najwyższej syntezy, przenikającej tajemnice, dochodzącej do

2 *Servile imitatorum pecus* (łac.) – niewolnicza trzoda naśladowców; parafraza z Horacego *Epistolarum liber 19*: „O imitatores, servum pecus!” (O naśladowcy, trzodo niewolnicza!).

samych niebios. Przez cały czas sam autor się rozplęwa nad tym cudem stworzenia, z czułością, z zachwyceniem ściga za postępkami tego umysłu i najpiękniejszymi, najczystszych przymiotnikami go otacza (*cette brillante intelligence, exquisite, céleste, délicateuse*³), a kiedy omamił czytelnika, zda się, oderwał go od ziemi, przeniósł go do kraju ducha, jednym wyrazem obala tę całą budowę duchową, wykrywając, że wszystkie objawienia tej duszy, głębokie jej myśli i przecucia, są jedynie skutkiem szkaradnego nałogu, cała zaś powieść poświęcona kochance. Jest w tym coś ohydneho, nie myślę zaś, by było coś fantastycznego.

Pan Jules Janin na pierwsze wejrzenie ma więcej ognia i popędu; jego *Barnave* jest niepospolitem dziełem. Jako się Byron przejął charakterem szatana i postawił go na nogi, tak Janin przejął się hrabią Mirabeau i utworzył z niego kolosalną postać, wokoło której jednak dużo jest grochu z kapustą. Styl jego z początku czaruje, zda się, tęczę połysków, ale to trwa krótko, gdyż ten sam zupełnie układ wyrazów wraca wciąż, gdyby zwrotka w balladzie. Wynalazku jeszcze mniej jak u Balzaca, ale za to karty pełne, tomów zawsze cztery, zapłata u księgarzy, a do tych dochodów dodać trzeba jeszcze jeden: Panna Mars, owa sławna aktorka, go utrzymuje.

[...]

Od kiedy średni stan wziął przewagę i nazwał się osiemnastym wiekiem, można było przewidywać, że literatura stanie się spekulacją, że tomy na funty sprzedawać się będą. Trzeba poecie, by wierzył w siebie i w poezję jako w cel, nie jako w środek, inaczej stanie się bankierem i kupcem, kupcowi zaś wszystko jedno, czy bohatera posłać na skałę, by tam umarł wśród mąk, czy napisać i rozsiewać najfałszywsze zasady. Upatruję wielkie podobieństwo między polityką angielską a dzisiejszą literaturą francuską. Do tego jeszcze dodać można różne insze wpływy. Publiczność faknie takowych obrazów, bo jej ojcowie i ona sama już objadła się i opiała

³ *Cette brillante intelligence, exquisite, céleste, délicateuse* (fr.) – ta świetna inteligencja, wyszukana, boska, rozkoszna.

wszystkimi trunkami, mianowicie krwią. Takowi ludzie nie mogą czytać idyll Gessnera⁴; nerwy ich rozdrażnione do najwyższego stopnia, trza wraz nowszych poruszeń. Rzymianom pod koniec cywilizacji starożytnej trzeba było igrzysk i biesiad; to był ich szal zmysłowy, ostatnia konwulsja zmysłowego świata. Teraz to jest nasz szal moralny, może ostatnia konwulsja naszego świata.

Zygmunt Krasiński, *List do Franciszka Morawskiego z 30 stycznia 1833 r.*, w: tenże, *Listy wybrane*, oprac. Tadeusz Pini, Warszawa: Parnas Polski, 1937, s. 109–111.

⁴ Salomon Gessner (1730–1788) – szwajcarski poeta, autor słynnych, pisanych prozą *Sielanek* (oryg. *Idyllen*), a także malarz, przedstawiciel rokoka.

**Wszystko, co się poczyna z natchnienia myśli, musi
tu być sprzedanym (*Ad leones*, fragment)¹**

Cyprian Norwid

A wtem otworzyły się drzwi i wszedł jegomość miernego wzrostu, w niskim kapeluszu szarym i w szarym ubiorze bardzo świeżym, w białej arcystarannej chustce i kamizelce, spod której gruby złoty łańcuch rzucał na brzuch kluczyki i pieczętki z drogich kamieni. Był to Amerykanin, korespondent wielkiego **monitora** Stanów Zjednoczonych.

Pozdrowił Redaktora po koleżeńsku, zamienił z rzeźbiarzem ukłony i, komplementu gest względem nas wypełniwszy, prosto do grupy zbliżył się. Chwilkę patrzył szarym i głębokim okiem, odgarniając na tył głowy kapelusz z czoła i obejmując, i gładząc rudawą brodę, która przy ogolonych wąsach tym bujniejszą się wydawała.

– Życzę mieć szczegółowe wytłumaczenie figur – rzekł do Redaktora i rzeźbiarza, który naraz półkrokiem się w tył cofnął, ażeby pierwszego głosu nie zabierać.

– Jest to... (jako się nadmieniło było) – rzekł Redaktor – jest to patetyczna scena z tragedii życia człowieczego... mężczyzna wyobraża tę energię czynu, która pracę poczyna... kobieta swój udział w niej zaleca...

– I ona – Amerykanin przerwie – zdaje się, że klucz trzyma w ręku, gdy niżej widzę – i tu wskazał bryłę gliny na lwa przeznaczoną – widzę **kufer**... to więc kobieta wyobraża Oszczędność?... Mężczyzny energia zapowiada być bardzo piękną i stosowną! – Mnie

¹ Nowela *Ad leones*, druga część „trylogii włoskiej”, powstała w 1882 lub 1883 roku. Jej tytuł (którego dosłowne tłumaczenie z łacińskiego to: „dla lwów”) odsyła do czasów pierwszych chrześcijan, kiedy „Christiani ad leones!” stanowiło popularny okrzyk rzymskiej publiczności oglądającej zmagania skazańców skazanych na pożarcie przez lwy. Nowela stanowi ciąg dalszy polemiki Norwida z Pierre’em Josephem Proudhonem na temat twórczości Gustave’a Courbeta, francuskiego malarza realisty (1819–1877), rozpoczętej w 1872 roku tekstem *Obywatel Gustaw Courbet*. W szkicu tym poeta broni idei sztuki jako ekspresji piękna, dobra i prawdy, niedającej się zredukować do społecznych diagnoz.

się wydaje, że przy kufrze należałoby dać widzieć narzędzia rolnicze i ręкодzielne... Tak, jak jest, bryła niższa więcej wygląda na jakie śpiące zwierzę niż na szkatułę!...

Rzeźbiarz, zbliżywszy się do grupy, nazначył kształt sierpa i dwa boki kufra, gdy Amerykanin, raz jeszcze obszedłszy dokoła całość rzeczy, zawoła:

– Jaśniej okazanej i piękniejszej myśli dawno nie napotkałem... Grupa wyobraża KAPITALIZACJĘ w sposób i wyrozumowany, i przystępny... Na dzień obecny, stosownie do stopnia, do którego posuniętą jest praca, mniemam, że będzie wystarczającym, gdy kolega Redaktor zechce na mojej karcie nakreślić...

Tu oddał swą kartę Redaktorowi, zabierającemu się skrzętnie do pisania, i dalej mówił:

– co następuje:

Lzaak Edgar Midlebank-junior u dostojnego Rzeźbiarza*** zamawia grupę przedstawiającą KAPITALIZACJĘ, a która ma być z marmuru białego, bez plamy i skazy, wykonaną – i nie o wiele przechodzić ceną swoją 15 000 dolarów.

– Czy tak jest godziwym? – zapytał Amerykanin, ku czemu rzeźbiarz swoją kartę Redaktorowi nasunął, a ten skreślił:

Rzeźbiarz*** podejmuje się wykonać grupę (kapitalizację) z marmuru białego, o ile można bez plamy i skazy – nie przechodzącą o wiele ceną swoją 75 000 lirów, i na rozkaz dostojnego Lzaaka Edgara Midlebank (junior) etc., etc.

Po czym Amerykanin, pisma oba przez szkiełko uważywszy; życzył dołożyć daty pominięte, a gdy się to spełniło, zamienił karty, mówiąc:

– Jest wszystko, jak należy!... bardzo winszuję panu takiego pięknego talentu – tu dodał uścisk ręki – i takiej pięknej sukii!... Cóż za prześliczne zwierzę! cóż za rasa!... Z pewnością można rzec, że takiej sukii, takiegoż rodzaju, nie ma drugiej w całym mieście!...

A to gdy mówił, skłonił się i począł mieć się ku drzwiom.

Co rychlej zatem rzeźbiarz ręką jedną wprawnie porzucił płótna mokre na „**Kapitalizację**”, drugą zaś kapelusz uchwyciwszy, śpieszył za Redaktorem i guwernerem, komplementującymi tymczasem odchodzącego gościa, którego czekał skromny powóz, by niebawem gdzie indziej unieść.

*

Serce miałem obrzmiałe i ciężkie, ducha czułem poniżonego... powiew jakiś, czy jęk, Hiobowym nastrojem szemrał mi w ucho: „Tak to więc wszystko, na tym słusznie przeklętym świecie, wszystko, co się poczyna z dziewiczego natchnienia myśli, musi tu być sprzedanym za 6 dolarów!... (30 SREBRNIKÓW!)...”

I jakkolwiek obiecywałem sobie nic wcale nie powiedzieć – nic dodać, nic nie powtórzyć, jednakowoż, przenieść na sobie nie mogąc całego ciężaru moralnego, rzekłem do Redaktora:

– Jak to jednak daleko od wyznawców, i dla **wyznania**, lwom rzuconych do **Kapitalizacji!**...

On zaś, giętkie okulary poprawując, począł coś parasola ostrzem kreślić na bruku i, nie podnosząc oczu, odrzekł:

– Redakcja nie jest **telefonem**. My podobnież przecie czynimy co dzień z każdą nieledwie myślą i z każdym uczuciem... REDAKCJA JEST REDUKCJĄ...

– *To tak, jak sumienie jest sumieniem* – odpowiedziałem.

Cyprian Norwid, *Ad leones*, w: tenże, *Pisma wybrane*, t. 4, wybrał i objaśnił Juliusz W. Gomulicki, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy 1968 [1901], s 147–150.

Mózg poetyczny, wyścielony cyframi jak gabinet finansisty (*Jak płacić długi, gdy jest się geniuszem?*)¹

Charles Baudelaire

Tę anegdotę opowiedziano mi z prośbą, abym jej nie powtarzał nikomu; dlatego właśnie chcę ją wszystkim opowiedzieć.

...Był smutny, jeśli sądzić po zmarszczonych brwiach, po szerokich wargach, mniej niż zwykle odętych, oraz po częstych, nagłych przystankach, które robił, przemierzając Pasaż Opery. Był smutny.

To był właśnie on², największa głowa handlowa i literacka dziewiętnastego wieku; on, mózg poetyczny, wyścielony cyframi jak gabinet finansisty; to był on sam, bohater mitologicznych, hyperbolicznych bankructw i fantasmagorycznych przedsięwzięć, którym brak zawsze jakiegoś najważniejszego szczegółu; wielki tropiciel marzeń, nie ustający w **poszukiwaniu absolutu**; on, postać najdziwniejsza, najbarwniejsza, najciekawsza i najbardziej próżna spośród postaci Komedii Ludzkiej; on, ten oryginał, równie nieznośny w życiu, jak wspaniały w pisaniu, to wielkie dziecko, napompowane geniuszem i próżnością, które ma tyle zalet i tyle wad, że bałbym się jedne od drugich oddzielić, aby w ten sposób nie popsuć tej niepoprawnej i nieszczęsnej potworności.

Cóż to się stało wielkiemu człowiekowi, że kroczył tak posępnie, z podbródkiem na brzuchu i cóż to pomarszczyło jego czoło, aż się stało podobne do skóry **jaszczura**?

Czyżby śnił o ananasach po cztery su³, o moście zawieszonym na lianach albo o willi bez schodów, z buduarami obitymi muślinem?

1 Artykuł ogłoszony w „Le Corsaire-Satan”, z dnia 24 listopada 1845, anonimowo; w ciągu roku 1846 kilkakrotnie przedrukowany przez różne pisma z podpisem Baudelaire-Dufays, uzupełniony i poprawiony (przyp. A. Kijowski).

2 „Wielki człowiek” to oczywiście Balzac, którego kłopoty finansowe oraz fantastyczne pomysły znane były szeroko (przyp. A. K.).

3 Hodowla ananasów pod Paryżem była jedną z szalonych idei Balzaka; w 1837 roku kupił on posiadłość Jardies, między Sèvres i Ville-d’Avray, 10 minut jazdy pociągiem z Paryża. Tam, na błotnistej skarpie osypującej się ustawicznie na gościniec i ledwo powstrzymanej przez pękający murek, Balzac postanowił hodować ananasy i sprzedawać je w Paryżu po 5 su za sztukę. Kosztowały wtedy normalnie 20 su. 100 tysięcy sztuk

Czy jaka księżna zbliżająca się do czterdziestki rzuciła mu jedno z owych głębokich spojrzeń, jakie piękność winna jest geniuszowi? Albo czy mózg, poczynający właśnie jakąś przemysłową maszynę, dręczyły wszystkie **cierpienia wynalazcy**?

Nie, niestety, nie: smutek wielkiego człowieka był pospolity, przyziemny, nikczemny, wstydlivy i śmieszny; wielki człowiek znajdował się w upokarzającym położeniu, jakie wszyscy znamy, kiedy każda minuta upływająca unosi na swych skrzydłach szansę ratunku; kiedy geniusz wynalazczości, z okiem utkwionym w tarczy zegara, czuje, że trzeba potroić, zdziesięciokrotnie swe siły proporcjonalnie do czasu, który się kurczy, i szybkości, z jaką zbliża się fatalna godzina. Sławny autor „Teorii listów bankowych” miał nazajutrz zapłacić tysiąc dwieście franków, a wieczór był już późny.

W takich wypadkach zdarza się czasem, że umysł naglony, zgnębiony, udręczony, przytłoczony koniecznością wyrwa się nagle ze swego więzienia skokiem nieoczekiwanym a zwycięskim. To właśnie musiało przydarzyć się wielkiemu powieściopisarzowi. Uśmiech bowiem zajął na jego wargach miejsce pyszałkowatego grymasu; oko zabłysło i nasz pan, spokojny i znów opanowany, skierował się swobodnym i rytmicznym krokiem ku ulicy Richelieu.

Wszedł do domu, w którym pewien bogaty, dobrze prosperujący przedsiębiorca⁴ rzucał akurat z siebie ciężar prac całodziennych, siedząc przy kominku, nad filiżanką herbaty; powieściopisarz został przyjęty z wszelkimi honorami należnymi jego nazwisku i po kilku minutach wyłożył w następujących słowach powód swojej wizyty:

„Czy chce pan mieć pojutrze w «Le Siècle» i w «Débats» dwa wielkie artykuły, dwa duże moje artykuły, podpisane moim nazwiskiem? Rozmaitości o «Francuzach, jakimi siebie samych widzą»! Potrzebuję 1 500. To dla pana złoty interes”.

rocznie. Sklepiak miał być na bulwarze Montmartre i nazywać się „Ananas des Jardies” (przyp. A. K.).

⁴ Bogaty przedsiębiorca... – Henri Curmer, księgarz, właściciel założonego w roku 1834 domu wydawniczego, którego specjalnością były luksusowe wydawnictwa ilustrowane, m.in. albumy malarstwa. Wydał album pt. „Francuzi, jakimi siebie samych widzą”. Autorem rysunków był Honoré Daumier (przyp. A. K.).

Zdaje się, że wydawca, inaczej niż jego koledzy, uznał to rozumowanie za rozumne, ponieważ targu dobito natychmiast. Nasz bohater po namyśle zastrzegł sobie, aby mu tysiąc pięćset franków wypłacić po ukazaniu się pierwszego artykułu; po czym wrócił spokojnie do Pasażu Opery.

Po upływie kilku minut spostrzegł drobnego młodzieńca^s o twarzy złośliwej a inteligentnej, który sporządził był kiedyś zdumiewającą przedmowę do „Wielkości i upadku Cezara Birotteau” i który znany był już w dziennikarstwie ze swojej werwy, błazeńskiej i niemal bezbożnej; świętoszkowatość jeszcze mu nie przycięła pazurów, a bigoteryjne pisma nie użyły nań jeszcze swoich błogosławionych gasideł.

– Edwardzie, czy chciałbyś mieć jutro 150 franków? – Do kroćset! – No, to chodź na kawę.

Młody człowiek wypił kawę, która zaraz wprawiła w stan gorączki jego drobną, śródziemnomorską konstytucję.

– Edwardzie, potrzebuję na jutro rano trzech kolumn pod tytułem „Uwagi o Francuzach, jakimi siebie samych widzą”; to znaczy na dziś rano, rozumie się wcześniej rano, bo ja jeszcze muszę ten artykuł własnoręcznie przepisać i podpisać; to bardzo ważne.

Wielki człowiek wygłosił te słowa z tą wspaniałą emfazą i z taką dumą, z jaką oświadcza się przyjacielowi, którego nie

^s Mowa o Edwardzie Ourliac (1813–1848). Urodzony w Carcassonne, w Prowansji, więc rzeczywiście „południowiec”; wcześniej debiutował powieściami, które nie zwróciły uwagi. Zaprzyjaźniony z bohemą romantyczną skupioną wokół Teofila Gautier, zdobył sobie sławę towarzyską wielkim talentem mimicznym, imitatorskim, parodystycznym oraz różnymi ekstrawagancjami. M.in. podczas rewolucji lutowej zmusił podobno Ludwika Filipa do odśpiewania Marsylianki. Jego nowela „Suzanne” (1840) zdobyła uznanie Balzaka. Obu pisarzy połączyła przyjaźń oraz współpraca, która oczywiście wyglądała tak mniej więcej jak w felietonie Baudelaire’a. Podobno drugi akt sztuki Balzaka „Vautrin” jest w całości napisany przez Ourliaca. W końcu jednak Ourliac dopracował się własnego dzieła i własnej sławy, głównie jako nowelista. Zmienił też poglądy, stał się legitymistą i bigotem; w piśmie „Univers” prowadził kronikę literacko-teatralną. Załamało go nieszczęśliwe małżeństwo i choroba. Gdy Baudelaire pisał ten felieton, Ourliac był na kuracji we Włoszech. Wrócił stamtąd w 1846 roku i zamieszkał w zakonnym przytułku. Umarł w biedzie i w samotności (przyp. A. K.).

chce się wpuścić do siebie: „Przepraszam cię stokrotnie, mój drogi, że muszę cię zostawić za drzwiami; jestem sam na sam z pewną księżną, której honor jest w moich rękach, rozumiesz więc”.

Edward uściśnął mu dłoń jak dobroczyńcy i pobiegł do roboty.

Wielki powieściopisarz zamówił drugi artykuł na ulicy Navarin⁶.

Pierwszy artykuł ukazał się w dwa dni później w „Le Siècle”.

Dziwna rzecz, nie był podpisany ani przez owego człowieczka, ani przez wielkiego człowieka, ale nazwiskiem kogoś trzeciego⁷, kto w ówczesnej Bohemie znany był dobrze jako miłośnik kotów oraz Opery Komicznej.

Drugi z przyjaciół był – i jest nadal – gruby, leniwy i limfatyczny; ponadto nie ma pomysłów, umie tylko nizać i toczyć słowa jak w indiańskim naszyjniku; ponieważ zaś ułożenie trzech kolumn ze słów trwa znacznie dłużej niż napisanie jednego tomu myśli, artykuł jego pokazał się dopiero po kilku dniach. Nie został bynajmniej zamieszczony w „Débats”, lecz w „La Presse”.

Weksel na 1 200 franków został spłacony; każdy był w pełni zadowolony, prócz wydawcy, który był tylko prawie zadowolony. Tak spłaca się długi, gdy... jest się geniuszem.

Gdyby ktoś złośliwy zechciał to wszystko wziąć za blagę dziennikarską i zamach na sławę największego człowieka naszego wieku, pomyliłby się haniebnie; chciałem dowieść, że wielki poeta umiał sprawę weksla rozwiązać równie łatwo, jak intrygę najbardziej tajemniczej i zawiłej powieści.

Charles Baudelaire, *Jak płacić długi, gdy się jest geniuszem*, w: tenże, *Sztuka romantyczna. Dzienniki poufne*, przeł. Andrzej Kijowski, Warszawa: Czytelnik, 1971 [1845], s. 34–37.

⁶ Ulica Navarin – mieszkał tam Teofil Gautier. W istocie Gautier od 1836 należał już do „kręgu” Balzaka. Ten ostatni kupił wtedy podupadłą „Chronique de Paris” i zaprosił do współpracy świetnego poetę, głośnego już felietonistę. Gautier bałwochwalczo czcił Balzaka. Czy „pracował” też dla niego? (przyp. A. K.).

⁷ ...nazwiskiem kogoś trzeciego... – miał to być Gérard de Nerval (1808–1855). Znana była jego wielka, beznadziejna miłość do aktorki Opery Komicznej, Jeanne Colon (przyp. A. K.).

MIĘDZY MELANCHOLIĄ A REBELIĄ



Wolałbym nie



**Myślałem o pieniądzach zawsze jedynie ze
wstrętem (Życie Henryka Brulard, fragment)**

Stendhal

Dopełniał wreszcie rodziny mój ojciec.

Józef Cherubin Beyle, adwokat przy miejscowym Parlamencie, reakcjonista i kawaler Legii Honorowej, zastępca mera, zmarł w roku 1819 w wieku, jak mówią, lat siedemdziesięciu dwóch, z czego wniosek, że urodził się w 1747. Miał zatem w 1790 czterdzieści trzy lata.

Był to człowiek bardzo mało sympatyczny, wciąż rozmyślający o kupnie i sprzedaży gruntów, bardzo szczwany, nawykły kupować od chłopów i sprzedawać im, typ arcydelfinacki. Nie było nic mniej hiszpańskiego i mniej skłonnego do porywów szlachetności niż ta dusza; toteż ciotka Elżbieta miała doń zdecydowaną antypatię. Był, co więcej, bardzo pomarszczony i brzydki, nieswój i milczący z kobietami, których jednak potrzebował.

Ta ostatnia cecha obudziła w nim gust do *Nowej Heloizy* i innych pism Russa, o których mówił z prawdziwym uwielbieniem, przeklinając go równocześnie jako bezbożnika, śmierć bowiem mojej matki wtrąciła go w najniedorzeczniejszą dewocję. Nałożył sobie obowiązek odmawiania wszystkich modłów, które odmawiają księża; przez kilka lat była nawet mowa o wstąpieniu do klasztoru, prawdopodobnie powstrzymała go chęć zostawienia mi swojej kancelarii. Miał zostać adwokatem konsystorskim; było to zaszczytne wyróżnienie, o którym mówił tak, jak młody porucznik grenadierów mówi o krzyżu Legii. Nie kochał mnie jako indywiduum, ale jako syna mającego utrwalić jego ród.

Bardzo trudno było, aby mnie kochał: *primo*, widział jasno, że ja go nie kocham; nigdy nie odzywałem się doń bez potrzeby, obcy był wszystkim owym pięknym ideom literackim i filozoficznym, które stanowiły treść moich pytań zadawanych dziadkowi oraz wybornych odpowiedzi tego miłego starca. Widywałem ojca bardzo rzadko. Moja żądza opuszczenia Grenoble (to znaczy jego)

oraz moja pasja do matematyki – jedyny środek dający mi nadzieję opuszczenia tego miasta, które mi było wstrętne i którego jeszcze nienawidzę, tam bowiem nauczyłem się znać ludzi – moja pasja matematyczna pogрузzyła mnie w głębokiej samotności od 1797 do 1799. Mogę rzec, że pracowałem przez te dwa lata, a nawet przez część roku 1796, jak Michał Anioł pracował nad Kaplicą Sykstyńską.

Od czasu mego wyjazdu z końcem października 1799 – przypominam sobie datę, ponieważ 18 brumaire’a, 9 listopada, znajdowałem się w Nemours – łączyły mnie z ojcem jedynie sprawy pieniężne. Chłód ciągle wzrastał: nie mógł rzec słowa, które by mi nie było antypatyczne. Nie było dla mnie wstrętniejszej rzeczy niż sprzedać kawał gruntu chłopu, kręcąc przez tydzień, aby zarobić 300 franków, a to była jego namiętność.

Nic naturalniejszego. Ojciec jego, który nosił, o ile mi się zdaje, wielkie imię Piotra Beyle, umarł z podagry w Claix, niespodzianie, w sześćdziesiątym trzecim roku. Ojciec mój, mając lat osiemnaście (było to zatem około roku 1765), został się z kawałkiem ziemi w Claix dającym 800 czy 1800 franków, posadą prokuratora i dziesięcioma siostrami do wydania oraz matką swoją, bogatą dziedziczką (to znaczy mającą może 60 000 franków) i jak przystało bogatej dziedzicze, rozkapryszoną. Długi czas jeszcze biła mnie w dzieciństwie po twarzy, kiedy pociągnąłem za ogon jej psa Azora (piesek boloński z długą białą sierścią). Pieniądz był wtedy, i słusznie, główną myślą ojca, a ja myślałem o pieniądzach zawsze jedynie ze wstrętem. Pojęcie to jest mi nad wyraz przykre, gdyż mieć pieniądze nie sprawia mi żadnej przyjemności, a nie mieć ich to szpetne nieszczęście.

Nigdy może traf nie skupił dwóch natur bardziej odpychających się wzajem jak mój ojciec i ja.

Stendhal [Henri-Marie Beyle], *Życie Henryka Brulard*, w: tenże, *Dzieła wybrane*, t. 1, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), wstępem poprzedził Maciej Żurowski, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1982 [1890], s. 500–502.

Oni z świata machin i śrub, pieniędzy i roastbeafów

(*List do Delfiny Potockiej, fragment*)

Zygmunt Krasiński

Karlsbad, 1840, 1-go augusta

Żebyś Ty wiedziała, co to za przekłete miasto, co to za miejsce głupie, piekielne, jak mi źle, gorzką smutno, nudno, niedobrze! Czyż oni myślą, że ja dbam o to, co im się wierzchołkiem szczęścia wydaje. Z innego ja świata, oni z innego. Ja z świata duchów! Oni z świata machin i śrub, pieniędzy i roastbeafów. Ja im pokój daję, czemu mnie męczą, czemu mnie zdradzili! Ale darmo, darmo, muszą te dni upłynąć i przeminąć; musi ta walka się skończyć i przeminie to złe, które mnie nęka, które mi łyzy z ocz, krew z serca, żółć z wątroby wyciska. Ja wrócę do Ciebie. Ja chcę ciszy, ja chcę pomarańczowych drzew i luciolów¹, chcę i tych drugich luciolów, boskich, co świecą po nocach nad Śródziemnym Morzem, tam wysoko na niebie, i tej godziny świętej, północnej, gdy wszyscy uśpieni, a ja modłę się do Ciebie sercem. Nie żądam innych błogości. Srebrny talar przyłożony mi do serca nie przeprowadzi mi doń elektryczności. Rubensowy kształt postawiony mi przed oczyma nie ściąga ocz moich podziwu ni miłości. Modlić się tylko umiem do Madonn Rafaela lub do posągów greckich. Szaro-siostrzane anielstwo jeszcze u mnie nie jest zupełnym anielstwem. Trzeba doń dodać anielstwo drugie – potęgę myśli i dźwięku. Wtedy niech mi rzekną: „To anioł”, a ja odpowiem: „Prawda”. Wszak nieraz to: „Prawda” ode mnieś słyszała, nawet kiedym milczał, nawet kiedy zamknięte oczy trzymałem, alem rozpływał się wtedy w duchu Twoim, brzmiącym nade mną, koło mnie, we mnie, natchnionymi śpiewy! Alem czuł, że jestem w kole czarodziejskim, i kochałem, i pełnym był życia, prawda, niezrozumianego dla nich, bo ich życie tam się kończy, gdzie moje zaczyna. Cały dół, całe pierwsze piętro życia, fundamenta, lochy, piwnice i kanały, to ich własność. Mój kraj to szczyt

¹ Luciola (z wł. *luciola*) – świetlik świętojański.

gotycki wież, to ostatni punkt trójkąta piramid, to wszystkie posągi białe marmurowych świętych Mediolanu, to kopuła Piotra, to odłam muru w górze na grobie Metelli, tam gdzieś tyle razy siadał i marzył. Za to oni dobre obiady jedzą, kiedy ja złe, bo kuchnia nie do moich piąter się liczy, ale słońca nie widzą i nie wiedzą, co piorun, i nie wiedzą, co tęcza! Błogosławieni! Czegóż mieszają się do mnie. Ja ich świata nie potrzebuję, a im czasem jednak potrzeba mojego. Czasem bez mego świata gorzko by im było. Na przykład w godzinę śmierci. Wtedy dopiero szłą po poetę – tak, bo po księdza, by im o Bogu gadał i nieskończoności? A o czymże innym ja mówię także? Czasem i im potrzeba także piękności duszę polecić. Kupują obrazy, chodzą na teatr, ale niech mi nie tłumaczą, co piękność. Noszę ją głębiej w sercu niż oni swoje liczmany w kieszeni lub w kufrze.

Zygmunt Krasiński, *List do Delfiny Potockiej z 1 sierpnia 1840* (fragment), w: tenże, *Listy Do Delfiny Potockiej*, opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, t. 1, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1975 [1840], s. 213–214.

Nie zważałem na to, która jest godzina (*Walden*, fragmenty)

Henry D. Thoreau

Pracując, ludzie kierują się błędnym założeniem. W krótkim czasie lepsza część człowieka zostaje worana w ziemię i zamienia się w kompost. Zatrudnieni pozornie przez los powszechnie zwany koniecznością, jak głosi stara księga, gromadzą skarby, które zostaną pożarte przez mole albo rdzę lub ukradzione przez złodziei¹. Prowadzą życie głupców, o czym się przekonają, gdy dojrzą do końca, a może wcześniej. Podobno Deukalion i Pyrra² stwarzali ludzi z rzuconych za siebie kamieni; powstawali z nich mężczyźni i kobiety.

Inde genus durum sumus, experiensque laborum,
Et documenda damus qua simus origine nati.³

Albo, jak to Raleigh ujmuje w swoich dźwięcznych rymach:

From thence our hard-hearted is, enduring pain and care,
Approving that our bodies of a stony nature are.⁴

Tyle, jeśli idzie o ślepe posłuszeństwo nieudolnej wyroczni – rzucali za siebie kamienie, nie widząc, gdzie padają. Większość ludzi, nawet w tym stosunkowo wolnym kraju, na skutek zwykłej ignorancji i błędnego rozumowania tak jest zajęta wydumanymi

1 „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie je mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje podkopują i kradną”. Nowy Testament, Ewangelia św. Mateusza 6, 19 (przyp. H. Cieplińskiej).

2 Deukalion – syn Prometeusza, który wraz z żoną Pyrrą ocalał z potopu. Następnie oboje udali się do bogini Temidy. By wzbudzić na nowo ród ludzki, wyrocznia kazała im rzucać za siebie kości matki, co małżonkowie zinterpretowali jako „kości Ziemi”, czyli kamienie.

3 *Inde genus durum* (łac.) – „Skąd poszedł ród nasz twardy, na trudy wytrzymały / Na świadectwo, skąd wziął się i skąd się wywodzi?”. Owidiusz, *Przemiany*, I, 414–415. Przełożył Bruno Kiciński (przyp. H. C.).

4 Sir Walter Raleigh, *History of the World*, ks. I, cz. I, rozdz. 11, ten sam co powyżej fragment pochodzi z przekładu *Przemian* Owidiusza, pióra Raleigha – Ovid, *Metamorphoses*, I, 414–415 (przyp. H. C.).

troskami i nadmiernie ciężkimi obowiązkami, że nie potrafi zrywać piękniejszych owoców życia. Od nadmiernej harówki zbytnio im drżą niezdarne palce. Doprawdy, nie ma dnia, aby pracujący człowiek znalazł czas na prawdziwą rzetelność albo pozwolił sobie na utrzymywanie najprostszych, ludzkich stosunków z sąsiadami, albowiem cena jego pracy spadłaby na rynku. Ma czas tylko na to, aby być maszyną. Jakże może pamiętać o tym, że nie wie wielu rzeczy – to zaś jest warunkiem rozwoju – ten, który tak często musi spożytkować to, co wie? Toteż zanim wydamy o nim sąd, powinniśmy czasami dobrowolnie karmić go, ubierać i serdecznie podtrzymywać na duchu. Najpiękniejsze wartości naszej natury, podobnie jak meszek na owocach, można zachować jedynie dzięki najbardziej troskliwej pielęgnacji. Wszelako ani siebie, ani innych wcale tak delikatnie nie traktujemy. Jak wszystkim wiadomo, istnieją ludzie biedni, którym trudno jest żyć, niekiedy więc prawie wegetują. Niektórzy czytelnicy tej książki nie są niewątpliwie w stanie zapłacić za wszystkie rzeczywiście zjedzone obiady czy liche, szybko się zdzierające – a właściwie już zdarte – płaszcze lub buty, do tej zaś stronicy dobrnęli dzięki chwilom pożyczonym albo skradzionym, dzięki godzinie znów wyrwanej wierzycielom z kieszeni. Przed moim zaostrzonym przez doświadczenie okiem nie ukryje się fakt, że wielu ludzi, usiłując rozwijać interesy albo pozbyć się długów, prowadzi marne i nędzne życie, zawsze na pograniczu wytrzymałości. Odwieczne to bagno, zwane przez Rzymian *aes alienum* – czyli cudzymi miedziakami, albowiem część monet bito wówczas z miedzi. Ludzie żyją, umierają i grzebani są pod długami; wciąż przyrzekają oddać, przyrzekają oddać jutro, a umierają dzisiaj – niewypłacalni. Na wszelkie sposoby szukają, komu by się przypochlebić, w którym sklepie dostać kredyt – na wszelkie sposoby, prócz przestępstw karanych więzieniem stanowym. Kłamią, pochlebiają, głosują, zamykają się w lupinie uprzejmości, rozplývają w rozrzedzonej i lotnej jak opary atmosferze szczerości, przekonując sąsiada, że zrobią mu buty albo uszyją kapelusz czy płaszcz, że zbudują powóz albo załatwią dla niego

import towarów kolonialnych. Udają chorobę, aby zebrać coś na czarną godzinę, coś, co można by wetknąć za stanik czy lepiej w pończochę, wsunąć w dziurę w ścianie albo za ruchomą cegłę – nieważne gdzie, nieważne ile, dużo czy mało. Zastanawiam się, jak możemy być tak nierozważni – że tak powiem – aby zajmować się ową karygodną i niejako obcą nam formą poddaństwa zwaną niewolnictwem Murzynów. Tylu istnieje gorliwych i przebiegłych panów, że ujarzmiło zarówno Północ, jak i Południe. Ciężko jest mieć nadzorcę z Południa, jeszcze gorzej atoli z Północy, lecz najgorzej być własnym ekonomem.

[...]

Przez pierwsze lato nie czytałem książek; okopywałem fasolę. Skądże, często lepiej spędzałem czas. Niekiedy nie stać mnie było na poświęcenie kwiatu chwili bieżącej i zajmowanie się jakąkolwiek pracą – ani umysłową, ani fizyczną. Uwielbiam mieć w życiu dużą swobodę. Bywały takie letnie dni, gdy wzięwszy jak zwykle kąpiel, cały poranek – od wschodu do południa – spędzałem, siedząc w słońcu na progu, zatopiony w myślach, pośród sosen, hikor i sumaków, w niezmaconej samotności i spokoju, a wkoło śpiewały ptaki albo przemykały bezszelestnie przez mój dom, dopóki słońce nie przypomniało mi o upływie czasu, zaglądając w okno od zachodu, czy też z odległej drogi nie doleciał turkot wozu jakiegoś podróżnego. W taki czas rosłem niby kukurydza w nocy⁵ i dawał mi on więcej zadowolenia, aniżeli gdybym wykonywał jakąkolwiek pracę rękami. Nie był to czas, który należałoby odjąć z mojego życia, lecz dodany do niego i o wiele bogatszy. Zdałem sobie sprawę z tego, co ludzie Wschodu rozumieją przez kontemplację i zaniechanie zajęć. Przeważnie nie zważałem na to, która jest godzina. Dzień posuwał się naprzód, jak gdyby po to abym w jego świetle wykonywał jakąś pracę; tymczasem wstał ranek i oto zapada już wieczór, lecz ja nie dokonałem niczego pamiętnego. Zamiast śpiewać tak jak ptaki, w ciszy uśmiechałem się do swojego niezmiennie

⁵ Kukurydza należy do najszybciej rosnących warzyw (przyp. H. C.).

sprzyjającego losu. Podobnie jak wróbel na hikorze przed moimi drzwiami wyśpiewywał swój tryl, ja wydobywałem z gardła chichot lub stłumiony szczebiot, który pewnie go dolatywał z mojego gniazda. Dni moje nie były dniami tygodnia z wyciśniętym na nich piętnem pogańskiego bożka⁶ ani nie były przemielone na godziny czy podzielone na drobinki przez tykanie zegara; żyłem podobnie jak Indianie Puri⁷, którzy podobno jednym i tym samym słowem nazywają dzień wczorajszy, dzisiejszy i jutrzejszy; różnicę między nimi wyrażają przez wskazywanie do tyłu, gdy mają na myśli wczoraj, do przodu, gdy mówią o jutrze, i do góry, gdy idzie im o dzień, który właśnie upływa. W oczach mieszkańców naszego miasteczka uchodziło to za czyste nieróbstwo – niewątpliwie; aliści gdyby oceniały mnie według swoich kryteriów ptaki i kwiaty, zdałbym u nich egzamin. Impuls do codziennych zajęć człowiek musi znaleźć w sobie samym. Dzień jako taki jest bardzo spokojny i trudno, aby zganiał człowieka za jego próżniactwo.

Henry D. Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, przełożyła, wstępem i przedmową opatrzyła Halina Cieplińska, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1991 [1854], s. 28–30, 144–146.

⁶ Nazwy dni tygodnia w języku angielskim pochodzą od imion bogów pogańskich, np. od Thora (jednego z głównych bogów mitologii skandynawskiej), od Wodana (z mitologii zachodniogermańskiej z odpowiednikiem Woden w anglosaskiej) (przyp. H. C.).

⁷ Plemię Indian Puri zamieszkiwało wschodnie tereny dzisiejszej Brazylii (przyp. H. C.).

Wolałbym tego nie robić (*Kopista Bartleby*, fragment)

Herman Melville

Otóż moje pierwotne zajęcie – prawnika od przenoszenia i zdobywania tytułów własności i notariusza sporządzającego wszelkiego rodzaju zawiłe dokumenty prawne – znacznie się rozrosło, odkąd objąłem urząd asystenta Sędziego. Kopistom przybyło teraz dużo pracy. Musiałem nie tylko popędzać tych, których mam, ale i szukać dodatkowej pomocy. Dałem ogłoszenie i pewnego ranka stawiał się w progu mej kancelarii młody mężczyzna; drzwi były otwarte, jak to latem. Do dziś mam w oczach tę scenę i jego widok: blado schludny, żałośnie szacowny, nieuleczalnie samotny! Był to Bartleby.

Zamieniwszy z nim kilka słów na temat jego kwalifikacji, przyjmuję go, rad, że oto do korpusu mych kopistów dołącza człowiek o tak wyjątkowo spokojnym charakterze, co, jak pomyślałem, będzie miało dobroczynny wpływ na nerwowe usposobienie Indyka i zapalczywe Szczypiec.

Nie wspominałem jeszcze, że moją kancelarię dzieliły na dwie części rozsuwane drzwi z wstawionym matowym szkłem – jedną zajmowali kopiści, drugą ja. W zależności od samopoczucia, raz drzwi szeroko rozsuwałem, raz zamykałem. Postanowiłem przydzielić Bartleby'emu kąt obok szklanych drzwi, ale po mojej stronie, tak żeby mieć tego cichutkiego człowieka w bliskim zasięgu, na wypadek, gdyby zaszła konieczność pilnego zajęcia się jakimś drobiazgiem. Ustawiłem jego biurko tuż obok bocznego okienka w tej właśnie części pomieszczenia; okienko wychodziło niegdyś na brudne podwórza i cegły, lecz z powodu wzniesionych później budowli z okna tego nie roztaczał się już żaden widok, dawało ono natomiast trochę światła. W odległości trzech stóp od szyby stał mur, a światło docierało z bardzo daleka, pomiędzy dwóch wysokich gmachów, jakby z małej szczeliny w kopule. Starając się stworzyć jak najlepsze miejsce pracy, sprowadziłem wysoki, zielony, rozsuwany parawan, który mógł zasłonić całkowicie Bartleby'ego

przed mym wzrokiem, choć mój głos nadal do niego dochodził. Tak oto w pewien sposób udało się połączyć prywatność i towarzyskość.

Początkowo Bartleby wykonywał swe zadania jedno za drugim. Tak jakby odczuwał ciągły głód czegoś do przepisywania, nieomal pożerał moje dokumenty. Nie robił przerwy na trawienie. Pracował w godzinach dziennych i nocnych, sporządzając kopie zarówno przy świetle słonecznym, jak i przy świetle świec. I byłbym tym wszystkim zachwycony, gdyby pracował równie pogodnie, jak pilnie. Ale on pisał milczkiem, bez entuzjazmu, mechanicznie.

Nieodłączną, rzecz jasna, częścią zawodu kopisty jest sprawdzenie wyraz po wyrazie, czy nie popełniło się błędów. Jeśli kancelaria zatrudnia dwóch czy więcej kopistów, asystują oni sobie wzajemnie w owej weryfikacji w ten sposób, że gdy jeden czyta na głos sporządzoną kopię, drugi śledzi wzrokiem tekst oryginału, który trzyma w ręce. Jest to czynność bardzo nudna, nużąca i le-targiczna. Łatwo mogę sobie wyobrazić, że dla niektórych ludzi o bardziej krewkim usposobieniu byłoby to zajęcie wręcz nie do wytrzymania. Trudno przeto byłoby mi uwierzyć, że oto mążny a krewki poeta Byron siada z zadowoleniem przy Bartlebym, aby wspólnie z nim zbadać dokument liczący, powiedzmy, pięćset stron gęsto zapisanych pokręconymi literami.

Od czasu do czasu sam miałem w zwyczaju, mimo wiru zajęć, asystować przy owym zaczytywaniu jakiegoś krótkiego dokumentu, wzywając w tym celu Indyka i Szczypce. Jednym z powodów, dla których ulokowałem Bartleby'ego tak wygodnie dla mnie za parawanem, było to, iżbym mógł skorzystać z jego usług przy tak trywialnych okazjach. I chyba trzeciego dnia, odkąd go przyjąłem do pracy u mnie, i nim powstała jakakolwiek potrzeba sprawdzenia napisanych przezeń dokumentów, wezwałem raptem Bartleby'ego, bo spieszno mi było zakończyć pracę nad pewną drobną sprawą. A ponieważ spieszyło mi się i w sposób naturalny oczekiwałem natychmiastowej reakcji, siedziałem, pochyliwszy głowę nad dokumentem na mym biurku, z prawą ręką opuszczoną wzdłuż ciała i niejako nerwowo przedłużoną o dokument, który w niej trzymałem, tak,

by Bartleby natychmiast po pojawieniu się u mnie mógł papier ów wyrwać mi z ręki i zabrać się do roboty bez najmniejszej zwłoki.

Z takim to siedziałem nastawieniem, kiedy wezwałem Bartleby'ego, spiesząc mu oznajmić, do czego go potrzebuję – że mianowicie pragnę, by razem ze mną sprawdził poprawność niewielkiego dokumentu. Wyobraź sobie, czytelniku, jak bardzo byłem zaskoczony, ba, skonsternowany, gdy, nie ruszywszy się ze swego odosobnienia, Bartleby odpowiedział mi uprzejmie acz stanowczo: Wolałbym nie.

Przez jakiś czas tkwiłem przy biurku w absolutnym milczeniu, usiłując zmobilizować moje osłupiałe władze umysłowe. Od razu przyszło mi do głowy, że to me własne uszy wprowadziły mnie w błąd, albo że Bartleby zupełnie nie pojął, o co mi chodzi. Powtórzyłem, czego sobie życzę, tonem możliwie najwyraźniejszym. Lecz nie mniej wyraziście zabrzmiała odpowiedź, taka sama jak przedtem: Wolałbym nie.

– Wolałbyś nie? – powtórzyłem niczym echo, podnosząc się z miejsca wielce poruszony i kierując się wielkimi krokami przez pokój w jego stronę. – Co to ma znaczyć? Czyś pan oszalał? Chcę, żeby pomógł mi pan przeczytać ten oto dokument, proszę go wziąć ode mnie – powiedziałem i rzuciłem mu arkusik. Wolałbym tego nie robić – usłyszałem.

Herman Melville, *Kopista Bartleby: Historia z Wall Street*, przeł. Adam Szostkiewicz, Warszawa: Wydawnictwo Sic!, 2009 [1853], s.16–19.

Ja głodny, jeść nie będę... (Czatterton, fragmenty)

Alfred de Vigny

CZATTERTON,

siedząc na łóżku i pisząc na kolanie.

[...]

Zimno mi...

Zmarznięta dłoń, a w głowie płonie żar...

Z pańszczyzną moją sam na sam zostaję...

Już niczym dobroć, uśmiech i pokłony,

Ściśnienia rąk... ta farsa odegrana;

Ja inną tu zaczynam z samym sobą

[...] trzeba, by przed Czattertonem

Zgłodniałym, chorym, myśl ma postawiła

Innego Czattertona, ku zabawie

Gawiedzi próżnej wciąż wzruszenia chciwej,

Strojnego wieńcem na rycerskim czole,

Z truwera złotą lutnią na ramieniu;

I żeby tego, tamten jej wyśpiewał,

Ja żebrak, mnie poetę!... To mój los,

Poezja cała w dwóch postaciach różnych. –

Rozczulać tłum, lub śmiech litości budzić,

Grać w lalki, lub samemu lalką być,

I tym małpiarstwem chleba się dorabiać!

Rozpłatać serce na kramarskim stole,

Tym lepiej jeśli ranne; bo kalectwo

Jest drożej płatne...

Powstaje.

Wstań, obrazie Boga!

Upiorze żywy, chełp się z twej nicości! –

Śmieje się i siada; – stary zegar bije

wpół, dwoma uderzeniami.

Nie, nie! Godzina cię przestrzega; siedź
 I pracuj, najemniku! Czas upływa,
 Czas drogi, myśląc... jedna myśl ci starczy,
 Żeś ty jest nędzny, biedak bez przytułku. –
 Czy słyszysz? nędzny, o żebranym chlebie!
 Minuta każda w płonnyim twym zachwycie
 Okrada nędzę twoją. – Na co myśl,
 Gdy tylko słowo zysk ci przynieść może?
 Są pewne słowa płatne po szelągu:
 Myśl sama nie ma ceny... Precz ode mnie,
 Na Boga, precz! Wystygłe zniechęcenie;
 Pogardo siebie, w przepaść mię nie wtrącaj!
 Bo teraz imię moje i mieszkanie,
 Już wszystkim znane; a przed jutrem, jeśli
 Roboty tej nie skończę, jam zgubiony,
 Stracony, bez nadziei! – Sąd, więzienie!
 O wstydzie! hańbo! pracy niechwalebna!...

Pisze.

To pewna, że mię Kitty nie pokocha.
 A cóż! tej myśli nigdy nie odpędzę?...

Długie milczenie.

Pokornym bardzo marzyć o tym jeszcze.
 Lecz niech kto powie, skąd bym dumnym był?
 Ja, pyszny? ja, wygnaniec w kraju własnym,
 Odarty z mej spuścizny...

[...]

Ta gęsta mgła rozciąga się za oknem
 Jak biały całun... tak wisiała w dzień,
 Gdy ojciec mój umierał... tam, na dole,
 Tamiza płynie, mętna i leniwa,
 Jak w piekle rzeka, co niepamięć daje.
 Niejeden jęk rozpaczy w niej stłumiony...

Zegar bije trzy kwadranse.

Więc jeszcze? czas mię nagli; kończ, zarabiaj!

[...]

Ręką ocierając czoło.

Gdzie leczę, gdzie? mój wyraz myśli unosi...
 O zgrozo! czy szaleństwo tak nie stąpa?
 Najśmielsze serce to przestraszyć może.
 Uspokój się, dla Boga!... Com ja czytał? –
 To dzieło nie dość piękne, niedojrzałe;
 Pisane za pieniądze... O katuszy!...
 „Gdy zwiedli bitwę Sas i Normand dzielny,
 Pod Hastings...” Brednie! Czy mię to zajęło?
 Nie! Na cóż pisać, gdy tak mówić wiele?

Wstaje i chodzi różnym krokiem.

Popioły stare budzić mym oddechem,
 Gdy wszystko drga i cierpi wkoło mnie!
 Gdy Cnota w jarzmie kona bez pomocy;
 Gdy krwawa Praca bez szacunku ginie;
 Gdy Miłość jest bezdzietna; gdy Nadzieja
 Jest bez kotwicy; Wiara bez kielicha;
 Gdy Prawo jest bezbożne i zepsute
 Jak nierządnicą; gdy głos Ziemi woła
 O pomstę do poety na złodziei,
 Co kopią sól i złoto w jej wnętrzościach,
 I bluźnią, że bez Nieba się obejdzie! –

[...]

Bierze na stole tabakierkę.

To on, mój ojciec: on, zsiwiał majtek,
 Waleczny żeglarz, król na swym okręcie,
 Co w dzień się bił, a w nocy spał spokojnie...
 On nie był tak jak ja, myślącym Parią,
 Od ludzi odepchniętym... O mój ojczu!
 Ten biały papier jest to żagiel moja:
 A jeśli jutro niezwiniętą będzie,
 Więzienie, wstyd! a nie mam w duszy mej
 Jednego tchnienia, bym ją mógł zapełnić!

Sprzedalem z głodu dyjament jedyny,
 Co jaśniał na twym czole jak jutrzeńka;
 Już nie mam nic, a głód mi został sam!...
 Mam jeszcze dumą twą, dla której milczę.
 Ty, stary, ty wiedziałeś, że bezpłatnie
 Nie można żyć, tyś złota nie mógł dać,
 A na cóż, starcze, dałeś mi istnienie!...

*Rzuca tabakierkę; – bieży za nią,
 podnosi, klęka całując, i płacze.*

Ach! przebacz mi, mój ojczy srebrnowłoso! –
 Tyś mię na łonie twem tak czule ścisnął;
 Po życiu pełnym zasług i poświęceń,
 Umarłeś na wygnaniu, jak złoczyńca!
 To sprawiedliwość królów na tym świecie!
 Jam winien sam! ja wieszczęm się mniemałem!
 Lecz imię twe nie pójdzie do więzienia!
 Na twoją krew, przysięgam! Patrz, to opium;
 Ja głodny, jeść nie będę, lecz wypiję!

Łzami rosi tabakierkę.

Ktoś ciężkim krokiem po mych schodach stąpa,
 Ten skarb ukryję... Czemu? czym niewolny?
 I kogóż mam się bać? Czy stary Kato
 Przed rzeszą krył swój miecz? więc, Rzymianinie,
 Bądź tym, czym jesteś, patrz na ludzi śmiało! –

Stawia opium na stole.

Alfred de Vigny, *Czatterton: dramat w 3 aktach*, przeł. Krystyn Ostrowski, Kraków: J. Czech, 1860 [1835], s. 65–74.



Gdzie indziej



**W prastarych czasach musiała zaprawdę cała natura być
bardziej ożywiona (Henryk Ofterdingen, fragment)**

Novalis

W prastarych czasach musiała zaprawdę cała natura być bardziej ożywiona i głębsza niż dzisiaj. Oddziaływania sił ziemi, które w czasach naszych ledwie na zwierzęta wpływ wywierają, a dla ludzi są jedynie przedmiotem odczucia i rozkoszy, rządziły w on czas ciałami martwymi, pobudzając je do życia. Nic też dziwnego, że ówczesni, wtajemniczeni ludzie mogli dokonywać czynów dziwnych i wywoływać zjawy wydające się nam zgoła niewiarygodnymi i bajecznymi. W prastarych tedy czasach, w okolicach dzisiejszego cesarstwa greckiego, jak opowiadają podróżnicy, którzy napotkali tam jeszcze owe legendy pośród ludzi, istnieli poeci, co potrafili za pomocą dziwnych dźwięków, wydobywanych z nieznanymi narzędziami, budzić tajemne siły drzemące po lasach i w pniach ukryte ujarzmić demony, co potrafili w skalistych pustaciach wskrzeszać obumarłe nasiona roślin, w bujne ogrody zaklinać ugorzyska, co srogie kielźniali potwory, a w zdziczałych ludziach obudzali instynkty porządku i obyczajności, skłonności do sztuki i zamiłowanie pokoju. Poeci ci umieli przemieniać rwące potoki górskie w cicho szmerzące rzeki, a nawet martwe głazy zmuszali do rytmicznego, tanecznego ruchu. Podobno głosili oni też wyroczne słowa, spełniali kapłańskie obrzędy i byli ustawodawcami i lekarzami, bo swą sztuką czarnoksiężską zniewolili sobie nawet wyższe istoty, uczyli się od nich tajemnic przyszłości, poznawali naturalny ustrój wszystkich rzeczy, nawet wewnętrzne moce i lecznicze siły liczb, roślin, słowem wszystkich tworów ziemi. Jak mówi legenda, od tego dopiero czasu nastały w świecie rozliczne urządzenia oraz zbudziły się sympatie i różnorodne dźwięki, a przed tą erą wszystko było dziczą, chaosem i srogą nienawiścią. Dziwne jest tylko, że choć, co prawda, pozostały piękne pamiątki po onych dobroczynnych ludziach i przetrwały aż do naszych czasów, to jedno z dwojga – albo właściwa im moc i sztuka władania, albo też owa delikatna

wrażliwość przyrody musiała zaginąć, gdyż wszystko teraz jest inaczej. W on czas zdarzyło się raz, że pewien poeta albo raczej muzyk – gdyż muzyka i poezja wydaje nam się jakoby jednym i tym samym i jest niejako podobna do ust i ucha, razem wziętych, przy czym usta są tylko ruchomym i opowiadającym uchem – zdarzyło się tedy, że ów poeta-muzyk podjął podróż za morze, do krajów nieznanych. Był on bogaty, posiadał piękne klejnoty i mnóstwo wszelakiego dobra, które mu z wdzięczności zewsząd znoszono w darze. U wybrzeży morskich znalazł okręt i ludzi ochotnych, którzy za obiecaną zapłatę zgodzili się zawieźć go tam, gdzie chciał. Ale blask i piękno skarbów, jakie wiozł ze sobą, pobudziły niebawem ich chciwość do tego stopnia, iż zmówili się między sobą i postanowili go związać, cisnąć do morza, a potem dobytkiem się podzielić. Gdy więc okręt wypłynął na pełny ocean, rzucili się na poetę i oznajmili mu, że umrzeć musi, gdyż powzięli silne postanowienie zatopienia go w morzu. Słowami wzruszającymi prosił poeta zbrodniarzy, by mu darowali życie, ofiarowywał swe wszystkie skarby na okup i przepowiedział, że spotka ich wielkie nieszczęście, jeśli dokonają swego złego zamysłu. Ale ani jedno, ani drugie nie wzruszyło złych ludzi, gdyż obawiali się, że kiedyś mógłby ich zdradzić. Widząc, że od zamiaru odstąpić nie zechcą, poprosił ich, by mu dozwolili przynajmniej przed śmiercią po raz ostatni zagrać pieśń lubioną, potem obiecał wraz ze swym prostym, drewnianym narzędziem muzycznym dobrowolnie skoczyć w ich oczach w odmęty morza. Rozbójnicy wiedzieli dobrze, że gdy tylko posłyszają śpiew czarodziejski, serca im zmiękną i skrucza je opanuje, przeto postanowili wprawdzie nie odmawiać prośbie ostatniej, ale podczas śpiewu zatkać sobie dobrze uszy, by nie dosłyszeć ani jednego tonu i w ten sposób postawić na swoim. I tak się też stało. Poeta począł wspaniały, niesłychanie wzruszający śpiew. Cały okręt wtórował, rozbrzmiewały fale morza, słońce, księżyc i gwiazdy pojawiły się równocześnie na niebie, a z odmętów oceanu wychyliły się tłumy ryb i potworów i poczęły płaszać. Sami tylko żeglarze stali niemi z zatkanymi uszami i czekali niecierpliwie na koniec pieśni. Wnet

przebrzmiała, a pieśniarz z pogodnym obliczem skoczył w czarną głęb, cisnąc do piersi swój cudotwórczy instrument. Ale zaledwie dotknął stopą fal połyskliwych, wynurzył się z nich ciemny grzbiet wdzięcznego potwora morskiego, wziął go na siebie i odpłynął ze zdziwionym poetą. Po kilku chwilach potwór dosięgnął wybrzeża, na które chciał się dostać pieśniarz i złożył go lekko w szuwarach. Poeta zagrał swemu wybawcy pieśń radosną i odszedł z sercem przepełnionym wdzięcznością. Po pewnym czasie znalazł się znowu samotny nad brzegiem morza i słodkimi dźwiękami żalił się straty drogocennych klejnotów, które mu były miłe jako pamiątki szczęśliwych chwil i oznaki miłości i wdzięczności ludzkiej. Jeszcze pieśni nie skończył, gdy spostrzegł nadpływającego swego przyjaciela i wybawcę. Wesoły legł mu potwór morski u nóg i wyrzucił z paszczy skradzione skarby na piasek. Rozbójnicy, zaraz po skoku poety w morze, poczęli się dzielić łupem. Przy tym podziale jednak wszczęli kłótnię, która zakończyła się morderczą walką, a większość rozbójników padła trupem. Ci, którzy pozostali przy życiu, nie byli w stanie sami kierować okrętem, toteż wpadł niebawem na skały i zatonął. Z wielkim trudem ledwie zdołali wyratować się z toni i dobili z pustymi rękami i w podartych sukniach do lądu. W ten sposób za pomocą wdzięcznego potwora morskiego, który skarby na dnie morza leżące odszukał, powróciły one na powrót w posiadanie dawnego właściciela.

Novalis [Georg Philipp Friedrich Freiherr von Hardenberg], *Henryk Ofterdingen*, przeł. Franciszek Mirandola, Warszawa-Kraków: J.Mortkowicz, 1914 [przed 1801], s. 30-34.

Wolno było robić każdemu, co mu się podobało (*Złota księżeczka, czyli historia rodu ludzkiego, fragment*)¹

Piotr Ściegienny

Przed rozejściem się zwołał wszystkich stary ojciec i tak do nich przemówił: Ponieważ, kochane dzieci, okolica, w której teraz żyjemy, wyżywić nas nie może, chociaż każdy podług możliwości na chleb pracuje, musicie się więc rozejść i szukać dla siebie gdzie indziej siedliska.

Pamiętajcie, że wszyscy jesteście moimi dziećmi, kochajcie się jak bracia, nie róbcie jeden drugiemu krzywdy, nie kłóćcie się, życie zawsze w zgodzie i jedności, a nigdy się wam nic złego nie stanie; dopomagajcie sobie w nieszczęściu, a nigdy wam ani głód, ani zimno, ani żadna bieda nie dokuczy. Abyście się przekonali, jak silnymi razem jesteście, niech tu każdy przyniesie pręcik kruchej wierzby.

Gdy każdy przyniósł pręcik wierzby, kazał stary ojciec zebrać wszystkie pręciki i w jeden pęk związać, a potem podawał każdemu do łamania, a nikt pęku przełamać nie mógł. Wtenczas rzekł stary

¹ Piotr Ściegienny (1801–1890) – socjalista, działacz niepodległościowy, ksiądz katolicki. Ściegienny, pochodzący z rodziny chłopskiej, po ukończeniu szkół powrócił do swojej wsi, gdzie pracował jako nauczyciel, następnie jako urzędnik w Kielcach, a niedługo potem wstąpił do kolegium Pijarów w Warszawie, gdzie w 1832 przyjął święcenia. W 1833 zakon został skasowany za działalność polityczną przez władze carskie, Ściegienny przeniósł się na prowincję, pełnił funkcję wikarego i proboszcza we wsiach na południowej Lubelszczyźnie, wówczas też rozpoczął działalność agitacyjną wśród lokalnych chłopów, powołał także organizacje spiskowe na Kielecczyźnie. Celem spisku (w którym brał udział m.in. Edward Dembowski) było wywołanie rewolucji społecznej przeciwko caratowi jesienią 1844 roku. Organizacja na kilka dni przed wybuchem została zdekonspirowana, a sam Ściegienny skazany na śmierć. Ostatecznie karę zamieniono na dożywotnią katorgę na Syberii. W międzyczasie został usunięty ze stanu kapłańskiego. Ściegienny powrócił z Syberii w 1871, zmarł w Lublinie w wieku 89 lat (na temat filozofii społecznej Ściegiennego zob. również przyp. 1 na s. 223).

Przedstawiany przez nas fragment pochodzi ze *Złotej księżeczki, czyli historii rodu ludzkiego* i powstał w 1840 roku, prawdopodobnie pod wpływem spotkania Ściegiennego z Edwardem Dembowskim, który miał zachęcić księdza do przygotowania pracy, którą można by rozpropagować wśród chłopów.

ojciec: Widzicie, kochane dzieci, dopóki się razem trzymać będziecie, dopóki zgoda, jedność i miłość łączyć was będzie, nikt was nie złamie, nikt nie zwycięży.

Rozwiążcie teraz pęk i weź każdy z was pręcik, łamcie... I łatwo każdy złamał, a ojciec rzekł znowu: Przekonajcie się, dzieci! I wy, skoro tylko się rozłączycie, skoro między sobą będziecie się kłócić i każdy tylko dla siebie żyć będzie, skoro nieszczęście jednego z was nic was obchodzić nie będzie, wszyscy zginiecie, nieprzyjaciel łątwo was pojedynczo złamie, pokona, zwycięży, w niewolę zapędzi i przymusi, abyście jak bydło ciężko na niego pracowali. W niewoli będziecie usychali od pracy, a od głodu i zimna umierali, w niewoli będziecie najnieszczęśliwsi. Ja, moje dzieci, pragnę waszego szczęścia i dlatego przyrzeknijcie mi w obliczu Boga:

Będziecie się kochali?

– Będziemy! – odpowiedzieli.

Będziecie w zgodzie i jedności żyli?

– Będziemy!

Będziecie sobie w nieszczęściu dopomagali?

– Będziemy!

Będziecie się wzajemnie od nieprzyjaciół bronili?

– Będziemy!

Czy zachowacie to prawo: co tobie niemiłe, tego drugiemu nie czyni – owszem, co chcesz, aby tobie czyniono, czyni drugiemu.

– Zachowamy.

Starzec, odebrawszy takie przyrzeczenia od swoich dzieci, wnuków i prawnuków, ze łzami radości podniósłszy ręce i oczy ku niebu, zawołał: Niech więc Bóg was błogosławi i zlewa na was wszelkie dobrodziejstwo. I ja was, kochane dzieci, błogosławię. Życzę wam wszelkiego dobra. Idźcie. Kochajcie się, pracujcie, a będziecie w obfitości i szczęściu żyli. Wszyscy zaczęli się ścisnąć, całować, płakać, a potem rozeszli się na cztery części świata.

Każda gromada ludzi, znalazłszy dogodną dla siebie miejscę, osiadła, zaczęła uprawiać ziemię i żyła swobodnie, a pamiętając naukę starego ojca, żyli w zgodzie i wszyscy się kochali jak rodzone

dzieci, odwiedzali się, bawili się po pracy, jeden drugiemu nie zazdrościł szczęścia, bo wszyscy byli szczęśliwymi.

Nie mieli żadnych praw, każdy tylko wiedział, że nie należy czynić drugiemu tego, co nie chcemy, aby nam czyniono – owszem, każdy dla drugiego to czynić powinien, co chce, aby mu czyniono. I podług tego prawa starsi rozstrzygali spory, jeżeli kiedy wydarzyły się między ich potomkami. Wolno było robić każdemu, co mu się podobało, byle bliźniego nie krzywdził; żyli wszyscy wolni, żyli w braterstwie.

Nie było między nimi ani chłopca, ani mieszczanina, ani księdza, ani pana, ani szlachcica, ani króla, byli sobie wszyscy równi, byli rolnicy i rzemieślnicy. Jedni na drugich nie pracowali, każdy własną pracą powinien się być utrzymać. Kaleki tylko i starców żywili.

Ponieważ, jak powiedziałem, nie było między ludźmi ani panów, ani królów, nie było więc wojska, nie zabierano rodzicom synów, nie było zatem podatków, nie było pańszczyzny, czynszów, dziesięcin ani żadnych danin. Każdy gospodarz miał swój własny kawał ziemi, nikt mu go odebrać nie mógł, miał swoją chałupę, oborę, stodołę, swoje bydło – pracował tylko dla siebie i dla swoich dzieci, a jeżeli się chciał przenieść na inne, niezamieszkane jeszcze miejsce, wolno mu było. Jak rolnicy żadnych powinności z gruntu i chałupy nie odrabiali, tak też i rzemieślnicy żadnych wydatków z rzemiosła na kanony, kwaterunki i inne podatki nie ponosili. Od chrztu, pogrzebu i ślubu nikt nie płacił. Żyjąc ludzie w tak szczęśliwym stanie, bardzo się rozmnażali i coraz większą przestrzeń ziemi zajmowali. A im bardziej się odsuwali od miejsca pierwiastkowego pochodzenia, tym mniej się odwiedzali, a co najgorsza, zapominali o nauce starego ojca, którą dał dzieciom przy rozejściu się.

Piotr Ściegienny, *Złota księżeczka, czyli historia rodu ludzkiego*, w: tenże, *Ewangelia i rewolucja. Wybór pism*, red. Adam Sikora, Warszawa: Książka i Wiedza, 1981 [1840], s. 4-7.

U ludów słowiańskich posiadać ziemię na własność to grzech (*Literatura słowiańska, fragmenty*)

Adam Mickiewicz

W chwili, gdy filozofia wyjaśnia i usprawiedliwia prawodawstwo francuskie, w chwili, gdy wszyscy mniemają, iż w tej mierze osiągnęli doskonałość, jako że własność została rozdrobniona i wyswobodzona ze wszelkich więzów praw feudalnych, korporacji i służebności – w tej chwili podnoszą się wołania przeciw własności, przeciw wszystkim rządzącym nią prawom. Powstają szkoły, mianowicie we Francji, pragnące wyrzucić własność od podstaw lub ograniczyć ją w sposób, który by całkowicie odmienił terażniejsze prawodawstwo.

Nie trzeba mniemać, jakoby wszystkie te idee wyrażały jedynie gniew klas ubogich, proletariuszy, albo jakoby w tych wszystkich projektach była tylko ślepa zazdrość o własność, albo wreszcie jakoby owe szkoły chciały omamić opinię publiczną, zasłaniając tymi teoriami swoje namiętności polityczne: zło leży o wiele głębiej. W Ameryce, gdzie ziemia woła o przemysł, gdzie człowiek może osiedlać się wszędy, uważać lasy i równiny za swą własność, z tej ziemi niezajętej jeszcze podnoszą się takie same głosy, wypowiadające też same idee. Filozof amerykański, opierając się na moralnych potrzebach człowieka, radzi spółziomkom zrzec się własności¹.

Rzeczą najważniejszą jest znaleźć sankcję tych nowych dążeń w żywej tradycji. Otóż istnieje na ziemi jeden jedyny lud, co ją jeszcze przechowuje, lud dawny, który, stawiawszy przez tyle wieków opór wyrozumowanym ideom ruchu europejskiego, pozostał wierny starożytnej tradycji: mówię o ludzie słowiańskim.

[...]

Zasadniczym pojęciem ludów słowiańskich jest, że posiadać ziemię na własność to grzech: oto podstawa całego prawodawstwa słowiańskiego, że człowiekowi nie wolno posiadać ziemi. Słowianie sadowią się na ziemi tylko jakby za osobną łaską, po otrzymaniu

¹ Chodzi o Ralpha Waldo Emersona.

osobnego i czasowego pozwolenia. Dlatego to muszą naprzód poznać wolę bożą, spełnić pewne obrzędy, pewne ofiary, aby ten grzech nie przyniósł im nieszczęścia. A więc przed objęciem własności odbywa się u Słowian obrzęd egzorcyzmu.

Po założeniu gminy dzieli się jej grunta na dwie części: grunta przyznane pojedynczym osobom oraz ziemię gromadzką. Grunt użytkowany przez pojedynczą osobę nie może być sprzedany ani odstąpiony, ma zawsze pewien rozmiar stały w stosunku do obszaru ziemi tej części kraju. W dzielnicach, gdzie role uprawne są bardzo liczne, chłopci posiadają niekiedy w dwójnasób tyle, co chłopci na ziemiach Litwy i północnej Polski; ale stosunek ten jest zawsze stały, nie może być zwiększony; przyniosłoby to chłopom nieszczęście. Bożka Terminusa, którego Rzymianie stawiali na granicach swych posiadłości, lud słowiański nosi w swoich piersiach. Grunta chłopów nie są oddzielone płotami, jest tylko miedza porośnięta trawą. Nie wolno jej naruszyć: ten, kto by ją zorał, ściągnałby na się wielkie nieszczęście, wolno wszakże, i dobry to uczynek, spasać tę trawę bydłem. Toteż nie ma przykładu, a przynajmniej niesłychanie rzadkie są przykłady spraw sądowych między chłopami o ich prywatne grunta.

Chaty są również stawiane według jednakowego planu.

Starzec poważany jako kapłan, będący przechowawcą wszystkich tradycji, wyznacza dzień i porę, kiedy można ścinać drzewo. Drzewo powinno mieć zawsze jednakową wielkość, chata powinna mieć zawsze jednakie wymiary. Można posiadać dwie chaty, ale nie można chaty swej rozszerzać: szacowna tradycja, kładąca w ten sposób tamę chciwości ludzkiej. Chata wystarcza dla rodziny złożonej z sześciu, siedmiu osób. Zbudowana jest lepiej czy gorzej, stosownie do zamożności chłopca albo stosownie do łatwości zdobycia budulca. Jeśli chata zgorzeje albo na właściciela spadnie jakieś nieszczęście, nie można jej stawiać na nowo: pozostaje **pustka**. Można tę pustkę oddać komuś do użytkowania, ale nikt nie zechce wziąć jej na własność. Zdarzają się takie pustki istniejące od wieków. Jeśli chłop uciskany przez pana uciecze, nikt z sąsiadów nie zechce objąć po nim gospodarstwa. To zwyczaj o dużej wartości moralnej,

usuwający wszelką myśl o konfiskacie i wzbraniający człowiekowi korzystać z niedoli sąsiada.

Ziemie gromadzką uprawiają wszyscy chłopci wspólnie na użytek publiczny. Obowiązki chłopów względem ziem gromadzkich, według pierwotnego ustroju rodziny słowiańskiej, były nader liczne. Trzeba było naprzód odrabiać tam pewną liczbę dni, trzeba było budować spichrze i w razie potrzeby dawać strażników gminnych; dla ich wyżywienia trzeba było nawet składać pewne daniny w naturze. Ciężary były zatem liczne i dolegliwe, ale korzystała z nich cała gmina.

[...]

W czasach, kiedy się roztrząsa sprawę własności, jakie to szczęście dla rodu słowiańskiego, że rządzi się tak prostymi i przyrodzonymi prawami. Od Odry aż do granic Syberii kraje te przedstawiają tylko szachownicę drobnych gmin, w których własność wszędzie jest tej samej natury, a człowiek wszędzie ma to samo jej pojęcie.

Przewiduje się niezmierne trudności, jakie nastręcza rozwiązanie tej sprawy na Zachodzie, gdzie byt majątków jest związany z bytem jednostek, gdzie majątkom zagraża, a niekiedy przynosi ruinę wydarzenie zaszłe na rynku handlowym Waszyngtonu czy Filadelfii.

U nas nie masz nic podobnego.

Szkoły tegoczesne, które zapragnęły zreformować własność, nie wydały żadnej myśli dającej się zastosować i wszędzie znajdują się w sprzeczności z historią. Wszystkie one uznają człowieka za **nieograniczonego pana własności**. Saintsimoniści chcieli, jak wiadomo, podzielić własność i każdemu dać część według jego zdolności. Znaczyłoby to jeszcze pogorszyć teraźniejszy stan rzeczy, znaczyłoby to wydać własność w ręce garstki spekulantów.

Furieryści nie poczuli jeszcze realizować swoich teorii, warunki zaś, jakie stawiają realizacji, są tego rodzaju, że do niej prawdopodobnie nigdy nie dojdzie.

Należałoby najpierw rozważyć, czy to prawda, że człowiek jest panem natury. Saintsimoniści mieli niejaki przecucie prawdy, kiedy mówili, że człowiek winien wejść w przymierze z globem, a nie tylko użytkować go na swą wyłączną korzyść. Gdyby przyjęto

tę myśl we wszystkich jej zastosowaniach, jakżeżby można wytłumaczyć niektóre ograniczenia, które kodeks francuski nakłada na własność? Jakież na przykład zabraniać marnotrawcy trwonić majątek na dziwactwa? Albo gdyby komuś przyszło do głowy zrównać z ziemią, podpalić swój dom, niewątpliwie byłby mocen prawnie uczynić to, ale czy sumienie nie miałoby mu nic do wyrzucenia?

Pojęcia ludów starożytnych były w tej mierze nierównie bardziej moralne. Ich obrzędy religijne rozciągały opiekę nad niewolnikiem, zwierzęciem, nawet nad drzewem. Dawne prawo, najbardziej ludzkie z praw, jakimi rządziła się starożytność, prawo Mojżeszowe, przykazuje otoczyć staraniem roślinę, bydłę, a nawet naznacza ziemi dni wypoczynku. W tym przepisie Mojżesza jest głębsza filozofia niż we wszystkich formułach filozofii niemieckiej.

Powszechnie budzi się przecucie, że zachodzi ściślejszy, niż dotąd przypuszczano, związek między człowiekiem a tym, co nazywamy naturą. Filozof amerykański Emerson, którego z upodobaniem często przytaczam, także zadaje sobie pytanie: co to jest zwierzę, co to jest drzewo?

U Greków było dobrym uczynkiem pielęgnować chore drzewo; nie wolno było skalać źródła. Znany jest epigramat grecki z *Antologii*: kiedy zbójca umył ręce w źródle, woda w nim zaraz wyschła.

U Słowian, chociaż wiele ich obrzędów okrywa jeszcze tajemnica, istnieją podobne mniemania. Chłop uważa drzewo za istotę żywą, wobec której ma do spełnienia pewne powinności. I tak w okolicach lesistych nie pozwala sobie nigdy ściąć drzewa chorego lub wziąć w lasach drzewa nadgniętego, co zadziwia dziśniejszych spekulantów: nie mogą sobie wytłumaczyć tej opieszałości ludu. Ale przypomnijmy sobie ów dawny zwyczaj, co wszędzie zabraniał składać bogom w ofierze bydłę chore i zalecał szukać zawsze bydłęcia zdrowego. Otóż ognisko to także rodzaj ofiary. Kiedy Rzymianie walczyli z nieprzyjacielem, nie mówili, że bronią swej własności, swego majątku, ale że walczą *pro aris et focis*, za swe ołtarze i bogów domowych.

Znacie, Panowie, poetyczne podanie o duszach związanych z bytem drzew, które przywodzą na myśl driady, hama-

driady² Greków. Zwierzę również jest sprzymierzeńcem wieśniaka, to jego przyjaciel, towarzysz. U wszystkich ludów cywilizowanych to przywiązanie do stworzeń już znikło. W Anglii na próżno starają się je wskrziesić i ochraniać zwierzęta zarządzeniami parlamentarnymi.

Przypominacie sobie, Panowie, z Wergiliusza piękny opis śmierci wołu oplakiwanej przez wieśniaków. Sceny takie powtarzają się co dzień u nas.

Despotyczną władzę zaczyna człowiek zawsze wywierać najpierw na bliźnim, bo w codziennych stosunkach z bliźnim namiętności bądź też pycha podniecają go do okazywania bliźniemu swej przemocy. Niewolnictwo jest bardzo dawne na świecie; ale myśl nieograniczonej władzy nad zwierzętami, drzewami, nad ziemią, nad całą naturą, ta myśl, że człowiek jest jej środkiem, bogiem, nieograniczonym despotą, to myśl czasów nowych, to ostatni wyraz pychy filozoficznej, to, jak powiedzieliśmy, niebezpieczeństwo, które przynosi z sobą własność. Taka nieograniczona władza wywoła niechybnie odpór.

[...]

Kończę, powtarzając, że sprawa własności jest związana ze sprawą religii, i rzecz oczywista, że nadchodzi czas, kiedy sprawa ta powinna być urządzona na nowy sposób. Czas ten zbiega się z powszechnym oczekiwaniem ludów. Świat czuje potrzebę wylewu nowego światła, które by mogło rozjaśnić nasze stosunki z Bogiem, z przyrodzeniem, które by pozwoliło nam uchwycić prawdziwej i głębiej spójnię łączącą człowieka z Bogiem i z przyrodzeniem. Dopiero po otrzymaniu tego światła będzie można rozjaśnić również w sposób nowy i skuteczny stosunki między człowiekiem a własnością. Ludy, które najmniej wypaczyły te stosunki, są najszcześniejsze, bo mniej będą miały do cierpienia.

Adam Mickiewicz, *Literatura słowiańska. Kurs trzeci* (wykład xix z 16 maja 1843 i xx z 23 maja 1843), w: tenże, *Dzieła*, t. 10, Warszawa: Czytelnik 1998 [1843], s. 229–233, 239–244, 256–258.

² Hamadriady – nimfy, opiekunki drzew.

**Znaleziono tu żywe ślady tak daleko idącego komunizmu,
jaki w Europie wydawał się zupełnie niemożliwy
(Wstęp do ekonomii politycznej, fragmenty)¹**

Róża Luksemburg

Na tle tych niedawnych badań w zupełnie nowym świetle ukazało się pewne stare, na wpół zapomniane doświadczenie z pierwszych dni europejskiej polityki kolonialnej i jej łupieżczych pochodów w Nowym Świecie. W późłółkłych kronikach hiszpańskich archiwów państwowych i klasztornych zachowała się w ciągu wielu stuleci niezwykła legenda o krainie cudów w Ameryce Południowej, w której w wieku wielkich odkryć konkwistadorzy hiszpańscy natknęli się na przedziwne instytucje. Mgliste wieści o tej południowoamerykańskiej krainie cudów przenikały już w wieku xvii i xviii do literatury europejskiej; były to mianowicie wieści o odkrytym ongiś przez Hiszpanów w dzisiejszym Peru państwie Inków, gdzie pod ojcowskimi teokratycznymi rządami łaskawych despotów naród tkwił w zasadach pełnej współwłasności. Fantastyczne wyobrażenia o tym mitycznym państwie komunistycznym w Peru utrzymywały się tak uporczywie, że jeszcze w roku 1875 jeden z niemieckich pisarzy mógł mówić o państwie Inków jako o „nieomal jedynej w historii ludzkości” monarchii społecznej, opartej na zasadach teokracji, w której „większa część z tego, do czego dziś

¹ Fragment pochodzi z pracy pt. *Wstęp do ekonomii politycznej*, wydanej pośmiertnie, bo w 1925 roku przez Paula Leviego. Manuskrypt powstał w więzieniu w latach 1914–1915 i opierał się na notatkach z kursu ekonomii politycznej, który Luksemburg prowadziła w latach 1907–1914 w szkole partyjnej SPD. Autorka, jak w żadnej innej ze swoich prac, daje tutaj wyraz głębokiego zainteresowania „pierwotnym komunizmem”. Jak napisze na ten temat Michael Löwy: „Luksemburg postrzega pierwotny komunizm jako cenny historyczny punkt odniesienia dla krytyki kapitalizmu, odsłaniający jego irracjonalny, urzeczowiony, anarchiczny charakter i uwypuklający radykalną opozycję między wartością użytkową a wartością wymienną. Celem jest zatem znalezienie i «ocalenie» wszystkiego, co w przeszłości mogło być, przynajmniej w pewnym stopniu, zapowiedzią współczesnego socjalizmu” (M. Löwy, *Zachodni imperializm przeciwko pierwotnemu komunizmowi – nowe odczytanie pism ekonomicznych Róży Luksemburg*, przeł. K. Szadkowski, „Praktyka Teoretyczna” 2012, nr 6, s. 301).

zmierzają socjaldemokraci, traktując to jako ideał, i czego jeszcze dotąd nigdy nie osiągnęli”, była już w praktyce wprowadzona w życie. Tymczasem jednak opublikowane zostały bardziej szczegółowe materiały o tej osobliwej krainie i jej obyczajach.

[...]

Już na podstawie referatu Zurity uczony rosyjski Maksym Kowalewski doszedł w latach siedemdziesiątych do wniosku, że mityczne państwo Inków w Peru było niczym innym jak krajem, w którym panowały takie same prastare komunistyczne stosunki w dziedzinie władania ziemią, jakie wszechstronnie oświetlił w swoim czasie Maurer w odniesieniu do starożytnych Germanów, a które były formą panującą nie tylko w Peru, ale również w Meksyku i w ogóle w całym podbitym przez Hiszpanów Nowym Świecie. Późniejsze dane umożliwiły dokładne zbadanie dawnych peruwiańskich stosunków agrarnych i ukazały tym sposobem jeszcze jeden obraz prymitywnego komunizmu wiejskiego – w innej znowu części świata, u innej rasy, na innym zupełnie szczeblu rozwoju kulturalnego i w innej zupełnie epoce, niż to miało miejsce przy dotychczasowych odkryciach.

Oczom naszym przedstawiła się starodawna organizacja agrarno-komunistyczna, która – istniejąc od niepamiętnych czasów u plemion peruwiańskich – jeszcze w wieku XVI, a więc w okresie najazdu hiszpańskiego, zachowywała pełną żywotność i siłę. Związek oparty na zasadzie pokrewieństwa – ród – był i tu także jedynym właścicielem ziemi w każdej wsi lub w kilku wsiach łącznie, także i tu ziemię uprawną dzielono corocznie między mieszkańców wsi w drodze losowania: tu także sprawy publiczne rozstrzygane były na walnym zgromadzeniu wsi, które też wybierało naczelnika. Właśnie w dalekiej krainie południowoamerykańskiej, u Indian, znaleziono żywe ślady tak daleko idącego komunizmu, jaki w Europie wydawał się zupełnie niemożliwy: istniały tu ogromne budowle, w których mieściły się pospołu całe rody oraz wspólny cmentarz. O jednej takiej budowli mówi się, że mieszkało w niej ponad 4 000 mężczyzn i kobiet. Rezydencja tak zwanego cesarza Inków, miasto

Cuzco, składała się z kilku takich olbrzymich budowli, z których każda nosiła nazwę zamieszkującego ją rodu.

[...]

Morgan pierwszy usystematyzował naukę o przedhistorycznym rozwoju kultury, wyznaczył określone szczeble jej rozwoju i odsłonił zasadnicze siły napędowe tego rozwoju. Olbrzymi okres życia społecznego poprzedzający historię pisaną, podobnie jak i stosunki społeczne żyjących dotąd ludów prymitywnych z całą ich pstrą obfitością form i stadiów, przedstawiano do czasu wystąpienia Morgana jako mniej lub więcej bezładny chaos, z którego tu i ówdzie wyciągano poszczególne kwestie i fragmenty, rzucając na nie światło badań naukowych. Zwłaszcza określenia „dzikości” i „barbarzyństwa”, które zwykle nadawano w czambuł tym stosunkom, używane były jedynie jako pojęcia pejoratywne na oznaczenie braku tego wszystkiego, co określa się mianem „cywilizacji” – to jest, według ówczesnych pojęć, uporządkowanego życia ludzi. Z tego punktu widzenia rzeczywiście uporządkowane, godne człowieka życie społeczne zaczynało się dopiero od tego stanu, który został utrwalony w historii pisanej. Wszystko, co należało do „dzikości” i „barbarzyństwa”, tworzyło jak gdyby gorszy, poniżający wstępny stopień cywilizacji, egzystencję na poły zwierzęcą, na którą dzisiaj świat kulturalny może spoglądać tylko z protekcjonalnym lekceważeniem. Podobnie jak dla oficjalnych przedstawicieli kościoła katolickiego wszystkie prymitywne i przedchrześcijańskie religie są zaledwie długim szeregiem błędów ludzkości w poszukiwaniu jedynej prawdziwej religii, tak i dla ekonomistów wszystkie prymitywne formy gospodarcze były tylko bezskutecznymi próbami poszukiwania jedynie słusznej formy gospodarowania: własności prywatnej i wyzysku, od których zaczyna się historia pisana i cywilizacja. Morgan zadał temu rozumowaniu zdecydowany cios, całą pierwotną historię kultury przedstawił bowiem jako równouprawnioną, ba – jako nieskończenie ważniejszą nawet część nieprzerwanego łańcucha rozwoju ludzkości – nieskończenie ważniejszą zarówno ze względu na nieskończenie długi okres trwania

w porównaniu z nikłym odcinkiem historii pisanej, jak również ze względu na decydujące zdobycze kulturalne, jakie osiągnięto w czasie tego długotrwałego świtu społecznego bytu ludzkości.

[...]

Dotknięta do żywego w swoich interesach klasowych, burżuazja węszyła utajony związek między starożytnymi tradycjami komunistycznymi, które w krajach kolonialnych okazywały zdecydowany opór jej pochodowi ku „europeizacji” tubylców w pogoni za zyskiem, a nową ewangelią rewolucyjnego porywu mas proletariackich w krajach kapitalistycznych. Kiedy w r. 1873 we francuskim Zgromadzeniu Narodowym miał się rozstrzygnąć przez uchwalenie prawa o przymusowym wprowadzeniu własności prywatnej los nieszczęśliwych Arabów w Algierii – w tym zgromadzeniu trzęsących się ze strachu i żądz mordy zwycięzców Komuny Paryskiej rzecz charakterystyczna, powracało w przemówieniach ciągle na nowo żądanie zniesienia za wszelką ceną starodawnej współwłasności u Arabów, „jako tej formy, która podtrzymuje w umysłach tendencje komunistyczne”.

[...]

Tych kilka przykładów chcielibyśmy jeszcze uzupełnić obrazkiem z życia dzikich w Afryce. Karłowaci Buszmeni z pustyni Kalahari podawani są zwykle za przykład najdalej idącego zacofania i najniższego poziomu kultury ludzkiej. O Buszmenach informują nas jednomyślnie badacze niemieccy, angielscy i francuscy, że żyją oni w grupach (hordach), które prowadzą wspólną gospodarkę. W ich małych gromadach panuje całkowita równość w dziedzinie zaopatrzenia w środki utrzymania, broń itd. Żywność, którą wyszukują w czasie swoich wędrówek, zbierana jest do worków, które opróżnia się w obozie. „Tu dopiero wychodzą na jaw – opowiada Niemiec Passarge – wyniki całodziennych zbiorów: korzenie, bulwy, owoce, gąsienice, ptaki-nosorożce, olbrzymie żaby, żółwie, szarańcze, a nawet żmije i jaszczurki-leguany”. Zdobycz dzielona jest między wszystkich. „Systematyczne zbieranie pożywienia roślinnego, jak na przykład owoców, korzeni, bulw itd., oraz mniejszych

zwierząt jest sprawą kobiet. Mają one obowiązek zaopatrywać hordą w tego rodzaju zapasy, w czym pomagają im dzieci. Mężczyzna też przynosi ze sobą to, co znalazł po drodze, ale zajęcie to ma u niego charakter zdecydowanie uboczny. Zadaniem mężczyzny jest przede wszystkim polowanie”. Łup myśliwski jest zjadany przez hordę gromadnie. Miejsce przy wspólnym ogniu i posiłku daje się również przechodzącym Buszmenom z zaprzyjaźnionych hord. Passarge, jako prawdziwy Europejczyk, patrzący przez okulary społeczeństwa burżuazyjnego, dostrzega nawet w „przesadnej cności”, która każe Buszmenom dzielić się z innymi wszystkim do ostatniego kawałka, przyczynę ich nieudolności kulturalnej!

Okazuje się więc, że u ludów najpierwotniejszych, i to właśnie u tych, które bardzo dalekie są od osiadłości i uprawy roli i które są jeszcze niejako w początkowym stadium rozwoju gospodarczego – o ile możemy stwierdzić na podstawie bezpośrednich obserwacji – panują stosunki zupełnie inne niż te, które widzimy w schemacie pana Grossego. Dostrzegamy wszędzie nie „rozproszenie” i nie „odrębne gospodarstwo”, ale wspólnoty gospodarcze o życiu ściśle uregulowanym i o typowych cechach organizacji komunistycznej. Dotyczy to „ludów łowieckich niższego stopnia rozwoju”. Co się tyczy „ludów łowieckich wyższego stopnia”, wystarczy obraz gospodarki rodowej Irokezów, którą szczegółowo opisał Morgan. Ale także i hodowcy bydła dostarczają dostatecznego materiału, aby zadać kłam śmiałym twierdzeniom Grossego. Wspólnota rolnicza nie jest więc jedyną, ale tylko najdalej zaawansowaną w rozwoju, nie pierwszą, ale ostatnią pierwotną organizacją komunistyczną, jaką napotykamy w historii gospodarczej. Sama ona nie jest produktem rolnictwa, ale niezmiernie daleko wstecz sięgających tradycji komunizmu, który rodząc się w łonie organizacji rodowej, zastosowany został na koniec do uprawy roli i tam właśnie osiągnął szczyt, a ten przyśpieszył jego upadek.

Róża Luksemburg, *Wstęp do ekonomii politycznej*, przekład anonimowy, red. Bolesław Wścieklica, Warszawa 1959 [1925], s. 100–102, 105–106, 112–113, 143–145.

**Nie mogę jednak powiedzieć, abym w wieku XIX zauważył
był znaczny postęp (*Wieści z nikąd*, fragmenty)¹**

William Morris

Chciałem spytać: Czy to doprawdy Tamiza? – lecz oniemiały z podziwu, osłupiałym wzrokiem wodziłem tylko to w kierunku mostu, to po nadbrzeżnej okolicy Londynu, dającej dość powodów do zdumienia. Bo chociaż nad rzeką widniał most, a wybrzeże zasiane było domami, to jednak wszystko to, w ciągu nocy, zmieniło się do niepoznania!² Mydlarnie z dymiącymi kominami i huty ołowiu zniknęły z widowni, a wiatr zachodni nie przynosił od strony Torneycroft stuku i szczęku młotów kowalskich. A ten most! Prawdopodobnie musiałem kiedyś marzyć o takim moście, ale nigdy czegoś podobnego nie widziałem na jawie, lub chociażby w zbiorze rycin artystycznych; nawet Ponte Vecchio we Florencji nie mógł się z nim mierzyć!

1 William Morris (1834–1896) – przeżył ewolucję od poety związanego z prerafaelitami do działacza socjalistycznego. Mimo że twórczość Morrisa daje się podzielić na dwa okresy, przejście między nimi polegało raczej na odmiennym rozłożeniu akcentów niż gwałtownym zerwaniu. Powieść utopijna *Wieści z nikąd* (1890) powstała w późnym okresie twórczości Morrisa i była odpowiedzią na utopię zawartą w *Looking Backward* (1888) Edwarda Bellamiego. Świat w wizji Bellamiego wspierał się na zasadach skrajnego racjonalizmu i pragmatyzmu, czego owocem miała być pełna mechanizacja produkcji gwarantująca, zdaniem autora, zaspokojenie wszystkich ludzkich potrzeb. Tymczasem w świecie Morrisa maszyny niemal nie istnieją; mimo że powieść opisuje społeczeństwo XXI wieku, jest ono w zasadzie twórczym powtórzeniem świata późnego średniowiecza. Morris – antycypując późniejsze ruchy ekologiczne – wierzył, że dobrobyt, czyli powszechne bogactwo, nie zostanie osiągnięty przez zwiększenie czy intensyfikację produkcji, ale tylko wówczas, gdy ludzie zorganizują się w całkowicie inny sposób. To dlatego gospodarka w *Wieściach z nikąd* opiera się na rolnikach i drobnych rzemieślnikach, a architektura nawiązuje do rozwiązań z wieku XIV. Ten urzeczywistniony w XXI wieku „średniowieczny komunizm” pozbawiony był zatem hierarchii feudalnych, Kościoła, etosu rycerskiego itd., polegał za to na – widocznej w przedstawionym przez nas fragmencie – jedności miasta i wsi, a także na likwidacji: parlamentaryzmu, zanieczyszczeń, systemu więziennictwa i przymusu pracy.

2 Główny bohater, dziewiętnastowieczny działacz socjalistyczny, budzi się pewnego dnia w wieku XXI, w epoce zrealizowanego komunizmu.

W masywnych, śmiało zarysowanych łukach kamiennych, rzucony był równie silnie, jak lekko i zgrabnie – ponad poręczę strzelały w górę cudowne, fantastyczne ornamenta, wyglądające jak kramy lub sklepiki, zdobne w malowane i złożone chorągiewki i wieżyczki. Kamień, nieco zrudziały od powietrza, zgoła nie miał na sobie owej powłoki sadzy, do jakiej byłem przyzwyczajony na każdym budynku londyńskim, choćby przed rokiem dopiero wystawionym. Krótko mówiąc: najczarowniejszy, najcudowniejszy most, jaki sobie tylko można było wymarzyć!

Wioślarz z oczu wyczytał mi zachwyt i jakby odpowiadając na moje myśli, rzekł:

– Piękny most, nieprawdaż? Żaden z nim nie może iść w porównanie! Mniejsze, powyżej, nie są złejsze, ni zgrabniejsze, a większe, nad dolnym korytem rzeki, nie przedstawiają się wspanialej ni więcej okazałe.

– Jak dawno stoi ten most? – spytałem prawie niechętnie, przewyciężając wewnętrzną trwożę.

– Niezbyt dawno – odparł – ukończono go w r. 2003. Przedtem był tu zwyczajny most drewniany.

Data ta ostatecznie zamknęła mi usta; pojąłem, że stało się coś niezrozumiałego i że nieostrożne słowo mogłoby mnie wplątać w labirynt zawiłych pytań i odpowiedzi. Siłłem się więc na swobodę, obojętnym na pozór spojrzeniem obejmując wybrzeże Tamizy, tak nie do poznania zmienione, dokąd tylko okiem sięgnąć mogłem. W pewnym oddaleniu od rzeki, po obu brzegach wznosiły się szeregi ślicznych, niskich i niezbyt wielkich domów z palonej cegły, krytych również cegłą; z dala już wyglądały bardzo swojsko i czyniły wrażenie, jakoby jakaś nieuchwytna nić sympatii łączyła je z radością i szczęściem ich mieszkańców. Jeden olbrzymi ogród rozpościarał się u ich podnóża, biegnąc aż nad brzeg rzeki, a zaścielający go dywan kwiatów słał wonie czarowne ponad sfalowane wody; spoza domów strzelały w niebo drzewa, po największej części potężne jawory, a cała rzeka, aż poniżej Putney, wyglądała jak jezioro, obramowane kobiercem kwiecia i zieleni. Mimo woli zawołałem:

– Jakże się cieszę, że Barn Elms nie jest zabudowane!

Zaledwie słowa te wymknęły mi się z ust, poczerwieniałem gwałtownie, a towarzysz spojrział na mnie z półuśmiechem, który wydał mi się dość wymownym. Aby ukryć pomieszenie, rzekłem:

– Proszę mnie teraz odwiedzić do brzegu; chciałbym zjeść śniadanie.

Skinął głową, silnym uderzeniem wiosła odwrócił łódkę i w jednej chwili przybiliśmy do brzegu. Przewodnik mój wyskoczył, ja za nim, wcale się nie dziwiąc, że wiosłarz przystanął, jakoby czekając na finał nieodzowny każdej przysługi, oddanej współobywatelowi. Natychmiast też wsunąłem rękę do kieszeni, pytając: Ile? – chociaż nie mogłem się pozbyć pewnego zakłopotania na myśl, że może jakiemu gentlemanowi ofiarowuję zapłatę.

Z miną zdziwienia powtórzył: Ile? Co to ma znaczyć? Nie rozumiem dobrze, o co pytacie. Może o przyływy? Ten się niebawem skończy.

Zakłopotany, wyjąkałem: Proszę mi nie brać za złe mego pytania; nie chciałem was obrazić, tylko pragnąłbym wiedzieć, ile jestem winien. Jak widzicie jestem cudzoziemcem i nie znam tutejszych zwyczajów, ni monety.

Mówiąc to, wyjąłem z kieszeni garść monety, przy czym zauważyłem, że srebrna zupełnie była zczerniała.

Wiosłarz ciągle jeszcze miał minę zdziwoną, lecz wcale nie obrażoną i z widocznym zajęciem przyglądał się pieniądzom.

A zatem, myślałem, przecież jest wyrobnikiem i namyśla się, ile zażądać. Niech mnie tam nawet trochę naciągnie – takiemu dziełnemu chłopcu nie wezmę tego za złe. Chętnie zaangażowałbym go nawet na dzień, lub dwa na przewodnika – tak mi się wydaje bystrym i sympatycznym.

Wtem nowy mój przyjaciel ozwał się, jakby w zamyśleniu:

– Teraz już wiem, o co chodzi. Sądzicie, że wyświadczyłem wam usługę i czujecie się zobowiązanym dać mi coś za to, podobnie jak ja znów powinien bym się poczuwać do tego wobec sąsiada, gdyby mi się czemuś przysłużył. Słyszałem o podobnym zwyczaju,

lecz muszę wyznać, że uważam go za przykry i uciążliwy. Jak widzicie, wioślarstwo jest moim zawodem, który spełniam wobec każdego, kto potrzebuje mych usług; za to jednak przyjmować podarki, byłoby chyba więcej, niż dziwne. Bo niech mnie tylko jeden obdarzy, natychmiast zechce to samo uczynić i drugi i trzeci, a wówczas, wybaczcie, ale nie wiedziałbym niebawem, co począć z tylu darami i upominkami.

Zaśmiał się wesoło, jakoby mu się to wydawało w najwyższym stopniu komicznym, za usługę swą przyjmować zapłatę.

Pytałem się w duchu, czy człowiek ten, mimo zdrowego i świeżego wyglądu, nie szwankuje na umyśle, a ze względu na bliskość głębokiej i rwącej rzeki, pocieszałem się w myśli, że jestem dobrym pływakiem. On jednak mówił dalej, bardzo spokojnie, tonem, wcale niekwalifikującym go na wariata:

– Co się tyczy waszej monety, jest ona wprawdzie zajmująca, ale niezbyt starożytną. Zdaje się pochodzić z czasów królowej Wiktorii i moglibyście nią uszczęśliwić jakieś mniej uposażone muzeum. Nasze posiada dość podobnych monet, a także bogate zbiory z dawniejszych czasów; niektóre są nawet bardzo piękne, podczas gdy numizmaty z dziewiętnastego stulecia uderzają wprost zupełnym brakiem gustu – nieprawdaż? Znajduje się tam moneta jeszcze z czasów Edwarda III, przedstawiająca króla na okręcie, w otoczeniu młodych lampartów; brzegiem monety biegnie bardzo delikatnie wykonana girlanda z lilii. Jak widzicie – dodał z uśmiechem – nie jestem wcale wrogiem złota i innych szlachetnych kruszców. Ot, tę klamrę sam sobie nawet sporządziłem za młodszych lat.

Spojrzałem nań, zda się, dość chłodno, nie mogąc stłumić podejrzeń co do stanu jego umysłu, co on widocznie zauważył, bo urywając nagle, dodał uprzejmie:

– Widzę, że nudzę was swymi opowiadaniem, za co mocno przepraszam. Bo, mówiąc otwarcie, widać na pierwszy rzut oka, że jesteście cudzoziemcem i przybywacie z kraju, który zapewne ogromnie się musi różnić od naszego. I zdaje mi się, że lepiej byłoby,

abyście powoli, nie zaś w sposób tak raptowny zechcieli się zapoznać z panującymi tu zwyczajami i urządzeniami. A ponieważ przypadek mnie pierwszego z wami zaznajomił, więc byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście przyjęli moje przewodnictwo po tym nowym świecie. Oczywiście, że z waszej strony byłaby to wielka grzeczność, bo każdy inny równie dobrze, a może lepiej ode mnie wywiązałby się z tego zadania.

Słowa te wcale nie wskazywały na wariata, a gdyby się moje obawy jednak okazały uzasadnione, to przecie każdej chwili mogę się pozbyć jego przewodnictwa. Odpowiedziałem więc:

– Propozycja wasza bardzo mi jest przyjemna, lecz mógłbym z niej korzystać tylko w tym wypadku... gdybyście zechcieli przyjąć odpowiednie wynagrodzenie, chciałem dodać, lecz obawiając się poruszać temat, nasuwający wspomnienie zakładu dla obłąkanych, dokończyłem: gdybyście mnie mogli upewnić, że nie przeszkadzam w zajęciach, lub może rozrywkach.

– Co do tego, bądźcie zupełnie spokojni – odpowiedział. – Przeciwnie, pozwalacie mi w ten sposób wyświadczyć przyjemność jednemu z mych przyjaciół, który bardzo pragnie objąć na jakiś czas moje zajęcie. On jest tkaczem w Yorkshire i tkactwem, oraz studiami matematycznymi – zajęciami niepozwalającymi przebywać wiele na świeżym powietrzu – trochę się przepracował. Zwrócił się więc do mnie. abym mu na pewien czas odstąpił moje zajęcie na wolnym powietrzu. Jeślibym więc mógł być wam przydatnym, to proszę tylko mną rozporządzać.

– Wprawdzie – dodał zaraz – zapowiedziałem się do przyjaciół na sianokosy, ale do tego czasu mam jeszcze ośm dni wolnych; zresztą moglibyście mi tam towarzyszyć. Poznalibyście przy tej sposobności bardzo miłych ludzi, a po drodze czynilibyście rozmaite obserwacje. Jeśli pragniecie poznać kraj, to trudno o lepszą okazję.

[...]

Nieco dalej ujrzałem znów po prawej stronie budynek, na widok którego z pewną wątpliwością zawołałem: Wszak to parlament? Czy wam także służy do rozpraw?

Parsknął głośnym śmiechem, przez dłuższy czas nie mogąc nad sobą zapanować. Po chwili, klepiąc mnie po ramieniu, rzekł:

– Rozumiem was, sąsiedzie. W istocie możecie się dziwić, żeśmy go nie zburzyli; wiem ja bowiem z książek pradziadka o tej dziwnej grze, jaka się tu niegdyś odbywała. Czy nam służy? Tak jako rodzaj magazynu lub składu nawozu, do czego się nieźle nadaje, leżąc nad brzegiem rzeki. Na początku naszej nowej ery chciano go naturalnie zburzyć, lecz wówczas zjawiło się jakieś dziwne towarzystwo badaczy starożytności, które niegdyś położyło było pewne zasługi i sprzeciwiło się zniszczeniu tego i kilku innych gmachów, powszechnie uważanych nie tylko za coś bezużytecznego, ale nawet za skandal publiczny. Towarzystwo jednak tak energicznie wzięło się do rzeczy, tyle znalazło argumentów na poparcie swej sprawy, że ostatecznie postawiło na swoim. No, a ściśle rozważywszy, muszę powiedzieć, że jestem z tego zadowolony, bo w najgorszym razie potworne te bryły kamieni służą jako korzystne tło dla naszych pięknych budowli. W tej dzielnicy zobaczycie kilkanaście z tych zabytków, na przykład dom, w którym mieszka mój pradziad, ogromną budowlę, znaną jako kościół Pawła i inne. Czemuż zresztą mielibyśmy żałować miejsca kilku nędznym budynkom, skoro dość mamy wolnej przestrzeni pod nowe budowle. Nie potrzebujemy się też na tym polu obawiać braku zajęcia, zwłaszcza że nowe budowle, choćby zupełnie proste, dosyć nastrożają sposobności do pracy. Co do mnie, to urządzenie domu uważam za tak cenną okazję do rozwinięcia fantazji z całą swobodą, że chętnie poświęciłbym nawet po części jego wygląd zewnętrzny. A ozdoby ornamentacyjne również niemało wymagają pracy i staranności, bo chociaż nie można ich stosować w salach służących do zgromadzeń lub w halach targowych i innych podobnych lokalach publicznych, to natomiast prywatne mieszkania, gdzie najzupełniejsza panuje swoboda, mogą być ozdabiane choćby do przesady. Pradziad mój twierdzi wprawdzie niekiedy, że moje poglądy na punkcie sztuki architektonicznej są często dziwaczne; ja jednak obstaję przy swoim przekonaniu, że działalność ludzka nigdzie nie znajduje tak

olbrzymiego pola popisu; wszędzie bowiem dotrzemy do jakichś granic, gdy w tej właśnie dziedzinie nieprzejrzone wprost otwierają się horyzonty.

[...]

Podczas tych rozmów począłem się znów rozglądać z wielkim zajęciem, gdyż dzielnica Piccadilly już nam zniknęła z oczu i znajdowaliśmy się w jakiejś okolicy, pełnej eleganckich domów o bogatej ornamentacji. Każdy z nich otoczony był ogrodem, starannie utrzymanym i okrytym barwnym kobiercem kwiatów. Z drzew, które, z wyjątkiem nielicznych grup lip lub tu i owdzie samotnie stojących wawrzynów, zdawały się należeć wyłącznie do najszlachetniejszego gatunku drzew owocowych, dochodził radosny chór kosów. We wszystkich tych ogrodach zdawały się przeważać czerśnie, uginające się pod ciężarem jagód, a ilekroć zbliżyliśmy się do ogrodzenia, dzieci i młode dziewczęta podawały nam koszycki, pełne najpiękniejszych owoców. Oczywiście, że w tym labiryncie ogrodów i domów nie mogłem rozpoznać choćby śladu dawniejszych ulic, jakkolwiek najglówniejsze przypominały dawne linie i położenie.

Niebawem stanęliśmy na obszernej, wolnej przestrzeni, spadzistej ku południowi; po tej słonecznej stronie założono ogród owocowy z samych drzew brzoskwiniowych. W pośrodku widniała mała, drewniana budowla, pomalowana i wyłożona, co jej nadało wygląd budki bufetowej. Ogród ten na południe wydłużał się w ulicę, ocienioną wysokopiennymi, starymi gruszami. Na wylocie drogi górowała wysoka wieża parlamentu, czyli **magazynu nawozu**. Przejęło mnie dziwne uczucie. Zamknąłem oczy przed oślepiającą łuną promieni słonecznych, obejmującą cały ten wdzięczny krajobraz, a wówczas przemknął przede mną obraz z dni minionych. Z błyskawiczną szybkością zobaczyłem obszerny plac, zamknięty wysokimi, szkaradnymi domami, ponad które piętrzył się w róg ulicy wciśnięty brzydki kościół i jeszcze brzydsza, naprzeciw leżąca budowla z kopułą. Na ulicy ciżba ludzi rozgorączkowanych, na których z wysoka spoglądają pasażerowie przepchanych omnibusów.

W pośrodku brukowany czworobok z wodotryskiem, w otoczeniu potwornie brzydkich figur brązowych, z których jedna rozsiadła się na wierzchołku wysokiej kolumny. Cały plac obsadzony poczwórnym szeregiem wyprostowanych mężczyzn w błękitnych uniformach, a z południowej przecznicy wyłaniający się las hełmów kawalerzystów, matowo przeblyskujących w szarym świetle mroźnego dnia listopadowego³. Otworzyłem oczy na blaski słoneczne, szemrzące drzewa i upajające wonią kwiaty, szepcząc: Trafalgar-Square! [...]

Dick, przysłuchujący się dotąd z pośępnie zmarszczonym czołem, wyrwał się wreszcie z zadumy i rzekł tonem łagodnej melancholii:

– Dziwna, że ludzie nam podobni, o tych samych uczuciach i skłonnościach co my, żyjąc w tym samym pięknym i błogosławionym kraju, mogli się dopuszczać czynów tak nieludzkich!⁴

– To prawda – rzekłem pouczająco – niemniej jednak owe czasy wykazują wielki postęp w porównaniu z epoką poprzednią. Zapewne znacie dzieje wieków średnich i brutalną zwierzęcość tej epoki, kiedy ludzie znajdowali rozkosz najwyższą w torturze swych współbraci, nawet w Bogu swym nie widząc nic innego, jak dozorcę więzień i kryminalów?

– Tak, posiadamy wcale dobre opisy tych czasów – rzekł Dick – sam nawet dość wiele o tym czytałem. Nie mogę jednak powiedzieć, abym w wieku XIX zauważył był znaczny postęp. Ludzie średniowiecza działali ostatecznie zgodnie ze swoim sumieniem, które tak doskonale określiliście ich pojęciem o Bogu. Co czynili innym, byli każdej chwili gotowi znosić sami, gdy przeciwnie faryzeusze

³ Nawiązanie do demonstracji na Trafalgar Square w 1887 roku. Kristin Ross to przekształcenie Trafalgar Square w sad łączy także z doświadczeniem Komuny Paryskiej i zniszczeniem przez komunistów kolumny Vendôme (której odpowiedniczką w Londynie miała być kolumna Nelsona). Por. Kristin Ross, *Communal Luxury. The Political Imaginary of the Paris Commune*, London 2015, s. 60–61. Na temat roli, jaką miało dla paryskich wydarzeń zniszczenie kolumny, Morris pisze w artykule: E. B. Bax, W. Morris, *Socialism from the Root Up*, „Commonweal” z 2 października 1886, s. 210.

⁴ Mowa o utrzymywaniu i legitymizowaniu instytucji więzienia w XIX wieku.

wieku dziewiętnastego mniemali bronić spraw humanitarnych, nie przestając równocześnie ludzi dręczyć, zamykać po więzieniach, li dlatego, że zachowywali się tak, jak ich zmuszało postępowanie ich więziennych dozorców. Ach, strach o tym myśleć!

William Morris, *Wieści z nikąd. Powieść utopijna*, przeł. Maria Kreczkowska, Lwów 1902 [1890], 34–35, 44–45, 47.

O tutejszych ludziach niewiele można powiedzieć bez zachwytu (*Wczesna literatura północno-islandzka, fragmenty*)¹

William Morris

Jeśli spojrzysz na mapę Europy, zobaczysz w jej zachodnio-północnym rogu, tuż pod kołem biegunowym, dużą wyspę, znacznie większą od Irlandii. Gdybyś wziął statek i udał się tam, uznałbyś ją za krainę o niezwykłym krajobrazie, niewiele różniącym się od pustyni, a zarazem najbardziej romantycznym ze wszystkich pustyń, jakie można zobaczyć: ogromny masyw wulkaniczny, ciągle zdolny do erupcji błota, popiołu, lawy, który w połowie xviii wieku stał się scenerią najstraszliwszej eksplozji lawy, jaką odnotowała historia. Każdy, kto tam dotrze, nie wiedząc nic o przeszłości tej ziemi, będzie przeczuwać, że jej wspaniałe i melancholijne piękno można objaśnić historią godną jego niezwykłości, i przecucie to go nie zawiedzie. Ponieważ wyspa, o której mówię, nazywa się Islandia.

[...]

O tutejszych ludziach niewiele można powiedzieć bez zachwytu: są uprzejmi, gościnni i uczciwi, w żadnym wypadku nie stosują klasowego poniżenia, nie uznają przemocy: są bystrzy, i – kiedy tylko przełamą początkową nieśmiałość – bardzo rozmowni, a także przede wszystkim dobrze wykształceni. W skrócie ludzie życzliwi

¹ Wystąpienie wygłoszone w 1887 roku stanowi owoc długoletnich badań prowadzonych przez William Morrisa wspólnie z Eiríkreem Magnússonem na Islandii. Oprócz tego krótkiego eseju zachowały się dzienniki z podróży oraz angielskie tłumaczenia islandzkich sag i pieśni, m.in. *Edda starsza* i *Saga rodu Wölsungów*, na podstawie których Morris napisał poemat *The Story of Sigurd the Volsung and the Fall of the Niblungs* (1876), będący alternatywną wersją historii, którą w *Pierścieniu Nibelungów* opowiada w tym samym czasie Ryszard Wagner (premiera opery w 1876 roku). Dlaczego Morrisa tak bardzo fascynowała Islandia? Po pierwsze z racji silnej i ciągle podtrzymywanej tradycji średniowiecznej literatury wyspa wydawała się rodzajem skamieliny, niemal nienaruszonym obrazem społeczeństwa poprzedniej epoki. Po drugie, choć Islandia nie doświadczyła modernizacji, społeczna emancypacja była na niej posunięta dużo dalej niż w którymkolwiek z państw ówczesnej Europy. To niekorzystne (dla Europy) porównanie miało, zdaniem Morrisa, dowodzić fałszywości wyznawanej w kręgach liberalnych i lewicowych idei postępu.

i subtelni: bezlitości wykorzystywani przez duńskich i szkockich kupców, którzy sprzedają im artykuły pierwszej potrzeby i kiepskie udogodnienia, będące i tak, jak już powiedziałem, zaledwie kroplą w oceanie towarów. [...] Ich przodkowie uciekli przed – jak sami dziś mówią – „przemocą królów i łajdaków”, aby na tej romantycznej pustyni ocalić na jakiś czas swoje wolnościowe plemienne obyczaje.

[...]

Co się tyczy zachowania tych wczesnych osadników, to było ono niezwykle proste, choć niepozbawione godności. W przeciwieństwie do absurdałnego poczucia [tekst urwany]², w okresie feudalnym czy hierarchicznym praca fizyczna nie była w żadnym razie uznawana za hańbę. Mityczni bohaterowie swoją sławę zawdzięczają zdolnościom kowalskim niemal tak samo często jak biegłości w walce. Do niezbędnych umiejętności człowieka północy należała rzecz jasna nawigacja statkiem, a zamiataniem pokładu na długim okręcie nie zajmowali się niewolnicy, lecz sami żołnierze. Wszystko to jest być może oczywiste, ale oprócz tego nawet ci, którzy uchodzili za najbardziej wybitnych, angażowali się w zwykłe prace polowe i domowe, dokładnie tak jak to się dzieje w poezji Homera: jeden wódz, gdy traf chce, pracuje przy sianokosach, inny naprawia bramę, trzeci zasiewa kukurydzę, miecz i płaszcz odłożywszy w kącie pola: inny jest wielkim budowniczym domów, kolejny budowniczym okrętów. Pewnego pamiętnego poranka jeden z wodzów powiedział do swojego brata: „trzeba dziś zabić cielę i pokonać Wikingów. Który z nas zabije cielca, a który będzie walczył z Wikingami?”

[...]

Pozycja kobiet w tym społeczeństwie była dobra, a małżonkowie względem siebie byli właściwie równi. Znamy wiele historii o kobietach rozwodzących się z powodu zniewagi lub napaści, jedno uderzenie wystarczało im za uzasadnienie do rozstania.

2 W urwanym fragmencie Morris prawdopodobnie krytykuje dokonujące się w społeczeństwach nowoczesnych deprecjonowanie pracy fizycznej.

Powinienem także wspomnieć, że tamtejsze kobiety wywalczyły ochronę od odpowiedzialności za stosowanie przemocy z tytułu bycia „słabymi kobietami” w sposób, który poważnie obraziłby naszego towarzysza Baxa³.

[...]

Kończę słowem o obecnym stanie Islandii⁴. Ucierpiała ona bardzo podczas ostatnich lat, nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że pomimo tego ludzie mogliby żyć tutaj bardzo wygodnie, o ile tylko odrzuciliby indywidualizm. Najprostsza możliwa forma spółdzielczej wspólnoty (*cooperative commonwealth*) odpowiadałaby ich potrzebom i nie powinna być trudna do ustanowienia, jako że nie występują tam zbrodnie, nie istnieje też żadna klasa przestępcza albo klasa wykluczonych, a edukacja jest powszechna: musiałoby wydarzyć się coś naprawdę strasznego, żeby zatrzymać taki rodzaj politycznej zmiany w tym kraju. Jedynymi osobami, które mogłyby na tym stracić, byłiby obecni ciemniźcyiele tego odważnego i poczciwego ludu. A gdyby posłać ich wszystkich do Davy’ego Jonesa⁵, to raczej nikt po nich by nie płakał. Mówię to, kierowany wielkim oddaniem, jakie mam dla Islandczyków, którzy okazali mi taką dobroć, i którzy są godnymi tego miana potomkami najdzielniejszych ludzi i najlepszych bazarzy, jakich kiedykolwiek wydano na ten świat.

William Morris, *The Early Literature of the North-Iceland*, w: tenże, *The Unpublished Lectures of William Morris*, red. Eugene Lemire, Detroit: Wayne State University Press, 1969 [1887], s. 179–198 [przeł. Michał Pospiszyl].

³ Ernest Belfort Bax (1854–1926) – socjalista i antyfeminista walczący o „prawa mężczyzn”.

⁴ W tym samym czasie na Islandii zwraca uwagę Elisée Reclus, dla którego, podobnie jak dla Morrisa, wyspa ta stanowiła doskonały dowód społecznego zacofania dziewiętnastowiecznej Europy, rządzonej przez despotów, fabrykantów i feudałów, podczas gdy na Islandii działał system społeczny bez hierarchii, ucisku i wojny (E. Reclus, *L’Homme et la terre*, tome 2, Paris 2007, s. 307–308).

⁵ Legendarny (popularny zwłaszcza w kulturze anglosaskiej) potwór morski, występujący między innymi w *Moby Dicku* Hermana Melville’a czy w noweli *Król Dżumiec* Edgara Allana Poe’go.

**Wrogowie jakiegokolwiek uległości (*Dziennik
podróży do Tatrów, fragmenty*)**

Seweryn Goszczyński

W tym obrazie Podhala koniecznym jest rys zbójstwa w górach, jest to jeden z najważniejszych rysów obrazu.

Zbójstwo stanowi jeden z celnych żywiołów tutejszej poezji śpiewanej, co się pokaże w przytoczonych poniżej pieśniach; gra ważną rolę na scenie góralskiej krainy i góralskiego życia, a przez to rzuca pewne światło na charakter mieszkańców. Istnienie zbójstwa w górach jest prawdą niezaprzeczoną, jest czynem dotykającym, nie można go więc lekceważyć w badaniu ludu góralskiego, a tym mniej pominąć, przeciwnie – zbliżyć się ku niemu potrzeba i pilnie mu się przypatrzeć, byle z właściwego stanowiska.

Wprawdzie zbójstwo nie jest dzisiaj tym, czym było przed laty: czas je znacznie przytłumił, a najwięcej sprężysta czujność rządu, silniejsza policja w górach, mimo to zbójstwo nie zniknęło, nie wywietrzało, że tak powiem, z ducha góralskiego. Jakkolwiek główna jego siła zapadła już w przeszłość, połyska z przeszłości urokiem przyćmionym znacznie, wszakże nieraz jeszcze znajduje swój odbłask w obecności; Góral z pewną tajoną chlubą wywołuje pamięć głośnych zbójców, daje im swoją sympatią, a niekiedy puszcza się w ich ślady. Ważna jest rzecz z tego stanowiska patrzeć na zbójstwo w górach: inaczej pojęcie jego, sąd o nim będą fałszywe, a to sfałszuje sąd ogólny o Góralach.

Zapatrywanie się Górali na zbójstwo znacznie różni się od naszego. Zbójstwo w oczach Górala nie jest rzeczą tak obrzydliwą i hańbiącą jak dla nas; zbójnik dla Górala nie jest takim zbrodniarzem, jak by według prawa być powinien. Wiem to z doświadczenia, dotknąłem się tej strony Góralów; przyświadczają mi czyny. Prawda, że zbójcy dzisiejsi nie są to zbójcy okrutni, krwawi, straszni, jak byli dawniejsi, jak przynajmniej wyobrażamy ich sobie wszystkich z powieści o niektórych, z niektórych wydarzeń; ale ta okoliczność najmniej wpływa na pobłażanie Górali temu rzemiosłu.

Góral może się obawia swego zbójcy, ale się nim nie brzydzi; w jego obawie jest więcej poszanowania jak wstrętu. Można by powiedzieć, że zbójectwo między Góra[la]mi jest uważane jako rodzaj rycerskiej szkoły, przez którą Góral nie wzdraga się przechodzić; nie tylko nie wzdraga się, ale nawet jest rwany pędem wewnętrznym, gdyby się nie znajdował w warunkach wręcz temu przeciwnych: tak dawniej było konieczną potrzebą moralną dla Ukraińca przeżyć część swojego życia na Zaporozżu. Sam napotykałem bardzo zacnych z innego względu Górali, którzy poświęciwszy temu przejściu lat kilka, wrócili znowu między swoich i są dziś najporządniejszymi gospodarzami, i nic przez to nie tracą na szacunku swoich krajowców.

[...]

Zbójnik jest rodzaj ideału dla Górala. Odznacza się on zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnymi zaletami fizycznymi. Jest on jeszcze ideałem jako człowiek odważny na wszelkie niebezpieczeństwa, obojętny na śmierć, wróg jakiegokolwiek uległości. Jest to wszystko w charakterze Górala, a zbójnik najpełniej to objawia. Możeż Góral potępiać go za to?

Napomknąłem już raz, że ludy pasterskie odznaczają się głównie skłonnością ku temu życiu. Dlaczego? Nie wiem, ale tak jest. Duch naszych Góralów wydaje mi się być w pewnym pokrewieństwie z arabskim: nie mogą mieć farysów, przestają na zbójnikach. Położenie ich nie pozwala im zamienić się w hordę Beduinów, ale z drugiej strony położenie to robi niekiedy Górala zbójem. Dziwne jest w tym względzie pobłażanie mieszkańców, a nawet rodzaj opieki. Zbójnicy przychodzą np. do bacy i każą sobie dać tyle owiec, tyle serów itd. Baca nie robi oporu, składa żadaną żywność, jakby się składała kontrybucję, a jeszcze właściwiej jakby się płaciło podatek. Widzi on wprawdzie swoją szkodę, ale ją uważa niejako za konieczną, a może nawet w duchu usprawiedliwia to postępowanie, przypominając sobie, że przed czasem on sam żył podobnie. Bo i dziś takie bandy tworzą się często z samychże juhasów,

a przyprowadza ich do tego potrzeba nocnej biesiady. Sami ubodzy, uczują kosztem zamożniejszych.

Teraz możemy przypatrzeć się bliżej i szczegółowiej życiu zbójników w powieściach i pieśniach.

[...]

Pieśni osnute na zbójnictwie są w bardzo wielkiej liczbie; świadczą one, co powiedziałem, o pewnym upodobaniu Góralów w tym rodzaju życia, o silnym pociągu wewnętrznym do niego. Mała ilość wpadła mi w rękę, ale i ta ilość więcej rozjaśni ten przedmiot niż wszystko, co bym ja mógł powiedzieć. Niektóre z tych pieśni są mniej więcej zupełne. Wielka część ma jedynie wartość odrywków: jednak je zachowuję, bo wszystko razem jest upoetyzowaniem zbójckiego zawodu, od egzaltacji dla niego aż do śmierci na szubienicy.

Zbójnicy są zazwyczaj gładosze¹ góralscy. Urodziwi ciałem, zdobią się jeszcze strojem, który można nazwać nawet wyszukany. Pielęgnują szczególnie włosy, nie strzygą ich i noszą albo rozpuszczone, albo przeplatane wstążkami.

Darmo wy mnie, darmo do skoły daicie.
Ze mnie zbójnik budzie – darmo nakładzicie.²

W poniższych ułomkach przegrywa struna miłostek.

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie;
Jego frairecka mało nie zaginie.
Pije zbójnik, pije za ten talar bity:
Nie płac frairecko, napijes się i ty.
Aby twoje ocka za mną nie hładziły,
Jak mnie będą wisać na jawor zielony.

Z powodu zbójectwa góry do niedawnego jeszcze czasu były w stanie oblężenia, pod prawem zwanym *Standrecht*³. Sąd i kary

¹ Gładosz – gładysz, człowiek przesadnie dbały o wygląd.

² Darmo kładzicie – daremny wasz koszt (przyp. aut.).

³ Standrecht (niem.) – sąd doraźny.

były jak najszybsze i najsurowsze: najmniejsza kradzież karana była szubienicą. Miejscowe władze cywilne wymierzały sprawiedliwość, miały prawo życia i śmierci. Wyrok wykonywał się najdłużej we 24 godziny. Może być że ta surowość przyczyniła się do przytłumienia zbójstwa, to pewna, że podnosiła pogardę śmierci do takiego stopnia, że ledwo wiarę dać temu można. Ślad jej znajdziemy w niektórych pieśniach, jak np. w tym wierszyku:

Hej, coze temu padnie,
Hej, co owiecki kradnie?
Hej, cozeby mu padło?
Hej, strycek na garło.
Jest-to fraszka strycek!

[...]

Zamkniemy pieśnią w której jest całe życie zbójcy.

Hej! chłopiec ja, chłopiec z końca Rogoźnicka⁴,
Miałem matkę dobrą, a ojca zbójnicka.
Jescem nie zbojował, dopierom probował,
Z bucka na jedlickę w lesie psesakował.
Jescem nie zbojował, dopiero ten rocyk,
Już mię chcą powiesić na zelazny hacyk.
Panowie, panowie, nie dajcie mię zgubić,
Ja wam będę za to siedem rocków służyć.
Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo,
Cobym ja nie siedział na Wiśnicu darmo.
Oj! jakzeby było żal memu kochaniu,
Kiejby mię powiedli z wirsku ku Muraniu⁵.
– „Powiadała ja ci: daj pozór na siebie,
Hamerscy hajducy⁶ biorą się po ciebie.
Obwiesą cię, Janku, za pośrednie ziobro,
Juz ci będzie potem zbijać niepodobno”.

⁴ Rogoźniczek – nazwisko wsi (przyp. aut.).

⁵ Murań, ma to być każde miasto grodowe (przyp. aut.).

⁶ Hamernia, fabryka żelaza. Hajducy – policja dworska (przyp. aut.).

A kiej mnie powiesą, moja dusa wstanie.
Budzie ona hladzić frairki na sianie.
Kiej mnie obwiesicie, obwieściez mnie w mieście,
Barylkę z palenką nade mną powieście.
Tam budę se wisiał, budę se spoczywał,
Tam budę co chwila palenkę popiwał.
Obrócze mnie mistsu ockami ku drodze,
Niech się ja napatsę tej zbójcekiej chodze.
Zbójnicka frairka syćko popłakuje;
Zbójnickiem na haku wiater porusuje.
Mikułos, Mikułos, Mikułoskie mosty,
Tam się potyrają swarnych chłopów kosty.

Tyle o zbójectwie w górach, które większą swoją częścią jest bardziej w przeszłości jak w obecności.

Seweryn Goszczyński, *Dziennik podróży do Tatrów*, oprac. Stanisław Sierotwiński, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 2005 [1853], s. 234–253.



Romantyczne rewolucje



Własność to kradzież (*Co to jest własność?, fragmenty*)¹

Pierre-Joseph Proudhon

Tak właśnie [jak przestępca przesłuchiwany w sądzie] postępuje właściciel postawiony wobec konieczności udowodnienia swoich praw: z początku odmawia odpowiedzi, oburza się, grozi, rzuca wyzwaniem; potem, zmuszony do przyjęcia walki, uzbraja się w kruczki, otacza się potężną artylerią argumentów i w ich krzyżowym ogniu przeciwstawia atakom, kolejno lub jednocześnie: zajęcie, posiadanie, przedawnienie, umowy, istniejące od niepamiętnych czasów zwyczajem, powszechne przyzwolenie. Zwyciężony na tym terenie właściciel, jak ranny dzik, robi nagły zwrot. Nie ograniczyłem się do zajęcia – wykrzykuje z przejęciem – lecz pracowałem, wytwarzałem, ulepszałem, przekształcałem, **tworzyłem**. Ten dom, to pole,

¹ Pierre-Joseph Proudhon (1809–1865) – filozof francuski, prekursor ruchu socjalistycznego i anarchistycznego. Proudhon był jednym z pierwszych lewicowych teoretyków wywodzącym się bezpośrednio z klasy robotniczej, jak wspominał w *Świętej rodzinie* Karol Marks: „Proudhon nie tylko pisze w interesie proletariatuszy; sam on jest proletariuszem, sam on jest *ouvrier*. Dzieło jego to naukowy manifest francuskiego proletariatu” (K. Marks, F. Engels, *Święta rodzina czyli krytyka krytycznej krytyki. Przeciwno Brunonowi Bauerowi i spółce*, w *MED* t. 2, Warszawa 1961, s. 49). Mimo podziwu młodego Marksa dla Proudhona drogi obu autorów rozchodzą się już w połowie lat czterdziestych, gdy Marks w odpowiedzi na Proudhonowską *Filozofię nędzy* publikuje *Nędzę filozofii*, a więc drwinę na filozoficzną scholastykę francuskiego socjalisty.

Przedstawiony przez nas tekst stanowi fragment najsłynniejszej pracy Proudhona *Co to jest własność, czyli rozważania nad zasadą prawa i rządu* z 1840 roku. Jednak po raz pierwszy Proudhon sformułuje swoją krytykę własności w wydanej w 1837 roku *Próbie gramatyki ogólnej*, a więc pracy, która stanowiła owoc samodzielnych studiów nad łaciną i hebrajskim, połączonych z krytyczną egzegezą Biblii, a zwłaszcza przykazania „nie kradnij”, które zdaniem Proudhona należałoby tłumaczyć raczej za pomocą formuły: „niczego sobie nie przywłaszczaj”. Podstawowy problem z własnością, o czym mowa jest także w przedstawianym przez nas tekście, nie polegał bowiem na samym fakcie posiadania (mieszkania, narzędzi pracy czy ziemi), lecz na akumulacji bogactwa, która sprawia, że znika możliwość równej wymiany, a pojawia się przymus, przemoc i władza. Taka własność jest kradzieżą, ponieważ opiera się na zawłaszczeniu bogactwa wypracowanego przez innych ludzi, przez kolektywny wysiłek, przez przeszłe pokolenia lub samą naturę.

te drzewa są dziełem moich rąk; to ja zmieniłem dziczkę w winną latorośl, a bezpłodny krzew w figowiec, dziś zbieram plony z ziemi, która nie rodziła. Użyźniłem je własnym potem, dałem zarobek tym oto ludziom, którzy umarliby z głodu, gdyby nie dniówki, które u mnie zarobili. Nikt nie oszczędził mi trudów ani wydatków, nikt nie będzie ze mną dzielił owoców mojej pracy.

Pracowałeś, właścicielu! Po co więc mówiłeś o zajęciu? Cóż, czy nie byłeś pewien swoich praw, czy też chciałeś okłamać ludzi i zmylić sprawiedliwość? Pospiesz z wyjawieniem twoich środków obrony, bo wyrok będzie bezapelacyjny, a wiesz, że chodzi o restytucję.

Pracowałeś! Lecz cóż ma wspólnego praca, do której jesteś obowiązany, z przywłaszczeniem wspólnego dobra? Czyżbyś nie wiedział, że prawo do ziemi, podobnie jak prawo do powietrza i darów przyrody, nie może ulec przedawnieniu?

Pracowałeś! Czyżbyś nigdy nie zatrudniał innych? W jaki więc sposób, pracując dla ciebie, stracili to, co ty potrafiłeś zyskać, nie pracując dla nich?

[...]

Ponieważ miałem szczęście urodzić się w wieku moralności burżuazyjnej, w dobie niesłychanego osłabienia poczucia moralnego, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ten lub ów uczciwy właściciel zapytał mnie, co w tym wszystkim widzę niesprawiedliwego i niesłusznego. O, zabagniona duszo! Trupie zgalwanizowany! Czyż można mieć nadzieję, że dasz się przekonać, jeśli nawet kradzież, na której cię przyłapano, nie wydaje ci się oczywista? Jakiemuś człowiekowi udaje się przez słodką i przymilną wymowę znaleźć sposób zmuszania innych ludzi do urządzenia mu gospodarstwa; wzbogaciwszy się zaś dzięki wspólnemu wysiłkowi, człowiek ten uchyla się od zapewnienia dobrobytu, na warunkach, które sam podyktował, ludziom, którym zawdzięcza majątek: i ty pytasz, czemu uważam takie postępowanie za oszustwo? Zaslania się tym, że wypłacił robotnikom zarobki i nic już nie jest im winien, że nie może ofiarować innym swych usług, bo wzywają go własne zajęcia. Twierdzą, że

w ten sposób odmawia pomocy w zagospodarowaniu się ludziom, którzy jemu samemu pomogli się urządzić; gdy zaś, osamotnieni, bezradni i pozostawieni samym sobie, robotnicy ci stają wobec konieczności spieniężenia swych działów, ten niewdzięczny właściciel, ten nieuczciwy dorobkiewicz objawia gotowość złupienia ich i zrujnowania do końca. I ty uważasz to za sprawiedliwe! Miej się na baczności, bo w twoim zdziwionym spojrzeniu wyczytać można raczej wyrzut nieczystego sumienia niż naiwne zdumienie mimowolnej niewiedzy.

Mówi się, że kapitalista wypłacił robotnikom **dniówki**; ściśle rzecz biorąc, należałoby mówić, że kapitalista wypłacił **dniówkę** tyle razy, ilu zatrudniał dziennie robotników; oznacza to zupełnie co innego. Kapitalista bowiem nie zapłacił bynajmniej za potężną siłę wyzwalającą się z jedności i harmonii pracujących, ze zgodności i jednoczesności ich wysiłków. Dwustu grenadierów postawiło obelisk z Luksoru na postumencie w ciągu kilku godzin; czyż można przypuścić, że jeden człowiek zdołałby tego dokonać w ciągu dwustu dni? W obliczeniach kapitalisty jednak suma płac byłaby w obu wypadkach jednakowa. Tymczasem użyżnienie pustyni, zbudowanie domu, uruchomienie manufaktury to zadania równie trudne, jak podniesienie obelisku czy poruszenie góry z miejsca. Zdobycie najmniejszego majątku, najskromniejsze nawet zagospodarowanie się, uruchomienie najdrobniejszego przedsiębiorstwa wymaga takiego nakładu pracy i współdziałania tylu umiejętności, że jeden człowiek nie jest w stanie temu zadaniu podołać. Jest rzeczą wprost zdumiewającą, że nasi ekonomiści tego nie dostrzegają. Zróbmy więc bilans tego, co kapitalista otrzymał, i tego, za co zapłacił.

Robotnik musi otrzymywać płacę, która zapewni mu środki do życia wówczas, gdy pracuje, ponieważ jedynie konsumując może on produkować. Ktokolwiek zatrudnia pracownika, winien dać mu wyżywienie i utrzymanie lub równorzędną płacę; jest, to sprawa zasadniczej wagi w każdej produkcji. Zakładam na razie, że pod tym względem kapitalista jest w porządku.

Jest dzisiaj rzeczą konieczną, aby poza bieżącymi środkami utrzymania produkcja dawała robotnikowi gwarancję środków utrzymania na przyszłość wobec groźby wyczerpania się źródła produktu lub utraty zdolności produkcyjnej; innymi słowy, trzeba, aby praca wykonana rodziła nieustannie dalszą pracę do wykonania; jest to powszechne prawo reprodukcji.

[...]

Reprodukcja, nieustanna rękojmia życia, przygotowanie przedmiotu i narzędzi produkcji – oto co kapitalista zawdzięcza temu, kto wytwarza, lecz za co go nigdy nie wynagradza; to właśnie oszustwo jest źródłem nędzy robotnika, bogactwa próżniaka i nierówności majątkowej. Na tym też przede wszystkim polega to, co tak trafnie nazwano wyzyskiem człowieka przez człowieka.

Pierre Joseph Proudhon, *Co to jest własność?*, przeł. Halina Mortimer, w: Jan Dziżyński, *Proudhon*, Warszawa: Wiedza Powszechna, 1975 [1840], s.183–185.

Płody naturalne należą do wszystkich (*Aforyzmy o urzędzeniu społeczeństwa ludzkiego, fragment*)¹

Piotr Ściegienny

1. [...] Każdemu żyjącemu stworzeniu przeznaczył Bóg stosowną odzież i stosowny pokarm, ale nie wyznaczył sarnie ani szczygłowi, aby w tym tylko lub owym kawałku lasu czy pola szukał sobie schronienia i pożywienia, nie przekazał wróbla na usługi orłowi ani lisa na pilnowanie wilka. Każdy zwierz leśny, każdy ptak polny, gdzie mu się podoba, leci za pożywieniem i rozkoszą. Każdy sam dla siebie pracuje. Taką samą *własnością* i *wolnością* obdarzył Bóg i człowieka. Przeznaczył dla niego ziemię, której płody naturalne lub pracą wydobyte miały służyć do wygodnego i przyzwoitego utrzymania życia.

Ziemia zatem i jej naturalne płody z przeznaczenia boskiego należą do wszystkich na ziemi żyjących stworzeń – ludzi i zwierząt; płody zaś przemysłu i pracą wydobyte jedynie do pracującego należeć powinny.

Stąd wniesmy:

Po pierwsze: Każdy człowiek powinien być wolny, tj. powinien mieć wolność robienia, co mu się podoba, byle nie z krzywdą bliźniego.

¹ Piotr Ściegienny (1801–1890) – socjalista, działacz niepodległościowy, ksiądz katolicki, zob. przyp. 1 na s. 186.

Filozofia polityczna Ściegiennego była bliska poglądom Ludwika Królikowskiego, Étienne'a Cabeta i ruchu ikaryjskiego. Ściegienny wierzył, że rewolucja społeczna powinna polegać na przywróceniu utraconego ładu, o którym pisze Ewangelia i w którym „wszyscy byli sobie równi” (*Złota księżeczka, czyli historia rodu ludzkiego*, 6). Zastane społeczeństwo jako przepełnione duchem egoizmu, „rachuby” i systemem wyzysku należało zatem zastąpić religią pomocy wzajemnej i solidarności.

Ściegienny zasłynął jako autor fałszywej bulli Grzegorza XIV, w której podając się za papieża, nawołuje chłopów do wszczęcia powstania (nagradzanego odpustami) – „Powinniście więc odebrać wydartą wam ziemię i żadnych powinności z niej ani opłacać, ani odrabiać. Chłop na pana robić nie powinien, bo pan tak człowiek jak drugi, ma nogi, ręce, zdrowie i siłę od Boga, może sobie sam i powinien na utrzymanie życia zapracować” (*List Ojca Świętego Grzegorza Papieża do rolników i rzemieślników*, s. 57).

Przedstawiany przez nas tekst pochodzi z 1857 roku, a więc powstał na wygnaniu. Ściegienny zarysowuje w nim swój program społeczny.

Po wtóre: Wola, rozum i pamięć ludu jest wolą, rozumem i pamięcią Boga. Lud zatem ma najwyższą władzę na ziemi, z wolnością przelania jej, na kogo mu się podoba, i odebrania, jeżeli tego widzi potrzebę.

Po trzecie: Ziemia nie może być własnością pojedynczej osoby, ale własnością ludu – dlatego nie może być sprzedawana.

Uwaga pierwsza: Jeżeli ziemia jest rodu ludzkiego karmicielką, naszą matką – rząd przez lud ustanowiony, opiekujący się narodem ludzkim, jest narodu ojcem. Naród więc, jako dziecię po rodzicach, jest jedynym spadkobiercą; po śmierci zatem gospodarza ziemia wraca do narodu. Dzieci atoli zmarłego mają pierwszeństwo do posiadania uprawianej przez ich ojca ziemi.

Uwaga druga: Lubo płody naturalne, znajdujące się w powietrzu, na ziemi, w ziemi, w wodzie, należą do wszystkich, ma być jednak zaprowadzony porządek w ich używaniu.

Po czwarte: Każdy gospodarz rolnik powinien mieć tyle sobie przez naród danej ziemi, ile potrzeba do wyżywienia i wygodnego utrzymania rodziny, której jest głową.

I zdaje się, że ziemi klasy	I	II	III
pod zboża morgów	18	36	72
pod ogród i zabudowę	1,5	3	6
pod łąki	0,5	1	2
razem morgów	20	40	80

dostateczną będzie ilością.

Uwaga I. Za pomnożeniem się ludności pola mają być na połowę dzielone, jeżeli skądinąd potrzebującym już dać nie będzie można.

[Uwaga] II. Każdy rzemieślnik i fabrykant powinien mieć tylko ogród, bo rzemiosło i fabryka ma być ich gospodarstwem, a ogród zabawą.

[Uwaga] III. Każda rodzina ma mieć własny dom, oborę, stodołę, sprzęty i narzędzia. Domy, ile można będzie, murowane,

obory i stodoły z gliny ubijane, aby drzewa oszczędzać i budowlę utrwalać.

[Uwaga] iv. Rolnik, rzemieślnik, kupiec nie powinien opłacać żadnych podatków oprócz składki narodowej do potrzeby kraju zastosowanej, nie powinien odrabiać żadnych powinności oprócz szarwarku do dróg i straży nocnej osady.

ii. Bóg stworzył mężczyznę i niewiastę i z nich rozplodził się ród ludzki. Rozróżnił Bóg mężczyznę od niewiasty, ale ta różnica znika, bo mężczyzna bez niewiasty ani niewiasta bez mężczyzny obejść się nie może, i gdyby to połączenie było zniesione, świat by zaginał.

Nikt się nie rodzi cesarzem, królem, szlachcicem, panem, księdzem, rzemieślnikiem, chłopem, ale się każdy rodzi człowiekiem.

Nikt się nie rodzi z gwiazdą lub krzyżem na piersiach, ale się każdy rodzi z nogami i rękami zdolnymi do pracy.

Nikt się nie rodzi, aby nad drugimi panował, przewodził, ale każdy sam nad sobą panować powinien.

Bóg nie położył żadnej różnicy między ludźmi, ale sami ludzie poprowadzali różnice urodzenia, stanu, godności. Dziś się nie rodzi człowiek, ale monarcha, pan, mieszczanin, chłop. Stąd rozliczne nieszczęścia na ród ludzki wypłynęły, osobliwie pogarda sobie równym człowiekiem, co chcąc oddalić, potrzeba:

Po pierwsze: Znieść wszelkie przywileje familiom i miastom nadane, a zaprowadzić zupełną równość. Rozum, cnota, poświęcenie się dla dobra ogółu niech będą święcie szanowane i czczone. One tylko niech dają prawo do przewodniczenia w społeczeństwie.

Po wtóre: Nie cierpieć między społeczeństwem duchownych bezzennych i zakonników, bo ci, nie należąc do ludu, nie tylko że go nie bronią od napaści złych ludzi, jak powinni, ale jeszcze dozwalają i dopomagają krzywdzić.

Po trzecie: Nie cierpieć rodu próżniaczego i ich posługaczy – niech każdy na utrzymanie swoje wedle zdolności i możliwości fizycznie lub umysłowo z korzyścią dla ogółu pracuje.

Uwaga: Towarzystwo ludzkie powinno się składać z rolników, rzemieślników, nauczycieli, kapłanów żonatych i wybranych

urzędników, tak jednych z drugimi połączonych, aby nie składali osobnych uprzywilejowanych klas, ale jeden ród ludzki pod jednym prawem przez siebie ustanowionym żyjący.

111. Głos ludu jest głosem Boga.

Rząd ustanowiony przez lud władzą pochodzącą od Boga.

Obowiązkiem rządu jest:

Po pierwsze: Doglądać, czy każdy członek społeczeństwa pełni swą powinność.

Po wtóre: Czy wzajemne stosunki w towarzystwie są ściśle zachowywane.

Po trzecie: Czy każdy stosownie do powołania i możliwości pracuje na utrzymanie swoje.

Po czwarte: Czy kto nie poważa się gwałcić praw własności, wolności, równości i braterstwa.

Po piąte: Starać się o polepszenie bytu i przyjemności.

Lud ustanawia rząd i sąd i na urzędników przelewa swą władzę.

Piotr Ściegienny, *Aforyzmy o urządzeniu społeczeństwa ludzkiego*, w: tenże, *Ewangelia i rewolucja. Wybór pism*, red. Adam Sikora, Warszawa: Książka i Wiedza, 1981 [1857], s. 88–92.

Ziemia jest posagiem całej rodziny ludzkiej (*Nadanie własności, fragmenty*)¹

Ludwik Królikowski

„Wszystko moje jest twoje, a twoje moje” (J, 17: 10)

„Sami nie jesteście swoi” (1 Kor, 4: 19)

„Cóż masz, czego byś nie wziął?” (1 Kor, 4: 7)

Z nagłówkiem **Nadanie własności** „Orzeł Biały”² ogłasza artykuły jeden po drugim. Pierwszy z nich zaczyna on od pytania: *Co jest*

¹ Ludwik Królikowski (1799–1881) – mesjanista i komunista. Pochodził z rodziny chłopskiej, uczył się najpierw w szkole elementarnej prowadzonej przez bernardynów, następnie w kieleckiej Szkole Wydziałowej (gdzie poznał Piotra Ściegiennego). Uzyskał samodzielność organizacyjną i intelektualną wraz z uruchomieniem rocznika „Polska Chrystusowa”, wydawanego od 1842. Pismo przyniosło Królikowskiemu duży rozgłos, do jego koncepcji odnieśli się wówczas Mickiewicz (wykłady w Collège de France) i Li-belt (*Samowładztwo rozumu*). W tym samym okresie rozpoczął współpracę z Étienne’em Cabetem i ruchem ikaryjskim (którego stał się, pod nieobecność Cabeta od 1849 do 1851, oficjalnym przywódcą). Królikowski zerwał z ruchem wraz z powrotem Cabeta w 1851 roku i od tego czasu, mimo kilku prób, nie udało mu się nawiązać z żadną grupą dłuższej współpracy. Pod koniec lat siedemdziesiątych wyemigrował do Nowego Jorku i tam zmarł.

Prezentowany przez nas fragment pochodzi z pierwszego zeszytu „Polski Chrystusowej” z 1842 roku. Co interesujące, Królikowski atakuje tutaj nie tylko instytucje własności prywatnej, ale całą metafizykę posiadania, w której wszystkie relacje, począwszy od relacji do samego siebie, opierają się na własności. Koncepcja Królikowskiego, której echa słyszymy także w przedstawianym przez nas tekście, była radykalnie apokaliptyczna. Świat w tej wizji znajduje się u progu zagłady/rewolucji, po której jednak wyłoni się nowa rzeczywistość społeczna, oparta na zasadach ewangelicznego komunizmu, różniącego się pod każdym względem od dzisiejszego świata, opanowanego, jak wierzył Królikowski, przez siły szatana. Mimo że pisma Królikowskiego wypełnia myślenie religijne, to zapowiadana zmiana miała być całkiem doczesna i dotyczyć radykalnego przekształcenia rzeczywistych, materialnych stosunków między ludźmi, znosząc wszelkie panowanie i własność prywatną.

² „Orzeł Biały” był pismem brukselskiej gminy „Zjednoczenia Emigracji Polskiej”, której inspiratorem był Joachim Lelewel. Program tej organizacji, dość umiarkowany, sytuował się na prawo od Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Stąd ostry atak Królikowskiego na poglądy stronnictwa.

własność? i odpowiada na nie: *Jest to prawo rozrządzenia rzeczą do siebie należącą według woli i upodobania.*

Dziwne pojęcie własności! Prawo do używania i nadużywania darów Bożych, których szafarstwo na nas ciąży – słowem, prawo uświętobliwienia się lub zatracenia ma stanowić *własność*: jak gdyby można mieć kiedy prawo grzeszenia. Prawo przywłaszczania sobie darów Bożych – prawo niszczenia ich i trwonienia, ze szkodą nawet i krzywdą pogrążonych w nędzy Braci; prawo brojenia nieprawości i gorszenia bliźnich może być ludziom, podług „Orła Białego”, przyznane i uświęcone; a co jeszcze dziwniejsze, może się stać człowieka własnością!

Tak, niestety, własnością to jest wszystkich wyrodków, ciemiężców, rabusiów, świętokradców i niezbożników przywłaszczając sobie, i to jeszcze wyłącznie, dary Ojca niebieskiego, Jego Władzę i Jego Chwałę!

Kto nie oddaje Bogu, co jest Bożego, ale sobie przywłaszcza, jest świętokradcą; a kto zatrzymuje bez chrześcijańskiej potrzeby dary Boże, bez których brat nie może żyć albo spełnić swojego przeznaczenia, staje się bratobójcą i wrogiem Ludzkości.

Jedyną godziwą i prawą własnością człowieka jest obraz i podobieństwo Boże, której nie można mu wydrzeć bez pozbawienia go znamion Człowieczeństwa. Wszystko, co nie zmierza do utrzymania życia Człowieka i do zachowania w nim tego najszacowniejszego przymiotu, nie jest jego własnością, ale własnością wyrodków Rodzaju ludzkiego. Bo własność, w najpowszechniejszym znaczeniu tego wyrazu, jest to przymiot jakiej istoty, którego gdy nabywa lub gdy zostanie takowego pozbawiona, wyradza się w inną, koniecznie różną od pierwszej. Takowym przymiotem świętokradcy jest przywłaszczenie sobie darów Bożych i przyznawanie za własność tego, co do nikogo wyłącznie należeć nie może. Własnością niezbożnika jest zarozumiałość, pycha i zuchwałość, w skutku której postępuje sobie we wszystkich sprawach i okolicznościach, bez względu na Boga i Ludzkość, podług swoich żądz i upodobania. Własnością łaknącego jest *chleb powszedni*, a pragnącego

kubek wody, i kto im takowych odmawia, wydziera im własność – dar Boży, który Ojciec niebieski w swoim miłosierdziu dla nich zgotował i przeznaczył, a którego przywłaszczyciele i wydziercy są bratobójcami. Człowiek odarty z obrazu i podobieństwa Bożego traci najszacowniejszą i najświętszą własność, umiera jako Człowiek, staje się trupem chodzącym i zamienia się na bydlę w ludzkiej postaci. A przeciwnie, kto się wznosi do obrazu i podobieństwa Bożego, zmartwychwstaje, przechodzi ze śmierci do żywota – z ciemności na światło.

Pismo św. naucza, że *sami nie jesteśmy swoi*, że tym samym nikt swoją własną osobą nie może i nie powinien rozrządzać według swojej woli i upodobania. Wyrzeczenie się samego siebie jest pierwszym warunkiem doskonałości chrześcijańskiej, która nas usposabia do Społeczności doskonałej – do Królestwa Bożego. Kto się samego siebie wyrzeka, nie może sobie zachowywać wolności rozrządzenia czymkolwiek bądź według swojej woli i upodobania. Chrystus Pan często sobie mawiał, iż nie przyszedł czynić woli swojej, ale woleń tego, który go posłał – Woleń Ojca niebieskiego. W modlitwie codziennej prosimy Boga, aby się Wola Jego działa, tak w niebie, jako i na ziemi. Wszystko na świecie jest poddane pewnym warunkom i niezmiennym prawom. Tysiąc wieków usiłowań całej Ludzkości nie zdoła ich w niczym zmienić. A wy przywłaszczacie sobie świętokradzko posłannictwo rozdawania dowolnie pomiędzy niektórych swoich spółziomków najdroższego skarbu narodowego, najszacowniejszego daru Bożego, aby go używali podług swojej woli osobniczej i upodobania, a tym samym i przeciw Woli Bożej – sprzecznie z warunkami szczęścia społeczeńskiego, na zgorzenie nawet, krzywdę, szkodę, ujarzmienie i zgubę Braci. Możeż się komu godzić obrażać Boga, nie szanować w bliźnich obrazu i podobieństwa Bożego, poniewierać, trwonić i niszczyć bratobójczo dary Boże, zadawać gwałt Prawdzie i wydzierać własność dzieciom Bożym – wydzierać im Dziedzictwo, którym ich Ojciec niebieski miłościwie wyposażył?... Dlaczegoż jednym ma być wolno używać dziedzictwa spólnego podług swojej woli i upodobania, a drugim

nie wolno nawet podług ustaw odwiecznych Ojca niebieskiego? Dlaczegoż jednym ma być wolno grzeszyć, a drugim nie wolno nawet w Cnocie się kochać i onę wykonywać?...

O nie! – nie przyjmą nigdy tej nauki „Orła Białego” ludzie pobożni! Nigdy jej przyzwolenia swojego nie dadzą! Bo oni bronią do ostatniego tchu – nie owej szatańskiej własności, którą sobie wielcy i mali carowie piekielnymi sposobami nabywają i pomiędzy swoich służalców i kochanków rozdają, ale owej świętej, błogosławionej i Wiecznej Własności, którą Ojciec powszechny całą Rodzinę ludzką, a nie pewne tylko kasty uposażył. Bronią oni do upadłego własności serca, własności umysłu i własności całego ciała i duszy każdego człowieka, kiedy widzą, iż jest wystawiony na grabież i łupiestwo owych złoczyńców, którzy go bydłciem swoim roboczym uczynić usiłują. Bronią oni, aż do śmierci krzyżowej, najświętszej własności każdego człowieka – własności, w skutku której może się kształcić, doskonalić, przechodzić w obraz i podobieństwo Boże i we wszystkich tchnieniach swojego żywota pełnić we wszystkim Wolę Ojca Przedwiecznego – własności, która jest podstawą społecznego porządku.

[...]

Na toż Opatrzność nadała urodzajność ziemi, aby się takowa stała wyłącznym przywilejem i hipoteką dla tych, którzy najwięcej za wygodnym i gnuśnym życiem bez pracy wzdychają?... Godziż się zostawiać wyłącznie osobniczej dowolności i upodobaniu użytkowanie z ziemi, której przeznaczeniem jest dostarczać *wszystkim* ludziom bez wyjątku pożywienia, odzienia i pomieszkania?... Godziż się, aby jedni chorowali z gnuśności i zbytku, a drudzy umierali z pracy, głodu i przeciwnej rozporządzeniom Bożym nędzy?... Godziż się prawym ludziom cierpieć obojętnie, aby pewna mała częśćka Narodu, złożona z pasożytów i samolubów, używała własności społecznej podług swojej woli i upodobania na swoją wyłączną korzyść – ze szkodą, krzywdą, uciemieniem i zgubą większości?... Dlaczegoż jednym ma być wolno podług swojej woli i upodobania prowadzić życie gnuśne, miękkie, wystawne,

zbytkowe i gorszące; a drugim, skazanym dla łyżki lichej strawy, dla przedłużenia swojej nędzy na dziedziczne służebnictwo i niewolę, dlaczegóż nie ma być wolno rozrządzić swoją osobą podług przykazań Bożych?... Dlaczegóż jedni, na mocy jakiegoś mniemanego, służącego sobie prawa, mogą według swojej woli i upodobania martnotrawić, trwonić i niszczyć wszelkie dary Boże; a drudzy nie mogą ich użyć nawet na ratowanie swojego życia i utrzymanie w sobie obrazu i podobieństwa Bożego?... Dlaczegóż niezbożny car lub jaki jego służalec ma mieć więcej prawa do rozrządzania dowolnie ziemią polską niż jaki mieszkający na niej ubogi i cnotliwy wyrobnik?... Czyliż łotry, świętokradzcy i spółnicy rozboju, których car ziemią polską udarował i ci wszyscy, którzy od wieków do posiadania włości w Polsce podobną doszli drogą, mają mieć pierwszeństwo przed ubogim, pracowitym i zawsze patriotycznym Ludem?

[...]

Ziemia odnowiona zostanie Duchem Bożym – *Przyjściem pańskim*. Wszystko stare przemienie. Robota wszystkich mocarzów świata zniszczeje. Największa potęga dzisiejszego świata okaże się tak słabą i bezwładną, jak dziecię nowo narodzone, porzucone w kolebce. Nie ostoi się żaden błąd ani nieprawość przed obliczem pańskim. Cały świat Duchem Bożym napelniony zostanie. Sam Bóg jedynie nad wszystkimi Narodami panować będzie: bo On jest jedynym ich Panem i Królem. A Miłość Boża – Miłość braterska doskonała, której nam Chrystus zostawił przykazanie, wzór i przykład, będzie jedynym prawidłem, ustawą, **Władzą** i spojem pomiędzy wszystkimi ludźmi; gdyż **Bóg jest Miłość**, a *bez Boga ani do proga*: i prócz Jego Woli świętej nie ma żadnego innego dla ludzi prawa ani ustawy.

Ziemia jest posagiem całej Rodziny ludzkiej i hipoteką, na której miłosierny dla wszystkich Ojciec niebieski zabezpieczył dla każdego chleb powszedni i to wszystko, bez czego nie można utrzymać życia i sił potrzebnych dla pożytecznej pracy. Nikt więc nie powinien umierać z nędzy i głodu. Nikt przeto nie może przywłaszczyć

sobie ziemi ani jej płodów bez dopuszczenia się zbrodni świętokradztwa i bratobójstwa. Nikogo nie godzi się wyłączać od używania jej płodów i darów, prócz tych jedynie, którzy nie mają nic w Królestwie Ojca niebieskiego, których Chrystus wyłączył sądem swoim od *dziedzictwa* Dzieci Bożych i skazał ich na wytępienie i wieczną zagładę ze wszystkimi kłamcami, oszustami, bałwochwalcami, wszetecznikami, przywłaszczycielami, ciemiężcami, złodziejami, zbójcami i tymi wszystkimi, którzy nie chcą być posłuszni świętej Ewangelii i nie chcą się poddać najdoskonalszemu w świecie Zakonowi Miłości braterskiej, od Chrystusa nam zaleconej.

[...]

Jeżeli zaś chcecie rozdać ziemię pomiędzy pewną tylko liczbę mieszkańców, a nie pomiędzy wszystkich, na jakiejże się oprzecie zasadzie?... Czyliż na Sprawiedliwości i Równości, które nieszczerze albo też bez dostatecznego wyrozumienia za godło wszystkich swoich teorii przyjmujecie?... Dlaczegoż wyłączycie więcej niż połowę swoich spółziomków od używania tego dobrodziejstwa?... Godziż się wam wydierać własność ziemską jednym, rozdawać ją pomiędzy drugich, ale tylko niektórych, a odmawiać jej dla przeważnej większości całego Narodu?... Dlaczegoż mielibyście święte poszanowanie dla wszelkiej innej własności, prócz dla wielkiej własności gruntowej?... Cóż będzie prawidłem waszego postępowania i gdzie wasza krzycząca niesprawiedliwość uzna dla siebie granice?... Nie jest, że to największy nierozum działać na oślep i bez żadnej zasady, która by w dobru pospolitym i Sprawiedliwości Bożej odwiecznej znalazła potwierdzenie?... Jeżeli chcecie bezwarunkowo liczbę właścicieli pomnożyć, czemuż się nie staracie o nadanie własności dla wszystkich bez wyjątku? Czymże usprawiedliwicie wyjątek, i jakąż mu naznaczą granicę? Czymże się różnić będziecie od cara, który swoje szalone pomysły całym Narodom za prawo samowolnie i gwałtem narzuca?...

Sami wyznajecie, iż „człowiek, ustawicznie pchany namiętnością ku posiadaniu, użył najprzód ziemi, poszukał jej poza wodami, wejrzał w jej wnętrze; ale ani ziemia, ani wody nie nasyciły

jego żądy – targnął się na podobnego sobie, swego równego, jak on *pana ziemi*”. Jeżeli każdego człowieka uznajecie panem ziemi; jeżeli jesteście przekonani, że każdy jest ustawicznie pchany żądzą ku posiadaniu, dlaczegóż nie staracie się o to, aby każdy wasz współziomek był rzeczywiście panem ziemi i aby żaden nie był daremnie, jak Tantal, trapiiony żądzą posiadania? Albo przynajmniej, czemuż się nie staracie o to, aby żaden pan ziemi nie umierał z nędzy i głodu?... Gdybyście wynaleźli sposób zapewnienia każdemu chrześcijańskiego pożywienia, odzienia i pomieszkania, znikłaby wtenczas dla każdego potrzeba posiadania; zbieranie majątku nie miałyby więcej rozsądnego celu; i ludzie zostaliby na zawsze uwolnieni od tej przeklętej żądy, która ich ustawicznie pcha ku posiadaniu i w której wy sami dostrzegacie źródło przywłaszczeń, bratobójstwa i ciągłej między ludźmi pod różnymi postaciami wojny. Widzenie wasze pod tym względem zgadza się zupełnie z Ewangelią, która żądę majątku nazywa korzeniem wszystkiego złego i nakazuje każdemu szukającemu doskonałości wyzbyć się wszelkiego mienia na korzyść Ogółu, a mianowicie ubogich; gdyż bogaci wsparcia nie potrzebują.

[...]

Ubolewamy nad tym mocno, że „Orzeł Biały”, opętany od ducha swojego wieku, szuka zbawienia swojej Ojczyzny w tym, co zgubiło wszystkie dawne i co gubi wszystkie dzisiejsze Narody; karmi swoich Braci *mistycznymi* teoriami o *własności i władzy*; i przykuty, jak Prometeusz, do dzisiejszego pogańskiego świata nie może wznieść swojej myśli nad poziom znikomości, nie może pojąć *wiecznego żywota* swojej Ojczyzny, nie może sobie przyswoić nauki Chrystusowej i zamiast Zbawienia powszechnego wszystkich Ludów – jakiś niezrozumiały mistycyzm w niej upatruje. A przecież nie ma w świecie żadnej nauki, żadnej teorii, żadnego prawa tak jasnego i dla serc prawych zrozumiałego, jak Zakon Chrystusów! *bo cała jego treść jest doskonała Miłość Braterska z wyrzeczeniem się samego siebie*. Podług tej więc teorii, wszystkie stosunki społeczne, które nie są urządzone doskonałą Miłością braterską

Chrystusową, są przewrotne, niezbożne; i wszystkie nasze czyny, które tej Miłości nie objawiają, zasługują na potępienie.

[...]

Nie chce „Orzeł Biały” tego widzieć, że kto przyjmuje własność osobistą, musi koniecznie także przyjąć i uświęcić różnicę stanów, przywileje, panowanie człowieka nad człowiekiem, potrzebę przemocy, gwałtu i rozboju do utrzymania w posłuszeństwie i uległości gotowego zawsze do buntu uciśnionego przez możnych ubóstwa. Lubo z drugiej strony, popiera on usilnie niby i serdecznie zasadę Równości i Braterskości, ale jak gdyby przez zapomnienie ob staje znowu zapamiętałe przy zachowaniu własności osobistej, zaleca tylko rozszerzyć ją do większej jak dziś liczby mieszkańców kraju; zawsze jednak przeważającą większość chce zostawić w nędzy, bez własności i w zawisłości dziedzicznej od uprzywilejowanych właścicieli ziemi.

Ludwik Królikowski, *Nadanie własności*, w: tenże, *Wybór pism*, Warszawa: Książka i Wiedza, 1972 [1842], s. 175–194.

Wszelka niewola skutkiem jest istnienia własności (*Twórczość w życiu społeczności, fragmenty*)¹

Edward Dembowski

Wolność bezwzględna ludu (więc ludów i ludzkości) zależy na tym, aby w rozwijaniu i urządzaniu się nie był żadną przemocą gnębiony. Przemoc kilkakrotna jest. I tak: *Przemoc fizyczna*; przemoc ta jest stosunkiem mocniejszego do słabszego. *Przemoc własności* po wtóre, przemoc bogatego nad ubogim, która w ogólności da się określić wyrazem *zależność*, tak jak przemoc fizyczna może się określić wyrazem *niewola*. Na koniec *przemoc umysłowa*, przemoc mądrzejszego nad mniej oświeconym, przemoc bystrzejszego umysłem nad niedołążnym, dająca się w swym skutku określić wyrazem *wpływ stanowczy*. Rozwińmy bliżej każdą z przemocy tych pokrótce.

a. *Przemoc fizyczna*. Tu zachodzi trzykrotny jej odcień: *niewola względem rządu*, *niewola względem osób prywatnych*, *rozbój, gwałt itd. na słabszych*. Z tych trzech odcieni ostatni – jako potężny i ścigany przez prawa, drugi – jako już przynajmniej z Europy wykorzystany – nie podchodzą pod rozważę. Pierwszy, niewola względem rządu, ma znowu odcienia różne, np. rząd narzucony ludowi przez obcy naród, rząd narzucony przez jedno stronnictwo własne w narodzie itd.; lecz tu w ogólności *wszelka niewola względem rządu skutkiem jest istnienia własności*, albowiem lud,

1 Edward Dembowski (1822–1846) – filozof, działacz socjalistyczny i niepodległościowy, przywódca powstania krakowskiego w 1846 roku. Pochodził z rodziny szlacheckiej, syn kasztelana Leona Dembowskiego i Julii Kochanowskiej.

Przedstawiany przez nas fragment pochodzi z 1843 roku i zaliczany jest do drugiej fazy rozwoju filozofii Dembowskiego. Autor ma już wówczas za sobą lektury francuskich socjalistów (Saint-Simona i Fouriera), a także liczne doświadczenia organizacyjne. Kwestia własności prywatnej stanowi tutaj centralny problem, ponieważ zdaniem Dembowskiego to we własności tkwi źródło wszelkiej przemocy ekonomicznej (wyzysku feudalnego lub kapitalistycznego) oraz politycznej (opartej na władzy państwa). Rozwiązanie największych problemów ludzkości leży w radykalnym uspołecznieniu, a więc w całkowitej likwidacji własności prywatnej.

przychodząc do świadomości przez bieg naturalny rozwijania się dziejowego, poznaje i uciuwa swoją niewolę, lecz chociaż jest mocniejszym i fizycznie (ilość rządzonych zawsze od ilości rządzących jest większa), i duchowo (lud zawsze w duchu i sercu od klasy zwanej *oświeconą* jest dzielniejszy), jarzma zrzucić nie może, bo *interesem materialnym* osób mających *przemoc własności*, tj. płaconego od rządu wojska, urzędników i panów, jest, aby ludowi nie pozwolić rozwinąć się; wojsko, urzędnicy straciliby płacę, panowie musieliby przestać darmo chleb zjadać, próżnować i hulać, boby uboższymi się stali. A tak niewola względem rządu zależy i jest skutkiem istnienia własności.

b. *Przemoc własności*. Tej sama nazwa wskazuje, że jest skutkiem i zależy od własności. Nie wchodząc w różne jej odcienia, chcemy ją tylko najtreściwiej określić. Ubogi zależnym jest od bogatego, albowiem przy dzisiejszym urządzeniu społeczeństwa może tylko wtenczas wyżyć, kiedy bogaty raczy jego całodzienną krwawą pracę przyjąć i kiedy ją raczy wynagrodzić jako tako, bo nie pracujący, lecz ten, dla którego pracują, wyznacza płacę. Prócz tej niewoli, że ubogi wynajmuje się na własność bogatemu, że znosi i znosić musi jego uciemżanie, bo nie ma za co szukać sprawiedliwości, a raz wypędzony od bogatego nie znalazłby u innych bogatych przyjęcia, a może by mu jeszcze gorzej było, prócz tej niewoli, którą dla odróżnienia od fizycznej nazywamy zależnością – ubogi, wbrew temu, co wszyscy starają się rozgłosić, *ubogi nie jest równy z bogatym przed obliczem prawa*, bo bogaty może przekupić, bo skazany na równą karę pieniężną jak ubogi za równe przestępstwo, daleko mniej stosunkowo niż ubogi skarany jest, bo na koniec skazany na więzienie, równie długie jak ubogi, za równe przestępstwo mniej jest skarany, bo za wyjściem nie odpychają go z pogardą, jako kryminalistę, a choćby go i odepchnięto, nie traci sposobu do życia, bo ma majątek; nie jest zmuszony jak ubogi wypuszczony z więzienia do wybierania między śmiercią z głodu a kradzieżą lub rozbojem; w czasie uwięzienia jego rodzina nie jest tak jak [rodzina] ubogiego pozbawiona chleba. Na koniec dodamy, co

nam każdy rozważywszy bezstronnie dzieje przyzna, że wszystkie rzeczypospolite upadały dotąd dlatego, że istniała *przemoc własności*. Nie potrzebujemy powtarzać, że z końcem istnienia własności i przemoc własności upaść musi.

c. *Przemoc umysłowa*. Ta z szerzącą się oświatą upaść musi, bo i zrówna się potęga umysłowa ludzi, i ci, którzy będą myślą potężniejsi od innych, nie zechcą swej oświaty na złe dla innych użyć, bo prawdziwie światły tylko dla dobra spółbraci żyje. Lecz znowu do rozprzestrzenienia oświaty znieść koniecznie potrzeba własność, bo kasty mające własność są zanadto samolubne, zmysłowe, próżniackie, aby nabywać prawdziwej oświaty; zanadto im dobrze z tym, że inni na nich pracują, aby dozwolili ludom rozwinąć się umysłowo. Zresztą kto jak wyrobownicy angielscy, proletariusze francuscy i nasi drodzy, szlachetni chłopci pracuje cały dzień, cały ciąg żywota, czyż ten może się rozwinąć umysłowo? Odkreślamy odcienia przemocy umysłowej, lecz tylko ogólnie i najtreściwiej. Przemoc umysłowa jako wpływ kasty na lud jawi się tu naprzód, na przykład skutkiem przemocy umysłowej księcia w wiekach średnich najdespotyczniej jarzmili i gnębili ludy słabsze umysłowo niż ich kasta, choć i ta raczej ciemnoty, nie oświaty była przedstawczynią; dalej przemoc umysłowa jako wpływ ludu na lud się okazuje, np. Europejczyków na Amerykanów, na koniec jako wpływ indywidualum na lud, np. Napoleona itd.; tu już stosunek geniuszu do mas zachodzi. Inne odcienia przemocy umysłowej w wyliczonych obejmują się, będąc raczej tylko poddziałaniami, czyli bardziej szczegółowymi odcieniami wyliczonych.

Z powyższego widzimy, że wolność ludu opiera się na zniszczeniu własności, albowiem po jej zniszczeniu przemoc żadna rozwijania się ludowego tamować nie będzie. Lud więc, jak zechce, uorganizuje się, więc osiągnie wolność; wolność zaś ta będzie i musi być pojętą bezwzględnie, bo lud wolny dojdzie do bezwzględnej świadomości siebie.

Zniesienie własności odbyć się może tylko przez bezwzględną wspólność, człowiek bowiem ma potrzeby materialne, więc nasyć

je musi, więc z własności użytkować musi; tylko więc indywidualnie można się wyzuć z własności, a to przez bezwzględną spólność. Lud będzie miał własność, nikt z pojedynczych osób nie będzie jej miał. Podobne zniesienie własności za pomocą spólności bezwzględnej, jak najprostsza rozważa kwestii dostatecznie przekonać może, spełnia warunki zniesienia własności potrzebne do osiągnięcia bezwzględnej wolności, warunki sprawiające i rodzące bezwzględną wolność. Jak się rozwija bezwzględna spólność, wskażemy.

Rzekł mu Jezus: jeśli chcesz być doskonałym,
idź, sprzedaj, co jeno masz, i daj ubogim.
(Mat. 19:21)

Miłość ku całej ludzkości w czynie jest bezwzględną spólnością; mamy obecnie tej rozwijanie (*jak się rozwija*) i bliższe pojęcie wskazać; tu, [jak] z już wysnutych wniosków założyliśmy, zachodzi zniesienie indywidualnej własności. Wszystkie więc jakiego bądź rodzaju mienie jest własnością całego ludu, czyli własnością bezwzględnie spólną. Stąd naturalnie odziedziczeń żadnych po osobie szczegółowej być nie może, każdy ma używalność spólnej własności ludu, a pracę swoją, wszystką pracę całego życia, poświęca na korzyść ogólną. Oznaczenie ilości i jakości tej pracy oraz granic używalności stanowi całą i jedyną w zastosowaniu trudność. Nie jest ona jednak bynajmniej niepodobną, a nawet nie jest zbyt trudną do usunięcia – mała rozważa przedmiotu łatwo nas przekona. Spólność naprzód, w ten sposób pojęta, iż każdy pracuje i w miarę pracy ma używalność, nie niszczy bynajmniej osobistego interesu, bo ilość i dobroć (jakość) wykonanej pracy daje miarę używalności. Obieranie rodzaju pracy nie przedstawia żadnej niepraktyczności; gdyby w gminach indywidua tylko najlżejszych chwyciły się prac, przeto albo niedostatek do cięższych by je zwrócił, albo uchwała ogólna, pod kolejnym dozorem dla dobroci wykonywania pracy, oznaczyłyby dla całej gminy kolejną pracę w sposób podobny podanemu przez Fouriera, którego asocjacje w ogólności, jako umiejętne

wydoskonalenie pracy, miałyby zastosowanie – z zastrzeżeniem, że kapitaliści, jako nieistniejący w społeczeństwie bezwzględnym, nie mieliby całkiem udziału w asocjacji. Jeśli przeto produkcja ogólna dobrowolnym rozdziałem pracy, potrzebą albo uchwałą raz dla każdego według jego zdolności i woli wydzieloną zostanie, używalność owoców tej produkcji bez trudności rozdzielaną być może według praw naturalnych i przysądzenia przez obieralnych biegłych. Prawa naturalne są to w tym razie miernice (*skale*) wartości pracy, które to miernice oznacza praktyka. Jaką wartość ma np. uprawienie danej przestrzeni roli, poświęcenie pewnej ilości godzin nauczaniu publicznemu, to praktyka najłatwiej oznaczy; biegli zaś, [wybieralni] przez samych pracujących (jak *jury* przez mających być sądzonymi), o jakości np. dziesięciodniowej pracy wyrokowaliby. W podobnym urzędzeniu nikt by nie miał potrzeby pracować więcej nad połowę dnia, bo i praca by umiejętnie się wykształciła, i ilość pracujących przybyłaby przez ubytek wszystkich dziś żywiących się cudzą pracą i mających ogromne dochody. Resztę dnia, tj. drugą połowę, cały ród ludzki mógłby poświęcić umysłowej pracy, wykształceniu się, życiu rodzinnemu, rozrywce itd. Kto by pół dnia pracował, miałby dostatek, a przy tym po południowej zmysłowej pracy silniejszym byłby do umysłowej i byłby zdrowszym. Kto by pracował nie osobno, lecz w asocjacji, pod kolejnym jednego z członków gminy całej dozorem, także by miał tylko pół dnia pracy; a pracowałby dobrze, produkcyjnie i odpowiednią miałby używalność wspólnej całego ludu własności. Utrzymywanie niemogących pracować (starych, chorych, dzieci) odbywałoby się na koszt powszechny. Owóż cała pozorna niepraktyczność wspólności bezwzględnej zniesiona. Rozwińmyż niektóre szczegóły pojęcia wspólności.

Spólność, jako źródło wolności, nie czyni żadnego przymusu nikomu bądź. „Każdy umieszczony będzie podług swej zdolności, a wynagrodzony w miarę swej pracy” – prawo święte, raz wprowadzone przy pracy wszystkich. Bo wolność ma za podsadę, by nikt nie próżnował; przy wydoskonaleniu pracy zapewnia każdemu dostatek, a przeto do najmiłszego życia wszelkie zapewnia potrzeby.

Względem życia osobowego nie można innych nad dowolność stanowić prawideł.

[...]

Rzeczpospolita na spółności w ten sposób oparta wolność, swobodę, dostatek dla każdego miałyby zapewnione, a praca wszystkich, ta potrzeba każdego człowieka, potrzeba konieczna nawet we względzie szczęścia i zdrowia, daleka od bycia ciężarem, byłaby rozkoszą każdego i pomocą do kształcenia się umysłowego, do pracy umysłowej. Wolność, niezależność od nikogo, słowem społeczne szczęście każdego byłoby owocem podobnego urzędzenia. A jednak wszyscy, którym się nie chce mieniem dzielić z biednymi, którym się nie chce pracować, ogłaszają *spółność* za utopią, za mrzonką chorego szaleńców umysłu! Biedni ci samolubi! O stosunkach rodzinnych na teraz przemilczamy; później możeć je będziemy mogli rozwinąć. O wychowaniu tylko nadmienimy, iż jak na koszt powszechny odbywać się będzie, tak i w powszechnych, publicznych uczelniach młóźdź płci obiej kształcić się ma. Pielęgnowanie dzieci po odsadzeniu od piersi w rodzinie odbywać się będzie aż do chwili, w której dziecięć będzie mogło do wychowania publicznego należeć.

Pielęgnowanie dzieci nie będzie matkom do pracy przeszkadzać; jednak w czasach, w których mniej zdolne lub niezdolne (dla ciężarności np.) do pracy będą, koszta utrzymania ich poniesie ogół. Matka pielęgnowająca dziecięć może pracować, lecz nie tyle, nie tak dobrze jak mężczyzna; mimo to używalność własności wspólnej równą mieć ma jak pracujący mężczyzna. Tę zasadę zakłada sprawiedliwość i myślowe rozważenie stanowiska społecznego kobiet.

Lud jeden, przyjąwszy urządzenia spółności, stawszy się wolnym, społecznie szczęśliwym, całą ludzkość za swoim pociągnie przykładem; cała ludzkość, wszechludy jednym staną się ludem, choćby różnymi mówiącym językami, i sprawdzi się wyrzeczenie: *Miłość ludu a ludzkości jednym jest*. Zbrodnie, samolubstwo, dążenia zmysłowe, jednostronność, wszelkie występki, wszelkie złe ze spółności wolnej znikną, bo złe i wolność to idee niemogące

koło siebie istnieć. A wolną będzie społeczność, w której miłość ludzkości w czynie spólności zakwitnie. Próżnoż faryzeusze wołać będą: „Zbrodnia, niemoralność, rozbój chceć każdego wyzuć z własności, by lud uposażyć, by wszyscy mieli!”. Ich wołania nie odtętnią w echach wieków, a *stan* (państwo, *Staat, état*) cnoty, wolności, spólności zabłyśnie niebiańską światłością. Łatwo innym zarzucać niemoralność i rozbój, marzenia i utopie, kiedy kto chytrą twarz maską układną dobroci zakryje i kłamie nieczne oblicze w uśmiech cnoty, aby jako zmora nocna pierś braci pognębionych ssać pietyzmu, fanatyzmu i ciemnoty żądłem! Łatwo rzucać na innych kamień, gdy kto się mieni Chrystusa uczniem, a na złocie się rozpiera!

Edward Dembowski, *Twórczość w życiu społeczności*, w: tenże, *Pisma*, t. 3, pod red. Anny Śladkowskiej i Marii Żmigrodzkiej, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1955, s. 235–243.

Komunizm jako urzeczywistnienie Chrześcijaństwa w jego pierwotnej czystości (*Czyńcie dobrze lub milczcie*, fragment)¹

Ludwik Królikowski

Niewątpliwie Komunizm, a nade wszystko ten Komunizm chrześcijański, który my wyznajemy, jest najdoskonalszym zaprzeczeniem takiej wolności, jaką najbardziej cieszy się w Europie autokrata rosyjski, do jakiej dążą z taką namiętnością i zaślepieniem nasi burgrabowie, do jakiej wzdychają wszyscy lubieżnicy, przekupni egoiści, jednym słowem, wszyscy maltuzjanie bez sumienia, bez serca, bez cienia miłości do bliźniego swego. Wśród nas niemożliwa jest taka ohydna wolność. Nienawidzimy jej tak bardzo, jak bardzo oddani jesteśmy Ludzkości, i łatwiej jest przejść wielbłądowi przez ucho igielne, niż takiej wolności wśliznąć się do naszego Stowarzyszenia. Miłość nasza do tych Braci, których świat torturuje i porzuca, jest podstawą niezłomności naszych zasad; jesteśmy nieubłagani wobec obrońców tej wolności dzikiej i barbarzyńskiej; nie możemy bowiem stać się współnikami bratobójstwa, które popełniają oni tak łatwo i z taką pewnością siebie. Sądzimy, że obowiązkiem naszym w tej sprawie jest iść za przykazaniem Ewangelii, które głosi: Bądźcie niemiłosierni dla tych, którzy są bez miłosierdzia!...

Oto jedyna wolność, której nienawidzimy; i takiej jedynie wolności można przed nami bronić. Czy tej wolności apostołami się czynicie?... Czy stajecie po stronie cara, jego europejskich kuzynów i ich współników i lokajów?... Jakże biednymi jesteście Republikańcami! Jakże godni jesteście litości!

Jeżeli szczerze wierzycie, że Komunizm jest wsteczny lub niebezpieczny, zanim go skażecie lub osądzicie, winniście najpierw uznać, że wasz autorytet jest większy niż autorytet sławnych

¹ Artykuł *Czyńcie dobrze lub milczcie* został opublikowany po francusku wiosną 1850 roku, a więc w okresie, w którym Królikowski, pod nieobecność Cabeta, był nieformalnym przywódcą francuskiego ruchu ikariańskiego. Zgodnie z bliską Ruchowi ideologią Królikowski broni tu poglądu, według którego idea chrześcijaństwa jest nierozzerwalnie związana z ideą komunizmu.

filozofów starożytnych i nowożytnych; winniście zaatakować zasady Prawodawcy Chrześcijaństwa; winniście unicestwić w świadomości wszystkich Chrześcijan szacunek dla przekonań Ojców Kościoła; winniście wykląć i okryć hańbą najczystszych, najświatlejszych i najbardziej oddanych Naśladowców Jezusa Chrystusa, którzy wszyscy, bez wyjątku, wyróżnili się praktykowaniem lub co najmniej głoszeniem zasad Komunistów. Zanim ośmielicie się potępić ten system Braterstwa i Solidarności, winniście najpierw dowiedzieć, że uświęcona trójca: Wolność–Równość–Braterstwo jest absurdalna, niesprawiedliwa, niebezpieczna; Komunizm bowiem nie posiada innych zasad ni innego sztandaru; nie żąda nic więcej, ale też i nic mniej. Czy mnie słyszycie?... Dopóki nie uczynicie przede wszystkim tego, co rzekłem, nigdy nie będziecie mieć racji przed Bogiem ani przed cnotliwymi, że nie chcecie szanować miana Komunisty; nigdy nie będziecie mieli słuszności, walcząc przeciwko nam: gdyż my pragniemy tylko urzeczywistnienia Chrześcijaństwa w jego pierwotnej czystości i szukamy tylko możliwości, aby jak najdoskonalej, najpierw wśród nas samych, później wraz z innymi, nawet z wami, żyć w Wolności, Równości i Braterstwie.

Ludwik Królikowski, *Czyńcie dobrze lub milczcie*, w: tenże, *Wybór pism*, wstęp i przypisy Adam Sikora, wyboru dokonała Hanna Temkinowa, Warszawa: Książka i Wiedza, 1972 [1850], s. 540–541.

Spadają więzy poddaństwa z bytów nieożywionych i z żywych istot (*Listy o wychowaniu estetycznym, fragment*)¹

Friedrich Schiller

W samym środku straszliwego państwa siły i świętego państwa prawa estetyczny popęd formy niepostrzeżenie buduje trzecie, radosne państwo gry i pozorów, którym zdejmując z człowieka więzy stosunków i uwalnia go od wszystkiego, co jest dlań przymusem fizycznym lub moralnym.

Jeśli w *dynamicznym* państwie prawa człowiek spotyka człowieka na gruncie siły i ogranicza jego działanie, jeśli w *etycznym* państwie obowiązków przeciwstawia się drugiemu w majestacie prawa i krępuje jego wolę, to w zakresie pięknego obcowania, w państwie *estetycznym*, objawia się mu tylko jako postać i staje naprzeciw niego jedynie jako przedmiot swobodnej gry. Podstawowym prawem tego państwa jest *dawać wolność dzięki wolności*.

Państwo dynamiczne umożliwia istnienie społeczeństwa już przez to, że poskramia naturę przez naturę; państwo etyczne czyni to społeczeństwo (moralnie) koniecznym, poddając wolę jednostki woli powszechnej; tylko państwo estetyczne może je urzeczywistnić, ponieważ wolę całości realizuje za pośrednictwem natury indywidualnej. Jeśli sama potrzeba zmusza człowieka do życia społecznego, a rozum zaszczerpie w nim społeczne zasady, to jedynie piękno potrafi nadać mu *charakter społeczny*. Jedynie dobry smak wnosi harmonię do życia społecznego, albowiem wprowadza ją w życie jednostki. Wszystkie inne formy wyobrażenia

¹ *Listy o wychowaniu estetycznym* to najgłośniejsze z dzieł filozoficznych Schillera. Pochodzą z późnego okresu twórczości, bo z lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku. Poeta jest już wówczas autorem *Zbójców* i *Don Carlosa*, za kilka lat wyda *Wilhelma Tella*. Jeśli w innych wypadkach można odnieść wrażenie, że Schiller dokonywał precyzyjnego podziału na teksty oświeceniowe (np. odczyt *Teatr jako instytucja moralna*) i preromantyczne (*Sprzysiężenie Fieski*, lub wspomniani *Zbójcy*), to *Listy* stanowią przykład traktatu, w którym obie te tendencje występują razem. Dostajemy zatem projekt (oświeceniowego) państwa, które jednak, aby wypełnić swoją misję, powinno przede wszystkim wywalać w swoich obywatelach skłonności twórcze i estetyczną wyobraźnię.

dysharmonizują człowieka, bo opierają się wyłącznie albo na zmysłowej, albo na duchowej części jego istoty; jedno tylko wyobrażenie piękna czyni z niego całość, gdyż jego obie natury muszą w nim znaleźć się w harmonii. Wszystkie inne formy obcowania dzielą społeczeństwo, bo odnoszą się wyłącznie albo do osobistej wrażliwości, albo do osobistej biegłości poszczególnych jego członków, a zatem do tego, co ludzi różni; jedynie piękne obcowanie jednoczy społeczeństwo, dotyczy bowiem tego, co jest wspólne wszystkim. Uciechami zmysłów rozkoszujemy się jedynie jako jednostki, a gatunek ludzki, który w nas żyje, nie bierze w tym żadnego udziału; naszym zmysłowym uciechom nie możemy więc nadać powszechnego charakteru, ponieważ takiego charakteru nie możemy nadać naszej indywidualności. Radość z poznania czerpiemy jedynie jako gatunek, starannie przy tym usuwając z naszych sądów wszelkie ślady indywidualizmu; radości więc naszego rozumu nie możemy nadać powszechnego charakteru, ponieważ nie potrafimy usunąć śladów indywidualizmu z sądów innych tak samo jak z naszych. Jedynie pięknem rozkoszujemy się zarazem jako jednostki i jako gatunek, tj. jako *reprezentanci* gatunku. Dobro zmysłowe może uczynić szczęśliwą tylko określoną *jednostkę*, ponieważ zasada się na przywłaszczeniu, które zawsze łączy się z wykluczeniem kogoś; *jednostkę* tę zaś potrafi uszczęśliwić tylko jednostronnie, ponieważ osobowość nie ma w tym udziału. Dobro absolutne uszczęśliwić może tylko pod pewnymi warunkami, których powszechnego spełnienia nie można założyć; prawda bowiem jest jedynie nagrodą wyrzeczenia, a w czystą wolę uwierzy tylko czyste serce. Jedynie piękno uszczęśliwia cały świat, a każda istota zapomina o swych ograniczeniach, dopóki pozostaje pod jego czarodziejskim działaniem.

Dokąd sięga panowanie dobrego smaku i państwo pięknego pozoru, tam nie zapanuje żaden przywilej ani żadne jedy-nowładztwo. Państwo to rozciąga się wzwyż aż do miejsca, gdzie z bezwzględną koniecznością panuje rozum i gdzie znika wszelka materia, rozciąga się w dół, gdzie władza ślepy przymus popędu

natury i nie ma jeszcze formy; nawet na tej najdalszej granicy dobrego smaku, pozbawiony władzy prawodawczej, nie dał sobie odebrać wykonawczej. Wroga społeczeństwu żądza musi wyrzec się swego egoizmu, a przyjemność, która pociąga jedynie zmysły, musi schwytać w sieć wdzięku także umysły. Surowy głos konieczności, obowiązek, musi zmienić pełen wyrzutu ton usprawiedliwiający tylko opór i ze szlachetną ufnością uszanować chętną naturę. Ze sfery misterium nauki smak wyprowadza poznanie na otwartą przestrzeń wrażliwości społecznej, a własność szkół uczonych czyni wspólnym dobrem całego społeczeństwa ludzkiego. Nawet największy geniusz musi w swej dziedzinie wyrzec się swej wyższości i z zaufaniem zniżyć się do dziecięcego umysłu. Gracje nakładają więzy siły, a hardy lew ulega wężdzidłu Amora. To Amor zakrywa delikatną zasłoną potrzebę fizyczną, która w swej nagiej postaci obraża godność wolnych umysłów, i uroczym mamidłem wolności ukrywa przed nami hańbiącą wspólnotę z materią. Nawet płaszcząca się sztuka najemna, uskrzydłona, podnosi się dzięki niemu z ziemi; dotknięte jego czarodziejską różdżką spadają więzy poddaństwa z bytów nieożywionych i z żywych istot. W państwie estetycznym każdy – nawet służebne narzędzie – jest wolnym obywatelem, który ma równe prawa z najszlachetniejszym, a intelekt, który cierpliwe masy nagina do służenia swym celom, tu musi pytać je o zgodę. Tu więc, w państwie estetycznego pozoru, spełnia się ideał równości, który marzyciele chętnie ujrzeliby urzeczywistniony także w jego istocie; a jeśli prawdą jest, że piękny ton najprędzej i najdoskonalej dojrzewa w pobliżu tronu, to wypadałoby i tu uznać łaskawe zrządzenie losu, które człowieka często tylko po to zdaje się zamykać w granicach rzeczywistości, żeby tym usilniej dążył do świata idealnego.

Czy istnieje takie państwo pięknego pozoru i gdzie go szukać? Jako potrzeba istnieje w każdej duszy subtelnej, w rzeczywistości zaś, podobnie jak prawdziwy Kościół i prawdziwą Rzeczpospolitą, znaleźć je można tylko w nielicznych wybranych kręgach, gdzie postępowaniem nie kieruje bezduszne naśladownictwo cudzych

obyczajów, lecz własna piękna natura, gdzie człowiek w najbardziej zawiłych stosunkach żyje pełen śmiałej prostoty i spokojnej niewinności, gdzie dla utrzymania swej wolności nie potrzebuje naruszać wolności innych, a okazanie wdzięku nie wymaga wyrzeczenia się własnej godności.

Friedrich Schiller, *Listy o wychowaniu estetycznym*, list 27, w: tenże, *Pisma teoretyczne: „Listy o estetycznym wychowaniu człowieka” i inne rozprawy*, przeł. Jerzy Prokopiuk, Warszawa: Aletheia, 2011 [1795], s. 154–157.

Zdolność twórcza, aby sobie wyobrazić to, co możemy (*Obrona poezji*, fragment)

Percy Bysshe Shelley

Przyznaje się, że ćwiczenie imaginacji jest pełne rozkoszy, lecz zapewnia się, że ćwiczenie rozumu jest więcej pożyteczne. Zbadajmy na gruncie tej dystynkcji, co rozumie się przez pożytek. Rozkosz albo dobro w sensie ogólnym jest to to, czego poszukuje świadomość istoty zmysłowej i rozumnej, i w czym, w razie znalezienia, znajduje zadowolenie. Są dwa rodzaje rozkoszy, jedna trwała, powszechna i permanentna, druga przejściowa i częściowa. Pożytek może wyrażać środki wytwarzające zarówno pierwszą, jak i drugą. W pierwszym znaczeniu cokolwiek wzmacnia i oczyszcza wzruszenia rozszerza imaginację i zapładnia duchem zmysł, to jest pożyteczne. Lecz mniemanie, w jakim autor „czterech wieków poezji”¹ zdaje się używać słowa „pożytek”, jest znaczeniem bardziej ograniczonym, mianowicie ogranicza się do wyrażenia tego, co zadowala uciążliwe potrzeby naszej natury zwierzęcej, otacza ludzi zabezpieczeniem życia, rozprasza grubsze złudzenia zabobonu i zjednywa pewien stopień wzajemnej tolerancji między ludźmi w tym stopniu, o ile pozwalają na to motywy osobistej korzyści.

Bez wątpienia zwolennicy pożytku w tym ograniczonym sensie mają swoje zadanie wśród społeczeństwa. Postępują oni w ślad za poetami i kopiują szkice reakcji tychże do ksiązek o społecznym życiu. Czynią oni w przestrzeni i udzielają się w czasie. Ich postępowania posiadają najwyższą wartość tak dalece, o ile określają interesy niższych władz naszej natury granicami władz wyższych. Lecz jeżeli sceptyk niszczy grube zabobony, nie lekceważymy jego znaczenia, jak to zrobili niektórzy francuscy pisarze, prawd odwiecznych, które wyciśnięte na duszach ludzkich. Jeżeli mechanik skraca, a polityk-ekonomista kombinuje pracę, niech oni uprawiają swoje

¹ *Obronę poezji* Shelley napisał w odpowiedzi na esej swojego przyjaciela Thomasa Love Peacocka *Four Ages of Poetry*, wydany w 1820 roku, będący krytyką współczesnej poezji, ocenianej pod kątem użyteczności.

spekulacje, które z braku sympatii z tymi pierwszymi zasadami, którymi rozporządza imaginacja, nie dążą, jak to się przydarzyło w nowoczesnej Anglii, do zaostrzenia jednocześnie krańcowości zbytku i braku. Dali oni przykład na powiedzenie: „Temu, który ma, więcej będzie dane; a temu, który nie posiada, to mało, które posiada, będzie mu odebrane (św. Marek 4.25). Bogaty stał się bogatszym, a ubogi stał się uboższym; a okręt społeczny jest miotany między Scyllą a Charybdą anarchii i despotyzmu. Takie są skutki, które muszą zawsze wypływać z niezłagodzonego ćwiczenia utilitarnych rozważań.

Jest rzeczą trudną określić rozkosz w jej znaczeniu najwyższym, ponieważ definicja zawiera serie widocznych paradoksów. Dzięki niedającym się wyjaśnić brakowi harmonii w konstytucji natury ludzkiej, cierpliwość (cierpliwość, zdolność do cierpienia) niższych stron natury ludzkiej jest często związana z rozkoszami istoty szlachetniejszej w człowieku. Ból, strach, smutek i sama rozpacz są często właściwymi wyrazami zbliżania się do najwyższego dobra. Współczucie nasze do tragicznych postaci na tej zasadzie się opiera; tragedia z rozkoszą pokazuje cień tej rozkoszy, która się znajduje w bólu. Tu także jest źródło melancholii, nierozdzielonej od najśłodszej melodii. Rozkosz, znajdując się w smutku, jest słodsza niż rozkosz samej rozkoszy. „Stąd powiedzenie: lepiej jest iść do domu płaczu niż do domu radości”².

Nie znaczy to, żeby ten najwyższy rodzaj rozkoszy musiał być koniecznie złączony z bólem. Rozkosz w miłości i przyjaźni, zachwyty podziwiania natury, rozkosz w odczuwaniu, a jeszcze większa w tworzeniu poezji jest czasem całkowicie czysta.

W wytworzeniu i zapewnieniu rozkoszy w sensie najwyższym mieści się prawdziwa korzyść. I ci, którzy wytwarzają i zachowują tę rozkosz, są poetami albo poetycznymi filozofami. Dzieła Locke’a, Hume’a, Gibbona, Voltaire’a, Rousseau i ich uczniów tworzone z myślą, aby przynieść korzyść zgnębionej i rozczarowanej

² Koh 7, 2.

ludzkości, zasłużyły sobie na jej wdzięczność. Łatwą tedy jest rzeczą wywnioskować o stopniu rozwoju moralnego i intelektualnego, jaki by świat osiągnął, gdyby oni wcale nie żyli. Jeszcze mniejszy nonsens powiedziano by w ciągu stulecia lub dwu; a może jeszcze wcześniej więcej mężczyzn, kobiet, dzieci spalono by jako heretyków. Możemy sobie w tym momencie pogratulować wzajemnie, że Inkwizycja została zniesiona w Hiszpanii³. Lecz jest niemożliwą rzeczą wyobrazić sobie, czym byłoby moralne położenie świata, gdyby nie istnieli ani Dante, Petrarca, Boccaccio, Chaucer, Shakespeare, Calderon, Lord Bacon ani Milton; gdyby się nie urodzili Rafael i Michał Anioł; gdyby nie przetłumaczono wcale poezji hebrajskiej; gdyby nie zaistniało nigdy odrodzenie studium literatury greckiej; gdyby żaden pomnik rzeźby starożytnej do nas nie przetrwał; i gdyby poezja religii starożytnego świata wygasła wraz z jego wiarą. Duch ludzki nigdy by nie mógł być pobudzony do wynalazczości nauk, chyba tylko za pośrednictwem tych bodźców, i do ustanowienia analitycznego rozumowania w kierunku studium konieczności społecznych, które usiłuje przewyższyć prostą ekspresję zdolności inwencyjnej i twórczej.

Posiadamy więcej wiedzy moralnej, politycznej i historycznej, niżbyśmy ją umieli zastosować w praktyce; więcej naukowej i ekonomicznej wiedzy, niż ją można zastosować do słusznego rozdziału tego bogactwa, które ona mnoży. Poezja w tych systemach myśli jest zduszona przez nagromadzenie faktów i procesów rozumowych. Wiemy doskonale, co jest najmądrzejsze i najlepsze w zakresie etyki, w sztuce rządzenia i ekonomii politycznej, albo przynajmniej co byłoby najmądrzejsze i lepsze od tego, co ludzie teraz czynią i znoszą. Lecz porzućmy to powiedzenie: „albo jako ów kot w przysłowiu gminnym, u którego *nie śmiem* przeważa *chciałby*” (Makbet, 1 scena, przeł. Paszkowski). Brakuje nam zdolności twórczej, aby sobie wyobrazić to, co możemy; brakuje nam

³ Zniesiona w 1808 roku, odżyła jeszcze za Ferdynanda VII. Ponownie zniesiona została rok przed powstaniem *Obrony...*

szlachetnego impulsu do wykonywania tego, co sobie wyobrażamy; brakuje nam poezji życia: nasze rozumowania przewyższyły naszą koncepcję: zjedliśmy więcej, niż możemy strawić. Uprawa tych wiadomości, które powiększyły granice władztwa ludzkiego nad światem zewnętrznym, z powodu braku zdolności poetyckiej ograniczyła proporcjonalnie władztwo nad światem wewnętrznym; a człowiek ujarzmiwszy żywioł, staje się sam niewolnikiem. Jakiej przyczynie, jeżeli nie uprawie sztuk mechanicznych w nieproporcjonalnym stopniu do obecności zdolności twórczej, będącej podstawą wszelkiej wiedzy, należy przypisać nadużycie wszelkiej wynalazczości w kierunku ukrócenia i urzędzenia pracy, skutkiem czego jest pogorszenie nierówności wśród ludzi?

Z jakiejże innej przyczyny pochodzi fakt, iż wynalazczość, która powinna ulżyć, dodała ciężaru przekleństwa ciężącego na Adamie? Poezja i zasada egoizmu, której widomym wcieleniem jest pieniądz, to Bóg i mamona świata.

Dwojakie są funkcje zdolności poetyckiej: jedna tworzy nowe materiały wiedzy, potęgi i rozkoszy; druga zapładnia umysł pożądaniem reprodukcji i harmonizowaniem w zgodzie z pewnym rytmem i porządkiem, co można nazwać pięknem i dobrem. Uprawy poezji nie można sobie bardziej życzyć niż w epokach, w których dzięki przerostowi pierwiastka egoistycznego i mechanicznego (rozumowego) nagromadzenie materiałów życia zewnętrznego wychodzi poza możliwość asymilowania ich odpowiednio do praw wewnętrznych natury ludzkiej. Ciało (materia) stało się zbyt nieobrobione w stosunku do ożywiającego go pierwiastka.

Poezja jest zaprawdę czymś boskim. Jest ona jednocześnie ośrodkiem i obwodem wiedzy, jest tym, co obejmuje wszelką wiedzę, i tym, do czego wszelka wiedza musi się odnosić. Jest równocześnie korzeniem i kwiatem wszystkich innych organizmów myśli, jest tym, z czego wszystko wypływa, i tym, co wszystko ozdabia; tym, co, jeśli się zepsuje, zaprzecza owoc i nasienie, i sprawia, że świat, jej pozbawiony, czuje, iż zamyka się przed nim sok, który ożywia i pomnaża pędy drzewa życia. Jest ona doskonałym i zupełnym

wynikiem i kwiatem rzeczy; jest jak gdyby zapachem i kolorem róży, a wieniec tych elementów składa się na nią (różę), podobnie jak forma i blaski świeżej piękności w porównaniu z tajemnicami anatomii i rozkładu. Czym byłaby cnota, miłość, patriotyzm, przyjaźń itd. – czym byłyby aspekty tego pięknego wszechświata, który zamieszkujemy, czym byłyby nasze pociechy w życiu z tej strony grobu, a czym nasze nadzieje pozagrobowe, gdyby poezja nie wzniosła się na wyżyny i nie przyniosła światła i ognia z tych odwiecznych krain, dokąd egoistyczna zdolność rozumu nie miałyby nigdy odwagi się wzbić?

Percy Bysshe Shelley, *Obrona poezji*, przeł. Jan Świerzowicz, Oborniki: nakł. tłumacza, 1939 [1821], s. 32–37.

Praca jest u nas najczęściej sztuką (*Wieści z nikąd, fragmenty*)¹

William Morris

– Tak – rzekłem – sądzę jednak, że lada chwila nadejdą Dick i Klara. Czy starczy jeszcze czasu na parę pytań, zanim młodzi wrócą?

– Spróbujmy, kochany sąsiedzie, spróbujmy – zachęcał starsuszek. – Im więcej pytań, tym większa dla mnie przyjemność, a jeśli młodzi nadejdą, no, to będą musieli uzbroić się w cierpliwość i dosłuchać końca. Zresztą nie byłoby im znów zbyt przykro siedzieć obok siebie w błogim poczuciu wzajemnej przynależności.

Uśmiechnąłem się obowiązkowo i rzekłem:

– Dobrze, w takim razie zacznę indagację, nie zważając na ich przyjście. A zatem: Jakim sposobem skłaniacie ludzi do pracy, skoro nie istnieje za nią żadne wynagrodzenie? I jak się to dzieje, że w takich warunkach ludzie pilnie pracują?

– Żadne wynagrodzenie za pracę? – poważnie powtórzył Hammond. – Wynagrodzeniem za pracę jest **życie**. Czyż tego nie dosyć?

– Lecz żadnego nie ma wynagrodzenia za niezwykle dobrą pracę – zauważyłem.

– Owszem: wystarczającym wynagrodzeniem jest w tym wypadku poczucie twórczości! Wynagrodzenie, jakie pobiera Bóg, jakby się wyrażono niegdyś. Gdybyśmy za radość twórczą, towarzyszącą li tylko pracy wyborowej, chcieli żądać specjalnego wynagrodzenia, to rychło czekać należałoby osobnej ustawy, mającej popierać płodność matek.

– Nie – odparłem – człowiek dziewiętnastego wieku powiedziałby bowiem, że płodność jest popędem naturalnym, tak samo jak naturalnym popędem jest: **nie pracować**.

– Tak, tak – rzekł lekceważąco – znam ten głupi, stary komunał; jest on zupełnie fałszywy, a dla nas najmniejszego nie posiada

¹ Por przyp. 1 i 2 na s. 199.

sensu. Już Fourier, z którego wszyscy się naśmiewali, lepiej ujął tę sprawę.

– A dlaczego twierdzenie to nie ma dla was żadnego sensu? – spytałem.

Odpowiedział: Ponieważ pracę uważa za plagę. My zaś jesteśmy od myśli tej tak dalecy, że raczej obawiamy się, iż może nastać czas, gdy będziemy **mieć zbyt mało pracy**. Praca jest dla nas **przyjemnością**, którą się obawiamy utracić, nie zaś plagą.

– Tak – rzekłem – miałem to już sposobność zauważyć i chciałem w kwestii tej prosić o bliższe wyjaśnienia; wpierw jednak pragnąłbym usłyszeć, dlaczego praca uchodzi u was za przyjemność?

– Dlatego, ponieważ każda praca stała się obecnie pociągającą: już to przez nadzieję zdobycia sławy i powiększenia sumy korzyści ogólnej, co uprzyjemnia nawet pracę mniej przyjemną; już to dlatego, że praca weszła w przyjemne przyzwyczajenie, gdzie chodzi o tak zwaną pracę mechaniczną; przede wszystkim zaś główna rozkosz wypływa **z pracy samej**, ponieważ praca ta jest u nas najczęściej sztuką – istotną, świadomą sztuką, uprawianą przez artystów.

– Rozumiem – rzekłem. – Czy nie moglibyście mi jednak wyjaśnić, jakim sposobem doszłicie do tak szczęśliwego stanu rzeczy? Bo prawdę mówiąc, ta zmiana w ustroju dawnego świata wydaje mi się donioślejszą i ważniejszą niż wszelkie inne reformy w dziedzinie polityki, ustawodawstwa, własności i rodziny – o których mi opowiadacie.

[...]

Rozparł się znów wygodnie w swym fotelu i począł:

– Ze wszystkiego, co czytamy i słyszymy, okazuje się, że ludzie w ostatnim okresie cywilizacji pod względem produkcji towarów wpadli byli w prawdziwe błędne koło, z którego nie było wyjścia. Doszli oni do niesłychanej szybkości w wytwarzaniu towarów, a chcąc produkcji tej zapewnić jak najlepsze pole zbytu, stworzyli bardzo skomplikowany system kupna i sprzedaży, a raczej rynek wszechświatowy, który raz powołany do życia, zmuszał ich do coraz większej produkcji towarów – bez względu na popyt. W ten

sposób – obok rzeczy niezbędnych – wytwarzano niesłychaną ilość niepotrzebnych, które pod żelaznym panowaniem tzw. rynku wszechświatowego stawały się równie ważnymi, jak produkty konieczne do życia potrzebne. W ten sposób ludzie uginali się pod strasznym ciężarem pracy, mającym jedynie na celu utrzymanie w ruchu tego nędznego systemu.

– Tak, a co dalej? – spytałem.

– Oto, obarczywszy się olbrzymią produkcją towarów niepotrzebnych, nie mogli na pracę i jej owoce patrzeć z innego punktu widzenia, jak tylko żywić jedyne a ustawiczne pragnienie, by przy najmniejszym nakładzie pracy wytworzyć jak największą ilość towarów. Temu – jak nazywano – obniżeniu kosztów produkcji poświęcano wszystko: satysfakcję, jaką pracującemu zwykła dostarczać jego praca – więcej nawet, bo najskromniejsze potrzeby pracownika: zdrowie, pożywienie, odzież, mieszkanie, jego wytchnienie, przyjemności, wychowanie, jednym słowem: **całe życie**. Wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia wobec konieczności „taniej produkcji” rzeczy, których po największej części wcale nie opłacało się wytwarzać. Bo opowiadają – i musimy wierzyć niezbitym dowodom, jakkolwiek nieprawdopodobnym się to wydaje – że nawet ludzie możni i bogaci, **panowie** owych nędzarzy do jarzma wprzęgniętych, poddawali się temu systemowi, żyjąc wśród westchnień i jęków tych nędzarzy, wśród brudu, zaduchu i innych potworności (od których natura ludzka instynktownie ucieka i stroni), aby tylko bogactwem swym podtrzymywać ten wpływ do najwyższego stopnia posuniętego szaleństwa. Wszystkie sprawy ogółu rzucano w paszczę potwora, zwanego „tanią produkcją”, a stworzonego pod żelaznym naciskiem rynku wszechświatowego.

– A co się da powiedzieć o jakości towarów, przeznaczonych dla rynku światowego? Należy przypuszczać, że ludzie, rozumiejący się tak dobrze na wytwarzaniu towarów, musieli także przywiązywać wartość do ich jakości.

– Jakość! – zawołał starzec – jakżeby ci ludzie mieli czas myśleć o podobnych drobnostkach, jak jakość towarów, na sprzedaż

wystawianych? Najlepsze ich towary miały wartość przeciętną, najgorsze były zaledwie surogatem rzeczy potrzebnych, nędzną tandetą, którą nikt nie byłby się zadowolili, gdyby mógł mieć coś lepszego. Istniał nawet wówczas żart: towary wytwarza się na sprzedaż, a nie do użytku – żart, który wy, przybywający z innej planety, potraficie może zrozumieć, lecz który dla **nas** pozostał wręcz niezrozumiałym.

– Jak to – spytałem – więc naród „cywilizowany” źle wytwarzał towary, służące do powszechnego użytku?

– Tak – potwierdził – jeden tylko istniał rodzaj produkcji, pod każdym względem doskonały: **maszyny**, których używano do wytwarzania towarów. Były to skończone arcydzieła, pod każdym względem cudownie odpowiadające swemu celowi; słusznie też można twierdzić, że największym czynem XIX stulecia było wynalezienie maszyn, prawdziwych cudów zręczności i cierpliwości, służących jednak wyłącznie do wytwarzania niesłychanej masy przedmiotów bezwartościowych. W istocie jednak właściciele tych maszyn nie uważali wcale produktów przez nie wytwarzanych za przedmioty mogące służyć do ogólnego użytku, lecz tylko za środek wzbogacenia siebie samych. Jedyną zaś troską fabrykanta było pytanie, czy na towary swe zdoła znaleźć nabywcę, bez względu, czy to będzie mądry, czy głupi.

– I ludzie pozwalali, by się w ten sposób z nimi obchodzono?

– Przez jakiś czas...

– A później?

– Później nastąpił przewrót – z uśmiechem odparł staruszek – i dziewiętnasty wiek znalazł się w położeniu człowieka, któremu skradziono odzież, podczas gdy się kąpał i który potem musiał iść nago przez miasto.

– Bardzo złośliwie wyrażacie się o XIX wieku – zauważyłem.

– Naturalnie – odparł – ponieważ go znam dokładnie.

Po chwili milczenia dodał:

– Rodzina moja w owej epoce ciężkie przechodziła losy; dziadek mój był prawdziwą ofiarą stosunków panujących. Jeśli

znacie trochę charakter wieku dziewiętnastego, to zrozumiecie, jak straszną walką musiało być życie człowieka genialnego, przekonani niezależnych, posiadającego przy tym naturę na wskroś artystyczną.

– Zdaje mi się, że was rozumiem – rzekłem – lecz wszystko to gruntownej już uległo zmianie.

– Niemal wszystko – potwierdził. – Obecnie wytwarzamy towary, ponieważ ich potrzebujemy; robimy je równie dobrze dla siebie, jak dla drugich, nie wiedząc wcale o jakimś nieokreślonym rynku, którego nie znając, nie można też żadnej nad nim rozwinąć kontroli. A ponieważ nie istnieje już ani zakupno, ani sprzedaż, więc nonsensem byłoby produkować towary na niepewne, powodując się jedynie przypuszczeniem, że je ktoś zużytkuje. Obecnie bowiem nikt nie jest zmuszony zakupować towary niepotrzebne – stąd wszystkie nasze wyroby są nie tylko doskonałe pod względem jakości, lecz także zastosowane do pewnego określonego celu. Produkuje się wyłącznie to, co istotnie potrzebne jest do ogólnego użytku, a rzeczy bezwartościowych wcale się nie wytwarza. Każda praca, której wykonanie pracą ręczną byłoby uciążliwe, bywa uskuteczniata za pomocą nadzwyczaj udoskonalonych maszyn; natomiast przy pracy przyjemnej obchodzimy się bez pomocy maszyn. Każdy zaś łatwo może znaleźć pracę, odpowiadającą jego zdolnościom i zamiłowaniom – dlatego też nikt nie potrzebuje z chęci swych i skłonności rezygnować na korzyść innych. Nieraz przyszedłszy do przekonania, że sporządzenie pewnego przedmiotu wymagałoby pracy zbyt żmudnej lub niemiłej, zrzekaliśmy się chęci posiadania tejeż rzeczy. A w takich warunkach, przyznacie, każda praca musi być pewną przyjemnością dla ducha i ciała; dlatego ludzie, zamiast od niej stronić, chętnie jej poszukują. Ponieważ zaś każde nowe pokolenie nabywa większej biegłości i wprawy, więc praca staje się stopniowo tak łatwą, iż wydaje się, jakoby coraz mniej wytwarzano, gdy w rzeczywistości dzieje się odwrotnie. A przypuszczam, że stąd właśnie pochodzi obawa, iż z czasem może zbraknąć zajęcia – obawa, którą już i wy

mieiliście sposobność zauważyć, a która w ostatnich czasach staje się coraz żywotniejszą.

– Czy istotnie sądzicie, że kiedykolwiek może się dać uczuć brak zajęcia? – spytałem.

– Nie, ja tak nie sądzę – odparł Hammond – i zaraz wyłuszcę, dlaczego. Każdy pracownik stara się zajęcie swe możliwie uprzyjemnić, co naturalnie pociąga za sobą coraz staranniejsze wykonanie, nikt bowiem nie chciałby oddać pracy przynoszącej mu ujmę; i dlatego wszystkie swe zdolności przelewa na swe dzieło i całą duszą nim się zajmuje. Poza tym istnieje mnóstwo rzeczy wymagających wykonania artystycznego, dzięki czemu wielka ilość zręcznych pracowników zawsze na tym polu znajdzie dla siebie zajęcie. A jeśli sztuka jest niewyczerpaną, to też samo da się powiedzieć o nauce, która wprawdzie nie uchodzi już, jak niegdyś, za jedyne zajęcie, godne ludzi uzdolnionych duchowo, zawsze jednak pociągać będzie znaczną liczbę jednostek, które właśnie ze względu na trudności zdobycy naukowych tym większą do nich przykładają wagę. Ponieważ zaś praca staje się coraz przyjemniejszą, więc sądzę, że z czasem znów podejmiemy niektóre gałęzie produkcji dawniej porzucone li dlatego, iż trudów, jakie zajęcia te nastęrczały, nie umieliśmy sobie uprzyjemnić. Wreszcie ta obawa o możliwy brak pracy niepokoi tylko więcej rozwinięte kraje Europy. Natomiast prowincje, które niegdyś były koloniami Wielkiej Brytanii, zwłaszcza Ameryka, a przede wszystkim pas kraju zwany w owych czasach Stanami Zjednoczonymi, są dla nas obecnie źródłem niewyczerpanym i długo jeszcze nim pozostaną. Kraje te bowiem, a zwłaszcza północna Ameryka, cierpiały tak okropnie pod jarzmem cywilizacji, życie stało się tam tak surowe i nieznośne, że na punkcie uprzyjemnienia sobie życia bardzo wiele pozostaje tam do życzenia. Bez przesady można też powiedzieć, że północna Ameryka potrzebowała co najmniej stu lat czasu, zanim z olbrzymiego, cuchnącego śmietnika zdołała stworzyć znośne miejsce pobytu dla ludzi. A długo jeszcze kraje te nie będą w stanie uskarżać się na brak pracy, zwłaszcza że tak ogromną zajmują przestrzeń.

– Bardzo się cieszę – rzekłem – że macie przed sobą tak piękne widoki szczęścia. Pozwólcie mi jednak jeszcze na kilka pytań, a przyrzekam, że na dzisiaj przynajmniej będziecie mieli ode mnie zupełny spokój.

William Morris, *Wieści z nikąd. Powieść utopijna*, przeł. Maria Kreczkowska, Lwów 1902 [1890], s. 97–104.

Spalić wszystkie stare koszary czasów nędzy w ogromnej poździe radości (*Sztuka i lud*)¹

Élisée Reclus

Podczas zamknięcia Salonu jeden z moich przyjaciół, miłośnik pięknych rzeczy, podszedł do mnie bardzo zasmucony. Najpierw był chory, potem wyjechał z Paryża i wrócił zbyt późno, by pójść na wystawę, a teraz żalił się, że nie mógł zobaczyć tego bezliku marmurów i płócien, które znał dzięki czasopismom.

Nie martw się, drogi przyjacielu! Spacer po leśnych ścieżkach wśród opadłych liści lub chwila odpoczynku nad brzegiem przejrzystego strumienia – o ile znajdziemy takie jeszcze trzy lub pięć kilometrów od bulwaru – wynagrodzi ci opuszczoną wizytę w zwyczajowym muzeum, w którym każdego roku na jakiś czas zamyka się to, co nazywamy „sztukami pięknymi”.

Z pewnością nie jest jednak moim zamiarem sarkać na nie. W dzieciństwie zawsze podziwiałem cuda jarmarków, pięknych tancerek na linie, żonglerów, wokół których wirowały talerze, sztukmistrzów, którzy łamali zegarki i zamieniali je w bukiety kwiatów. Także i w Salonie rozglądam się naiwnie i pełen admiracji, jak ostatni z gapiów. Tam także widzę dzieła iluzjonistów, którzy mieszają kolory z niezrównaną zręcznością i na tysiące sposobów, wytwarzając całkowicie nieprzewidywalne sploty światła i cieni,

¹ Élisée Reclus (1830–1905) – francuski geograf, działacz i publicysta anarchistyczny. Za udział w Komunie Paryskiej został skazany na wygnanie do Szwajcarii, gdzie napisał większość swoich dzieł. Stale współpracował z Errico Malatestą i Piotrem Kropotkinem, jako pierwszy posłużył się terminem „geografia społeczna”, krytycznym wobec geografii traktującej przestrzeń czy krajobraz jako rzeczywistość ahistoryczną i niepodlegającą zmianie. Zdaniem Kristin Ross: „podobnie jak u Rimbauda wyobraźnia polityczna Reclusa, jego osobista geografia naznaczona była przez aktywny udział w Komunie Paryskiej” (K. Ross, *Rimbaud i historia przestrzenna*, przeł. M. Pospiszyl, B. Wójcik, „Praktyka Teoretyczna” 2017, nr 23, s. 226). Artykuł *L'Art et le Peuple* pochodzi z późnego okresu jego twórczości – został opublikowany w 1904 roku – i przedstawia wizję relacji między sztuką, ludem i polityką, która zdaniem Reclusa została urzeczywistniona podczas Komuny Paryskiej. Przedstawiany przez nas tekst jest pierwszym tłumaczeniem tego autora na język polski.

zdolnych wyprowadzić z najciemniejszych głębin najbardziej oszalałymi źródła jasności. Wszystko to wydaje się bardzo piękne, wręcz zaskakujące, a ja szczerze podziwiam tych wirtuozów pędzla.

Mimo to wcale nie jestem usatysfakcjonowany. Czy na tym polega prawdziwa sztuka? Czy znajduję w niej pocieszenie smutków, wytchnienia od codziennego zmęczenia i głębokich nieszczęść, które towarzyszą nam przez całe życie? Czy wszystkie te obrazy, rzeźby, grawerowane lub haftowane przedmioty powodują, że zapominam o potwornej nędzy, która ma miejsce na zewnątrz? Czy spowodują, że zapomnę o obecności uzbrojonego sierżanta, który stoi w drzwiach lub nawet w samym pokoju i w każdej chwili mógłby wypalić w kierunku spokojnego obywatela i rozwalić mu czaszkę? Nie, cała ta wielobarwna sztuka, gromadząca swoje nieprzyzwoite wytwory w pomieszczeniach użyczanych jej przez państwo, może być tylko sztuką fałszywą i kłamliwą, ponieważ nie jest dziełem ludzi wolnych.

Większości z tych, którzy malują, aby dać nam kilka metrów ściennej dekoracji, brakuje zasadniczej rzeczy: nie mają oni naturalnej i radosnej siły, jaką daje dumna niezależność. Ileż przedmiotów z tego ich całego zbiorowiska świadczy o moralnej niewoli, dekadencji, próżności, fałszywej grzeczności? Wylewa się ocean portretów i posągów rzekomo wielkich mężów, równoległe do scen słabości i tysięcy odrażających rzeczy, które lepiej byłoby zostawić w tym błocie. Wszystkie naprawdę piękne dzieła ulegają zbezczeszczeniu przez kontakt z tymi matactwami.

Ach! Gdyby tylko malarze i rzeźbiarze byli wolni, nie musieliby zamykać się w Salonach. Musieliby tylko przebudować nasze miasta, najpierw dokonując rozbiórki tych haniebnych kamiennych klocków, w których zgromadzono biednych i bogatych, żebraków i paradykujących milionerów, głodujących i przejeżdżonych, ofiary i oprawców. Spaliliby wszystkie stare koszary czasów nędzy w ogromnej, radosnej pożodze i, jak sobie wyobrażam, w muzeach sztuki wartej ocalenia znalazłoby się niewiele z tak zwanej twórczości naszych czasów.

Wśród wspaniałych nowoczesnych miast Ameryki jest jedno, które nosi nazwę Syrakuz, podobnie jak słynne miasto sycylijskie, które zgłasza pretensje, by w dziedzinie monumentów stać się wzorem piękna. I tak jeden z najważniejszych budynków miasta ma fasadę ozdobioną dwoma posągami – alegoriami Cywilizacji i Postępu. Pierwszy z pomników trzyma w jednej ręce klasyczną pochodnię, w drugiej poliś ubezpieczeniową na wypadek pożaru. Drugi posąg przedstawia elegancką panienkę grającą w krykieta. Taki jest właśnie w amerykańskim przemysłowym świecie ideał naszego świata europejskiego, takie są wyobrażenia, jakie się tworzy na temat cywilizowanej i postępowej ludzkości; to właśnie takie ohydztwa rewolucyjni artyści będą musieli radośnie zniszczyć, gdy nadejdą dla ziemi piękne dni.

Miasta, które zbudują, będą piękne, ponieważ zbudują je z miłością i sami będą wolnymi ludźmi pracującymi dla wolnych ludzi. Któreż okresy sztuki były wielkie, jeśli nie te, podczas których osiągnano względną wolność – cudowne czasy Grecji Ateńskiej i epoka Komun, na którą odpowiedzią była haniebna reakcja religijnej Reformacji i Soboru Trydenckiego? Budynki publiczne były wówczas dziełem miłości, zostały stworzone z entuzjazmem, wykończone z czułością; były to wytwory osobiste, tak bliskie życiu, jak sercu bliska jest krew. Rzeźba, malarstwo, muzyka i taniec, dzieła sztuki indywidualnych artystów, stworzone przez pokolenia ludzi wolnych w stopniu nie mniejszym niż prace zbiorowe, takie jak architektura czy zabudowa miasta. W ten sposób powstawały świątynie miast helleńskich, katedry średniowiecza: całe populacje, ożywione tym samym duchem, kierowane tym samym pragnieniem, działały we wspólnej pracy, która miała przynosić chwałę wszystkim, jak i szczególną radość każdemu z obywateli. Jeden rozpoznawał przyniesiony przez siebie kamień, inny płaskorzeźbę, którą wyrzeźbił, lub kolor powstały pod jego pędzlem. Nie było członka wspólnoty, który w pięknym połączeniu budynków nie odnajdywałby, przybierającego materialną postać, swego własnego wyobrażenia idealnego piękna.

Nawet w naszych czasach zazdrosnych monopoli, własności ściśle prywatnej i przesadnego podziału pracy pojawiają się chwile publicznego entuzjazmu, gdy widzi się naprawdę piękne dzieła zrodzone przez ludową siłę *élan populaire*. Święta te, które świat urzędników przeoczył i których nie uregulował, są obchodzone z tak cudowną radością, z wzruszającą i zniewalającą serdecznością, że nie opuszcza nas zachwyty. Improwizowany koncert, teatralna scena przedstawiona w duchu braterstwa pozostawiają niezatarte wspomnienia, podczas gdy pamięć najbardziej nawet okazałych ceremonii łechce tylko próżność burmistrzów, których ozdobą się stały, i strażaków, otrzymujących swoje napiwki.

Dobrzy, ale pozbawieni silnej woli ludzie próbują pogodzić to, co nie do pogodzenia, omijając przyczyny konfliktu. Chcieliby, aby sztuka pozostała autentyczna, będąc w całości powiązana z przymusem zarabiania przez artystę na chleb. Nie, to, co „piękne”, i to, co użyteczne, jest nie do pogodzenia, tak jak ludzie nie są zjednoczeni między sobą. W społeczeństwie podzielonym na wrogie klasy sztuka z konieczności stała się fałszywa, ponieważ uczestniczy we wrogich interesach i namiętnościach. Wśród bogatych staje się ostentacją. Wśród biednych nie może być niczym innym jak imitacją i ułudą. Pieniądze, które artysta zobowiązany jest mieć na względzie w pierwszej kolejności, zatruwają wszystko, co ze sztuki pozostaje zarówno u jednych, jak i u drugich: autentyczność, naiwność muszą w ich pracach ustąpić miejsca sprawności i „magii” obycia. Ani opieka rządowa, ani edukacja artystyczna, ani muzea poranne i wieczorne, ani gremia, ani znawcy nic nie mogą tutaj zmienić. Co za nędza! W jaki sposób lud może zostać artystą, gdy oszpecają go cierpienia głodu i chorób, do jakich doprowadził siłą narzucony im styl życia?

„Początek sztuki” – mówi Ruskin – „polega na uczynieniu ludu pięknym. Nie ulega wątpliwości, że istniała sztuka na ziemiach, na których żyli ludzie nie całkiem piękni, których wargi były grube, a skóra czarna i spalona słońcem – nie było jej jednak nigdy w kraju, w którym policzki były blade od nędznej pracy i spowite

śmiertelnym cieniem, gdzie wargi młodości, zamiast być pełne krwi, stawały się chude od głodu lub zniekształcone od trucizny”.

Angielski podróżnik, odwiedzający wschodnie kraje, opowiada nam historię, która pozwala ocenić wartość wyszukanych starań czynników urzędowych o rozwój nauki i sztuki. Pewnemu garncarzowi z wybrzeży Zatoki Perskiej zdarzyło się wykonać naczynia o niezwykłej urodzie. Lokalny gubernator otrzymał rozkaz przeprowadzenia owego pomysłowego rzemieślnika na dwór. Niestety artysta natychmiast zrozumiał los, jaki go czeka: zamknięty w pałacu całkiem jak niewolnik, byłby zmuszony do bezpłatnej pracy dla dworzan i książąt według ich kaprysów i wskazówek. Zebrał wszystko, co miał, i ofiarował to gubernatorowi, błagając, by ogłosił, że garncarz zniknął, nie zostawiając śladu, a on od tego czasu obiecuje nie robić nic więcej poza pospolitymi garnkami.

„Sztuka jest życiem”, mówił Jean Baffier, robotnik-rzeźbiarz, który włożył tyle pasji i radości w wyrzeźbienie w marmurze szlachetnej i czystej postaci swojej matki, chłopki, a także dzielnych robotników i roztropnych ogrodników. Sztuka jest życiem! W tym samym momencie, kiedy praca zaczyna ożywiać uczucia, kiedy zaczyna dawać radość, robotnik staje się artystą, pragnie upiększyć swe dzieło, by zyskując podziw u wszystkich, stało się uniwersalne i ponadczasowe. Choćby ktoś robił tylko szpilki, powie Diderot, musi kochać swój zawód. Chłop uwielbia, gdy podróżny z dalekich stron kontempluje równy grzbiet prostej bruzdy ziemi, którą jego silna ręka prowadziła woły. Podobnie mulnik będzie się chwalił, że był w stanie prawidłowo wymierzyć równowagę ładunku umieszczonego na grzbiecie zwierzęcia i że pięknie ozdobił go błyszczącymi pomponami i pięknymi frędzlami, ale tylko o ile bieda nie zdegraduje go i nie uniemożliwi mu jego przedsięwzięcia.

Każdy pracownik stara się zapewnić sobie narzędzie nie tylko idealne do pracy, ale także przyjemne dla oczu. On sam wybiera drewno i metal, montuje, dostosowuje ozdoby, dekoracje i wzory. Nawet ci pracownicy, których praca znika zaraz po wykonaniu – żniwiarze, kosiarze i zbieracze, są przecież także artystami przez

sposób, w jaki operują narzędziami i zarabiają na chleb. Po latach opowiadają o tym, jak byli dzielni, bystrzy i wytrzymali podczas wielkiego wysiłku. Każdy fach ma swoich bohaterów – nawet w tym wiejskim życiu, które jest już samo dla siebie kompletnym światem, każdy z bohaterów znajduje swojego poetę, który utwali jego sławę, zwłaszcza podczas długich zimowych wieczorów, gdy roztańczone płomienie i przebłyski żaru układają się w tymczasowe formy, raz po raz łącząc się i oddzielając, co wszystkiemu wokół przydaje aury tajemniczości i bliskości. To w tych skromnych ogniskach sztuki pierwotnej narodziły się nasze eposy i nasza architektura. I tak długo, jak długo istnieć będą jeszcze te pogodne miejsca szczęśliwej pracy, możemy mieć nadzieję. To one okażą się być może zarodkiem miast przyszłości.

Od człowieka, który staje się artystą oczekujemy nie tylko odnowienia i upiększenia naszych miast. Ponieważ będzie wolny, liczymy także na to, że odnowi piękno pól, dostosuje wszystkie swoje dzieła do ich naturalnego otoczenia, w taki sposób, by między ziemią a człowiekiem powstała harmonia przyjemna dla oka i budująca dla ducha. Nawet wielkie budynki mogą być piękne, o ile tylko architekci dobrze zrozumieją charakter środowiska, w jakim powstają, a praca człowieka połączy się w harmonijnym związku z geologiczną pracą przeszłości. To w ten właśnie sposób grecka świątynia kontynuuje, rozwija i jak gdyby dopełnia kontury skały, na której ją wzniesiono; jest jej integralną częścią, przydając jej jednocześnie bardziej wzniosłego sensu, przekształca ją i godzi z wyższym ludzkim ideałem.

Są jednak szczyty, na których postawienie jakiegokolwiek budowli byłoby profanacją. Dlatego odczuwa się takie obrzydzenie, gdy pozbawieni wstydu architekci, opłacani przez bezwstydných hotelarzy, wznoszą ogromne karawanseraje, prostokątne bloki z tyśiącami kwadratowych symetrycznych okien i setkami dymiących kominów, naprzeciw granitowych szczytów, pól czystego śniegu, rzek błękitnego lodu wijących się w dolinach gór. W ten sposób człowiek zniszczył wiele wspaniałych szwajcarskich krajobrazów,

podobnie jest w innych krajach. Amator, który czerpie przyjemność z tajemnicy natury, ucieka z miejsc, które najbardziej podziwia. Wycofuje się z tego tłumu awanturników, wspinających się na wyścigi po skałach Zermatt, w poszukiwaniu miejsca niedotkniętego jeszcze żadną modą.

Ziemia jest nieskończenie piękna, jednak by związać się z jej pięknem, by oddać jej szacunek za pomocą sztuki, niezbędne jest wyzwolenie, rewolucja przeciwko pieniądzwowi i zniesienie „walki klas”, wraz ze zniesieniem klas samych.

Élisée Reclus, *L'Art et le Peuple*, w: „Temps nouveaux, Almanach de la révolution”, 1904, s. 21–25 [przeł. Michał Pospiszyl].

Przekształcenie zebrania mirskiego w podstawowy element ustroju społecznego (*Naprzód! Nasz program, fragmenty*)¹

Piotr Ł. Ławrow

W Rosji szczególną rolę, na której zgodnie z ogólnymi zadaniami naszych czasów rozwinąć się może przyszłość większości narodu rosyjskiego, jest chłopstwo z jego gminnym władaniem ziemią. Rozwinięcie naszej gminy w sensie wspólnej uprawy ziemi i wspólnego korzystania z jej plodów, przekształcenie zebrania mirskiego w podstawowy element rosyjskiego ustroju społecznego, wchłonięcie przez własność gminną własności prywatnej, zapewnienie chłopstwu takiego wykształcenia i takiego rozumienia jego potrzeb społecznych, bez którego nigdy nie potrafi ono wykorzystać swych legalnych praw, chociażby najszerszych, i nigdy nie zdoła zrzucić z siebie eksploatacji przez mniejszość, nawet w wypadku najbardziej udanego przewrotu – oto specyficznie rosyjskie cele, które winien popierać każdy Rosjanin życzący postępu własnej ojczyźnie.

Ale za pomocą jakich środków można te cele osiągnąć? Jakie spośród różnych dróg nasuwających się w związku z tą myślą

¹ Piotr Ławrowicz Ławrow (1823–1900) – publicysta i działacz narodnicki, pochodził z zamożnej rodziny szlacheckiej. Studiował najpierw w domu, następnie w szkołach wojskowych. Osiągnąwszy szybko rangę pułkownika, równoległe pracował nad filozofią i socjologią. W 1860 roku opublikował pierwszą książkę filozoficzną. W 1866 w wyniku represji przeciwko ruchom demokratycznym został skazany na osiedlenie w guberni wołogrodzkiej. W 1870 uciekł za granicę, zaangażował się w pierwszą Międzynarodówkę, rok później wziął aktywny udział w Komunie Paryskiej. Jeszcze w Rosji, w latach 1868–1869, Ławrow wydał drukiem cykl *Listów historycznych*, który przyniósł mu wielką popularność w kręgach demokratycznych. W *Listach...* zarysowana zostaje teoria historii – zdaniem Ławrowa nie istnieją spiszowe, obiektywne prawa dziejów, które legitymizowałyby tymczasowe cierpienie ludu obietnicą jego przyszłego wyzwolenia. W tej perspektywie o kierunkach rozwoju decyduje nie abstrakcyjna konieczność dziejowa, ale działający i walczący o zmianę konkretni ludzie.

Przedstawiany przez nas fragment pochodzi z pisma „Wpieriod” z 1873 roku. Ławrow liczył, że uda mu się zbudować pismo, które byłoby platformą do dyskusji dla wielu organizacji rewolucyjnych, stąd długo zabiegał o współpracę z Bakuninem. Ostatecznie manifest profilował pismo dość wąsko, a w kręgach rewolucyjnych w Petersburgu przyjęty został bardzo chłodno.

nie są sprzeczne z powziętymi celami? Jakie drogi grożą niebezpieczeństwem sprowadzenia całej sprawy do jałowej gadaniny, jakie zaś prowadzą do podjęcia prawdziwej, poważnej, decyzji, by poświęcić się bez reszty samej sprawie? Jakie drogi grożą niebezpieczeństwem zastąpienia starych form innymi, może nawet trochę lepszymi, ale równie obcymi czysto ludowym potrzebom Rosji? Jakie drogi gwarantują jedynie słabe prawdopodobieństwo sukcesu, jakie rokują w większym stopniu pomyślne rozwiązanie sprawy?

[...]

Na pierwszym miejscu stawiamy tezę, iż przebudowa społeczeństwa rosyjskiego winna się dokonać nie tylko *w imię* szczęścia ludu, nie tylko *dla* ludu, lecz i *poprzez* lud. Współczesny działacz rosyjski musi, naszym zdaniem, wyzbyć się przestarzałego poglądu, jakoby ludowi można było narzucić idee rewolucyjne stworzone przez niewielką grupę bardziej rozwiniętej mniejszości, jakoby socjaliści-rewolucjoniści, obaliwszy skutecznym uderzeniem rząd centralny, mogli zająć jego miejsce i za pomocą dekretu wprowadzić nowy ustrój, uszczęśliwiając w ten sposób nieuświadomione masy. Nie chcemy, aby starą przemoc zastąpiła nowa, obojętnie, z jakiego pochodząca źródła. Przyszły ustrój społeczeństwa rosyjskiego, ustrój, do którego urzeczywistnienia postanowiliśmy się przyczynić, winien zaspokoić takie potrzeby większości, które owa większość uświadamia sobie i rozumie. Wobec niskiego stopnia kultury i uświadomienia społecznego większości nie możemy bezpośrednio do niej zwrócić się z naszym słowem. Zwracamy się przeto do owej cząstki cywilizowanej mniejszości rosyjskiej, która rozumie, że przyszłość należy do ludu, że eksploatacja jego musi się skończyć i tak czy owak skończy się, że do wyboru ma ona tylko dwie drogi: albo stanąć w szeregach ludu, albo wyrzec się wszelkiej możliwej dla siebie działalności postępowej. Owa cząstka cywilizowanej mniejszości rosyjskiej nie powinna w intencji uszczęśliwienia większości narzucać ludowi swoich idei; ma natomiast obowiązek tłumaczyć ludowi, jakie są jego prawdziwe potrzeby, jakie środki

najskuteczniej dopomóc mogą do zaspokojenia tych potrzeb i jak wielka jest siła, która tkwi w samym ludzie, a której lud sobie nie uświadamia i dlatego nie może wprowadzić jej w czyn, by zdławić swych wrogów i wywalczyć sobie lepszą sytuację. Ten, kto pragnie dobra ludu, nie o to winien się troszczyć, aby na fali zwycięskiej rewolucji zdobyć władzę i prowadzić lud do celu, który jasny jest jedynie dla przywódców, lecz o to, by w samym ludzie obudzić zdolność do świadomego stawiania celów, świadome dążenie do tych celów, i stać się jedynie wykonawcą owych społecznych dążeń, gdy nadejdzie chwila przewrotu.

Sytuacja klasy cywilizowanej w obliczu ruchu ludowego nigdzie nie jest tak trudna jak w naszej ojczyźnie, gdzie dystans między klasami określony jest nie tylko przez mniejsze lub większe bogactwo jednostek, ale przez wszystkie elementy kultury, wszystkie drobne atrybuty życia, przez całe mnóstwo codziennych nawyków, które przede wszystkim rzucają się w oczy i najtrudniej się ich wyzbyć, a które najbardziej przeszkadzają we wzajemnym zbliżeniu się ludzi dążących do tego samego ideału społecznego. Przeklęta tradycja starej szlachty i warstwy urzędniczej ciąży na każdym, kto żyje życiem klasy cywilizowanej w Rosji; ona to zaszczerpia ludowi nieufność wobec słów i czynów ludzi z tego kręgu, i trzeba wielu osobistych wysiłków, żeby zlikwidować tę nieufność, żeby lud uznał za swoich tych, których dzieli od niego nieistotne szczegóły nawyków kulturalnych.

Właśnie owa trudność zbliżenia się z ludem sprawia, że istnieją rozmaite poglądy na możliwość i celowość takich czy innych metod działalności społecznej w zakresie przygotowania przewrotu, mającego urzeczywistnić lepszą przyszłość Rosji. We wszystkich tych poglądach, jakiegokolwiek by one były, za istotne i niezmiennie uważamy następujące punkty:

Jedynie przez rygorystyczną i wzmózoną pracę nad sobą można wyrobić w sobie *zdolność* do pożytecznej działalności wśród ludu.

Jedynie pozyskawszy sobie zaufanie ludu, można stworzyć niezbędne *warunki* do tego rodzaju działalności.

Jedynie wyjaśniając ludowi jego potrzeby i przygotowując go do samodzielnego i świadomego działania w kierunku osiągnięcia dokładnie rozumianych celów, można uważać się za prawdziwie pożytecznego uczestnika w dziele przygotowywania lepszej przyszłości Rosji.

Jedynie wówczas, gdy nurt wydarzeń historycznych sam wskaże chwilę przewrotu i potwierdzi gotowość ludu rosyjskiego do czynu, jedynie wówczas będzie się miało *prawo* wezwać lud do dokonania tego przewrotu...

Przygotowywanie zwycięstwa rewolucji ludowej, kiedy stanie się ona konieczna, kiedy wywoła ją bieg wydarzeń historycznych i polityka rządu – oto najbliższy cel działalności, którą uważamy za obowiązek każdego, kto pragnie dobra Rosji, każdego, kto jest szczerze oddany wyłożonemu tu przez nas programowi ludowemu...

Niewykluczone jednak, że niektórzy nasi czytelnicy, nawet sympatyzujący z nami, zadadzą pytanie: czy przewrót rzeczywiście jest nieunikniony? Czy naprawdę jedyną nadzieję na lepszą przyszłość Rosji pokładać należy w powstaniu ludowym, które przecież musi być i ciężkie, i krwawe? Czy naprawdę rząd carski, który wcześniej czy później i tak będzie musiał zrezygnować ze swego nieograniczonego samowładztwa, nie zechce przekazać swej władzy raczej prawdziwemu ludowi rosyjskiemu niż konstytucyjnym gadułom, którzy dowiedli, że zawsze i wszędzie są niezdatnymi do niczego egoistami, chciwymi na pieniądze wyzyskiwaczami ludu? Czyżby przykłady, jakich dostarcza Europa, nie nauczyły klas panujących Rosji, że parlamentaryzm nie rozwiązuje problemu społecznego, że narzucone ludowi konstytucje polityczne, nawet najlepiej pomyślane, nie leczą ekonomicznych ran i nie potrafią załagodzić rodzących się wszędzie antagonizmów społecznych? Czyżby nie chciały one zapobiec krwawej rewolucji socjalnej przez zespolenie się z ludem, od którego nie dzieli ich żadna wspianiała przeszłość historyczna? Czy doprawdy nie można się spodziewać, że drogą pokojowych ustępstw i ofiarności Rosja osiągnie lepszą przyszłość społeczną i zrealizuje ustalony przedtem program?

I my również chcielibyśmy żywić naiwne nadzieje takiego czytelnika; chcielibyśmy i wierzyć w taką wymarzoną przyszłość, ale trudna lekcja historii dowodzi, że na podobnie ofiarne czyny nigdy nie zdobył się rząd, nigdy nie dokonywały ich warstwy panujące. Gdybyśmy widzieli najmniejszy choćby wysiłek w kierunku takiego rozwiązania sprawy, z radością głosilibyśmy zgodę i puszczenie w niepamięć przeszłości. Teraz jednak... musimy potraktować podobne przypuszczenie jako piękną mrzonkę i cierpkimi słowami przemawiać do tych, którzy sympatyzują z nami.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa droga rewolucji jest nieunikniona dla zapewnienia Rosji lepszej przyszłości; nikt nie może powiedzieć, kiedy nadejdzie odpowiednia dla niej chwila, ale chwila ta może nadeść tym bardziej nieoczekiwanie, im bardziej wszystkie funkcje państwowe koncentrują się w jednym punkcie, w jednej osobie. Przygotowujcie się na tę chwilę, rozwijając swój intelekt, gromadząc doświadczenie życiowe, ćwicząc siłę charakteru. Przygotowujcie do niej lud rosyjski, tłumacząc mu, na czym polegają jego prawdziwe potrzeby, jego odwieczne prawa, jego surowe obowiązki, jego potężna siła. A kiedy chwila owa nastanie, idźcie wraz z ludem na bój o te prawa, na spełnienie tych obowiązków, na zamanifestowanie tej siły. Idźcie naprzód bez względu na największe ofiary, jakie będziecie musieli ponieść i jakie będzie musiał ponieść lud. Przyszłość ta musi być wywalczona niezależnie od ceny, jaką przyjdzie za nią zapłacić.

Taki jest nasz program dotyczący wewnętrznych zagadnień Rosji.

Piotr Ł. Ławrow, *Naprzód! Nasz program*, przeł. Janina Walicka, w: *Filozofia społeczna narodziła się rosyjskiego*, t. 2, red. Andrzej Walicki, Warszawa: Książka i Wiedza, 1965 [1873], s. 80–86.

Odświeżający duch mirskiego socjalizmu (*Wiejska wspólnota gminna, fragmenty*)¹

Afanasij P. Szczapow

Wielka sprawa chłopska zakłóciła ospały kwietyzm, zakłóciła monotonię, apatię naszego życia. Myśl zbudziła się do pracy politycznej. Stanęliśmy twarzą w twarz z tym, co stanowi życiodajną glebę naszego samorodnego rozwoju, z ludem. Przeobrażenie egzystencji olbrzymiej masy ludności naszej prowincji – chłopstwa – naruszyło wiekowy zastój również w życiu prowincjonalnym, gdzie był on szczególnie duży. Powszechna żądza działania kipi, lub przynajmniej daje znać o sobie wszędzie. A tymczasem, jeśli przyjrzeć się z bliska, okazuje się, że właściwie robi się niewiele. Wszędzie dominują słowa i do niczego nieprzydatne teorie. W ogóle robi się przeważnie albo nie to, co trzeba, albo nie tak, jak trzeba. Wynika to zaś stąd, że nie umiemy nawiązać bliskiego kontaktu z ludem, nie umiemy w czystym źródle życia ludu wykryć jego słusznych żądań i dążeń, nie umiemy działać zgodnie z owymi odwiecznie prawdziwymi żądaniami i dążeniami, kierujemy się natomiast teoriami i utopiami, które sami sobie dowolnie tworzymy.

Zamiast zajmować się oderwanymi od potrzeb i charakteru ludu rosyjskiego teoriami obcych autorytetów, powinniśmy przede wszystkim, angażując siły całej naszej literatury, pobudzać do twórczej inicjatywy, do ujawnienia się zdrowego zmysłu praktycznego,

¹ Afanasij Prokofjewicz Szczapow (1830–1876) – działacz i publicysta narodnicki. Szczapow pochodził z rodziny chłopskiej z guberni irkuckiej, wykształcenie zdobył w Seminarium Duchownym w Irkucku, a potem w Wyższej Akademii Duchownej w Kazaniu. Już jako student Akademii podjął intensywne studia nad staroruskimi kronikami i dokumentami opisującymi dzieje wiejskiej wspólnoty gminnej. Szczapow reprezentował „słowianofilski”, „romantyczny” nurt rosyjskich narodników, pozostający w sporze zarówno z konserwatywnymi słowianofilami, jak i – z drugiej strony – bardziej oświeceniowym czy okcydentalistycznym odłamem narodników, skupiającym się początkowo przede wszystkim wokół Czernyszewskiego. Idee Szczapowa wywarły znaczny wpływ na ideologię rosyjskiego anarchizmu.

Artykuł *Wiejska wspólnota gminna*, którego fragmenty przedstawiamy, został opublikowany w czasopiśmie „Wiek” w roku 1862.

dobrej woli i potężnych sił samego ludu rosyjskiego. Z zupełną pewnością powiedzieć można, że 40 milionów ludności wiejskiej i co najmniej 4 miliony miejskiej nie przyjmie naszych teorii. W ogóle życie każdego ludu kształtuje się w oparciu o jego własne prawa i własne określenia. Życie zaś ludu rosyjskiego jest szczególnie uporczywe i krnąbrne w swej samoistności i oryginalności. Trzeba tylko czynnie dążyć do tego, aby zapewnić ludowi swobodę stanowienia o sobie i swobodę rozwoju, a dalej już on sam wypracuje takie sposoby i takie zasady własnej edukacji i rozwoju, jakie najlepiej odpowiadają jego naturze, jego wrodzonym siłom i zdolnościom oraz zgodne są z zewnętrznymi warunkami geograficznymi. Trzeba tylko czynnie dążyć do tego, aby życie ludowe samo wypowiedziało przez usta całego ludu, czego mu trzeba zgodnie z wymogami jego naturalnej organizacji. W życiu, w naturze ludu rosyjskiego tkwią bogate, twórcze, żywotne, prawdziwe zasady, ziarna, które tylko czekają na możliwość swobodnego przejawienia się i samorzutnego rozwoju. Jedną z cech wyróżniających ludu rosyjskiego jest życiowe, oparte na praktyce, bezpośrednio z bytu codziennego wynikające tworzenie przez wspólnotę, przez mir, zasad ogólnych, zasad mądrości życiowej i gminno-ludowego, samorzutnego rozwoju. Literatura, jako sprawa ludowa, winna być sprawą wspólną, mirską, pełną ludowej żywotności, a nie abstrakcyjnie teoretyczną.

Czymś pokrewnym literaturze jest nauka, a także uniwersytety. A cóż dały one dotychczas rosyjskiemu ludowi? Wielką zasługą naszych uniwersytetów jest już to, że wydały one tak zwaną wykształconą klasę narodu, wykształconą mniejszość. Główne jednak swoje zasługi położyły one dotychczas na polu czysto naukowym, naukowy kierunek zainteresowań dotychczas zdecydowanie przeważał: celem było studiowanie i wykładanie nauki, jak mówią jeszcze i teraz liczni profesorowie uniwersytetów. A tymczasem życie ludowe, w którym stale wzrasta potrzeba przewodnictwa i pomocy ze strony oświaty, żądało od nauki rozwiązania aktualnych zagadnień, jakie natarczywie codzienna praktyka. Praktyczność, realność umysłu rosyjskiego natarczywie domagała się

zastosowania wniosków naukowych do potrzeb życia. Tę właśnie drogę praktycznego, realnego, pełnego ludowej żywotności stosowania nauk wskazał ludowi rosyjskiemu Łomonosow, ojciec rosyjskiego uniwersytetu, wielki samorodny geniusz ludowy, w którym, rzecz można, ucieleśniły się takt, wycucie, zdrowy rozsądek rosyjskiego ludu. Uniwersytety, jako mózg, jako rozum organizmu narodowego, powinny były wypracować dla ludu wszystkie podstawowe zasady samowiedzy ludowej i ludowego samorzutnego rozwoju. Niestety, uniwersytety nasze same pozbawione były dotychczas w pełni swobodnego samorzutnego rozwoju wewnętrznego, stanowiły urzędowe, zamknięte korporacje, oderwane od życia ludowego, a nie ziemskie, ludowe świątynie wyższego wykształcenia. Profesorowie byli przeważnie tylko urzędnikami, a nie działaczami społecznymi na polu oświaty. Mało było wśród nich tak wybitnych i sympatycznych ludzi, jak Granowski, Kudriawcew, Mejer². Nic więc dziwnego, że lud również patrzył dotychczas z nieufnością na owych uczonych i profesorów reprezentujących niemiecki typ abstrakcyjnych ludzi nauki. O takich uczonych powstały nawet wśród ludu humorystyczne powiedzonka. Następnie nasze korporacje uniwersyteckie były nie tylko oderwane, odizolowane od ludu, ale również, niestety, podzielone wewnętrznymi przegrodami. Między profesorami i studentami nie istniała, poza nielicznymi wyjątkami, ścisła, wewnętrzna, organicznie korporacyjna więź. Stąd wynikła owa wewnętrzna walka korporacyjna studentów z profesorami, z którą zazwyczaj szły w parze przykre, smutne historie. Cześć i chwała jednak naszej młodzieży uniwersyteckiej: zawsze tliła się w niej żarliwa i niegasnąca, święta, szlachetna iskra przyszłości Rosji, a w ostatnich czasach zaczął

² Granowski T. N. (1813–1855) – historyk-mediewista, profesor Uniwersytetu Moskiewskiego, wybitny przedstawiciel liberalnego okcydentalizmu lat czterdziestych; Kudriawcew P. N. (1816–1858) – pisarz i historyk, profesor historii powszechnej na Uniwersytecie Moskiewskim, uczeń Granowskiego; Mejer D. I. (1819–1855) – profesor prawa cywilnego na Uniwersytecie Kazańskim i (w latach późniejszych) na Uniwersytecie Petersburskim (przyp. A. Walicki).

się wśród niej przejawiać energiczny pęd ku niesieniu w lud idei oświaty uniwersyteckiej. Można powiedzieć, że szkoły niedzielne to w głównej mierze dzieło młodzieży uniwersyteckiej³. Zreformowanie uniwersytetów – to rezultat jej energicznej, szlachetnej żądzy wolności w zakresie kształcenia się. Oczekujemy pomnożenia uniwersytetów na ziemi rosyjskiej, swobodnego udostępnienia ich wszystkim warstwom narodu, jako przybytków oświaty i nauki, które stanowią powszechną, ogólnonarodową potrzebę. I mamy nadzieję, że niebawem uniwersytety nasze nabiorą znaczenia w życiu ludu właśnie jako mózg, jako rozum organizmu narodowego.

Stary, niezniszczalny, odwieczny mir chłopski, ostoja całego świata rosyjskiego, jest praosnową i prawozorem naszego samorzutnego rozwoju. W dawno minionych czasach swobodnieludowej twórczości historycznej lud nasz samodzielnie, wspólnymi, heroicznymi siłami, zbudował ustrój na ludowo-gminnym, ziemskim fundamencie rad ludowych i ludowego samorządu⁴. W czasach tych lud wychował się w duchu miru: duch miru zrosł się z jego naturą, przeniknął całą jego egzystencję, stał się żywą, płodną zasadą, twórczą siłą całego naszego samorozwoju. Oto czemu tak żywotny jest mir, tak długowieczny. Mir – rdzeń, osnowa, fundament architektoniczny swobodnieludowej wiecowej samorządności ziemskiej – pozostał, ocalał, przeszedł nienaruszony przez wszystkie burzliwe epoki naszej historii. Magistraty miejskie, z regulaminem magistrackim Piotra Wielkiego, ustawa miejska Katarzyny II

³ W roku 1860 powstało w różnych miastach Rosji około 200 szkół niedzielnych dla ludu; zapoczątkował ten ruch N. I. Pirogow, który w roku 1859 założył szkołę niedzielną w Kijowie. Wykładowcami szkół niedzielnych byli przeważnie studenci, którzy niejednokrotnie starali się wykorzystać je dla propagandy postępowych idei społeczno-politycznych, co zaniepokoiło rząd i doprowadziło w rezultacie do tymczasowego zamknięcia wszystkich szkół (okólnik Ministerstwa Oświaty z dn. 12 czerwca 1862). W roku 1864 sprawa szkół niedzielnych unormowana została ustawą o szkolnictwie powszechnym, poddającą je ścisłej kontroli rządowej (przyp. A. W.).

⁴ W oryginale: „ziemsko-wieczewoj mir na obszczinno-narodnoj osnowie ziemskiego narodosowietija i narodoprawlenija”. Język Szczapowa obfituje w archaizujące, niekiedy dziwaczne neologizmy, które tylko w znikomej mierze udało się oddać w niniejszym przekładzie (przyp. A. W.).

zmąciły, rozbiły mir miejski, przekształciwszy miasta w korporacje gildyjno-cechowe i administracyjne. Ale rdzeń swobodnieludowego, ziemsko-wieczowego, przez sam lud stworzonego ustroju ocalał w potężnym mirze chłopskim, ostał się w wiejskiej wspólnocie gminnej. Lud wszelkimi sposobami strzegł podstaw miru jako rzeczy świętej przed wszystkimi burzącymi, niszczycielskimi żywiołami.

[...]

Podobnie jak wsie ze swymi powiatami, osiedlami i wioskami, tworząc miry wiejskie i gminne, miały własne zebrania mirskie, tak samo miasta, tworząc analogiczne miry, miały również swoje zgromadzenia ludowe, czyli zebrania mirskie w celu odbywania narad, wieców. Tak wygląda pierwszy krąg w budowie mirskiego ziemskiego ustroju. Następnie, po zorganizowaniu swego życia na zasadzie związku kolonizacyjno-federacyjnego, miry gminne i miejskie, zespolone ze sobą przez fakt, że ludność zamieszkiwała tę samą ziemię, nad tą samą wodą, naturalną rzeczą kolejną tworzyły jedną ziemię, jeden mir ziemski, i tak też nazywały siebie w aktach: „ziemiami” albo mirami. W wielu zbiorowych listach z czasów zamętu ludzie miejscy i powiatowi, czyli mieszczenie i gmin, nazywani są wszyscy razem mirami, ludźmi mirskimi; listy adresowane są do całego miru, do mieszczań i do chłopów oraz wszystkich ludzi ziemskich, którzy wszyscy razem nazywani są w nich mirem, ludźmi mirskimi.

[...]

Chociaż formy staroruskiego mirskiego, ziemskiego samorządowego rozwoju i samorządu były prostackie, niedoskonałe i nietrwałe, podobnie jak prostackie i nieokrzesane są formy mirskiego samorządowego rozwoju i samorządu wsi, to jednak zasada, na której się opierały, była słuszną, zarodek w nich tkwiący był jak najbardziej naturalny i żywotny, podobnie jak żywotne są zasady mirskiego ustroju wiejskiego. Jeżeli miła jest nam, Rosjanom, umiłowana przez nasz lud, uświęcona i potwierdzona doświadczeniem wieków, przechowana jak świętość w tradycji ludowej zasada miru, zebrania mirskiego i rad ludowych, zasada samorządu i samorozwoju

mirskiego, jeżeli miły jest nam szanowany przez lud mir, podobnie jak niegdyś samorząd mirski miły był całej ziemi ruskiej, to zmartwychwstaje oto przed nami gminny mir wiejski ze swym zebraniem, ze swym ludowym ustrojem przedstawicielskim, wzywając nas wszystkich do mirskiego zbratania i zjednoczenia.

A przecież niczego nie potrzebujemy tak bardzo, jak właśnie ducha mirskiego zjednoczenia, zbratania, pojednania, ducha wspólnych narad, ducha inicjatywy mirskiej i wzajemnej poręki. Czas już, czas! Zamiast jałowego deklarowania w mowie i na piśmie naszych sympatii dla chłopów i wielkiej kwestii chłopskiej, zamiast bezpłodnych, scholastycznych poszukiwań gleby i abstrakcyjnego teoretyzowania na temat różnych form asocjacji, my, mieszkańcy miast, powinniśmy zespolić się w poszukiwaniu rzeczywistego, żywego, mirskiego zjednoczenia wzajemnego, powinniśmy przejąć się chłopskim duchem wspólnych narad i zgodnej mirskiej inicjatywy gromadzkiej, rozwijać go w sobie, umacniać i doskonalić. To nic, że mir wiejski jest jeszcze prostacki i ciemny. Jest on wszak zdrowy i zasobny w siły fizyczne i duchowe. Socjalna zasada miru jest żywotna i płodna. Nam, ludziom rozłączonym przez przesady i nienawiści stanowe, poróżnionym ze sobą w imię abstrakcyjnych teorii, bojącym się jedni drugich, podejrzliwym, moralnie podupadłym i schorzałym, przeistaczającym się w zamkniętych kręgach wojskowych, urzędniczych, stanowo-kastowych i naukowo-literackich w komicznych bohaterów powieściowych, nam właśnie potrzebny jest odświeżający, ożywczy, pojednawczy duch miru, mirskiego życia społecznego, mirskiego socjalizmu. Potrzebne są nam chłopski, mirski takt, duch artelu, mirska mądrość – rozum i umiejętność w organizacji i codziennej praktyce naszych stowarzyszeń.

[...]

Dopiero wtedy, gdy przepoimy nasze życie społeczne, nasze zwyczaje i moralność zasadami miru, mirskich zebrań i narad, mirskiej poręki wzajemnej, mirskiej inicjatywy, dopiero wtedy zdolni będziemy do podjęcia każdej jednomyślniej i energicznej inicjatywy społecznej, do wszelkich rozumnych obrad w sprawach

społecznych. Będziemy wówczas rozumieć się nawzajem równie łatwo i dokładnie, jak chłopkowie na zebraniu gromadzkim, gdy zgromadziwszy się społem, spoglądają tylko na siebie i już się rozumieją, powiedzą słowo i „już gotowe”. Tylko pod warunkiem mirskiej jedynomyślności, zgodności i inicjatywy zdolni będziemy całym mirem, całymi artelami lub stowarzyszeniami szybko, zgodnie, śmiało i stanowczo wprowadzać w życie to, co zamierzeliśmy, nie przelewać z pustego w próżne, lecz zakasać rękawy i przystąpić do dzieła. W dziecięcych latach narodu rosyjskiego, w nieokrzęsanych czasach wiecowych żył w nas przecież ów duch mirskiej zgody, energicznej inicjatywy, zdecydowania i przedsiębiorczości. O mieszkańcach Nowogrodu na przykład ustawicznie mówi się w kronikach: „Zadzwoniono na wiec, wstali i poszli...” Tak, musimy ponownie rozbudzić i rozwinąć w sobie poprzez zebrania, narady i inicjatywę mirską owego energicznego, czynnego, żywego ducha miłości, rady i jedności, który towarzyszył naszym przodkom, gdy w czasach bezkrólestwa i zamętu przybywali zgodnie, zdecydowanie i energicznie na zebrania mirskie, na prowincjonalne rady ziemskie, przybywali wszyscy razem: bojarowie, kupcy, rzemieślnicy podmiejscy [*posadskije ljudi*] i chłopci, naradzali się całą swoją ziemią i rozstrzygali sprawę ziemską. Potrzebujemy znów owego mirskiego ducha miłości, rady i jedności, który ożywił w owych czasach rosyjskich ludzi ziemskich, gdy szybko porozumiewszy się ze sobą listownie, zgromadzili się w Moskwie i utworzyli sobór ziemski⁵. Potrzebne są nam znowu takie same zebrania gromadzkie, rady ziemskie i taki sam wielki sobór ziemski...

Takie oto zasady socjalne ukazują nam nasz prostacki, nieokrzęsany, ale potężny mir wiejski, od którego zaczyna się nowy okres naszego samorzutnego rozwoju.

Afanasij P. Szczapow, *Wiejska wspólnota gminna*, przeł. Janina Walicka, w: *Filozofia społeczna narodnictwa rosyjskiego. Wybór pism*, t. 1, red. Andrzej Walicki, Warszawa 1965 [1862], s. 5–19.

⁵ Mowa o soborze ziemskim z roku 1613, który powołał na tron rosyjski Michała Romanowa (przyp. A. W.).

Bez pewnej dozy komunizmu społeczeństwa dzisiejsze bowiem nie potrafiłyby istnieć (*Zdobycie chleba*, fragmenty)¹

Piotr A. Kropotkin

Istotnie, obok prądu indywidualistycznego dostrzegamy w całych dziejach nowożytnych tendencję, z jednej strony, do zachowania resztek częściowego komunizmu pierwotnego, z drugiej zaś strony – do wcielania zasady komunistycznej w tysięczne przejawy życia.

Gminy miejskie w X, XI, XII stuleciu, skoro tylko zdołały wyzwoić się spod władzy pana świeckiego lub duchownego, zaprowadzały u siebie pracę wspólną i wspólne spożycie. Miasta, a nie jednostki, najmowały okręty i wysyłały swe karawany w dalekie kraje w celach handlowych, z czego zyski spadały również nie na jednostki, lecz na ogół; w taki sam sposób zaopatrywały się miasta w produkty spożywcze dla swych mieszkańców. Ślady tych urządzeń przetrwały aż do XIX wieku, a pamięć o nich przechowała się w podaniach ludowych.

Wszystko to zniknęło. Lecz gmina wiejska gdzieś walczy wciąż jeszcze o zachowanie śladów tego komunizmu i udaje jej się o tyle, o ile państwo nie rzuci swego ciężkiego miecza na szalę jej losów.

¹ Piotr Aleksiejewicz Kropotkin (1842–1921) – rosyjski geograf, filozof, działacz i publicysta anarchistyczny. Kropotkin był potomkiem starego książęcego rodu, kształcił się początkowo w akademiach wojskowych. Zrażony biurokracją oraz przemocą, z jaką w roku 1866 stłumiono powstanie zesłańców polskich nad Bajkałem, wystąpił z armii. Mimo doskonałych perspektyw pracy naukowej Kropotkin wybrał drogę rewolucjonisty; na początku lat siedemdziesiątych opuścił Rosję, działał w ramach Międzynarodówki, rozwijał współpracę z Michailem Bakuninem. Do Rosji powrócił po upadku caratu, mimo krytycznego stosunku wobec rewolucji październikowej został w kraju. W pogrzebie Kropotkina w 1921 brało udział ponad sto tysięcy osób. Praca *Zdobycie chleba* została opublikowana po raz pierwszy po francusku w 1892 roku (z przedmową Élisée Reclusa). Kropotkin przeprowadza w niej krytykę feudalizmu i kapitalizmu jako systemów strukturalnie podtrzymujących ubóstwo i nierówność. W zamian zarysowuje projekt społeczeństwa opartego na pomocy wzajemnej i współpracy. Zdaniem Kropotkina tendencje do tworzenia takich organizacji są widoczne już w aktualnie istniejącym społeczeństwie, które bez pewnego elementu bezinteresowności nie mogłoby istnieć.

Jednocześnie w tysięcznych postaciach i odmianach wyłaniają się nowe organizacje społeczne, oparte na tej samej zasadzie: *każdemu według jego potrzeb*; bez pewnej dozy komunizmu społeczeństwa dzisiejsze bowiem nie potrafiłyby istnieć. Pomimo ciasnego egoizmu, który rozpanoszył się w duszach ludzkich pod wpływem produkcji towarowej, duch komunistyczny w najróżnorodniejszych postaciach objawia się co chwila i na każdym kroku, przenikając wszystkie prawie stosunki społeczne.

Mosty, na których dawniej pobierano od przechodników opłatę, stały się dziś przedmiotami użyteczności publicznej. Drogi bite, gdzie podróżny musiał płacić za każdą przebytą wiorstę, istnieją już tylko na Wschodzie. Muzea, biblioteki publiczne, szkoły bezpłatne, wspólne odżywianie dzieci; parki i ogrody dostępne dla wszystkich; brukowane i oświetlane ulice, z których korzystają wszyscy, wodociągi, zaopatrujące mieszkania w wodę za stałą opłatę – wszystko to są urządzenia oparte na zasadzie: „Bierzcie, ile wam potrzeba”.

Tramwaje i koleje żelazne wprowadzają już abonamentowe bilety miesięczne i roczne, w których nie bierze się w rachubę liczby przejazdów. Jest to niewątpliwie krok w kierunku ujednostajnienia opłat, które już stosuje poczta. We wszystkich tych innowacjach i w wielu innych łatwo dostrzec tendencję niebrania w rachubę ilości spożycia. Jeden pragnie przejechać tysiąc kilometrów, inny – pięćset: są to potrzeby ściśle osobiste i nie ma racji kazać jednemu płacić dwa razy więcej niż drugiemu za to, że jego potrzeba jest bardziej intensywna. Oto zjawiska, które ujawniają się nawet w naszych społeczeństwach indywidualistycznych.

Jakkolwiek słabą jest jeszcze ta tendencja, rozwija się wszakże stale w kierunku stawiania potrzeb jednostki ponad ocenę jej przeszłych lub przyszłych zasług dla społeczeństwa. Coraz bardziej ustala się pogląd na społeczeństwo jako na pewną całość, której wszystkie części są jak najściślej z sobą złączone, tak iż usługa okazana jednostce jest właściwie usługą okazaną wszystkim.

[...]

Dążność ta istnieje niewątpliwie. Uwydatnia się ona wtedy, gdy kardynalne potrzeby każdego są zaspokojone, w miarę jak wzrasta siła produkcyjna ludzkości; jeszcze wyraźniej zaś występuje w chwilach, gdy w duszy ludzkiej małostkowe troski życia codziennego ustępują miejsca porywom jakiejś wielkiej idei.

Czyż można wątpić, że w dniu, w którym narzędzia produkcji zostaną oddane do użytku ogółu, gdy wszyscy pracować będą wspólnie, a praca, odzyskując należne jej miejsce, wytwarzać będzie o wiele więcej, niż potrzeba na zaspokojenie wszystkich potrzeb ludzkich – czyż można wątpić, że wtedy tendencja ta, już dziś tak potężna, upowszechni się tak dalece, iż stanie się właśnie zasadą życia społecznego?

Zgodnie z powyższymi wskazaniem i po głębszym zastanowieniu się nad praktyczną stroną wywłaszczenia doszliśmy do przekonania, iż z chwilą, gdy rewolucja złamie się podtrzymującą obecny porządek rzeczy, pierwszą naszą powinnością będzie natychmiastowe urzeczywistnienie komunizmu.

Piotr A. Kropotkin, *Zdobycie chleba*, przeł. Maria Orsetti, Warszawa: Księgarnia J. Czerneckiego, 1925 [1892], s. 22–25.



Polityki nieumiarkowania



**Trwonić godziny, siły, bogactwo (*Cierpienia*
młodego Wertera, fragmenty)**

Johann Wolfgang Goethe

Prawie godzinę drogi przed miastem leży miejscowość, którą zwą Wahlheim¹. Położenie na wzgórku jest bardzo malownicze i gdy się w górze dochodzi ścieżką do wsi, widzi się od razu całą dolinę. Dobra gospodyni, uprzejma i żwawa na swój wiek, służy piwem, winem i kawą, a co najważniejsza, są dwie lipy, które rozpostartymi gałęziami oceniają mały placyk przed kościołem, otoczony wkoło chłopskimi domami, stodołami i podwórzami. Tak zacisznym, przytulnym nie wydał mi się żaden kąt i tam każę wynosić z gospody swój stół i krzesło, piję kawę i czytam Homera. Gdym przypadkiem w piękne popołudnie zaszedł pierwszy raz pod lipy, zastałem placyk pusty. Wszystko było w polu. Tylko chłopak, mniej więcej czteroletni, siedział na ziemi, przyciskając obu rękami do piersi drugie, około półroczne dziecko, siedzące między jego nogami, tak że służył mu za rodzaj krzesła, i mimo żywości, z jaką spoglądał wokół swymi czarnymi oczami, siedział najspokojniej. Miło uderzył mnie ten widok; usiadłem na pługu stojącym na przeciw i rysowałem tę braterską scenę z wielką przyjemnością, wraz z najbliższym płotem, wrotami stodoły i kilku połamanymi kołami, tak jak stały obok siebie; spostrzegłem po upływie godziny, że stworzyłem dobrze skomponowany, bardzo interesujący rysunek, nie dodając nic od siebie. To utwierdziło mnie w postanowieniu, by na przyszłość trzymać się tylko natury. Ona jedna jest nieskończenie bogata i ona jedna tworzy wielkiego artystę. Na korzyść regułu można rzec wiele, mniej więcej to, co można rzec na pochwałę mieszczańskiego społeczeństwa². Człowiek, który się wedle nich kształci, nie wyda nigdy nic niesmacznego i złego,

¹ Czytelnik raczy się nie trudzić szukaniem wymienionych tu miejscowości. Trzeba było zmienić znajdujące się w oryginale prawdziwe nazwy (przyp. J. W. Goethe).

² Mieszczańskie społeczeństwo – W oryg. *bürgerliche Gesellschaft*, tutaj w znaczeniu: zorganizowane społeczeństwo (przyp. O. Dobijanka-Witczakowa).

tak jak ten, który daje się kształtować prawom, nigdy nie stanie się nieznośnym sąsiadem, nigdy wielkim złoczyńcą; ale wszelka reguła, mówcie co chcecie, niszczy prawdziwe odczucie natury i prawdziwy jej wyraz. Mówisz, że to za ostro! Że reguła ogranicza tylko, przycina zbyt bujne pędy itd. Drogi przyjacielu, dam ci porównanie: z tym jest jak z miłością. Młode serce lgnie całe do dziewczyny, przepędza wszystkie godziny dnia przy niej, trwoni wszystkie siły, całe swe bogactwo, by jej każdej chwili wyznawać, że oddaje się jej w całości. I niechże przyjdzie filister, człowiek, który piastuje urząd publiczny, i niech powie: – Mój piękny panie, kochać to rzecz ludzka, tylko musicie się kochać po ludzku! Podziel sobie godziny: jedne przeznacz na pracę – a godziny wypoczynku poświęć swej dziewczynie; oblicz swe bogactwo i z tego, co ci ponad konieczną potrzebę pozostanie, nie bronię ci czynić jej podarków, lecz nie za często; na przykład, na jej urodziny i imieniny itd. – Jeśli ten człowiek usłucha, to będzie z niego użyteczny młodzieniec i ja sam poradzę każdemu księciu, by go osadził w kolegium; tyle tylko, że koniec z jego miłością i jeśli jest artystą, z jego sztuką... O, moi przyjaciele! Dlaczego strumień geniuszu wytryska tak rzadko, tak rzadko wzbiera wysoką falą, wstrząsa waszymi zdumionymi duszami? Drodzy przyjaciele, oto mieszkają po obu stronach wybrzeża spokojni panowie, którym zniszczałyby domki w ogródkach, grzędy tulipanów i pola kapusty, i którzy przeto zawczasu budowaniem tam i odpływów umieją zapobiec grożącemu w przyszłości niebezpieczeństwu.

[...]

Nieszczęsny! Czyż nie jesteś głupcem, czyż nie oszukujesz samego siebie? Cóż znaczy ta szalona, bezkresna namiętność? Nie znam już innej modlitwy jak do niej. W wyobraźni mej nie zjawia się żadna inna postać prócz niej i wszystko wokoło widzę tylko w związku z nią. I to sprawia, że mam niejedną szczęśliwą chwilę – dopóki znów nie muszę oderwać się od niej, ach, Wilhelmie, do tego mnie często gna serce! Gdy tak przy niej posiedzę dwie, trzy godziny i upajam się jej postacią, jej obejściem, niebiańskim

urokiem jej słów, i stopniowo rozpalają się wszystkie me zmysły, w oczach mi się robi ciemno, ledwo co słyszę i coś mnie chwyta za gardło jak skrytobójca; gdy potem me serce, bijąc gwałtownie, chce ulżyć skołatanyemu zmysłom, a tylko jeszcze bardziej je podnieca, Wilhelmie, nie wiem często, czy żyję na świecie! I – kiedy czasem smutek przytłacza mnie – i Lotta zezwoli mi na tę żalną pociechę, bym całując jej rękę, wypłakał me przygnębienie – wtedy muszę odejść! Muszę odejść! Włóczę się potem daleko po polach. Wtedy mą radością jest wspinać się na stromą górę, przebić sobie drogę przez niedostępny las, przedzierać się przez zarośla, które mnie ranią, przez ciernie, które mnie kaleczą! Wtedy czuję się nieco lepiej! Nieco! Czasem ze znużenia i pragnienia położę się w drodze, niekiedy wśród głębokiej nocy, gdy pełnia stoi wysoko nade mną, siądę w samotnym lesie na pochyłym drzewie, by ulżyć mym zranionym stopom, i potem w omdłym spokoju zadrzemię w półświecie: o Wilhelmie, samotne mieszkanie w celi, włosienica i pas kolczasty byłyby rozkoszą, której łaknie ma dusza. Bądź zdrow! Nie widzę cierpieniu temu kresu prócz grobu.

Johann Wolfgang Goethe, *Cierpienia młodego Wertera*, przeł. Leopold Staff, opracowała Olga Dobijanka-Witczakowa, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1971 [1774], s. 19–21, 74–75.

Uczucie, które wymaga najwięcej czasu
(O miłości, fragment)

Stendhal

Mimo wielu starań, aby być jasnym i przejrzystym, nie mogę zdziałać cudów; nie mogę dać uszu głuchym ani oczu ślepym. Toteż ludzie miłujący pieniądze i grube uciechy, ludzie, którzy zarobili sto tysięcy franków w roku poprzedzającym chwilę otwarcia tej książki, powinni szybko ją zamknąć, zwłaszcza jeśli to są bankierzy, fabrykanci, czcigodni przemysłowcy, to znaczy ludzie z pojęciami na wskroś pozytywnymi. Książka ta byłaby mniej niezrozumiała dla kogoś, kto by wygrał dużo pieniędzy na giełdzie lub na loterii. Taki zysk da się pogodzić z nałogiem spędzania całych godzin na marzeniu oraz na syceniu się wzruszeniami, jaki daje obraz Prud'hona, fraza Mozarta lub pewne spojrzenie kobiety, o której myśli się często. Nie tak to zwykli tracić czas ludzie wypłacający dwa tysiące robotników z końcem każdego tygodnia; myśl ich zawsze mierzy ku temu, co pożyteczne i pozytywne. Marzyciel, o jakim mówię, to osobnik, którego zniechęciłiby, gdyby mieli czas myśleć o tym; to figura, którą wzięliby chętnie za cel swoich najostrożniejszych żarcików. Milioner-przemysłowiec czuje mglisto, że taki człowiek wyżej stawia myśl niż worek złota.

Wyłączam też owego pracowitego młodzieńca, który w tym samym roku, w którym przemysłowiec zarobił sto tysięcy, przyswoił sobie znajomość nowogreczyzny, z czego jest tak dumny, że myśli już o arabskim. Proszę, niech nie otwiera tej książki żaden człowiek, który nie był nieszczęśliwy dla przyczyn urojonych, nie płynących z próżności, przyczyn, których wstydziliby się mocno, gdyby je rozgłoszono w salonie.

Jestem najpewniejszy, że nie zyskam łaski u kobiet, które w tychże salonach zdobywają szturmem szacunek dzięki ustawicznej komedii. Zdarzyło mi się zdybać niektóre w chwili szczerości; były tym tak zaskoczone, iż wchodząc same w siebie, nie

umiały wręcz osądzić, czy jakieś ich uczucie było szczerze czy udane. W jaki sposób takie kobiety mogłyby ocenić obraz prawdziwych uczuć? Toteż dzieło to stało się ich zmorą; orzekły, że autor musi być potworem.

Rumienić się nagle, kiedy się sobie przypomni pewne postępkę własnej młodości; narobić głupstw przez nadmiar uczucia i martwić się tym nie dlatego, że się było śmiesznym w oczach salonu, ale w oczach pewnej osoby w tym salonie; mając dwadzieścia sześć lat, kochać się szczerze w kobiecie, która kocha innego, lub też (ale ta rzecz jest tak rzadka, iż zaledwie śmiem ją wspomnieć z obawy pogrążenia się w sferze niezrozumiałości, jak w pierwszym wydaniu)... lub też wchodząc do salonu, gdzie znajduje się ukochana, starać się czytać w jej oczach, co myśli o nas w tej chwili, a wcale nie dbać o to, aby wyrazić miłość własnym spojrzeniem – oto przeszłość, której żądam od mego czytelnika. Opis wielu tych delikatnych i rzadkich uczuć wydał się ludziom pozytywnym ciemny. Co zrobić, aby być jasnym w ich oczach? Oznajmić im zwyczaj kursu o pięćdziesiąt centymów lub zmianę taryfy celnej w Kolumbii.

Niniejsza książka wyjaśnia po prostu, racjonalnie, można powiedzieć matematycznie rozmaite uczucia następujące kolejno po sobie, a których całość nazywa się miłością.

Wyobraźmy sobie dość zawiłą figurę geometryczną nakreśloną kredą na dużej tablicy; otóż ja wam wyjaśnię tę figurę; ale nieodzownym warunkiem jest, aby ona już istniała na tablicy; nie mogę jej sam nakreślić. To właśnie niepodobieństwo sprawia, że tak trudno jest napisać o miłości książkę niebędącą romanssem. Aby śledzić z zajęciem filozoficzny rozbiór tego uczucia, trzeba u czytelnika czego innego niż inteligencji; trzeba koniecznie, aby widział miłość. Otóż gdzie można widzieć jakieś uczucie?

Oto przyczyna niejasności, której nigdy nie zdołam usunąć.

Miłość jest jak to, co się nazywa na niebie mleczną drogą, błyszczącym skupieniem utworzonym przez tysiące drobnych

gwiazd, z których niejedna jest często mgławicą. Książki zanotowały kilkaset drobnych, kolejnych i jakże trudnych do rozpoznania uczuć składających się na tę namiętność, i to najgrubszych, i to myląc się często i biorąc rzecz uboczną za główną. Najlepsze z tych książek, takie jak: *Nowa Heloiza*, romanse pani Cottin, *Listy panny de Lespinasse*, *Manon Lescaut*, pisane były we Francji, w kraju, gdzie roślina zwana miłość zawsze obawia się śmieszności, gdzie dławią ją wymagania namiętności narodowej: próżności, i gdzie nigdy prawie nie dochodzi ona swego pełnego wzrostu.

Cóż to jest znać miłość z powieści? Cóż by było, gdyby ktoś, wyczytawszy jej opis w setkach głośnych książek, ale nie odczuwszy jej nigdy, szukał w tym oto dziele wytłumaczenia tego szaleństwa? Odpowiem jak echo: szaleństwo.

Młoda, rozczarowana kobieto, czy chcesz napawać się jeszcze tym, co cię tak pochłaniało przed kilku laty, o czym nie śmiałaś mówić z nikim, co omal nie przyprawiło cię o utratę czci? Dla ciebie to przerobiłem tę książkę, starając się uczynić ją jaśniejszą. Przeczytawszy ją, nie mów o niej nigdy inaczej niż tonikiem wzgardy, rzuć ją do palisandrowej szafki za inne książki, najlepiej zostaw nawet parę kartek nieprzeciętych.

Nie tylko parę kartek nierozciętych zostawi niepełny osobnik uważający się za filozofa, dlatego że zawsze obcy był owym szalonym wzruszeniom, które sprawiają, iż szczęście nasze na cały tydzień zależy od jednego spojrzenia. Inni, dochodząc dojrzałego wieku, silą się przez ambicję zapomnieć, iż kiedyś mogli się tak poniżyć, aby się zalecać do kobiety i narażać się na upokarzającą odmowę; tacy ludzie znieawidzą tę książkę. Wśród tylu inteligentnych ludzi, którzy potępili to dzieło z rozmaitych powodów, ale zawsze z gniewem, śmieszni wydali mi się jedynie ci, którzy – cóż za dubeltowa próżność! – utrzymują, że zawsze byli wyżsi nad słabostki serca, a mimo to są na tyle bystrzy, aby ocenić a priori ścisłość traktatu będącego jedynie logicznym opisem tych słabostek.

Osobistościom poważnym, zażywającym w świecie sławy ludzi rozsądnych i zgoła nieromantycznych, łatwiej jest o wiele zrozumieć romans, choćby najnamiętniejszy, niż książkę filozoficzną, w której autor na chłodno opisuje rozmaite okresy choroby duszy zwanej miłością. Romans wzrusza ich nieco; natomiast wobec traktatu filozoficznego są ci rozsądni ludzie niby ślepi, którzy by sobie kazali czytać opis obrazów z muzeum i mówili do autora: „Przyzna pan, drogi panie, że pańskie dzieło jest straszliwie niejasne”. A co będzie, jeżeli tymi ślepcami będą ludzie inteligentni, od dawna piastujący tę godność i mający olbrzymie pretensje do nieomyłności? Ładnie obejdą się z biednym autorem! To właśnie zdarzyło mu się przy pierwszym wydaniu. Wiele egzemplarzy spłonęło dzięki rozjątrzonej próżności bardzo inteligentnych ludzi. Nie mówię o zniewagach, nie mniej pochlebnych przez swą zaciekłość: ogłoszono autora brutalnym, niemoralnym, pismakiem dla ulicy, człowiekiem niebezpiecznym etc. W krajach strawionych monarchią tytuły te są najniezawodniejszą nagrodą dla każdego, kto się ośmieli pisać o kwestiach moralnych, a nie poświęcić swego dzieła aktualnej pani Du Barry. Szczęśliwa byłaby literatura, gdyby nie była rzeczą modną i gdyby się nią chcieli zajmować tylko ci, dla których jest stworzona! Za czasów *Cyda Corneille* był dla pana margrabiego de Dangeau jedynie p o c z c i w i n ą. Dziś wszyscy uważają się za powołanych do czytania pana de Lamartine; tym lepiej dla jego wydawcy, ale gorzej, i stokroć gorzej, dla tego wielkiego poety. Za naszych czasów geniusz liczy się z figurkami, o których istnieniu nie powinien nawet wiedzieć pod grozą ponizenia się.

Pracowite, czynne, wielce czcigodne i zgoła pozytywne życie jakiegoś radcy stanu, fabrykanta pończoch lub obrotnego bankiera znajduje nagrodę w milionach, a nie w tkliwych wrażliwościach. Pomału serce tych panów kostnieje, to, co pozytywne i użyteczne, staje się wszystkim dla nich, a dusza ich zamyka się dla tego właśnie uczucia, które wymaga najwięcej czasu i które czyni

człowieka najbardziej niezdolnym do wszelkiego rozsądnego i systematycznego zajęcia.

Całą tę przedmowę napisałem jedynie po to, aby okrzyczeć, że książkę moją, na jej nieszczęście, mogą zrozumieć jedynie ludzie, którzy mieli czas robić szaleństwa. Wiele osób obrazi się; te, mam nadzieję, nie będą czytały dalej.

Stendhal [Henri-Marie Beyle], *O miłości*, w: tenże, *Dzieła wybrane*, t. 1, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), wstępem poprzedził Maciej Żurowski, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1982 [1822], s. 63–66.

**Drugich tylko rozkosz jest szczęściem
na świecie (List do Adama Sołtana)**

Zygmunt Krasiński

Drogi Adamie! Odebrałem Twój list z Zurich i ściskam Cię serdecznie za niego. Mój list widać do Genewy za późno przybył. Już Ci jeden w tych dniach wyprawiłem do Genewy¹. Mój drogi, Twoja dobroć, Twoja przyjaźń, ile razy mi ją tak czule wyrażasz, nie mogę Ci wypowiedzieć, jak mnie rozrzewnia, jak wtedy czuję usilne pragnienie obaczenia Cię znowu, jak bym chciał móc zdać się Tobie na coś i jakąś pociechę Ci przynieść. Nic dotąd nie wiem, co się stanie ze mną. Wyjeżdżam 25-go lipca do Pragi i do Graefenberg. Wątpię, wątpię, bym tej zimy do Włoch wrócił. Ale znów przyjdą dni widzenia po dniach rozdziału, jeśli losy, których nikt przewidzieć ni uniknąć nie zdoła, nie przygotowały mi siedziby wcale różnej od stron, kędy kwitnie wiosna². Cóż to znaczy [nazwisko zamazane] pojechała do Polski? Czy się znudziło trzydziestoletniej gołębicy darmo się uniać i gruchać do puszczyka? Czy to znaczy rozdzielenie łóżek? Mam nadzieję, że nie majątku, bo to byłby cios zanadto dotkliwy dla młodego bohatera. Sam [nazwisko zamazane] jest w Warszawie, gdzie, jak wieść głosi, majątek przez synów zaplątany silną znów odzierzał prawicą i rozplątuje. – Biedni ludzie! tak poświęceni rublom, tak oddani ciałem i duszą rublom; niewdzięczne, chytre, obłudne ruble, co się nie chcą garnąć do ich rąk podług ich życzeń! *Per Dio*³, Pułkowniku! lepiej zdechnąć na słomie i umierając ubogiemu rzucić grosz ostatni lub psa przywiązanego przycisnąć do piersi niż tak przez całe życie żyć na straży kufra, męczyć się o pieniądze, jakby każda sztuka srebra była drogą kochanką lub wzniosłą ideą. Cóż to jest ten świat i jego blichtry, by tak przywiązywać się do niego i do nich? Czyż wcześniej lub później nie przyjdzie dymisja bez pozwolenia noszenia munduru,

¹ Chodzi o list z 10 lipca 1836 roku, poprzedni, pisany do Genewy, zaginął.

² Tzn. więzienia lub zesłania po powrocie do Królestwa Polskiego.

³ Na Boga!

a wtedy na co się zdadzą te wszystkie haftki, ordery, galony, guziki? Pieniądze na to tylko się zdały, by drugim je dawać, tak samo jak rozum. Rozum w mózgu zawarty jest głupstwem, pieniądze w kiesce są świństwem. Nie rozumiem, by człowiek mógł być szczęśliwy przez używanie, przez własną rozkosz. Drugich tylko rozkosz jest szczęściem na świecie. Co mi po kobiecie, która by nic nie czuła, tylko na której ja bym deszarżował? Jej rozkosz mi jest szczęściem, a moja być jej szczęściem powinna. Tak samo z bogactwem! Zobaczysz, że ta cała familia wcześniej czy później dojdzie do głębokiego stopnia podłości. Przekwitną oni wszyscy na sercu i rozumie, nigdy chwili błogiej uniesienia mieć nie będą. Zostaną hipokrytami i lichwiarzami, skąpstwo nazwą porządkiem, egoizm poświęceniem i ten kawał mięsa, co bije w ich piersiach, zamieni się na suchą wędlinę! Nieszczęście każdego człowieka czeka, który nie ma lub zatraci serce w sobie! Darmo on będzie rozumnym. Rozum jest rzecz wielka, ale martwa, jest to pocisk, ale łuk, ale cięciwa to serce. Nieszczęściem naszego wieku jest brak serca. We wszystkim to się pokazuje. Ludzie dziś żywych istot zapomnieli kochać: Boga i kobiety nie umieją, ale za to pieniądze, rozpustę, metafizykę i sofizma kochają. Szkielet jest, ale piękność uleciała.

Salvanus dziękuje Ci tysiąc razy za pamięć i tysiąc razy na dzień wspomina, że mu tak żal, iż Ciebie nie obaczy już tej zimy ani g[enera]ła Aleksandra⁴. Danielewicz już wygrał z 3000 franków, przypomina się Tobie. Jam się zgrał, z czegoś kontent, to dowodzi, że muszę być szczęśliwy na brzegach Morza Czarnego⁵. *Addio*, mój drogi, napiszę do Ciebie z Pragi.

Zyg. Kr.

1836, Kissingen, 13 lipca

Zygmunt Krasiński, *List do Adama Sołtana z 13 lipca 1836*, w: tenże, *Listy do Adama Sołtana*, opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1970 [1836], s. 95–96.

⁴ Chodzi prawdopodobnie o Aleksandra Potockiego, żartobliwie nazwanego tu generałem. W czasie powstania listopadowego był dowódcą 5 pułku strzelców konnych.

⁵ Tzn. kochany przez Joannę Bobrową, bawiącą wówczas w Odessie.

Na com liczył? (*Do siebie*)

Michaił Lermontow

Kiedym wbrew sercu postanowił
Już jej nie kochać – na com liczył?
Kres wyznaczyłem bezkresowi,
Miłość bez granic – ograniczył.

Na jedną chwilę, przeniewierca,
Wzgardziłem straszną jej potęgą
I dowód mam, że pragnień serca
Nie wstrzymasz wolą ni przysięgą.

Że nic mym więzom nie podoła,
A spokój, który mnie dziś mam,
To głos przelotny – pieśń anioła
Nad uśpionymi demonami.

Michaił Lermontow, *Do siebie*, przeł. Julian Tuwim, w: Julian Tuwim, *Z rosyjskiego*, t. 1, przedmowa Seweryn Pollak, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1954 [1830 lub 1831], s. 357.

**Żeby nie być znękanym niewolnikami
Czasu (*Paryski Splin*, fragment)**

Charles Baudelaire

Trzeba być wciąż pijanym. To cały sekret; w tym tkwi wszystko. Żeby nie czuć straszliwego ciężaru Czasu, który miażdży wam barki i zgina grzbiet ku ziemi, musicie wciąż się upijać.

Czym? Winem, poezją albo cnotą, wedle upodobania. Byle się upić.

A jeśli kiedyś, ocknąwszy się na stopniach jakiegoś pałacu, na zielonej trawie skarpy, w ponurej samotni waszego pokoju poczujecie, że upojenie osłabło lub przeszło, spytajcie wiatru, fali, gwiazdy, ptaka, zegara, wszystkiego co pędzi, wszystkiego co wzdycha, wszystkiego co krąży, wszystkiego co śpiewa, wszystkiego co mówi, spytajcie, która godzina; a wiatr, fala, gwiazda, ptak, zegar odpowiedzą: „Jest godzina pijaństwa! Żeby nie być znękanym niewolnikami Czasu, upijajcie się; upijajcie się bez przerwy! Winem, poezją albo cnotą, wedle upodobania”.

Charles Baudelaire, *Paryski splin*, przeł. i koment. opatrzył Ryszard Engelking, Gdańsk: Wydawnictwo Słowo/obraz terytoria, 2008 [1869], s. 122.

Być niezdolnym do gromadzenia kapitałów (*Gracz, fragment*)

Fiodor Dostojewski

Wysłuchawszy o mojej przegranej, Francuz jadownicie, a nawet ze złością zauważył, że powinienem być być rozsądniejszy. Nie wiem, dlaczego dodał, że chociaż wielu Rosjan grywa, ale, jego zdaniem, Rosjanie nawet do gry nie są zdolni.

– A moim zdaniem, ruletka jest właśnie jakby stworzona dla Rosjan – powiedziałem. I gdy Francuz na moje słowa uśmiechnął się pogardliwie, zwróciłem mu uwagę, że słuszność jest z pewnością po mojej stronie, dlatego że mówiąc o Rosjanach jako o graczach, bardziej ich potępiam niż chwale, a więc widocznie można mi wierzyć.

– Na czym więc opiera pan swoje mniemanie? – zapytał Francuz.

– Na tym, że do katechizmu cnót i zasług cywilizowanego człowieka Zachodu weszła historycznie i omalże jako punkt najważniejszy zdolność gromadzenia kapitałów. A Rosjanin nie tylko nie jest zdolny do gromadzenia kapitałów, lecz nawet pozbywa się ich jakoś jawnie i nieprzyzwoicie. Niemniej Rosjanom pieniądze są również potrzebne – dodałem – a co za tym idzie, jesteśmy bardzo radzi takim okazjom, jak na przykład ruletka, gdzie można wzbogacić się nagle, w ciągu dwóch godzin, bez pracy. To nam bardzo dogadza; a ponieważ gramy ot tak, bez wysiłku, więc przegrywamy!

– To po części słuszne – zauważył z zadowoleniem Francuz.

– Nie, to nie jest słuszne, i niech się pan wstydzi w ten sposób odzywać o swojej ojczyźnie – surowo i z naciskiem zauważył generał.

– Ależ panie generale – odpowiedziałem – przecież doprawdy nie wiadomo jeszcze, co brzydsze: czy rosyjska lekkomyślność, czy niemiecki sposób zdobywania pieniędzy uczciwą pracą.

– Co za niedorzeczna myśl! – zawołał generał.

– Jaka to rosyjska myśl! – zawołał Francuz.

Śmiałem się, okropnie chciałem ich rozzłościć.

– A ja wolę całe życie przekoczować w kirgiskim namiocie – zawołałem – niż kłaniać się niemieckiemu bałwanowi.

– Jakiemu bałwanowi? – zawołał generał, wpadając już naprawdę w gniew.

– Niemieckiemu sposobowi zdobywania majątku. Jestem tu niedługo, jednak to, co tu zdążyłem zauważyć i zbadać, wprawia w stan wrzenia moją tatarską krew. Słowo daję, nie chcę takich cnót! Zdążyłem tutaj wczoraj obejść okolicę na dziesięć wiorst dookoła. No, kubek w kubek to samo, co w niemieckich pouczających książeczkach z obrazkami: w każdym domu jest tu wszędzie własny *fater*, okropnie cnotliwy i niesłychanie uczciwy, tak uczciwy, aż strach podejść do niego. Nie mogę znieść ludzi uczciwych, do których strach podejść. Każdy taki *fater* ma rodzinę i wieczorami wszyscy czytają na głos pouczające książki. Nad domkiem szumią wiązy i kasztany. Zachód słońca, bocian na dachu i wszystko niezwykle poetyczne i wzruszające... Niechże się pan generał nie gniewa i pozwoli mi opowiedzieć jak najbardziej wzruszająco. Sam pamiętam, jak mój nieboszczyk ojciec tak samo czytał na głos wieczorem pod lipami w ogródku podobne książki... Sam mogę więc o tym sądzić, jak należy. A więc każda taka tutejsza rodzina jest w całkowitej niewoli i zależności od *fatera*. Wszyscy pracują jak woły i wszyscy duszą pieniądze jak Żydzi. Dajmy na to, że *fater* uciułał już tyle a tyle guldenów i liczy na starszego syna, chcąc mu przekazać rzemiosło albo ziemię; z tego powodu córka nie otrzymuje posagu i zostaje starą panną. Z tego samego powodu młodszego syna sprzedają prawie w niewolę albo do wojska, a pieniądze dodają do domowego kapitału. Naprawdę, tak się tutaj robi; rozpytywałem. Wszystko to się dzieje nie inaczej, tylko przez uczciwość, i to taką, że nawet młodszemu synowi, sprzedanemu, wierzy, że sprzedano go tylko z uczciwości, a to przecie ideał, kiedy sama ofiara się cieszy, że ją prowadzą na zarznięcie. Cóż dalej? Ano i starszemu synowi również nie jest źle: ma on tam swoją Amalchen, którą kocha, ale ożenić się nie może, bo jeszcze nieuciulane tyle a tyle guldenów. Więc też czekają, poczciwie i szczerze, i z uśmiechem idą na zarznięcie. Amalchen zapadają się policzki, schnie. Wreszcie, po dwudziestu latach majątek się powiększył; guldeny uczciwie i cnotliwie zostały uciułane.

Fater błogosławi czterdziestoletniego starszego syna i trzydziesto-pięcioletnią Amalchen z wyschniętą piersią i czerwonym nosem... Przy tym płacze, prawi morały i umiera. Ze starszego syna robi się cnotliwy *fater* i zaczyna się znów ta sama historia. A po latach pięćdziesięciu albo siedemdziesięciu wnuk pierwszego *fatera* naprawdę zbija poważny kapitał i oddaje go swojemu synowi, ten swojemu, i po pięciu albo sześciu pokoleniach zjawia się sam baron Rothschild¹ albo Hoppe et Comp.² czy tam diabli wiedzą kto. No, czyż to nie wspaniałe widowisko: stuletnia albo dwóchsetletnia praca dziedziczna, cierpliwość, rozum, uczciwość, charakter, siła woli, wyrachowanie, bocian na dachu! Któż by pragnął czegoś więcej, przecież już nie ma nic wyższego ponad to i z tego punktu widzenia oni zaczynają sądzić cały świat, i winnych, czyli choćby odrobinę do nich niepodobnych, chcą natychmiast karać śmiercią. A więc o co mi chodzi: wolę ja już hulać sobie po rosyjsku albo bogacić się na ruletce. Nie chcę być Hoppe et Comp. po pięciu pokoleniach. Pieniądze są mi potrzebne dla mnie i nie uważam siebie za konieczny dodatek do kapitału. Wiem, że strasznie dużo głupstw nagadałem, ale niech już tak będzie. Takie jest moje zdanie.

– Nie wiem, czy wiele jest prawdy w tym, co pan mówił – zauważył generał w zamyśleniu – ale wiem z pewnością, że pan zaczyna nieznośnie szarżować, jeżeli panu pozwolić trochę się zapomnieć... Swaim zwyczajem, nie skończył. Jeżeli nasz generał zaczynał mówić o czymś, co było choć trochę istotniejsze niż zdania wypowiedane w zwykłej, codziennej rozmowie, zazwyczaj nie kończył. Francuz słuchał z lekceważeniem, trochę wybałuszając oczy. Nic prawie z tego nie zrozumiał, co mówiłem.

Fiodor Dostojewski, *Gracz*, przeł. Władysław Broniewski, w: tenże, *Dzieła wybrane*, t. 1, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1984 [1866], s. 890–892.

¹ Zob. przyp. 5 na s. 117.

² Dom handlowy w Londynie i w Amsterdamie.



Nieobliczalność



Wartość jest niczym innym jak ruchem ducha
(Literatura słowiańska, fragment)

Adam Mickiewicz

Nadmieniłem ostatnio, że przez doktrynerów zatracono w ekonomii politycznej nawet pojęcie wartości (*valeur*). Co to jest wartość? Powiadają: jest to ilość rzeczy, którą można otrzymać w zamian za coś; z czego wynika, że jeśli nie mam zbytu, nie mam i wartości. Nie przytaczam innych definicji; o wartości rzeczy stanowi raz moda czasowa, to znów praca, to wreszcie coś niezbyt wiadomego. Gdyby jednak sięgnięto do języka pospolitego, który jest tak prawdziwy, znalazłoby się rychło rzeczywistą definicję wyrazu: wartość. Co lud ma na myśli mówiąc: człowiek pełen wartości? Uznaje w tym człowieku wartość moralną, *virtus* Rzymian, a także dzielność wojсковą. Jakoż to jedyna wartość rzeczywista, a zarazem źródło wszelkich wartości materialnych. Zaraz tego dowiodę, a mam ważkie przyczyny, by tego dowieść. Wartość, definiuje Boiste¹, to **energia działania**. Energia pochodzi z ducha, wyłania się z jestestwa wewnętrznego; każdy zatem jego ruch stanowi wartość. Ruch ten zastosowany do ziemi, jako praca rolnicza, nadaje wartość ziemi; zastosowany do wynalazków, odkryć, daje im względną wartość (o ile wszelako ta praca wykonywana jest zgodnie z wolą Bożą, bywają bowiem, o czym ekonomiści nie wiedzą, prace fałszywe; na przykład gdyby kto w chwili, kiedy się waży byt lub niebyt jego narodu, zajmował się budowaniem machin, praca jego byłaby fałszywa i nie miałaby błogosławieństwa niebieskiego). Ta wartość wewnętrzna wytwarza obraz, który może niekiedy mieć cenę miliona. Dzieła Waltera Scotta wniosły w obieg wiele milionów. Ta wartość wreszcie, jako dzielność wojсковa, daje jednemu ludowi władzę nad innymi, a zarazem nad wszystkimi wartościami, jakie te ludy przedstawiają. Słowem, to jest wartość w najpełniejszym

¹ Pierre-Claude-Victor Boiste (1765–1824) redaktor wydanego po raz pierwszy w 1800 roku *Dictionnaire universel de la langue française*.

znaczeniu: naród dzielny staje się panem wartości ekonomicznych. Wartość jest tedy niczym innym jak ruchem ducha i w istocie swej wyobraża wszystko, co pobudza ruch ducha.

Kiedy dusz naszych nie mogą pobudzić ludzie, wówczas podejmuje się tego natura; a więc i ona posiada wartość. Krajobrazy mają wartość, o czym nie wiedzą ekonomiści. Można znaleźć wartość w pięknym położeniu miejsca, bo ono pobudza naszą duszę; w Szwajcarii szacuje się miejscowości wedle ich mniej lub więcej malowniczego położenia. Skąd pochodzi wartość diamentu? Stąd, że posiada on tajemniczą moc: jego widok wywołuje w nas drgnięcie. Teatr ma wielką wartość. Powtarzam: wartość człowieka, podniesiona do wyższego stopnia energii, czyni go panem wartości innych ludzi. Mówię to z przyczyny, że ocenia się błędnie ludy słowiańskie i że niepodobna znać wartości jakiegoś ludu, nie mając miary jego duszy.

Największą wartością, jaka istnieje w narodzie, jest jego świątynia, jego ołtarz; stamtąd bowiem może on czerpać, może brać największy zasób siły, która go pobudza do czynu. Tak jest, wartość całego globu może być reprezentowana w jednym człowieku: wartość całego globu! Posłużę się językiem ludzi praktycznych, machinistów: Co Chrystus Pan przedstawiał w swej osobie? Przedstawiał, jeśli mamy zniżyć się do tego, by przemawiać do materialistów, przedstawiał wartość wszystkich klasztorów, które założono później dla oddawania mu czci, wartość wszystkich zamków średniowiecznych, wartość wszystkich ziem zdobytych na Saracenach: wartości niewymierne! A zatem, jeśli to duch jest wartością, wartość ową nadaje Bóg i to jest jedyna wartość rzeczywista.

Adam Mickiewicz, *Literatura słowiańska. Kurs czwarty* (wykład 1x z 12 marca 1844), w: tenże, *Dzieła*, t. 11, Warszawa: Czytelnik 1998 [1844], s. 114–116.

**Kto z nas umysł swój potnie w myśl praw
geometrii? (Preludium, fragment)**

William Wordsworth

[...] Lecz kto z nas
Umysł swój potnie w myśl praw geometrii,
Jakby prowincję – w koła i kwadraty?
Któż umie wskazać godzinę, o której
Pierwsze nasienia nawyków mu wsiano?
Któż zdoła wskazać, jak różdżką, powiedzieć:
„Ta cząstka rzeki mojego umysłu
Z tych źródeł płynie?” Tyś, mój Przyjacielu,
We własnych myślach ocytany głębiej;
Naukę widzisz tym, czym jest naprawdę:
Nie chwałą naszą i chlubą bezwzględną,
Ale namiastką jakąś i podporą
Dla naszych kalectw. Tyś nie jest niewolnik
Tej drugorzędnej i fałszywej władzy,
Która nam, słabym, tworzy rozróżnienia,
Aż bierzem błahe granice za rzeczy
Przez nas widziane, a nie wymyślone.
Tobie, którego nie zaślepia pozór,
Jedność wszystkiego była objawiona,
I będziesz wątpić wraz ze mną, mniej zdolnym
Niż wielu innych, by pod szkłem układać
Własne wrażenia i w zdaniach okrągłych
Prawić początek każdego i dzieje,
Jakby odrębnej rzeczy, niezależnej.
Analizować trudno duszę, w której,
Oprócz nawyków i pragnień ogólnych,
Każda szczególna myśl najoczywistsza,

Nie w jakimś pustym znaczeniu, mistycznym,
Ale zważona słowami rozumu,
Początku nie ma. [...]

William Wordsworth, *Preludium*, w: *Angielscy „poeci jezior”*, wybrał, przełożył, wstępem i objaśnieniami opatrzył Stanisław Kryński, Wrocław-Warszawa-Kraków: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1963 [1850], s. 145–146.

Rozwiązanie mnogości przez jedność (*Genesis z Ducha, fragmenty*)

Juliusz Słowacki

Każde **drzewo** jest wielkim rozwiązaniem matematycznego zadania, tajemnicą liczby, która w niedoskonalszych roślinach przez parzyste, w postępowych zaś przez nieparzyste ilości postępując, w drzewie całym rozwiązuje się **jednością**. Uczucie to wewnętrzne rozwiązania mnogości przez jedność jest pierwszym zadaniem roślinnego ducha, rozkoszą jego wewnętrzną i zadowoleniem. Ta pierwsza barwa, którą dziś na drzewach widzimy, jest logiczną, jest bowiem wynikiłością żółtego światła, którym się karmią rośliny, w pomieszaniu z powietrzem błękitnym i wodą... Jakoż dwa te kolory atmosferyczne, skondensowane i zbite w tkankę roślinną, utworzyły duchowi drzew oną pierwszą szatę, one to szmaragdowe płaszcze i włosy, odmalowane już w księgach Mojżeszowych przez liść figowy, z którego sobie człowiek pierwsze robi odzienie.

Nieobojętny więc, o Panie, jest mi kolor każdy i kształt listka każdego, albowiem odkrywa mi ducha naturę i pracę mi własną niegdyś w roślinie odbytą opowiada... Każdy ząbek listka wiem, co znaczy – każdym się bowiem kształtem duch mój z pracy swojej wytłumaczył...

I tak, jeżeli wytknę drogę złemu a pełnemu sił duchowi, który rozpacznie walczy z wichrem morskim, zwycięża opar elementów, idzie w górę i znów oporem zwyciężony wraca i skupia się, aby znów mocą w sobie zebraną wystrzelił w górę i odparł elementów przewagę – jeśli ten jego pod ostreimi kątami zygzak, około linii, prosto idącej do celu, dwa razy odrysuję, będę miał liść kolczasty **ostu**, bladeść jego i rysunek niby drogi złego a mocnego ducha, który w tej roślinie, pod bodącemi kątami, na zdobycie formy pracował.

Jeżeli duch ten, nie zły, ale silny i większą mocą opierający się naturze wyobrażę, to mi da zaokrąglone po obu stronach liścia

dębowego wykąty, w których duch okrągło ugina się przed siłą elementów i podnosi moce swoje niby fala morską z powagą i mocą.

Jeżeli zaś duch, z małą siłą i z małym też oporem świata walczący, ścieżeczkę mi swoją około linii środkującej opisze, obaczę listek **krzewu różanego**, oząbkowany drobno, i pomyślę, iż to jest duch, w którym nie jad węża, nie siła dębu, ale własność lekka piękności, a może już jej uczucie, po raz pierwszy rodziło się na świecie.

A taką jest dziś droga ducha człowieka, jaka była przed wiekami ścieżka przezeń wybita, gdy szedł do celów ostatecznych liściem rośliny.

O! jak cudownie, o! Boże mój, w tych pierwszych usiłowaniach duchy roślinne tworzyły formy, które się miały potem powtórzyć w organizacji świata, z których niektóre stały się chwałą dziś wymyśłu ludzkiego. Oto **stokroć**, jednym się kwiatkiem wydaje, w rzeczy zaś samej jest **narodem** kwiatków, osadzonych w jednym kielichu, rządzone przez jednego zapłodnika, jest narodem, którego szrodek zajmują kwiaty **obywatele**, albowiem pracują i radzą, a brzegów strzegą listki białe, bezpłciowe, niby wojsko hilotów. O! Panie, patrząc na ten pierwszy dziw twórczego ducha, już widzę, że ten sam duch w postępczej pracy rój pszczoli, krolestwo pszczelne, niewołą ula i rząd w nim krolewski zaprowadzi; że to samo w stadach ptaków powtórzy, że nareszcie formą podobną objawi się między ludźmi, nie wiedząc, iż myśl pierwsza związku i rządu w roślinnej się pracy poczęła i przez łańcuch form przechodząc, musiała się rozwinąć w ludzkiej naturze.

[...]

Oto niekiedy duch, zażądawszy nowej formy i organizacji – wymówił sobie **małą**, a najczęściej kolorem tylko odznaczoną **różnicę** w indywidualiach. Niektóre z kwiatów i zwierząt zachowały sobie, że tak rzekę, przez konstytucyjną u Boga wydartą koncesję, różnicę szerści i barwy. Bóg żądania duchów nie odrzucił, ale niepełność ofiary ukarał słabością ducha niezjednostkowanego w jednej i pewnej formie; kwiaty albowiem takie są najczęściej bez owocu, a ptaki i zwierzęta poszły na służbę domową i u wyższych

duchów zażądały opieki. – Kot ofiarowawszy Panu tę jedną drobnostkę, panem jest pustyń – tygrysem... A my, o Panie, skoroś od-damy to wszystko, co nas niepodobnemi Chrystusowi uczyniło, do jakiejże godności i potęgi zostaniemy podniesieni w świętej h[ie]rarchii Słowa Twego?

Lecz oto Ty, Panie, na duchach nawet, które zdały się w niewolę zaprzędane, położyłeś dłoń łaski Twojej szczególnej i opieki. Arab zbliżony do konia, wykształcając w nim ducha szlachetności i odwagi – jest mu niby ojcem wyzwolenia; a pasterz, z psem siedzący na polu, podnosi do siebie i wyzwala ducha pokory i wierności... W tej tajemnicy – kryje się cała historia egipskiego Józefa, który mizerniejszy od braci, i na służbę skazany, staje się potężniejszym w zaprzędaniu i wychodzi na dobroczyńcę własnej rodziny.

Widzę także, o Panie, że na rzadkie dziś w ludziach cnoty, rzadkie znajdują się przygotowawcze formy w dawnych królestwach stworzenia, a to mi jest świadectwem, żeśmy ci sami w duchu, którzyśmy te formy dawniej tworzyli... Oto na cnotę pracowitości w ludziach, pracował duch w mrówkach, w pszczołach i w całej niezliczonej liczbie zwierząt domowych, gdy przeciwnie, rzadki bohaterski duch szlachetności i mocy, rzadką miał lwa formę lub pierś orła rozkochaną w burzach i w piorunach.

Juliusz Słowacki, *Genezis z Ducha*, w: tenże, *Dzieła*, pod red. Juliana Krzyżanowskiego, t. 10: *Pisma prozą*, oprac. Władysław Floryan, Wrocław: Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, 1949 [1871], s. 183–189.

Do Całości – jak można coś dodać?

Emily Dickinson

Do Całości – jak można coś dodać?
Czy za „Wszystkim” w inny Region wkraczamy?
Ostateczność czy ma Ciąg Dalszy?
O, Uzupełnień Balsamy!

Emily Dickinson, *Do Całości – jak można coś dodać?*, w: *taż, 100 wierszy*,
przeł. Stanisław Barańczak, Kraków: Arka, 1990 [1945]¹, s. 117.

¹ Wiersz napisany około 1875, wydany w 1945.

SPIS ILUSTRACJI



1. Joseph Wright, *Przedzalnica Arkwrighta nocą*, 1782, Derby Museum and Art Gallery
2. *Królewski Parowiec pocztowy na zachodnie Indie „Tyne”* rysunek z „Illustrated London News”, 1857, Wellcome Collection
3. Okładka książki Edwarda S. Ellisa *The Steam Man of the Prairies*, 1868
4. Gustave Doré, *Pierwsze wejście na Matterhorn*, 1865
5. Theodor von Holst, *Karta tytułowa* z powieści *Frankenstein* Mary Shelley, 1831
6. Grandeville, *System Fouriera*, 1844, w: *Un autre monde*, Boston Public Library
7. Ilustracja doświadczeń włoskiego lekarza Luigiego Galvaniego, podczas których próbował zastąpić elektryczność impulsu nerwowego impulsem zewnętrznym. Z pracy tej korzystała Mary Shelley podczas pisania *Frankenstein*; L. Galvani, *De Viribus Electricitatis in Motu Musculari*, 1792
8. Bertall, *Wielkie Rondo Cyrkla Podziałowego*, 1846. Ilustracja z książki Émile’a Souvestre’a *Le Monde tel qu’il sera*
9. Bertall, *Nos na miarę*, 1846. Ilustracja z książki Émile’a Souvestre’a *Le Monde tel qu’il sera*
10. Bertall, *W rękach urzędników odtłuszczaczy*, 1846. Ilustracja z książki Émile’a Souvestre’a *Le Monde tel qu’il sera*
11. Bertall, *Uczniowie chowani pod kloszem*, 1846. Ilustracja z książki Émile’a Souvestre’a *Le Monde tel qu’il sera*
12. Strona tytułowa *Report on Child Labour*, 1842, British Library
13. Plan ładunkowy statku niewolników „Brookes”. Dzięki maksymalnemu wykorzystaniu przestrzeni na tym niezbyt dużym okręcie można było pomieścić 452 niewolników. Każdemu dorosłemu człowiekowi przydzielono zaledwie 182 cm na 41 cm miejsca do leżenia oraz 80 cm przestrzeni pomiędzy kolejnymi warstwami ludzi. Niewolnicy robotnicy leżeli w ten sposób przez długie miesiące podróży na Karaiby, Thomas Clarkson, *The History of the African Slave-Trade*, tom 2, 1808

14. William Turner, *Statek niewolniczy*, 1840, Museum of Fine Arts w Bostonie
15. Afrykanie wyrzucani za burtę z niewolniczego statku, Brazylia. Drzeworyt pierwotnie opublikowany w „The Liberator”, amerykańskiej gazecie abolicjonistycznej, 1832, The Library of Congress
16. Reklama 94 niewolników z Afryki Zachodniej wystawionych na sprzedaż w Charleston, 1796
17. John Colomb, *Federacja imperialna, Mapa świata ukazująca potęgę Imperium Brytyjskiego*, 1886, Boston Public Library Norman B. Leventhal Map Center
18. Gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskim przy ul. Kredytowej 1 w Warszawie, XIX wiek, za: A. Jeżewski, *Warszawa na starej fotografii*, Warszawa 1960, s. 119
19. Bank Polski w Warszawie, XIX wiek
20. Rządowa Komisja Przychodów i Skarbu, przy pl. Bankowym, XIX wiek. W latach 1829–1831 w Komisji jako aplikant pracował Juliusz Słowacki
21. Thomas Talbot Bury, *Giełda*, 1829. Ilustracja z L. T. Ventouillac, Augustus Pugin, *Paris and its Environs*, Londyn, 1829
22. Edgar Degas, *Giełda*, ok. 1878–79, Musée d'Orsay, Paryż
23. Honoré Daumier, *Robert se répand dans les groupes en colportant des nouvelles...*, plate 29 for Caricaturana (Robert-Macaire Boursier), 1837, Museum Purchase: Ella M. Hirsch Fund
24. Norwid Cyprian Kamil, *Kapitalista*, XIX wiek, w: *Pisma Zebrane*, t. 5, Warszawa 1911, s. 144–145
25. Bertall, *Uwielbienie jedyne Boga*, 1846. Ilustracja z książki Émile'a Souvestre'a *Le Monde tel qu'il sera*
26. Bertall, *Interes zajmuje miejsce miłości*, 1846. Ilustracja z książki Émile'a Souvestre'a *Le Monde tel qu'il sera*
27. Bertall, *Serce staje się towarem*, 1846. Ilustracja z książki Émile'a Souvestre'a *Le Monde tel qu'il sera*
28. Octave Penguilly L'Haridon, *Ludźcy niewolnicy maszyny*, 1846. Ilustracja z książki Émile'a Souvestre'a *Le Monde tel qu'il sera*
29. Bertall, *Potrójnie pożyteczna przechadzka*, 1846. Ilustracja z książki Émile'a Souvestre'a *Le Monde tel qu'il sera*
30. Robert Jacob Hamerton, *Kapitał i praca*, karykatura z magazynu „Punch”, 1843

31. Henry Wallis, *Śmierć Chattertona*, 1856, Tate Britain. Obraz przedstawia śmierć siedemnastoletniego Thomasa Chattertona, angielskiego poety okresu wczesnego Romantyzmu, który w roku 1770 zażył śmiertelną dawkę arszeniku. Historia Chattertona stała się inspiracją dla wydanego i wystawionego w 1835 roku dramatu Alfreda de Vigny (por. w tym tomie s. 176–179). Chatterton, który nie potrafił dostosować się do nowych warunków ekonomicznych, stał się symbolem kondycji pisarza w epoce rodzącego się kapitalizmu
32. Manchester (*Cottonpolis*), ok. 1840
33. Gustave Doré, *Londyn Edwina Drooda*, 1869. Ilustracja przygotowana do powieści Charlesa Dickensa *Tajemnica Edwina Drooda*, 1870, British Library
34. D. O. Hill, *Zakłady Chemiczne St. Rollox*, 1831
35. *Młyny parowe*, Bankside, Anglia, ok. 1800. Budowę młynów zakończono w 1786 roku, ale już w 1791 roku fabrykę zniszczył słynny pożar. Albion Flour Mills wykorzystywał silnik parowy Matthew Boultona i Jamesa Watta, zdolny zmielić 6000 buszli mąki tygodniowo
36. Samuel William Fores, *Pożar z pożytkiem dla biednych lub ku hańbie Anglii*, 1791
37. Charles Ellms, *Tragedia mórz*, 1841, The Library of Congress
38. Okładka broszury reklamowej tabletek Peps na kaszel i przeziębienie powodowanych przez smog. Personifikacja śmierci unosi się nad miastem jako chmura zanieczyszczeń, przed którą uciekają mieszkańcy, 1913, Wellcome Library
39. *Stary Król Węgiel i Demon Mgła*, kreskówka przedstawiona w „Punch”, 1880, Universität Heidelberg
40. Detal z poprzedniego rysunku z wyliczeniem niektórych z pośród śmiertelnych chorób, jakie może przynieść zanieczyszczona mgła w Londynie: opłucna, zapalenie płuc, zapalenie oskrzeli i astma, „Punch”, 1880, Universität Heidelberg
41. *Postaci znikające w kłębach dymu*, rysunek wydrukowany w „Punch”, 1853, Universität Heidelberg
42. *Ważne spotkanie producentów dymu*, rysunek wydrukowany w „Punch”, 1853, Universität Heidelberg
43. *Jedyny zrównoważony rozwój gospodarczy to gospodarczy odwyk*, graffiti, plac Defilad, Warszawa, XXI wiek

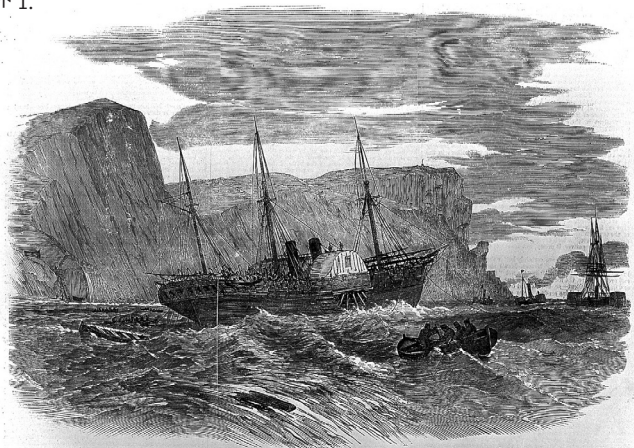
44. Ilustracja przedstawiająca dwóch mężczyzn niszczących maszyny w 1812 roku, wydrukowana w czasopiśmie „Penny”, 1844. Niszczenie maszyn od roku 1721 było w Wielkiej Brytanii przestępstwem karnym zsyłką do kolonii. W wyniku nasilających się walk przeciwko maszynom parlament w 1812 roku uchwalił prawo, według którego to przestępstwo miało być karane śmiercią
45. *Lider Luddytów*, rysunek z 1812, Working Class Movement Library
46. Walter Crane, karta tytułowa do *Wieści z nikąd* Williama Morrisa, 1890
47. Walter Crane, *Triumf pracy*, 1891, Beinecke Rare Book and Manuscript Library, Yale University
48. Victor Considérant, *Falanster*, 1858, w: *Description du phalanstère et considérations sociales sur l'architecture*
49. Karta tytułowa powieści *Walden* Henry'ego Davida Thoreau, 1854
50. *Bądźmy realistami, żądajmy niemożliwego*, słynne hasło maja 1968, mur wzdłuż Sekwany
51. Grandeville, *System Fouriera*, 1844 w: *Un autre monde*, Boston Public Library

ILUSTRACJE

- 1 Kończyny coraz dłuższe, ale wolność ducha
Utracona na zawsze, a ta organiczna matryca
Jakże radosna w swych poruszeniach, niewrażliwa się
Stała, ku radości swych własnych martwych poruszeń
(W. Wordsworth, *The Excursion*)



↑ 1.

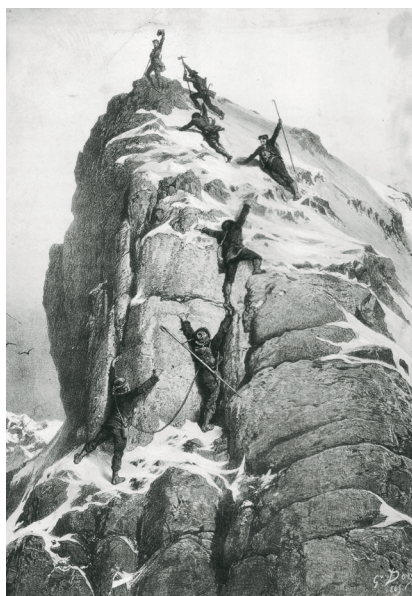


↑ 2.

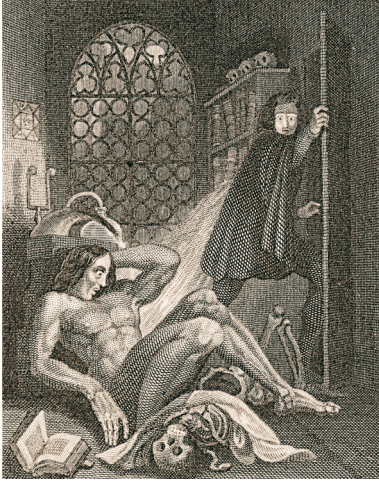
2-7 Myśl, co pod czaszką twą gorze
zdobyła ziemię i morze!
(Mefistofeles do Fausta, J. W. Goethe, *Faust*)



↑ 3.



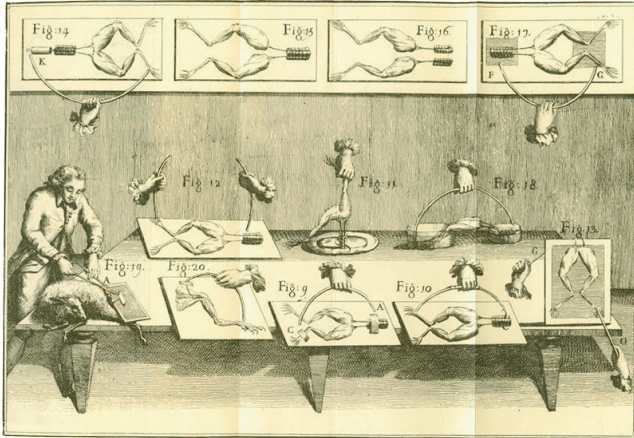
↑ 4.



↑ 5.

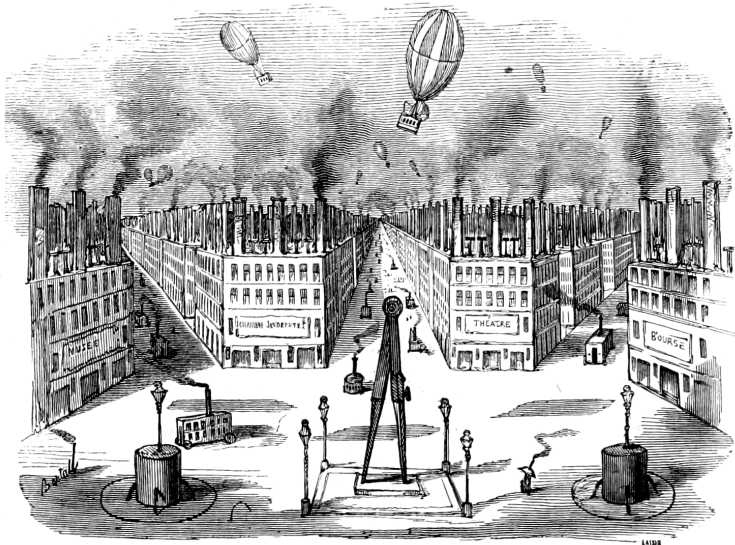


↑ 6.



↑ 7.

- 8-10 Zdaje się nam, że te nauki na to tylko są wymyślone, aby podawały sposobność ciągnięcia jak największych korzyści z tych sił, którymi działa przyrodzenie, z tych własności, którymi tak hojnie wszystkie uposażyło jestestwa.
(M.Mochnacki, *O literaturze polskiej w wieku XIX*)



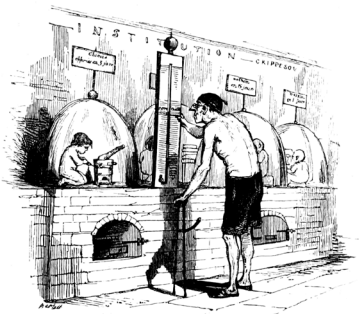
↑ 8.



← 9.

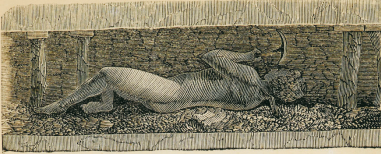


← 10.



← 11.

England - Commissioners for inquiring into the Employment and Condition of children in Mines and Manufactories. 21



COLLIERS PICKING THE COAL.

CONDITION AND TREATMENT

OF 1509/353.

THE CHILDREN

EMPLOYED IN THE

MINES AND COLLIERIES

OF

THE UNITED KINGDOM.

CAREFULLY COMPILED FROM THE APPENDIX TO THE FIRST REPORT OF THE COMMISSIONERS APPOINTED TO INQUIRE INTO THIS SUBJECT.

WITH

COPIOUS EXTRACTS FROM THE EVIDENCE,

AND

Illustrative Engravings.

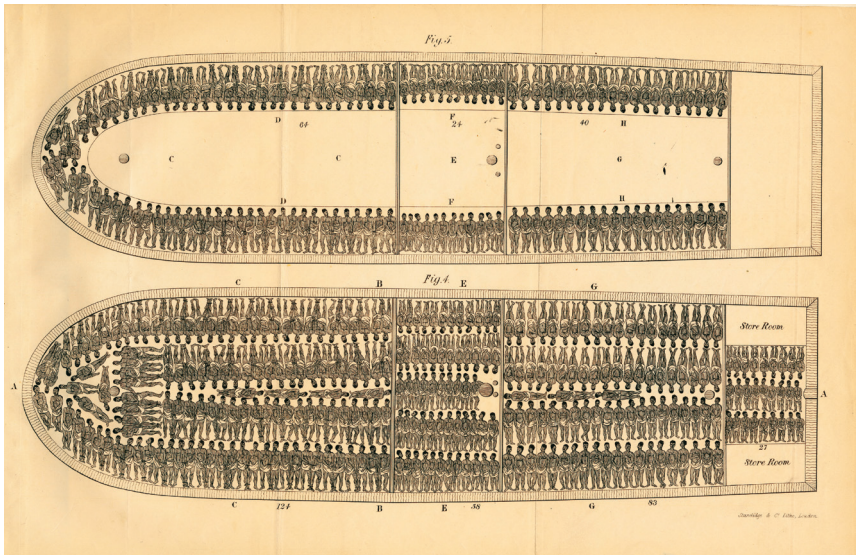
LONDON:

WILLIAM STRANGE, 21, PATERNOSTER ROW,

AND ALL BOOKSELLERS.

1842.

- 13-17 (...) wolność oświeceniowi myśliciele uważali za najwyższą uniwersalną wartość polityczną. Niemniej metafora ta zaczęła przyjmować się dokładnie w tym samym czasie, kiedy niewolnictwo jako praktyka gospodarcza – bardzo złożony, kapitalistyczny system zniewolenia nie-Europejczyków jako siły roboczej w koloniach – obejmowało coraz większą liczbę ludności i nasilało się do tego stopnia, że od połowy XVIII wieku stało się gwarantem całego systemu gospodarczego Zachodu, paradoksalnie ułatwiając szerzenie na całym świecie tych samych ideałów oświecenia, które były jego fundamentalnym zaprzeczeniem. (S.Buck-Morss, Hegel, *Haiti i historia uniwersalna*)



↑ 13.



↑ 14.



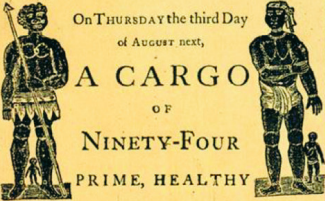
← 15.

Charlestown, July 24th, 1769.

TO BE SOLD,

On THURSDAY the third Day
of AUGUST next,

A CARGO
OF
NINETY-FOUR
PRIME, HEALTHY



NEGROES,
CONSISTING OF
Thirty-nine MEN, Fifteen BOYS,
Twenty-four WOMEN, and
Sixteen GIRLS.
JUST ARRIVED,
In the Brigantine *DEMBIA*, *Francis*
Bare, Master, from SIERRA-
LEON, by
DAVID & JOHN DEAS.

← 16.



↑ 17.



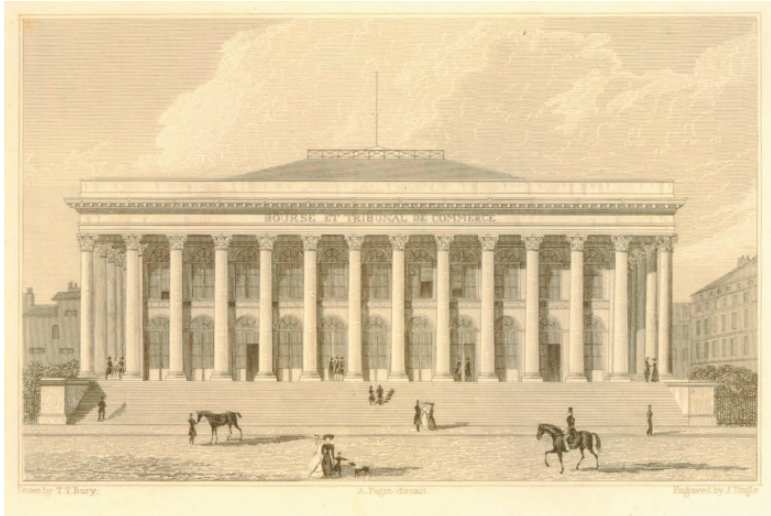
↑ 18.



↑ 19.



↑ 20.



↑ 21.



- ← 22. Miejsce, w którym prowadzone są interesy, nie jest świeże, otwarte i czyste, przypomina raczej sekretne, mroczne podziemia (...) zajmowane przez ludzi, których fizjonomia przypomina kryminalistów przedstawianych na innych obrazach Degas. (C. Armstrong, *Odd Man Out: Readings in the Work and Reputation of Edgar Degas*)

- 23–25 Mówiąc językiem finansów, pan Grandet miał coś z tygrysa i z węża-dusiciela; umiał się położyć, zwinąć, przyglądać długo swej ofercie, skoczyć na nią; następnie otwierał paszczę swej sakiewki, wchłaniał porcję talarów i kładł się spokojnie jak wąż, który trawi – nieruchomy, zimny, metodyczny. (H. Balzak, *Eugenia Grandet*)



↑ 23.



↑ 24.



25. →



L. S. G.

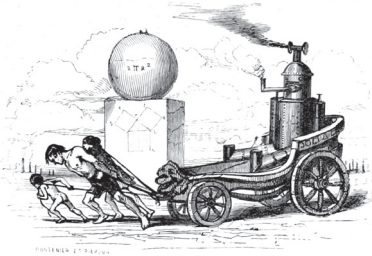
↑ 26.



Arndt

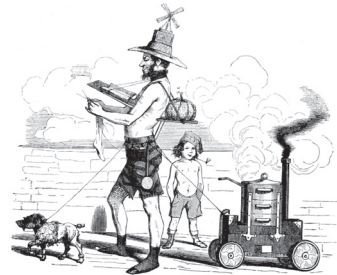
H. W. G. 1847

↑ 27.

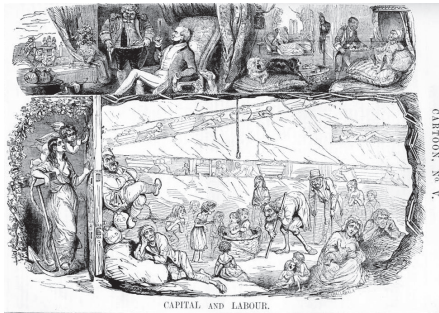


WILSON & GARDNER

↑ 28.



↑ 29.



CAPITAL AND LABOUR.

← 30.

- 31 A tyś był stary; ty wiedziałeś o tym
Że życie ziemi opłaca się złotem
I że go nie masz, by zbawić twe dziecię
Więc na co, czemu dałeś mi to życie!?
(A. de Vigny, *Czatterton*)

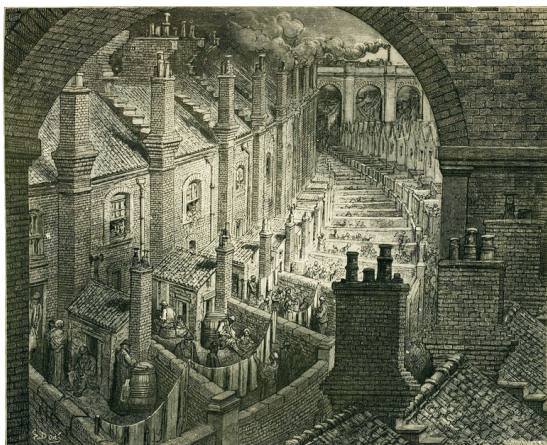


↑ 31.

32-34 Stuk drewnianego obuwia po bruku, szybkie dzwonienie – i już wszystkie maszyny, jak cierpiące na melancholię głowy słońców, nasmarowane olejem przed monotonną dzienną czynnością, stanęły znów do ciężkiej pracy. (Ch.Dickens, *Ciężkie czasy*)



↑ 32.



↑ 33.



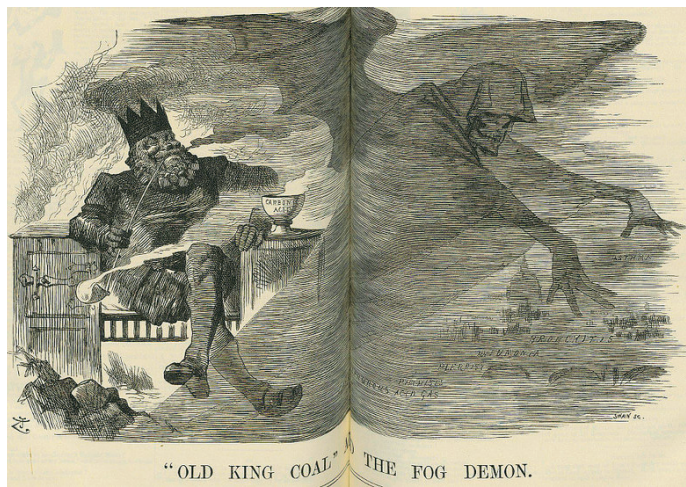
↑ 34.



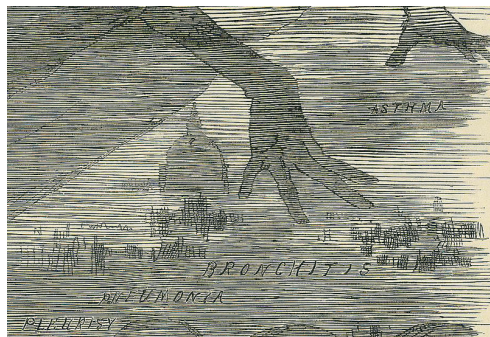
↑ 37.



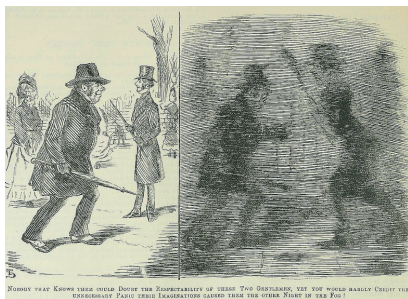
← 38.



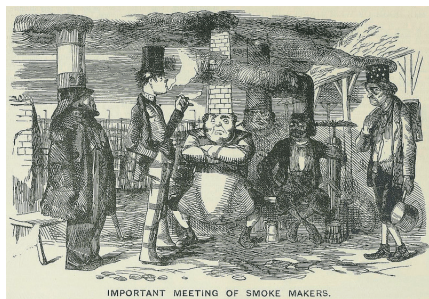
↑ 39.



↑ 40.



↑ 41.

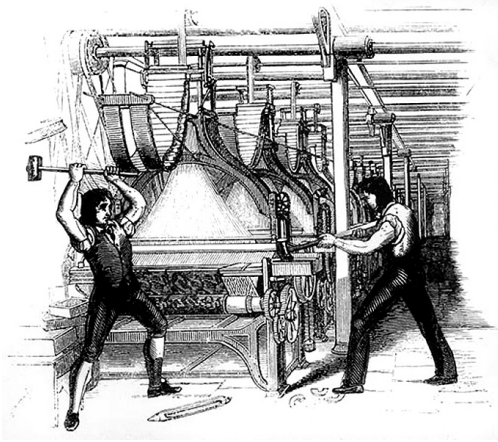


↑ 42.



↑ 43.

44-45 Nie do utrzymania jest już konwencjonalny obraz luddyzmu jako ślepego sprzeciwu wobec maszyn. Stawką była tu raczej „wolność” kapitalisty umożliwiająca mu zniszczenie obyczajów handlowych, wszystko jedno, czy poprzez nowe maszyny, system fabryczny, nieograniczoną konkurencję, obcinanie płac, likwidację konkurencji, czy przez obniżanie standardów rzemiosła.
(E.P.Thompson, *The Making of the English Working Class*)



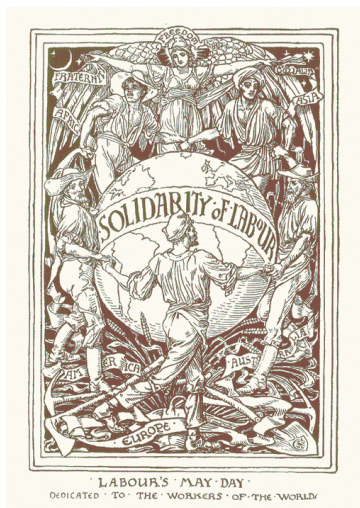
↑ 44.



↑ 45.

46-47

Tak, w tych wędrówkach czułem to głęboko,
 Jak się wzajemnie zwodzimy, a zwłaszcza
 Jak się zwodzą książki nas, szukając sławy
 W osądach garstki bogatych, widzących
 Przy sztucznym świetle; i jak upadają,
 Dla przyjemności tej garstki – tak wielu
 (W. Wordsworth, *Preludium*)

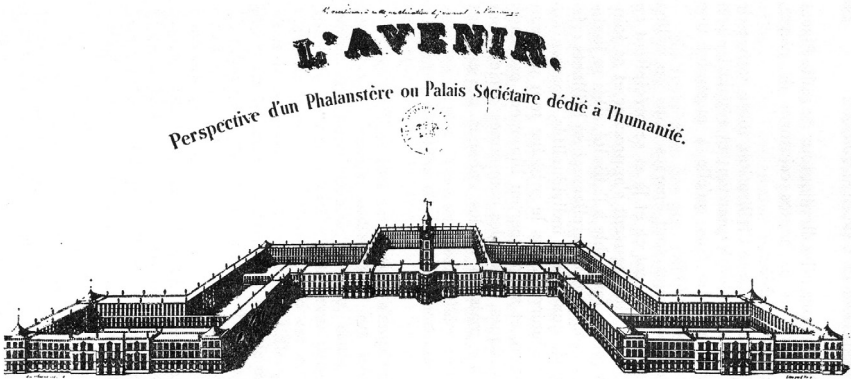


↑ 46.

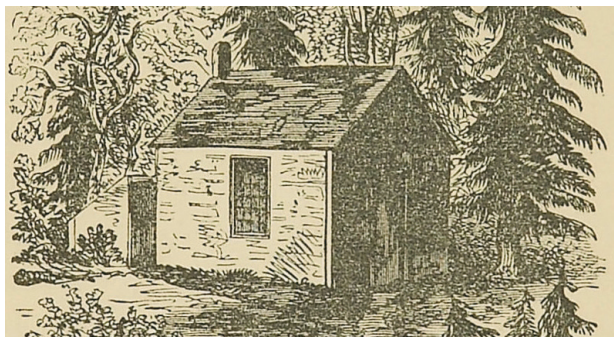


↑ 47.

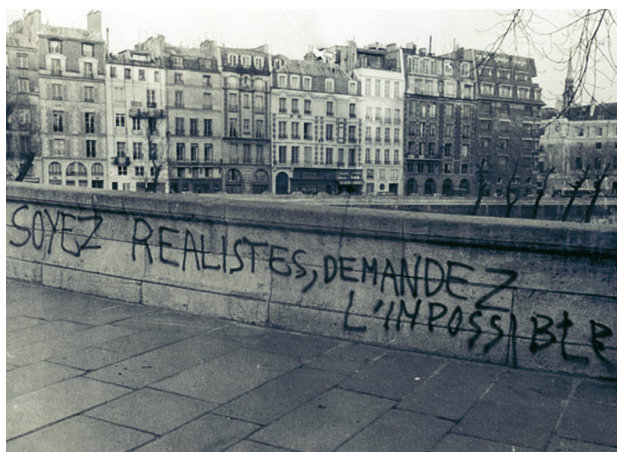
- 48 Chodzi wreszcie o to, by w tym nowym ustroju lud korzystał z gwarancji dobrobytu, z minimum wystarczającego na dziś i na jutro, oraz by ta gwarancja uwolniła go od wszelkiego niepokoju o siebie i o swoich. (Ch.Fourier, *Théorie de l'unité universelle*)



↑ 48.



↑ 49.



↑ 50.



↑ 51.

REDAKCJA: Krzysztof Smólski
KOREKTA: Nina Brzostowska-Smólska

PROJEKT GRAFICZNY: Daria Malicka
SKŁAD I ŁAMANIE: Marcin Kiedio

Projekt Pracowni Romantycznej IBL PAN, nr: 0097/NPRH2/
H11/81/2013, finansowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa
Wyższego, opracowywany w l. 2013–2018



NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI

KIEROWNIK GRANTU I REDAKTOR NAUKOWY SERII:
dr hab. Marta Zielińska

RECENZENT TOMU:
dr hab. Iwona Kurz

REDAKTOR PROWADZĄCY SERII:
Krzysztof Smólski

© Copyright by Katarzyna Czeczot & Michał Pospiszyl, 2018

© Copyright by Instytut Badań Literackich PAN, 2018

ISBN: 978-83-66076-27-3

Druk: Akces Robert Nowicki, Warszawa; akces55@interia.pl